

1296266

POEZYE
S T U D E N T A.

Kto mi dał skrzydła — kto mnie odział pióry?...
J. Kościuszko.

J. Kościuszko.

TOM CZWARTY.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1865.

696934

Biblioteka Jagiellońska



1001187704

8.7.932

BIBLIOTHECA
 VNIV. JAGELLO
 CRACOVIENSIS

SPIS RZECZY.

	Strona
TRYLOGIA MYŚLI.	
Erasmus	3
Wspomnienia Samsona	21
Maryna Magdalena	55
DZIKIE KWIATY.	
Nesabudka	133
Bławat	189
Drwot Pamięcy	233
Epiłog	291
RÓŻNE WIERSZE.	
Sen	315
Prometeusz	322
Pisownka	336
Sadzawka	338
Z poematu Raul	339
Hajena Zakochanej	340
Pielunowy Hymn	341
Rys powiatki «Delowczę z Randomiera»	342
WIERSZE PÓŹNIEJSZE.	
Strofy pisane w Hucknell u grobu Lorda Byrona	347
Na emigrata w Harrow	349
Strofa na widok New-Stood Abbey	349
Na wstępie o śmierci Ks. Adama Czartoryskiego	350
Spencioń. Ballada wędrowna	351

	Stronice.
Do Edm... Mich.....	333
Myth Burzy	335
Węgles na Murze	334
Z Strun dasy	334
Sen na Jawio	335
Liś z Smołuicy Do***	336
Rys Wstępny z Poematu Angielina	337
Braza Kiełfuhni	338
Osła do Burzy. (W czterech zapodych)	338

I.

TRYLOGIA MYŚLI.

Was wir als Schönheit hier empfanden,
Wird einst als Wahrheit uns entgegen gehn. —

SCHILLER.

TRYLOGIA MYŚLI.

BRUTUS.¹

Po grobach świata
Mył na ulica
Jak gołęb przelotowy...
Słońca — gwiazdy — tęcza
Natchnienia śladziżone
Wokół i dźwięk
Śmiech i jęk
Wciążulem oddechom,
Odbrzmiałem strza echem!...

WSTĘP.

Zbliżasz się ku mnie, cieniu ponury, postaci czarna. Jak wielka chmura grzmotami brzemienienna — wicherami gnana nad

¹ Anachronizmy Brutusa (również, jak poniekąd całego kompendyum poezji studenta) mają przetrwać w splot wczesnej epoki życia autora, kiedy go pisał. Zgadł całe antyhistoryczne pojęcie jego jako młodzieńca, syna Kleopatry i Cezara. Że był synem Cezara przypuszczają niektórzy dziejopisowicze — na tem stadołwał swe dzieło Alfieri. — Nam dołd na historycznym pownieku, że każdy Cesarz zrodził reakcją swego Brutusa — i tu się misteryum niniejsze porzędo. — Wyrzucając anachronizmy te — musielibyśmy całości skaleczyć, lub zniekształcić — a tak — zostawiliśmy je z miłością, jaką się ma do pierwszych myśli — kiedy w duszy tak rano... Przyznajemy się tu szczerze do tej — — słabości...?

Tybru skały — wśród szkieletu starej Ojczyzny twojej — suniesz się za mną jak płaszcz śmierci szarpany wiatrem północny — bliżej, coraz bliżej. — Patrz na Ciebie, patrz milcząc tajemnie — a kiedy drży serce tętnem młodości, woła: do mnie! do mnie! I ty tuż przy mnie — a ja posągiem niemy: jak dwa węgle oczy utkwiłem w Ciebie — wstrząśniętą się, oddechem wciągam w piersi Ciebie — cigłko jej! — lecz i od Ciebie niepęknie, aż się z niej pieśnią na świat wydrzesz. — Cieniu mój! dziecię boleści samotnika — z ciężkiej piersi oddechu mego, gorzkim śmiechem wypiewam Ciebie! a potem leć! leć — ale już spocząć do końca!...

Dziwna jesteś Nemezo! boć gdy serce skamienieje — i serca kamieniem, cisnąc za szczęściem, jak bryłą Kyplopów, za mknącą szych ofiar wieszczką i zabiję ją — odtąd pierś przewała wielki głaz wieków — a na nim iskrami ryty napis: spokojuści!

I.

Zagadko duszy mojej — gdzie jesteś!... tajemnicza — nierozwiązana — nieprzećięta, za którą leciał duch młody przez światła pustynie i piekiel rozdroża?... czy w niebios sfery cheesz zawieść myśl moją — niezłamięł szczytów błękitnych Olimpu — ciemność — znam tylko jak brata — i pasuję się z nią jak iskra od niej dławiona. — I ciemno we mnie i dziko, a kiedy mary przeszłości z zapłakanymi oczyma krążą w kołonnicy — wolażą: przyszłość gorsza! i koluja jak czarne kruki i serce targają, jak szkieletu kości. — Stań na chwilę o dawnia, z zamglonemi oczyma — którą pojmuje od pierwszej chwili i kochem jak kochankę dai pierwszych, a jednak po imieniu nazwał niemiem — spowitbym Cię jak wąż w namiętne objęcie, i pochłonął w oteblani szala mego! o ty, coś jasna nad Fatum i gwiazdy jego — ja Cię przeczuwam — ale słowo jest myśli doczesną mogiłą. — Motyloskrzydła najpierwszej młodości igraszko — stań! ale próżno; echem mojem drżą skały i oteblanie — a ty biegniesz dalej, suniesz się jak mgła srebrna po kwiatkach doliny, pędzisz falistym kłóśw lanem — jak pa-

jęczyna laskocząca liść róży w jesieni — aż zblednie... obejrzałaś się o boska, ale innym obliczem niż za dziecińczych dni moich — i zawolałem na Ciebie Consciencio biała!... tyżeś to z gwiżdżąc a czola a wężem przepasana!... panczer twój kuty już z słońca promieni a głos nad Zeusa głos!... czy ty na ustach zamieniasz przekleństwa głos w słowicy ton — co gluchej skargi jęk niewieście przepłotławsz młodzieńczy zapalem a cierniową ściągę stromych skał, ściągę samotnej rozpaczcy, zmieniłaś w świat, gdzie z serca wstaje głos, jak tkliwej arfy dźwięk... ostatni uśmiech i pierwszą łzę zmieniłaś w zachwyt niemy, że rozdarłszy szatę na piersi młodej pelen woni uczynku dobrego — mgłtwa i cnoty, wolałem: jeszcze! jeszcze! — o! wydrzyj i dziś gorzyc sercu memu! bądź przy mnie półboska, gdy orłem u szczytu uwisnę — bądź zemną, gdy orłem spadną w dół czarny — by z ciemności żeglował ku słońcu!... Bo słuchaj pigłka moja! natchnienie płynię z serca sierociego walk i rozkoszy, jak źródło czyste z gór tajemnej głębi — któż zgadnie, kędy źródła początek — i z jakiej tryska oteblani? gdy lecąc z skał na skały, w doliny i lasy, rwąc dęby i cedry, aż w Oceanie spocznie, i modlitwą fal tyśiąca odbije gwiazd tyśiąć?... Wśród chwil żywota — gdzie jesteś najstraszniejsza ty chwilo — walki serca z sumieniem!... kiedy piersi głos jeden zakwili — a drugi zarzyce — lecz oba jak dwie Erinie jednym wyją akkordem — o Consciencio! Consciencio cicha — a głośniejsza nad szumy burz — nad głosy wód — podaj mi czary Letejską, niech pianę jej pomieszam z pianą warg spalonych. — Niewydzieraj mi tego ostatniego Nektaru!... bo zaleję nim Ciebie a czaszę strzaskam na czole twojem!... Czego chcesz odemnie niema — siadając na pościeli mojej, gdyż bezsenność do rana?... precz odemnie!... wole po dzikich nicości błoniach Erinniom pasę krowy, jak czołgać się tu z wami dwa głosy piersi mojej — co raz mnie dwóch skrzydeł lotem rwiecie w nieskończoność zachwytu — a raz mi kajdan drwonicie rdzą!... Głowię moję biada!... bo od początku gorzyc i duma samotnym pokarmem moim!... Tak woła na nocnem łożu bezsenny Brutus, co blade lica zimnem śmierci i srogością bola napiętnował, nim namiętności na nich ślad wydeptać mogły... jak wąż ciska się i wiję po

faldach pościeli — a białe widmo przy nim siedzące odgania ramiona snu, co go chcą miłością utulić, sny jego dalekie jak gwiazdy niebieskie — więc nad sobą na powrót zawiesił arfy młodzieńczą, choć bezsensny wydobył z niej kilka drąjących dźwięków — one mu poraz pierwszy nie dały spokoju — i uleciały od niego jak strwożone jaskółki. Oparł gorące czoło na ręce silnej — i myśli dalej w ciemności, gdy księżyc rzucił pęk promieni nad skroni długowłosą. Jam niemiał młodości. — Ja mam życie — ? i cóż? komuż zawdzięczać to głupie życie, temu co mi je dał na gorycz moją! przekleństwo tobie Jowiszu piorunujący!... przeklinam Cię i błaznię, byś mnie zabił piorunem twoim! ale i w Ciebie w piorun twój — ja nie dowierzam już!... przeklinam Cię Cesarze pobożski, bo życie mi dałeś — a życie — niewolnika!... życie — zawdzięczać Cesarzowi?... oddałbym je wrogu! więc nie dzięki Cesarzowi — ! mienie i życie jemu!... boć On na łodzi zawiał mnie w togę; bardziej o mnie jak o losy swoje dbał? — jako skała do skały przygłąnąłem doń! — a jednak — biada mojej głowie!... przekleństwo Bo-gom i ziemi!...

II.

Cezar był ojcem Brutasa — nad źrenicę oka swego pieścił to dziecko swoje — on uratował i dał mu życie — w umyśle jego rzucił pierwsze iskry oświaty, i nauczył obyczają miejscności¹ a później pragnął połączyć go z kochanką pierwszej młodości, by ona miękczyła żelazne, namiętne serce młodzieńca Katonowych podań. — Tyle zawdzięcza Brutus Cesarzowi. — Biada mu!

Nie Roma okazała światłoienne oczom Brutasa. — On przeigrał nad Nikiem najpierwsze lata — dzikie niewolnice wypieściły orle, iskry z ogni Cezara i płomieni Kleopatry bogini Wschodu... Ale Brutus nie jedną mgłą rozzerzeć musi, by mógł przypomnieć te chwile ciche i rzewne — jak gdyby przedzione z promieni księżycy i woni róż... Jak przez sen pomni dwór Ptolomeuszów — pomni jego rozkosze i tańce —

¹ Urbinitas.

słyszysz jego śpiewy, czuje wóń kadzidel przepelniającą drzące od arf smętnych i lamp kolorowych wieściów, powietrze... pamięta labędzie, z którymi się droczył i boskie zwierzęta, które karmił — widzi czarnych w koło siebie Marzynyów — i nawet Kleopatry pierwszy i ostatni uścisk czuje — a na jego czoło spadła pierwsza łza szczerza wiecznie uśmiechniętej piękności, jak z listków palmy rosa poranna, której słodkie niepospieszyło zcałować... Pomni, jak tarzając się po tygrysim kobiercu, za perłami królowej, pierwszy raz jej uścisku pozandrościł młode-mu Cezarionowi!...

I w pierwszej wiosnie życia był przewieziony Brutus nad brzegi Tybru — z podróży pamięta tylko burzę morską, jak rycząc targala ogniste szaty swoje i góry balwanów śpiętroznych spychała w otchłani otchłanie — a w ramionach trzymał go w swej łodzi mocno sam Cezar, zawijając w togę swoją i mówił spokojnie strwożnym: Jadą losy Cezara!... — Lecz kiedy Iris wstała po burzy i barwy swoje cisnęła po chmurach, dziecko spytało, czy zawsze po burzy Iris taka boska wstaje? Cezar zamyslił się i nie nieodrzekł dziecięciu. A tajemnie był chowany w domu starca Agryppy — w ustronem zaciszu... Cezar kochał Agryppę od dni dawnych — Agryppa jako mistrz czuł nad umysłem młodego Juliusa, by dzielnego dla Respubliki wychować mędra — ale nie przeczuł, że Julius Cezarem będzie — i na głowie jej dumną nogę postawi, patrząc na świat zbrojny uśmiechem łagodności... Agryppa był syn synów Respubliki Rzymskiej — jak obelisk z jednej skały, jak kolumna co choć runą sklepienia, a po czołach połamanych siostrzyce bluszcze pelniają i jaszczurki — ona ostatnia stoi po dzień swój ostatni!... On syn Respubliki każdą myślą — każdą kroplą krwi, każdą miłością namiętną i nienawicią nieubłaganą. — A kiedy Julius lysinę wysokiego czoła osłonił koroną Cezarów, wydarł suchy starzec z serca swego miłość — całą — ze krwią i korzeniami. — a z oczyma do białek zawróconemi pięścią poprzysiął zemstę na Kapitolu — zatargał brodę gołębią i rozdarł togę złotą bramowaną w obliczu Bogów wołając zemsty! zemsty!... aż mu śmiechem dzikim Furye odo-

grzmiały. — I umilkł jak grób, by lawa piersi jego ostygła w posąg — zemsty! którą utopił w falach żółtych Tybru, aż przyjdzie czas! — I jak gołąb potulny schylił głowę — a Cezarowi dał ciepłą dłoń pomarszczoną — przysięgając miłość ku niemu, bo na niepotrafił umrzeć jak Kato niepomocniejszy się. —

A wtedy Cezar odkrył tęgą śnieżną i oddał mu dziecię, które Agryppa nazwał Brutusem, — Rzymianinem — a ślubował na Zeusa Statora! dla zemsty i Rzeczypospolitej przeciw ojcu wychować dziecię piękne!...

— I stało się. —

Od dni najpierwszych — słał miślicęj dziecinie wielką ojczyznę jego, co świat ogarnęła — słał Rzeczypospolitą i Brutusa, co całował tylko matkę swoją i przeklinał jej ciemiężców. — Aż pierwsze słowo które mały lew ryknął, było: Zemsta!... a drugie: Respublica — a później trzecie: Cezar zginie!... a kiedy pierwszy raz pachole podniosło sztylet w górę — dał mu Agryppa najpiękniejsze grono winnicy swojej — rozczulił się łzami — pomsty! A kiedy Cezar przybywał w stroju Plebejusza do dziecka swego, uczył go Agryppa pokory i miłości, a sławienia korony. — I dawał mu Cezar bawić się mieczem swoim — i cisnął dłoń Agryppy mówiąc: Na Marsa! starce, to będzie wielki syn wielkiego Cezara — będziesz półbogiem Cesarstwa za mnie i za niego! — Półbogiem Rzeczypospolitej!... za Ciebie i za niego! sgrzytnął Agryppa wściekłym Cerbera zębem. — I cieszył się Cezar — i cieszył się Agryppa — bo dłoń jego za wążła do mordu — uzbroidła dłoń młodą... co straci w dół jego — i jemu podobnych! a wstanie znówu Wielka Roma, w tożde Respublici. — I rósł młody Brutus myślący i smutny — a skryty — nawet przed Agryppą!...

III.

Takie były marzenia starca — i takimi napełniał nieznanca wulkaniczną głowę młodzieńca. — Ale w piersi Brutusa

biło serce wielkie — inne wśród miliona serc tak zwanych, co biły w brudnych piersiach tysięcy tysięcy — a przeto pierwszą myślą jego była: Wdzięczność! Wdzięczność wołał Agryppa! o tak, wdzięczność dla Ojca, co matkę swoją Romę zamordował! a zhańbioną w wielkości swojej jak Andromedę przykuł do skały i pierś jej nogą damną przydławił!... pomóż mu!... na Fatum, tyś jeszcze nie wart dźwignąć imienia Brutusów!... Ojciec! krzyknął Brutus jak orzeł konający. — Ten!... wskazał Agryppa na popiersie Bruta starego, ciało syna swego cisnął na ołtarz wolności!... On ugrzązł na sercu Romy! wdzięczność miej dla niego — Brutusie! wdzięczność Rzymianinie!... A wtedy Brutus bezsenno odgarniał długie włosy i bladym czołem tłukł o kolumny atrium — tak, że z maski Marmurowej Melpomeny zdała się spływać cicha łza nad nim — a oczy jego były błędne jak dwie gwiazdy za chmurą niknącą. — Gdy zazdrościł Laokoonom ich węży a Sokratom trucizny — bo on kochał Cezara — i wołał raz śmierć tyranowi — a raz przebaczenie ojcu memu! Z takimi myślami, bezsenno, błądził nieraz jak cień strygijski nad Tybru zielone brzegi, gdzie ukochał skałę jedną dla spoczynku, którego na niej nigdy nieznalazł. — Ale dni równe młodości leć chyłej od gromów niebieskich, co tryskają z pod rydwanu Jowiszowego — serce jego kamieniało — trute zwolna — i słuchając od dziecka w kolo siebie: Zemsta! echem swej duszy odkrzyknął w końcu: Zemsta! sam niechcąc słyszeć swego głosu a chcąc, by go wieki słyszały i wszystkie światy jeśli są jakie za tym światem! I zabił ostatnią myśl rzewną — zamordował ją jak kwilące ptasze na dniu serca swego — ta chwila dodała mu lat dziesięć — że stała się w kolo niego wielka — niemierna cisza, w której tylko zemsta! słycać było!...

IV.

I zerwawszy się raz nocą z łoża swego, pobiegł Brutus do wyroczeni tajemnej a ciemno było w świętych murach... tylko starzec jeden pilnował ogniska, co tlało wśród nocy — a z góry wziął się błądy promień gwiazd nocnych... i pytał głosem drżącym: —

BRUTUS.

I cóż uczynię w niepewności tajemnej, co wżem moim w dzień a w nocy odgania sny moje?... powiedz mi święta wyrocznio, a pójdę za głosem twoim. — Nie dymów twoich ogni lecz mądrości twojej jądra pytam: co czynić — co działać — czego się dopuścić?...

GŁOS.

Zabijesz ojca twego — aby ochronić matkę swoją, lecz zabijesz ojca twego — a nieochronisz matki twojej, ochraniając ojca twego — boś czarna chmura uwiła nad nią!... I umilkło — a Brutus zarzucił szatę swą na czoło, by jej ciemność nawet nie widziała — kto odgadnie — co się działo w labiryncie mazu jego?... On biegł nieznając kędy — aż stanął nad skałą Tybru... księżyc już konał nad falach... Tybrze! szeptały usta drżące wrażeniem — popłynęły wody twoje — a z niemi chwile wiosen moich — o wróćcie chwile dziecienni! a pędzarem będę! o wróćcie, wróćcie a wesolym będę!... jak wtedy usnę na skałe na mehu twoim — aż mnie dziki orzeł ze snu przebudzi... a przespaliśmy wieki! przespaliśmy dni wileczycy mojej matki! Romy! bo dziś orły nieczyste — a prócz orła nikiby mnie nieobudził ze snów marzeń!... Ale wy niewróćcie do mnie! nie! nie! nie! przeszłości ma, tyś już za mną!... Biała ci głowo moja! — Jam już nie dziecię Brutus, jam Brutus młodzieniec, jutro mi się mężem Romy przebudzić — mojej dłoni już kwiatów nie pieścić, sztytel ścisnąć dziś pięści mojej!... O niegdyś byłem cichy i rzewny — a dziś wężę walk tysięcy kłębią się we mnie — i pytam wyroczni — a ona dwa za jedno odrzuca pytania — a ja jednego nierozumiem... Tybrze! I wydarł kawał skały i cisnął w głębie, bo go dręczyło, że w Tybrze tak spokojnie, i zamęciło się w falach na chwilę — a po chwili było znów jasno i cicho, lecz w duszy jego nieuciszrzyło się do końca!...

Takie były poranki w życiu Brutusa — kiedy wiosnę swoją rzucił skrawioną na stos Marsa i wszystkich Furi.

V.

Jednego dnia rzekł Agryppa: Brucie synu mój, czy jesteś już silny? o! silnym odrzekł Brutus, jak mąż! a więc dla Republiki oddasz pierwszą ofiarę; jeśli tej nieoddasz, niespełnisz drugiej. — Oddam, rzekł błędne Brutus — a co mam oddać?... Kordelią!... rzekł odchojąc Agryppa. — Brutus krzyknął boleścią życia całego a usta splątane słowa niewydały, i padł na ziemię jak od gromu. —

Ojciec jej Curcyusz — jeden z ostatnich, co wierzą w Republikę, dziś oddaje ją w gmachy Westalek, mówił zwolna Agryppa — by Bogowie przyjęli ofiarę wtórą! Dziś pójdziem razem mój synu, spędzisz z nią ostatnie chwile wieczora, by ją pożegnać... to będą ostatnie chwile szczęścia twego, dziecię moje... nie! wielki synu — i Ojciec, wybawicielu Republiki. — Dziecię moje! ja Cię pierz z tobą!... ale więcej od nas obu cierpi Roma!... i tu chwycił starzec rękę Brutusa do ust swoich i oblał ją łzami — płakał drugi i ostatni raz w życiu, lecz Brutus słowa niewymówił — był nawet niemiał w oku — i miał cichy uśmiech na twarzy, jak gdyby niecierpiał...

Wieczór zapadł nad Willą Curcyuszową — wonie kwiatów wiosennych ulatują we mgłach ku bladym licom Luny wstającej z nad Tybru — Cisza dokola, od Willi zbiegają pod kolumnami schody marmurowe a ogród roztacza się nad Tybrem ulicami cypryśów smętnie szumiących i zadumanych laurów — bliżej domu wonięją szepczące pomarańcze kwiatem obyspane — przed Willą bije źródelko jak modra szyba zwierciadła — i odbija gwiazdkę jedną, w koło źródelka roślinie wianek róż białych — a dalej krzaki namiętego jasmínu schylają się ku różowej akacyi — w cieniu stoją białe posagi i popiersia cudne a nawyżej Brutusa starego — Grachów i Poplicoli — a w tej całości znać wdzięk niewiasty i siłę męża. — Oto fartą ogrodową wchodzić dwie postacie — bliższe muszki je prowadzą — młodzieniec wlecz za rękę starca i stapa jak Bógowie zwykli za dawnych czasów Romy. Weszli przez uchyloną

zasłonę bluszczów — idą ogrodem ku Villi, nad schodami wórnó kolumna stoi jak kolumna postać biała — nito postać Psychy wśród reszty ludzkich posągów... Po alabastrze jej ramion wiatr igra rozpuszczonemi włosami — głowa na pierś opadła jak u lilii złamanej — i ręce złożone w nieładzie tragicznym ku ziemi zwisły ciężko — w tem podniosła jak dumny łabędź głowę i krzyknęła cicho, w półtrwoni... starzec zniknął w podziemiu Villi, a ona jak gołąb ranny spada z miłością kobiety w objęcie płomiennej Brutusa. — On ją ujął i niósł raczej niż wiódł niewiedząc kędy, aż siedli pod starym cyprysem, na wielkim glazie, kędy Kordelia pierś matki ssała. — I niemo przytulał jej głowę do piersi rozdartej — ramionami które drgały sciskał ją to opuszczając — czasem pierś jego chciała krzyknąć — ale krzyk był za wielki, by z niej wypaść — i znów w głąb piersi bezdenną zapadał... Próżno luscina rzewnie tonami płacze, oni leż nieznamy — i niewiedzieli jak długo tak milcząc byli przy sobie — bogowie i furje uszli z miase ich, i luna się ukryła — w tem z nad schodów Villi okazały w togach czerwonych, dwie postacie starców, z pochodniami i zawołali — czas!... a jeden z nich rozbił klepsydrę o stopnie, po których ku nim stapał...

Orłem dzikim zerwał się Brutus a chwytając ją jeszcze raz w objęcie mrąco boleścią, czoła jej tknął ustami, że wianek czerwony z jego zębów na niem pozostał — i rzekł spokojnie: Bądź zdrowa Rzymianko!... i oddał ją w objęcie Ojca, który wziął jej dłoń i łamiącym się głosem starca co wszystko traci, miękawy od Agryppy — rzekł — chódźmy!... łódź gotowa — i wiódł córkę ku łodzi, a za niemi wiódł Agryppa Brutusa — i szli z niemym majestatem — za niemi niósł niewolnik wianek róż białych i arfy — jedyny sprzęt dziewczęcy, który brała z sobą Kordelia — a tuż przy brzegu Tybru, gdy już ponury gładysto ujął wiosło — włożył jej ojciec wianek biały na rozpuszczone włosy i bezsilną posadził przy sobie, dawszy znak wiosłowania — i już płyną — na wtórym brzegu Tybru białe kolumny świątyni Westy lénia od księżycy i rzucają Cienie swoje po falach — po stopniach białych z daleka schodzi chór kapłanek z pochodniami i pieśnią witań nową oblubienicę — Brutus słyszy głosy — acz twarz szatą osłonił — wieniec

iskier latają mu przed w wzrokiem — i stoi oparty na drugim starcu, co od czasu do czasu szepta chrapliwie: Roma!...

I łódź przybija do lądu — wieniec dziewię otacza ją — i pięćkę tęsknie uprowadza przed biały posąg Westy — niktą — a stary ojciec powraca znów w łodzi, w ręku ma arfy, której stróny Kordelia u brzegu pocelowawszy, kazała jeszcze oddać Brutusowi... ostatnią... pociechę swoją, by jemu była pociechą — ale kiedy łódź przybiła do brzegu, próżno Agryppa chciał pomódz starcowi — on — w łodzi w czasie przewozu skonał, a głowa jego jeszcze szklanym wzrokiem patrzyła ku świątyni, gdzie mu znikło jedyné dziecię jego!... a gdy gladyator oddawał arfy młodzieńcowi, biorąc ją Brutus — zdrętwiał — i padł jak dąb ścięty na skale Tybru — zdało mu się, że zapadł w otchłań nicości — i że śni sen jakiś wielki w muzgu swoim — i oto usłyszał z dala ryk drziki jak góby Bogowie z gór Olimpu staczali grzmoty na głowy Tytanów... ale ryk ten miał w swej wściekłości coś żalostnego — i z dala na ziemi i horyzontach urzał coś jak górę olbrzymią pędzącą ku sobie — była to olbrzymiego kształtu Lupa — pędząca z mgły wieków ku Brutusowi — wyla dziko jego imię, włos jej języł się jak las, kły i oczy błyskały — a wymiona wezbrane były i tłukły się w jej pędzie po górach i skalach, bo była mu grzebiem wielką nad szczyty Kaukazu. — I nadpędziła — a wyciem straszliwym użaliła się nad powalonym, że lasy i jaskinie powtórzyły imię jego, i jęła lizać pierś jego, i wyc, oto pierś moja! ssj jak Romulus słabe dziecko moje!... i dała mu ssać — i porwał w zęby wymiona jej, aż poczuł krew i wycie zranionej, i ssał, ssał — a coraz silniejszy był — a wreszcie Lupa liząc go odbiegła znowu i znikła, a ryk jej gubił się gdzieś przed duszą jego — lecz pokarmem jej czuł się już posilon jak siłą Bogów — a młodzieńczość jego smętna przeszła w miedzianną siłą męża. —

VI.

Oto na łodzi swojem leży w półśniący Brutus — węże górażęcki i niepokoję szerpają go — oczy zamknięte chciałby

otworzyć, śnać sen jakiś męczy niedawno ozdrowiałego z choroby, co te oczy jak dwa węgle w czaszkę wtłoczyła — a usta namiętne z półumiechem płaczącym zdają się coś szeptać. Nad nim stoi chmurny Agryppa i bada stan jego — ale on już swego pewny, bo serce młodzieńca wielkie jak świat — szersze jak piersi wszystkich Bogów Romy, lemiechem boleści zorał wszędy i wszędzie — a w poszarpane skiby cisnął ziarno — zemsta!... Obok siedzi Kassysz towarzysz dni młodych Bruta — śnać pała gniewem wulkanu; pierś jego wstaje i opada, noudrza zdają się iskrami pryskać, a łwia jego ruda jak ogień grzywa, jeży się nad pulsującym czołem. — Zabrał mi wszystkie pięd ... mówi do Agryppy!... wszystkie — od szczeniąt sam je karmiłem — a on mi je wydarł, to wolność Romy!... ale na Furye! on zginie — trzeba dzień przyspieszyć!... tu stał począł biegnąć w okół komnaty jak pantera po klatce. ¹ —

Dobrze! odrzekł z tajoną radością Agryppa. —

Czy ten mąż wiecznie spać będzie! krzyknął wściekły Cassysz — i kiedy słońce krwawiąc się pierwszym promieniem strzeliło, począł stali sztyletu swego blaskami igrać po oczach Brutusa — ale Brutus zmarszczył tylko czoło — i śnać wysiłony spał dalej — a wtedy Cassysz powstał sztylet i po arfie Cordelii nad łóżem Bruta wiszącej, szczytnął nim z góry na dół tak — że w jednym rozdartym dźwięku, pękły wszystkie stróny i opadły jak głowy martwych wępy. —

Furye i Bogi! krzyknął zrywając się Brutus — co to za głos!... pozartał czoło i jął do siebie szeptać, miałem sen — wykradałem Cordelię — schwycono ją — i żywą zakopano, ha!... w tem ujrzał i arfę, zerwał się i lwem puszczy ryknął: — Kto mi to zrobił!... Ja — odrzekł Cassysz! zbudziłem Cię — w grobie twoim dość spać będziesz — a na arfę nowe naciągniesz stróny...

Gluzepo! coś był przyjacielem moim! krzyknął Brutus — aż! niewiesz, że chochym z wnętrzości twoich stróny napiął,

¹ Śmierć Cezara przyspieszyło zabranie przez niego Cassyszowi broni chowanych, lwy pod ówczes były umiłowiznym artykułem wśród słynków Rzymian — pod oturzeniem Cassysz o kilka dni pierw, niż miał dojrzeć, dojrzał spisek. — (Michelet, Histoire Romaine. Tom. III.)

a mojemu je przewidywał, nie będą już jako pierwsze!... i mieczem zrabiał arfę i rzekł — tak rąbię przyjaźń naszą — tyś mnie nigdy! niekochal —! tego Ci po śmierci nie przebaczę!... i twarz osłonił szatą a z arfy jęczącemi szczątkami wybiegł — i szedł aż w ciemną gąszcz Cypryszów, kędy była ciemna grota — tam wykopał dół nakształt grobu, ułożył w nim utuliwszy z łzą ostatnią!... arfę złotą — zakopał — a na kamieniu, który na ziemi złożył zraniony dłoń krwią napisał: jedyndemu przyjacielowi. — Ale napisem położył głaz do ziemi, by go oko ludzkie nieczytało. — Bo niepragnął od nich niczego prócz — zapomnienia! —

Nazajutrz okazał mu tajemniczo Agryppa zmyślone fałszywe testamentu Cezara — — tam były słowa: a Brutus syn krwi i myśli mojej, po jakiemkolwiek skonie moim, niech po mnie będzie Cezarem! Brutus zakrył rękoma oczy modre — a milczenie jego grobowem było — potem stoczył się na piers Agryppy, krzając: o! tem zabiłeś Cezara!...

VII.

Oto pędzi z Kapitola Brutus młody — jak lawina stacza się z stopni na stopnie — — a w jego ręce sztylet złoty świeżą krwią dymi — a pięść jego druga zaciśnięta — dobrze tym co nie spotkali oczu jego — i drżało powietrze od padającego Cezara kiedy wołał: et tu Brute! a po nad nim iza odbłysła w marmurówem oku Pompejusza, za łyż dawne! — i pędził dalej ku tłumom ludu i krzyknął jak grzmotu głosem: Cezara niema! oto wam na ofiarę zabiłem ojca mego! by matkę Romę ochronić!... a w tłumie stał Agryppa — i wołał: błogosławimy Ci synu! bo wstanie Republica, którą podeptał tyran! o! teraz chwycmy noże! bo jeśli dziś niezwyćijym, zginie — na wieki! a popiół pozostanie z nas na uragowisko wrogom... i wicher nim powieje! za noże bracia! za noże! i na Kapitoliu! za mną!... ale lud milczał, jak głucha fala Oceanu w szumie przedburzy — ni jąku ni radości jeszcze — niepewny — a po

chwili ktoś w tłumie krzyknął: ojcojco!... w imię matki ojcojco!... odrzekł Agryppa — w imię Republiki poniżonej — teraz dzień ostatni — teraz czas zwalić tyranów, wysuniemy z pod nóg ich piedestały, a runą zgruchotani u stóp nam!... ale lud głucho milczał jęcząc — i już płakał za dobrodziejstw Cezara — a z Kapitolu zabrzmiał głos jeden chórem: Zemsta za Cezara! Brutusowi i spiskowym zemsta! — a z Kapitolu stąpał dumny Antoniusz i przebiegły August — i nieśli szarpaną w powietrzu togę Cezara, a toga była skrwawiona i podziurawiona sztyletami — za nimi stąpał z uśmiechem na gładkiej twarzy zbieg dawnego stronnictwa wolności i szeptał za Augustem: beatus, quem aliena pericula cautum faciunt!... i Brutus uśmiech tryumfu wyczytał na twarzy przyszłego Cezara! i wyczytał tam koniec Republiki — na wieki! — i Biada zawolał! Agryppa, wróć mi any młodości mojej, wróć mi kochankę pierwszą, co Westalkom na pastwę oddałeś — wróć mi ... lecz Agryppa już milczał na kamieniach, tylko z siewej piersi jego purpurą płynął strumień, a purpury było tyle, że z niej miałyby togę okazała boski Cezar — to ostatnia krew syna Republiki —! — nieżył mi dłużej! krzyknął Brutus — i podbiegł, jak ptak co ma wlecieć w górę i oddalał się od tłumu, co już ryczał: zemsta! śmierć Brutusowi i spiskowym! zemsta!... krzyk ten wzmagal się jak pożar z piersi ludu, co przeczuwał się zdał przyszłą niewolę pod jarzmem Cezarów. — Brutus biegł dalej — nie z trwogi, bo biegł zginąć, ale nie chciał ginąć od ludu co już sobą niebyle — i na tułów swój głowę cudzą nasadzić musiał. — I przybiegł jak koń dziki nad Tybru zielone brzegi, stanął na skale swojej — o Tybrze żegnaj — w tem pojrzał a z dali filami ujrzał płynący kształt ku sobie — piękności pełen w nieładzie — kształt dziewczicy, w szatach westal — i jęknął z radości, a ciało bliskie brzegu wyrwał falom — i porwawszy w swoje objęcie długo włosą uśmiechniętą boleśnie, pędził z nią dalej — i zdało mu się, że ołbrzymiał nad tydatywością swoją — tak, że coś rozkosznego piekielnie w niej poczuł!... On pędził Tybru brzegiem — a za nim po niebie pędzi burza łonami zięjąca — i tuż za nim pędzi tłum rozjuszony — w tem jeden w tłumie krzyknął, że Brutus dosłyszał: szanujmy ostatnią wolę Cezara!

Brutus Cezarem!... krzyknęło kilka głosów w tłumie, wzniesiony Brutus!... a wtedy jał przedej uchodzić, rycząc śmiechem pogardy, ku skale Tarpejską zwanej, zład zbrodniarzy i zdrajców ojczyzny strącono — i powołał cień Gracha nieśmiertelny na świadectwo swoje — oto burza pędzi już z wichrem coraz bliżej. — Za chwilę gromy uderzą — lysnęło niebo — a grzmot już huczy z daleka i świadczy o gniewie Statora —, i Cezar w łonie chmur płynie ku Bogosa i Bogiem z nimi będzie — zgładzon u szczytu swego — a więc ochronion przez syna, na zgubę nieochronionej przeto matki jego — i stanął nad progiem skały strącić się Brutus młody — anti-Cezar, syn Republiki konającej — na ramieniu jego łamie się ciało Kordelii — on dziko ogłada się w koło — za nim pędzi tłum jak lew rozjuszony, przeczuwając, jak następcy Cezara strómienniami poleją krew jego — więc wściekły, że przyspieszył to chwilę — a burza coraz to bliżej pędzi — Zeus toczy się na wozie chmur przy boku z Cezarem — Brutus zdał się niesłuchać czy burza niesłyszec ryków ludu i burzy — bo w nim burza — i cały był — i cisnął sztylet skrwawiony w otechłań i kartki i Fedona i rzekł — idź! i przecinaj głębie ciemne a powiedz im, kto idzie! W tem piorun rozdarł chmurę jak Cezar szatę — i oczom Brutusa rozświetlił ciemności otechłani, w której nicosi się wpatrywał — i pocałował czoło gołębiej dziewczicy — i rzekł Paella!... a potem Roma — zważył się, wskazał przepaść i pojrzawszy w niebo: za mną Bogowie! krzyknął, jak orzeł lecący w otechłanie z ciałem dziewczicy. — Tłum już nad otechłanią, z nad której dziko grzmiały słowa, tak, że je słyszał: Zabiłeś ojca twego, by ochronić matkę twoją — lecz nieochroniłeś matki twojej, ochraniając ojca twego. — A stała się cisza, gdy lud usłyszał te słowa — i zawał razem — ale już nie głosem zemsty ku Brutusowi. —

I cisza nad tobą, o Romo, niewolnico Cezarów — choć ludów tyrancko — gorzej niewolnicą jesteś od niewolników twoich —

rozbił się o imię twoje Brutus — niezbawił cię Agryppa — aż
 wyższa światłość otworzy ci drogę, której nie przeczuwasz o
 biedna — ślad jej krwią i cierniami znaczonej — a granice jej
 niemają granic — ona trudem i męką nową błysnie przed
 tobą — a wtedy Brutus nie będzie przeklęty. — —

Kraków. 1853—54.

¹ Ostatnie słowa opiewające miłość jako ostatni objaw życia dającego, odnoszą się nie do osoby Brutusa (który musiał zginąć, bo celem uświęcenia średki) lecz do jego myśli.

II.

WSPOMNIENIA SAMSONA.

Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości
 Chybaż dotyka do wspaniałej przeszłości

To moje życie...
 Powstała z prochu...
 Ciemność...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...
 W tej samej chwili...

WSPOMNIENIA SAMSONA

WSPOMNIENIA SAMSONA.

Z ucległych włosów snęgiętej struny,
I gąbliczą arfa twoja jękla
Z piersi sierocej — ryknęły pieruny
I piersi nieśpięka!...

I.

Ciemno dokoła — nocy płaszczy ponury
Otoczył ziemię i jej śpiące syny,
Po niebie lecą błędne, czarne chmury
A w cieniach sterczą świątyni ruiny!...
Z oddali chmurny dech na nocnem skrzydle
Przeleciał — cicho zawiał nad gruzami,
Zaśmiał się wichry szarpiące na wędzidle
Tak przeszłość wspomnień rozświecał iskrami:

II.

To moje dzieło!... kolumny wy śpiące
Powstańcie z prochu! szczyty w liście strojne!
Czemuż milczycie... czemu dumające
W tej nocy wichrów tak dziko spokojne?
Jam był Samsonem — ! A świat ten był światem!
Świat dla Samsona, a Samson dla świata,
Stanęli oko w oko — burzy latem
Spletli się w walkę, jak wąż z lwem się spleta!...

III.

Byłem dziecięciem sierocem i cichem
 Niezachodziłem ludziom nigdy w drogę,
 Me ciało strojne szat odzieniem lichem
 A duch mój ciałem strojny... zaklął twogę!...
 Że mu stanęła spokojna — jak wryta!...
 A ja ją dzikiem pożartem spojrzaniem,
 Aż zgasała... oczu mych wzrokiem przeazyta,
 I skalę za nią cisnąłem — ramieniem!

IV.

Lecz dzieckiem byłem!... rzownem i miłującym,
 Co śniło tęskną myślą w skal obszarach,
 Głębiami duszy tęsknie dumającym
 Marzącem dziko na odludnych jarach —
 Jedyną siostrą była mi natura
 A inne serce przy sercu niebiło!...
 Słuchaczem myśli była gromów chmura
 A za nią — może Bóg!... co darzy — siłą!...

V.

«Słuchaj ty dziecię dzikie i sieroco
 «Dam ja igraszkę twej tęczowej duszy»
 Rzekł mi raz anioł — «dam ci siły proce,
 «Dam walki, których dźwięk gromu zagłuszy...
 «Będziesz je dźwigał! dość marzyć dziecięciem —
 «Weź na twe barki moich skal ciężary —
 «Dźwignij coś marzył — potęgą ofiary,
 «Byłeś dziecięciem — bądź mężem młodzieńcem!

VI.

«Im więcej skal tych dźwigniesz — tem silniejszy
 «Będziesz, by bronił twej ziemi rodzinnej —
 «Czy dźwigniesz wiele?..»

A! ja nieznam innej!

Krzyknąłem jak grom od lwa już wścieklejszy,

I wziąłem na się tyle skal do góry
 Ze z niemi w raz się wzniosł on! orłopiory —
 Im większy ciężar — siły większe były —
 Tu tajemnica Samsonowej siły!...

VII.

I byłem wściekły!... a jednym akkordem
 Wrzasnęły we mnie wszystkich ludzi bole
 I żąda pomsty za lud, co niewolę
 Dźwiga — i stopnie mąk znaczą swym mordem!
 I w jednej chwili wszystkich zemst pożary
 Trzewia mi moje męką zapalily —
 A miałem w sobie tyle — tyle siły,
 Żem był od męki silniejszy — syn wiary!

VIII.

Gdy z chmur porannych ssałem myśli moje,
 One się z sobą tak tarły jak chmury!
 Wród walk młodości gasły mi w błękicie
 Me gwiazdy czyste!... i byłem ponury,
 By duszę moją ujawszy w awe pięści
 Szatan nierozdarł na dwie «piękne!» części...
 Lecz z ludzimi nigdy niemówił nikomu
 O tem, co w pierś mi padło — nakształt gromu!

IX.

Tak raz na puszcy gdy leżę nad wodą,
 W tumanie wichru się o słońca wschodzie
 Przechadzał szatan — za nim biegły żmije —
 A ptactwo zmiata przed nim — i zwierz wyje
 I gdy przytulił gołębia z swobodą
 Mknącego przed nim — wtedy zbil dwie łodzie,
 (Wściekły za swoją nieszczęścia ofiarą,
 Com szponom jego wydarł — tylko wiarą!)

X.

I rzekł mi rycząc, jeżeli Samsonem,
 To wiosłuj ze mną!... jeżeli silniejszy —

Wiosłuj pod wodę — ! by nad skały tronem
 Łódź nie uwiła — zkąd jak dzień daisiejzy
 W bezlenną otchłań z pianą wodospadu
 Rannie — przekłeta — i zniknie bez śladu. —
 A ujrysz, gdy ci pianą w twarz śmierć planie,
 Że najpiękniejszy gmach szczęścia — gdy runie!...

XI.

I w łódź skoczyłem, co już powódź rwała,
 A szatan wiosłem dopomagał wodzie —
 Pod wodę ręka moja wiosłowała
 Jam siedział w tyle — on usiadł na przodzie —
 Taką z nim walką długośmy płynęli,
 Coraz to bardziej rwięca była fala,
 Coraz nas dalej od brzegów oddala —
 A już szum głuchy spadającej fali
 Zaczął grzemić głucho w zbyt blizkiej oddali.

XII.

Wezwałem Boga!... i jak ruszę wiosłem,
 I jak pełną w prawo, gdzie on kręcił w lewo,
 Skroilem odmęt, łódź się zdała mową!
 I z nad otchłani brzegu łódź odniosłem
 I zskrzyłem ją w koło — trzy razy!...
 Ryknął z wściekłości pojrzawszy na jazy,
 I z złości w fale — pluął jaszczurkami.
 I rzekł — kierunek zmienim — sił siłami!

XIII.

Teraz ty z wodą wiosłuj — ja — pod wodę!...
 Porwałem wiosło — znużony niem wodę,
 I peham łódź chyżo — aż blisko otchłani
 Grzmiącej — ujrzałem jak się biała łani
 Pasała na skałach — nad nią rozłożony
 Orzeł czatował — by ją porwał w szpony. —
 I tak mi się tej biednej żal zrobiło,
 Że serce w pierśi, rzuciło się — bryłą!

XIV.

Chwyciłem łuk — i w orła ugodziłem,
 Że się jak gwiazda spadająca zwinął
 I przepadł w otchłań, gdzie z falą popłynął!...
 Znowu do wiosła rąco się rzuciłem,
 A szatan — z wodą zawiosłował — zdradca!...
 Kiedym za orłem żreńcą potoczył,
 On łódź — tuż — tuż — tuż! nad otchłań zatoczył. —
 I łódź już — spada! runął — winowajca!...

XV.

Gdy łódź spadała — po bluszczach na skałę
 Wdarłem się — i zły jego skał bryłami
 Tam z kipięciami szalami otchłani
 Tak zarzuciłem — że piana smoki białe
 Aż do stóp moich wściekłe się wznosiły —
 A ja się modlił do anioła siły!...
 I jakiś dziki śmiech nakształ szaleństwa,
 Wstrząsnął mną — nad szczytem tym — niebezpieczeństwa!

XVI.

Na jednej skałe stałem sam — wśród głębi
 Nad wodospadu przepaścią dymiącą,
 A chmura kruków i dzikich jastrzębi
 Już się nademną zgrają radująca,
 Chwiała — aż strzały na nie popuszczalem,
 I czarne wieńce — z błękitu — zmazałem!
 Golał mój wdzięczny siadł mi na ramieniu
 I zadumał się — objął w milczeniu!...

XVII.

Tak mnie ta piękność dzika zachwyciła
 Żem raczej nad nią dumał — niż nad drogą,
 Jak wyjdę ztamtąd — nieskrzydlatą nogą,
 Zkąd śmierć ramiona do mnie wytyczyła!
 Golał uleciał na sąsiednią skałę,
 Co stała w falach także równie stroma,

Ale z brył kilku na sobie złożona —
A na niej rosły drzewa — i mechy białe. —

XVIII.

Więc się rzuciłem, w żywioł rozhukany
I dopłynąłem do tej skały stromej —
Ach! lecz się wdrapać na nią nieumiały
Ramiona moje! — była jak mur ścisny...
Z rozpaczą wgrzyzam się w nią paznokciami,
Już — już mnie prądu nurty porwały,
A w tem siadł gołąb na jednej gałęzi,
Co się schyliła ku moym fal uwięzi,

XIX.

Ująłem — za nią drugą — ach! i trzecią
W końcu się drzewa ramieniem chwyciłem —
I wybawiony z fal odmętu byłem!...
Nademną niebo błysło gromów siecią,
I wyciągnąłem do Boga ramiona!
Patrzcie — co może gołąb — dla Samsona!...
A z góry grzmiały mi wyroki Panskie
«Wiedźcie czem pychy wyściągą sztańskie!»...

XX.

Padłem na skale serca płaczem dzikim
I żalu mego wylem jak lwa rykiem!...
Wreszcie się porwał, bo noc zapadła,
Od łądów stromych w dali była skała —
Lecz jej ogromnych brył chwyciłem z siłą
I tak zruszałem w głąb bryłę za bryłą
I tak po moście mej własnej budowy,
Poszedłem na łąd — w dumie Samsonowej!...

XXI.

Lecz świat mnie przyszedł mrówcami młotami
Okuć w łańcuchy — i strącić — w cierpienie!

I zatargałem ludzi powrozami
Jak pajęczynę!... a moje więzienie
Jak snop złocisty — i próżnymi kłosami
Wśród nich rzucałem — i było milczenie!
A potem —? potem bili mi czołami,
Jam się uśmiechnął — i poszedł —
W przestrzenie!...

XXII.

Orle mój orle!... wielkie miałeś skrzydła,
Co królem wiatrów w swym pędzie szumiały
Młodości moja! nieznałaś wędzidła,
A pióra twoje ziemię oceniały!...
Lecz ziemia twego zaparła się cienia,
Chciała dumnego strącić samotnika,
I uwięziła mnie!... z gruzów więzienia
Poznała — czem jest wolność — niewolnika!

XXIII.

Twarzę się kładłem pod gwiazdziste stropy,
Po dzikich skalach darłem się zuchwale,
Niezapominek na grabież brałem snopy,
By je pocisnąć później w rwące fale,
I kwiat za kwiatkiem leciał w prąd powodzi,
Jam nad tym kwiatem dumiał z chmurnym czołem —
Tak dni me płyną!... młodość jak nów schodzi,
I zatęskniłem — za jakimś amiołem!...

XXIV.

Wąs z długą brodą usta już okrywał
A jeszcze dziecięć, z czystością gołębia
Cichy i rzewny — z naturą spoczywał
Dziki! czekałem przeczcuciem — jastrzębia!
Do każdej walki rad się duch mój zrywał,
Choć byłem cichy jak przejrzysta głębia,
A pierś jakiś tęskny szal rozrywał
Jak gdyby piorun po jej śpiewał!

XXV.

Wśród gór skalistych, w szumie drzew dokoła
 Lubilem stanąć, na najwyższej skale,
 A ztamtąd okiem młodego sokola
 Utonąć w niebios bezdennym kryształe...
 A gdy po ciszach zaryczała burza,
 Wtedy lubilem na najwyższym drzewie
 Z wichrem kołysać się — u nieb' podnoża
 Bo byłem stroną, w lutni gromów śpiewie!

XXVI.

Kiedy natura uroczą i śpiewnie,
 W łzawie oczu śmiała Samsonowi,
 To jej sennieścią śniłem błogo, rzewnie —
 Lecz wkrótce znowu tęsknił, piorunowi
 Mózg zarzędł oko w oko —! kiedy gniewnie
 Natura wstrząsła wiotkimi palmami,
 Tom czekał tęczy — którą już palmami
 Skowronek wital po nad gaj palmowy!...

XXVII.

I niezajrzałem ich skrzydeł sokolem
 Ni orłom oczu ich, w słońce patrzącym,
 Bo myśl ma zamęt sławiona aniołom
 W błyskawic ognia gorzała gasnącym —
 A kiedy grzmot się konaniem przygłuszy,
 Jam go odgrzmiewał wspomnieniem — mej duszy!
 Choć dusza moja dumny sen tu śniła —
 Oma od pychy — zbyt daleką była!...

XXVIII.

Jam był jak piorun! jasnych chmur korona,
 Co zabłysnąwszy, nad światem przelotnie,
 Na skał najwyższych szczytach sobą kona,
 Goniąc od szczytów w otchłań nieodwrotnie!
 Gdy ziemia echem wtórzy go strwożona,
 I gwiazdy szepczą o nim po błękitnie,

Bo wielką chwilą było jego życie!
 Kłęty — choć ziemia od niego zbawiona!...

XXIX.

Filistyn, trzykroć, jak wąż pelzający,
 Jak wilk żarłarty krwi Żydowskię chewiy,
 Trzykroć się rzucił w kraj upadający
 Trzykroć go walcząc, zgromilem szczęśliwy!
 On silny jeszcze, gdy mi swe tracziny
 Niewdzięczna ziemia na zgubę podała,
 Wtedy odszedłem — by gruzów ojczyzny,
 Niewidzieć — nieczuć w sobie — jak konała!...

XXX.

O walko życia! którą serce dumne
 Stacza ze światem w dniach swojej młodości,
 Gdy czoło dębu rosnącą kolumną
 Gigę jeszcze musi pod karbem mierności!...
 Ty jesteś pierwszym wielkiej duszy gromem,
 Pierwszą zawałą w bolesnej męczarni,
 Gorycz twym chlebem, wygnanie twym domem,
 Niewinny cierpi, bo biały! gdzie — czarni!

XXXI.

Większy w swej walce człowiek nad anioły,
 Bo im od pierwszej chwili dana siła,
 Dana im jasność — a ciemne żywioły
 Myśl ludzka sama! wśród wątpień walczyła!
 I moje myśli — to wieków sokoly!
 I moje pięści — to wrogów mogiła!
 Ustam wyżej nad tych duchów czoły,
 Bo mą potęgę — ma myśl wywalczyła!

XXXII.

Tu człowiek pelza i tkwi w ziemi lodach,
 Ku wiosnie prędc bezskrzydło ramiona,
 W łańcuchach ciała duch, w mrowiska rodach,
 Myśl jego tęskni, tu, upokorzona —

Ale tam — słuchaj ziemi! jaś zwiastuję!
 Tam za to człowiek nad duchy wieczyste
 Wielki, gdy walczył i skrzydła miał czyste,
 W niebo niech oko wiecznie się wpatruje!

XXXIII.

Jak tu nad niego anioły świecili,
 Tak tam, gdy pychy podłością nieruńął,
 Tam jego walki, tak będą gwieździły,
 Jak grom, co wieki wprzód pehnał i posunał —!
 Bo on w ciemności i rozpacz strącony,
 Jeżeli niestracił tu wiary do końca,
 Jeżeli walczył — choćby był zwalczony,
 Zejdzie duch jego nad tryumfy słośnia!...

XXXIV.

Odwołali mnie swemi jękami,
 Choć zemstę chwilą poprzysięgłem Bogu,
 Niewarci byli, bym memi skałami
 Zarzucił mrowie korzące się wrogu!
 I wtedy duch mój roślejczy nad dęby,
 Przećzał się w sobie — i ryknął szalony,
 Jak lew, co ujrzy w źródle — że ma zęby,
 Leci doświadczać ich, nad ofiar łony!...

XXXV.

I lwa spotkałem w mej drodze —

Był wściekły!

Głodem i gniewem za ofiarę gnany,
 Złożone kudły do ziemi się wlekły
 A rykiem jego ryczał bór wstrząsany —
 Stał — stanąłem — spojrzeliśmy w oczy,
 I obaj k' sobie skoczyliśmy razem,
 Jak zemsta, co się w winowajcy broczy,
 Jak strona latni pod miecza żelazem!

XXXVI.

Rozdarłem paszę! boleśnie zawyla!
 Śmiałem się dziko! a w skórę odziany
 Wróciłem w ziemię, co mi wieńce wila,
 I lwa drugiego — rozdarłem pijany —
 Szalem mej zemsty! ziemi mojej wroga!...
 A w jego zęby strojny, w wieńce ludu,
 Co mi całował szaty — w paszę Boga
 Wracałem cichy — i czysty od brudu!

XXXVII.

O szturmy wrogów! podłych psów skowity,
 Znacze wy ramię młodego Samsona?
 Co długo milczał pustynią okryty,
 Aż wrócił raptem jak piorun z chmur łona?
 Wyście myśleli, że już koniec burzy,
 Dla tego, że już chwila cisy była?...
 O nędzne karły! niechaj wam śmierć wtórzy
 Że was «ta» właśnie, nrówecza myśl zabiła!...

XXXVIII.

Jęk wasz najmlsłą harmonią był dla mnie,
 Gdy w wasze czaszki drugogółą pięściami,
 Rzucał w powietrze waszemi trupami!
 Kląt w waszych piskiem jęczeliście kłannie,
 Bo wasze czaszki, które podeptałem,
 Com wtłoczył w bagno pogardy, od ludu
 Biorąc, co święte ramieniem zachwiałem
 Nad nim miecz Boga prześlepiły cudu!

XXXIX.

Wróciłem w paszę — a we lwiej paszczę
 Pszczoły się miodnym rojem zagnieździły,
 Ich żądła z życiem, tysięcy, tysięcy
 Robactwa najprzód na ściernie wybiły,
 A po nich nowe — w skielecie, co białe
 Lśmił już do słońca ... kładły pracy miody —

I miodem tylko żyło silne ciało,
Usta napoju nieznaly — prócz wody!...

XL.

Praco, tyś najpiękniejszym życia darem,
Co wziął od stwórcy całowick w upominku,
Tyś niezgrojonych ran ducha nektarem —
Kto niepracuje, ten niezna spoczynku!
Ten owad mały co na polnie zioła
Z muzyki brzękiem nad trzciny wziata,
Żywił człowieka — tu, hardego czola
I prócz swoją — dzielił z Panem świata...

XLI.

Tak było długo — — i w ciszy dumałem
Nad siłą moją, i siłami świata,
A włosy długie aż do ziemi miałem,
Które mi ślady moje zacieralem,
By świat nieznalazł ciszy, co przepłata
Myśli rozkoszą me młodzieńcze latu,
I drzewa w niebo wysoko ciszałem
A tak modlitwą siła moja wziata!

XLII.

Bo choć tak mocny — głos silny grzmiał me mnie
Że jest ktoś wyżej, co skorupę ziemi
Złożył — że jest ktoś silniejszy odemnie,
Co pozapałał słońca — i duchy pod niemi!...
Lecz dziwna! kiedym pojrzał w gwiazd tysiące
Nigdy o walce — z tym jednym niemyślał,
I drzewa w górę miotalem, rosnące,
I w takiej duch go modlitwie określał. —

XLIII.

A kiedym znova widział spadające
Drzewa i skały — tom sobie pomyślał:
Me myśli stamtąd, niespadną, gorące,
Lecz tam uwisną jak gwiazdy jarzące,

Ach! bo gorąco stwórcoć ukochałem
W sieroctwie mojem, choć go niewidziałem —
Ale głos moich doszedł mnie z oddali
Co mnie znów (tylko w potrzebie) szukali...

XLIV.

Na głos tej ziemi — niewiem — niewiem czemu,
Zawsze poszedłem — jej wszystkie boleści
Czulem w mem sercu, i sercu silnemu
Wtenczas się tylko żał w piersi niezmięci,
I wtędy jak lew! (choć razem — niewięci)
Lecę polamać rogi, wrogu memu,
Aż się niewiasta uśmiechnie sennemu
I ta myśl znowu mą wściekłość — rozpieści!...

XLV.

Ostatnia bitwa tuż pod miastem wrzala,
Jerozolima jak liść jeden drżała,
Na trupie słońca noc już zasiadała —
Biada! wołały na mnie zewsząd głosy,
Biada! i o ziemi padali jak kłosa
Krzykiem z mej piersi, ryknąłem — w niebiosy!
Noc trwała walka — a o słońca wschodzie
Wolność wstawiała znów w moim narodzie!

XLVI.

O chwilo wielka! i najmniejsza chwilo!
Co miażdżysz w karla dumnego obrzyma,
Tyś mi się stała mą pierwszą Dalią
Po to tobie szkielet — śmiech — puszcza — ruina!
Pycha zbudziła się we mnie! bo mali
Ludzie jak węże wkoło mnie pełzali,
Nad niemi tylko jedno moje czoło
Jakby we wieńcu słońc — wzrosło wesolo...

XLVII.

Wtedy wśród tłumu ludzi — piękna jedna
Z oczyma pickiel — czy niebios, dziewica,

Spojrzała w oczy ... była bardzo biedna,
Lecz w nędzy miała lili blade lica ...
Daliło moja!... radłym mego słowa
Sam niedosłyszeć — gdy wspomnienie pieczęć!
Sto razem przeklął — a w przekleństwie głowa
Czuła, pękając, że Cię Kocham jeszcze!...

XLVIII.

I gdybym wtóry raz stanął w mem ciele
Człowiekiem, sambym z piekła, w którym jeczysz,
Szedł cię uwolnić! o! sam jeden, śmieje
Szedłbym bój stoczyć z wszystkimi szatany,
Wyrzucić piekło, by stargać kajdany,
W których ciemnościach tam iród węży brzęczyście
Wyrwałbym — gdyby wydrzeć cię im można,
Lecz już bym serca niedał — o bezbożna!

XLIX.

Raz ją ujrzałem — i nad sobą Panią
Podniósłem z nędzy — a sam gołębiąc
U nóg jej padłem!... lecz mnie węże ranią
Wspomnieniem — piekło!... była — niewdzięcznicą!
I w pośród pieczęt na falistem łonie
Jak słabe jagnię męskiem uśpił skronio,
Biada mi! czemuż stałem się dziecięciem —
Ona obeszła się też ze mną jak z jagnięciem!...

L.

Raz pijanego długo z pieśnią rzewną
Jako zwodnica kołysała mile,
Że goniąc sercem za krajiną śpiewną
I śniąc na jawie długie, długie chwile,
Usnąłem wreszcie!... lulające głosy!
Dziękuję wam jeszcze! Dalila bogini
Bałwochwalone w serca, mej świątyni,
Gdym spał — Dalila — ostrzygła mi włosy!...

LI.

Sen miałem cudny — widziałem ojezyczną
Mą Panią świętą — jasną — miłościwą,
I zbawiciela z wieków żądzą żywą
Tu czekanego — jak ostatnią bliźnę
Świata zagoił — a starzy Lewici,
I patryarchy aż do Abrahama,
Błogosławili mnie — i niebios brama
Otworła mi się — gdzie chwałą okryci!...

LII.

Budzę się, patrzę — skrzepowane dłonie
Targam — a więzów mych stargać niemogę —
O! pierwsza myśli co postalaś w łonie
Na widok słabej godziny!... w tę drogę,
Tak orzeł kiedy grom mu utnie skrzydła,
Co latał — pelzać będzie w ślad gadziny,
I ci się śmieją, co drżeli — straszyla!
Śmiać się wyjące będą z skał rośliny!...

LIII.

Patrzę — myślałem, że sen — i sen podły
Chciałem ja zabić, że śmiał się śnić we mnie,
Nie!... mnie na jawie tłumy ludzi wiodły
Byłem związany — i słaby ... nikczemnie!
Niech nas dziś zbije, wołał tłum radozny!
Gdzie jego sily — kulturn kędzierzany,
A tam Dalila cudniejsza od wiosny
Niosła me włosy — śmiejąca ... ród prawy!..

LIV.

Łatwiej pojąłem podłość w pięknym świecie,
Łatwiej mą słabość przebaczyłem sobie,
Niż podłość w pięknej pojąłem kobiecie —
Daliło! jeszcze niekląłem ... i Tobie!

Milczałem — wściekłość sparła się w mem lonie
 Na widok takiej umilkłem kobiety —
 Gdyby pierś jękla, Bóg na swoim tronie
 Drżał by o ziemię — na niebios błękity!...

LV.

Jeszcze w więzienia nie w wiedli mnie bramy,
 Gdy głos ich szczęścia, głośny, pomieszany,
 Tam, tam z daleka usłyszały wrogi
 «Samson już słaby!... wstajcie nagle Bogi!»
 I radość, niewiem — to pociecha moja! —
 Że niewiem czyja radość — ziemskich raków
 Była tam więkza u śmiertelnych zdroja,
 Czy wrogów ziemi, czy moich rodaków!

LVI.

Z rykiem tryumfu trąby Filistynów
 Surmą zwrzasły w dziki chór wśród miasta,
 I wpadli krwawych spragnieni już czynów —
 Lud mój zajęczał — jak jedna niewiasta
 I zjęczałem — ja! o! najboleśniej,
 Gdy wszystkie oczy mych nieszczęsnych braci
 Na mnie błagając padły, jak najpieszniej
 Targali więzy moje!...

LVII.

O! zaryzałem — biada wam! mnie biada!...
 Wróćcie nieszczęśni! Samsonowi włosy —!
 Dość na was kary — ta twarz trwoga biada —
 Jakaż pierś dzisiaj odeprze te ciosy?...
 I chciałem walczyć — lecz słaby jak dziecko
 Od tych, któremi potrącał, schwytyany,
 W dzień najczarniejszy z moich dni na świecie,
 W ciemność okuty — okuty — w kajdany!

LVIII.

Ci, których niegdyś w pogardzie bez końca
 Ja ośłą szczęką gromił podłe tłumy,

Dziś mnie związali! — widziała twarz słońca
 I zgasła chmurna w czarną noc zadumy!...
 «Ty ośłoszczęki wodzu! bij nas teraz;
 «Bij nas Judei straszliwy rycerzu,
 «A hańba tobie i twemu przymierzu
 «Od nas, cośmy ci — holdowali nieraz...!»

LIX.

Wrogi mnie w lochy strączył w podziemne,
 Skąd mych współbraci słyszeć mogłem jęki,
 Głosem dziecinnym, niewieleśco wzajemne
 Jak lutnie piekiel... wszech szataństwa dźwięki —
 Łkając z wściekłości tłułem czołem w mury,
 Niepękło czoło — mur pękł — gdzieście włosy!...
 Wołałem płacząc, i rzekłem ponury:
 Jeszcze ich Kocham! pałać mnie ich ciosy!

LX.

Każdą ich boleść w sercu mojem czuję —
 Każdy grom, który uderza w ich głowy,
 Ich męczarni ze mną jednoczy połowę —
 Bo za tysiące ich — sercem miluję!...
 Jako dąb święty milczałem wśród wrogów,
 Na ich bluźnierstwa 'm nieraczył dać słowa,
 Lecz gdy odeszli skarg się lała mowa,
 Głosy boleści, przekleństwa ich Bogów!...

LXI.

Tak przez czterdzieści dni i nocy tyle —
 Słuchałem braci mordowanych wycia,
 I najsilniejsze w mem życiu — to! chwile
 Silniejsze pewno — nad walk mych zdobycia,
 Jakiś głos cichy a jednak słyszany —
 Grzmiał: Milcz Samsonie! bliżka twoja chwila!
 O! wieki! wieki dźwięgałbym kajdany,
 Gdybym ich tylko zbawił... ha!... Dalila!

LXII.

W końcu porwali mnie — związali dłonie
 Na plecach — w powrót żelaza ogniwy,
 A w nim już słaby z krwią spiekłą na łonie
 W rozpaczym targał się jak zmarły żywy,
 Kiedy w podziemnym grobie zakopany
 W wnętrzościach ziemi strasznie się przebudzi,
 Jak lew ryczałem — przeklinając ludzi
 Słaby — od słabych — w koło wyśmiewany. —

LXIII.

A wtenczas — — dotąd duch mój drży w wyżynie!
 Kiedy tę chwilę przypomnia piekielną —
 Wtenczas — — hańba ci! podły Filistynie!
 Dłoń lwa zgasła światłość nieśmiertelną —
 W grobach wpiętna — te głazy ... potwory
 Widziały krew mą — że sięż ran mych toczy
 I gorycz którą truje duch boleścią chory —
 Lecz im wadzilo — żem miał jeszcze — oczy!...

LXIV.

Wtedy mnie silniej jeszcze skrupowano,
 Pierś łańcuchem podwójnym okuto,
 Ręce i nogi do muru związane
 Gdyż tak był słaby — i z myślą zatrutą —
 Wtenczas — — żelazo w ogniu rozpalano,
 A kiedy w węgli żarze płomienistym
 Poczzerwieniało kolorem ognistym...
 Żelazem — oczy mi powypalano. —

LXV.

Oczu mych woda skwiercząc wypłynęła,
 I żrenić światło zgasio tam na wieki,
 Kiedy w nich dzida ostra, co płonęła
 Tam —! aż do mazużu zagrzęła w powieki!...
 Wtedy — w piekielnej — czy anielskiej chwili
 Przeżut cię Boże!... piekiel mych płomieniem,

Pokorą — siłą — miłością Dalili
 Wtedy ukochał Cię — całym — istnieniem!

LXVI.

Kto nieczuł oczu gasnących światłości,
 Kto zgłiszczew ognia niepozwał męczarni,
 Niewidział twarzy twej ojcze jasności,
 Nie czuł, jak człowiek nieraz myśl twą marni!
 Jam cię ukochał serca mego bliżny,
 Bólem ślepoty — bez brzegów, bez końca —
 Kiedy mi znikła światłość twego słońca
 I łzy — by płakać nad grobem ojczyzny. —

LXVII.

Ni lez — ni oczu! a gdzie były oczy,
 Już tylko czarne dwa doły głębokie
 W czasce Samsona zostały — szerokie
 Wielkie — jak rozpacz, co serce w proch toczy!
 Odtąd macałem — drzącymi palcami,
 Kiedyś się dotknął — z boleścią tych dolów,
 Krzyknęłam ... oślepy — palon piorunami,
 I czulem krzyki jakies wśród żywiołów!...

LXVIII.

A kiedy w dołach oczu, w ból palcami,
 Macałem —, krwią me imię na kamieniach
 Myślałam pisać ... o! śmiech — w mych ciępieniach
 Krwią tą żywiłem gady pod glazami —!...
 O! Lecz nieszczęśliwej — zhańbionej ojczyzny,
 Ból — ten nad te wszystkie — wszystkie — palił bliżny!...
 I wtedy wołał: o nie rana boli!
 Lecz Samson żyje — a Ona! — w niewoli!

LXIX.

O ty Samsonie! zapytaj sam siebie
 O chwilę, kiedy brakło ci lez — oczu?...

I ją wypiewaj na ucząc pogrzebie,
 Jak chórem płaczek o komet warkoczu...
 O nie! chwil wielkich żaden głos niepowie,
 Cisza jedynym wielkich serc tómaczem,
 I w obec ludzi biada takiej głowie,
 Której pieśń — Bóg miał tylko być słuchaczem!

LXX.

Odtąd już ślepy byłem, niesłyszałem
 Ni przekleństw wycia, ni bluźnierstw mych wrogów,
 Co mnie od więzień dołatały progów —
 A gdy w męczarniach moich nieskonałem
 Duchem, ojczyznę widząc upadniętą,
 A gdy z boleści nieumarłem ciałem,
 Gdy wypalano światłość oczu świętą...
 Czulem, żem większy — od ich wszystkich — Bogów!

LXXI

Byłem spokojny — jak to jasne niebo
 W które natchnionem dziecięciem patrzałem,
 Którego gwiazd się mą duszą pytałem,
 Czy mi siostrami?... że ducha potrzebą
 Patrzyć mi w lica ich?...

Lecz cichym zdrojem

Modlić się Panu, którego głos w duszy
 Słyszałem głośno — że go niepokojem
 Żadna z burz ducha dotąd niezagłuszy?...

LXXII

W posąg milczenia byłem zamieniony —
 Bo gdym w piorunów nieskonał objęciu
 Ha!... pomyślałem — możem przeznaczony
 Jeszcze co zdziałać — acz nie w przedsięwzięciu
 Lecz tylko pana jasnym przeznaczeniem;
 I ślepy jasno przewidziałem mą wiarą,
 Że kraj mój wstanie — i świętem zbawieniem
 Nad inne ludy — zwali hydrę starą!

LXXIII.

Czulem, że jeszcze nie wszystko stracone
 Acz ciałem ziemia upadła w otchłanie,
 Dźwięgniona Pana ręką, zmartwychwstanie!...
 I jako słońce wczoraj ocenione
 Z świtem zrodzone z nocy chmur wyplynie
 I strumień światła rozleje po niebie!
 O! ciemnem okiem w tej wielkiej godzinie
 Ciebie mych oczów — Boże 'm widział — ciebie!...

LXXIV.

I zatrzasnęli rdzawo drzwi za sobą
 I zostawili mnie — z moją żalobą!...
 I bólem szalu — samego — samego!
 Jak węża w pół na ziemi zwiniętego,
 I w niemaj ciary co tam wieki trwała,
 Czasem na głowę — kropla mi spadała —
 I od krat jakieś doszło mnie gruchanie —
 O! to mój gołąb —! siał mi pożeganie!...

LXXV.

I tak leżałem, jak balwan potęgi
 Rozpaczą moją — na wskroś zszataniała,
 Nie już, że wrogi moje najgrawiała,
 Nie, że krwi czarnej z pod łańcucha pręgi
 Wytrysły — ale — że zdradziła... Ona!!
 Stokroć przeklęta!... o błogosławiona —
 W pół rozszalały rozpacz szaleństwem
 Jam błogosławił ją — mojem przekleństwem!

LXXVI.

O lwie, którego rozdarłem na szmaty,
 Jeśli gdzie ryk twój zakłęty w pieczarze
 Z wichrami wyje — daj mi go! kosmaty —
 Włos piersi mojej do krwi szarpnięć wściekle
 Wylem rozpaczą lwą! aby sklepienia
 Pękły — spadły na mnie w dzień zniszczenia,

I kląłem stwórcę — co takimi bliźny
Kazał mi przeżyć — wolność mej Ojczyzny!

LXXVII.

Ha! przeklinałem świat — tem straszem słowem,
Które w pieczarach, z węglami, pod głazem
Spoczywa — tylko rozpaczy wyrazem
Gdy wywołane wstanie — to za stołem
Przeklętych domów siędzie gościem zdrady,
Trując zgrzyzoty jadom — i szkarady —
Że kiedy ludzie usiądą tam kołem,
Szkielety wstają już od tej biesiady!...

LXXVIII.

O! wylem, wylem, jak lwica do słońca,
Kiedy jej szczenię porwie orzeł w szpony,
I początkowi klątw nie było końca
Bom klął w miłości piorun, co uśpiony...
Na czterech łapach błędziłem jak zwierze,
W ciemnościach — budząc w kolo — niedoperze!...
A po tem trzeć mi kazali swe żarna,
Tarłem!... z każdego zemstę sięjąc ziarna!

LXXIX.

Wreszcie powalone mękami — u proga
Jak głaz na głazym runął — bez poczucia
Cierpień — ni świata — siebie — wroga — Boga:
Śmiałem się czasem, z cichej łzy współczucia
Chłopa, co żywił mnie w więzieniu cichości
Jako puszczryka, piskletą, w starości —
Czasem westchnąłem, Jehowa! Jehowa!...
Jak grudy grobu — padały me słowa. —

LXXX.

Lecz głosy moje doleciały Pana,
On mych dosłyszał brzęczenia łańcuchów,
I nad sny moje posłał jasnych duchów,
Na czoło moje kropelka splakana

Z głazów wilgoci, kiedy tak spadały...
Od nich me włosy prędzej odrastały...
I głos słyszałem z paszcz — cry w własnym łonie
Co kojące wola! Samsonie! Samsonie!

LXXXI.

Aż raz do więzieni mych zeszo pacholę,
Aniol cry człowiek!... niosło arę w dłoni
I rzekło — oto balsam na twe bole!
Jeśliś niezabył grać — to w pieśni uroni
Dusza swą boleść, co jej węzłem cięży —
Skłasałem arę!... potem — płakać chciałem
Lecz w wypalonym oku łez nie miałem!...
I czulem w sobie jady wszystkich węży!...

LXXXII.

On, ofiarując, rzekł dziś, Dagonowi
W starej świątyni —!... tu cicho zaplakał,
Ach kiedy płaczesz jeszcze! to niekrakał
Kruk na ojczyzny trupa!... chodź ty wdowi
Chłopcze do serca mego!...

Rzekł — wspaniałę
Uczęt wyprawia — słyszeli, że całą
Siłą grać cudnie umiesz na narzędziu!
Co jakim płacze — na grobów krawędziu!...

LXXXIII.

Kiedy napiją się...

Będziesz im śpiewał!

Porwałem arę — i o piersi moje
Chciałem potrząsać — a o nią pierś męską!...
Boże! więc jam się w mem życiu spodziewał,
Że do snu wrogów pieśniami nastroję —
Ha! zemsto!... ty mej pieśni bądź zwyciężką!...
Zemsta!...

Zaśmiałem się w szal szczęśliwości
I zadusiłem chłopczynę —

Z radości!...

LXXXIV.

Ach!... lecz przerażon — bolejąc z tem ciałem,
 Co się na rękę moim niemo gięło —
 Gdy — od uścisku — mego zginęło...
 Ha!... więc ja siły odyskać musiałem...
 Włosy odrosły... próbuję — ha!... całem
 Sercem się dziko, tygryśno zaśmiałem,
 Część pęt stargalem a więc w tajemnicy —
 Umilkłem — aż mnie wywiódą z ciemnicy!...

LXXXV.

«Piorunujący dzikich zemst aniele!
 «Co czoło składasz na skalistych górach
 «W wieńcu płomieni — ty o czarnych piórach
 «Na wozie wichrów — łon, jadący w chmurach,
 «Nieznany gwiazdom, niewidziany w ciele,
 «Aż zrozpaczony naród albo człowiek
 «Dostrzeże ciebie ślepotą swych powiek
 «O! bądź ty przy mnie! bądź! na chwil niewiele!

LXXXVI.

«Do ciebie pręży bezskrzydłe ramiona
 «O! roznamiętnij się! w miłość Samsona!
 I roznamiętnił się ku mnie miłością
 Stał się kochanką!... o! najmilszą moją!...
 Ducha mi własną opancernił zbroją,
 O tarczę jego dzwoniłem z zazdrością
 I wrósłem jako skala, której piorun czoło
 W ognisty wieniec lasów zapali wesoło!...

LXXXVII.

.....

Choć wszystko drży i trzęsie się ze trwogi,
 Ha! jam już gotów wrogi! wrogów — Bogi!

LXXXVIII.

Byłem jak wielki wodospad, co z skały
 Olbrzymiej w otchłań, grzmiąc, w nocy się strąca,
 Kiedy mu w pianach zagra twarz mięsiąca,
 To taki szczęsny i rykiem wspaniałą,
 Że zwywa burze! by mu wtórowały —
 Bryły po bryłach z szczytów rwie — i z sobą strąca!...

LXXXIX.

O słońce, bracie mej dumnej młodości,
 O gwiazdy siostry, już was nieobaczę
 Nigdy!... o! nigdy!...

Nie tak orzeł kracze
 Ugodzon strzałą na swej wysokości!...
 Ale wąż zemsty już mi dusił szyję —
 Zerwałem się!... sto lat!... witaście żmieju!...
 Czekam — już idą — wesli — mówią do mnie —
 Wyprowadzili — i idą kołomnie!...

XC.

Zaknął was pieśnią w pełzania pochodzie
 I legniesz prochem ty hydro przedemną —
 I ujrysz, jaka moc w moim narodzie
 W którym pieść krymno stała się wzajemną
 Wszedłem na gody — kędy wrzaski brzmiały
 Gry, śmiechy, krzyki — pulhary szumiały...
 A pośród tego koltanów chaosu
 Słyszałem coś — nakształt Dalili głosu!...

XCI.

W duchu jak burza, co przed końcem świata
 Zerwie się kiedyś, szarpnąłem akkordem

Wnętrznosci družki mej, arfy, co lata
 Czekala ręki mej, drżącej za morderem,
 I jako piorun z wnętrznosci chmur zdarty
 Padł nad ich głowy ton — trzeci — i ezwarty
 Uciechło — stala się cisza grobowa
 W której słyszałem braci oddychania. —

XCII.

Jak pieśń promieni o chwili świtania...
 I zawolałem: Jehowa! Jehowa!...
 Ty! coś potrzaskal ich głowy o skały
 Coś wiódł przez morakie lud twój wiarą waly,
 O! ty co wstajesz jasny nad twarz słońca,
 Nad gruzy ziemi tej z końca do końca,
 Co powołujesz ludai swoich cadem,
 O daj człowieka!... co zwycięża z ludem!...

XCIII.

Jehowa! tobie pieśń dzięk zanoszę
 I ludu mego skujdanione jęki
 I męczeństw moich rozkosz za ten naród
 Ciskam przed ciebie!... w sereu mam ich mękil...
 Jak głodny orzeł zemsty! zemsty! proszę
 Niechaj się w krwi tej już odrodzi naród!...
 Daj światło ogni z góry obiecane,
 A tyle wieków z tęsknotą czekane!...

XCIV.

Orłem ku tobie — leci na twe łono
 Lud twój nieszczęśny — nieszczęściem wybrany,
 Bolescią — jego pierś jest uskrzydłoną
 On Cię namiętniej ty Boże wolności
 Ukochał! niżej law słupem wulkany,
 Bo miłość jego — tobą — uorłoną!...
 Naciagam włosy me święte — na strony
 O daj nam prędszej, odrodzeń pioruny!...

XCV.

Zstąp na nas Boże ojców — i kajdany
 Nasze potrzaskaj o zbrodnie tych katów,
 Co Cię zaparli... ty w gromy owiany,
 Lecz ku wolności milujących światów
 Patrz na nas — zawsze do walki stojących
 Pomagaj — siebie — tu wspomagających...
 Patrz na nas! wiecznie za tobą patrzących,
 Którym mordują kwiat — nadziei kwiatów!

XCVI.

Jak grom ostatni u szczytów Syonu
 Niech akkord ludu — skona Ci w tronu,
 Jasności czyste — skonem zmartwychwstania —
 A na ich grobach niech ich zbrodnie siedą
 I niechaj wiekom — straszny przykład przędą
 Jaka jest pomsta za ciemność świtania...
 Z goryczą dzisiaj pyta cię pieśń moja:
 Ziemię nad ziemię, gdzie dziś ziemia twoja!...

XCVII.

Kto ochrzcił ducha w piorunowej łócie
 I czuł, jak rodzi się z miłości zdrada,
 Ten przyjaciela na — tylko w piorunie
 I jest jak grzebiąca z skał lawy kaskada,
 Co stygnąc w posąg zemsty wola: biada!
 I najpiękniejszy gmach szczęścia — gdy runie!...
 Choć nad nim smutno ostatniej kolumnie
 Co gdy runęły wszystkie — — stoi dumnie!...

XCIII.

Tu mi wydarli arfę Filistyń,
 Chociaż słów moich niepojęli w dachu,
 Chcieli wesela!... i iść do świątyni
 Kazali w czarnym na szyi łańcucha!...
 Ach! to Żydowska świątynia bywała
 W niej — ze mną dzieckiem matka tam kłękala...

A dziś!!! — przypadnij ziemie przerażona!
Niechaj się wali! kiedy spogąszczona!

XCIX.

W świętej smych ojców świątyni Jehowy!...
Dziś podłe bogi ich stały w ołtarzu
I było dziko wonnie — i grobowo,
Jak wśród szkieletów na cichem cmentarzu...
I obłąkany splunąłem te piany
Co wargi moje toczyły w ściekielnie,
Czułem, że stoją złociste balwany,
Co urągały mych ojców ojczyźnie.

C.

Dwóch mię za ręce do świątyni wleko,
Długo wśród tłoku co młazał lud szczył —
Szedłem ponury — czło się obleko
W ciamury pogardy — tych, com sobie zbrzydził,
Tylko w tej ciszy krzyk jeden stłumiony...
Dotzedł mnie — straszny i pełen boleści,
A był to znany mi głos, głos niewieści,
Głos mej Dalili — wkrótce uciszony.

CI.

Wtedy się wstrząsłem — a mem przebaczeniem
Wstrząśnieniem serca wznieśmionem ramieniem
Wtedy ja poczuł — że ja kochał jeszcze —
Że bólem serca w mej najkrawaszej ranie
Dotąd jej obraz jako Bóstwo pieszczę,
Cichą męczarnią, na której skonanie,
W której ciemności by zgasły sny wieszce,
Wieków nieustanie!

CII.

Słyszałem w tłumie: «Tam! obok tyra
Stoi Dalila...» w kwiatach... «o! Dalila
Piękniejsza dzisiaj — niż kiedy...» — Balwana
Czcila potęgę!... i ta bólów chwila —

Wróciła dawne siły Samsonowi —!
Dziś kom się rozmiął przed takim obrazem
Gdzie duszy mojej błędnemu wzrokowi
Spłotło się wszystko — co najdroższe... razem!...

CIII.

Stałem przed Bożkiem — kłękąć mi kazano,
Kląkłem, a nawet w kanię bitem czołem,
On? on się korzy?... w tłumie zaszmiano
A ja słyszałem — i niżej się zgłębłem —
Zgrzytnąłem zęby... a nad mojem czołem
Kędziór mych włosów zwiał... jak niegdyś — rano —
Chwyciłem w zęby — te włosy skąsałem
One — dość długie... do ust je dostałem —!

CIV.

O! więc... więc... może! może! mam dość siły!!!...
Głupi — oni mnie ostrzydz zapomnieli!
Ha! gdyby wszystkich wśród grozów mogły
Zagrzebać — razem — dać piekiel gardzieli!...
Wszystkie me wrogi tutaj zgromadzone!...
Wszystkie... Dalila z niemi... z tym obrazem
Dni braci moich — mogą być zbawione!...
Zginą!... a ja... o! szczęsny zginę razem!...

CV.

Szczęsny, że dla nich — ja padnę ofiarą,
Przezemnie naród złamie jarzmo swoje —
O! silnym znou!... czuję, silnym wiarą
Ostatnia chwilo! wielkie słonice twoje!
Kazano powstać — nito osłabiony
Macam... w ramiona 'm chwycił dwie kolumny,
I stałem w środku... wielki i natchniony
Jak posąg ludu w mej ojczyźnie dumny!

CVI.

Nagle się porwał — i zaklął potęgą,
Że zajęczeli, czując trwogi dreszcze,

Lecz choć się ku mnie — razem jeszcze sprężyę
 Iśd na mnie nie śmiaj ... chwila! chwila jeszcze!
 Wszystkie me wrogi tutaj zgromadzone!...
 Niepróżno ciebie kochałem świątynio —
 Bądźcież mi święta! twe mury święcone —!
 Moje męczarnie — dzieło pomasty czynią...

CVII

Znałem kolumny, co biegly w sklepienie,
 Chwycilem silnie — wśród tłumu mych wrogów
 Olbrzymem czulem się!... po nad ich Bogów!
 Ach! byłem wielki — jak moje cierpienie!
 Jak wkorzenione dwa dęby — w ramiona
 Co raz to straszniej ściskałem kolumny,
 Wyrwę je z ziemi!... pomnicie Samsona,
 Razem zginieiny!... ja nie pyszny — dumny!...

CVIII

Kochanki moje! wyniosłe! kamienne!
 Co aż do szczytu niesiecie swe czola,
 Dzisiaj was ścisgam — w ramiona wżajemne
 A jako dęby, niegdys z lasów kola
 Rwałem ciskając Panu na ofiarę,
 Tak was dziś rzucam w proch! na chwałę Jemu!
 Ty, coś widel morzem pokolenie stare,
 Daj choć przez morze krwi tam! dojsć młodemu!

CIX

Tak silny w życiu, nigdy niebywałem,
 I zdało mi się, że w tej jednej chwili
 Wszystkie boleści ludu mego miałem —
 I złość za wszystkich co kiedy zwątpili!
 Wszystkich aniołów, burzycieli świata
 W mojej piersi miecze gromem rozplonęły,
 Wszystkie męczarnie, które z ręki kata
 Serca bezbronnych kiedykolwiek wzięły!

CX.

Szarpanąłem słupy — jak nici pajęczce
 Padły płkając — na wrogów — stargane!
 Z grzmotem płkały sklepienia obryzce
 A już kołaty — tłamy zabijane!...
 A ja w śmierć moją poglądam jak w tęczę —
 Po trupie moim! idźcie w dni świetlane!
 Drgnął mur nademną — śmiałem z radości!...
 Choć z kośćmi wrogów zmieszam moje kości!

CXI

Aż łak ostatni trzasł w górze!...

Podemną

Zadrzała ziemia — padłem przywalony —
 Czulem — że cialo miażdży się — nademną
 Leżał sklepienia ciężar wywrócony...
 Konałem ... słysząc w radości!... o! cudu!
 Pierwszy krzyk szczęścia wolnego już ludu!...
 Z radościem — podniósł brzemion ciężar głuchy —
 I z ciała wielkie — porwały mnie duchy!

CXII

I bracia moi przyszedłszy i wszystek — —
 Ród, pogrzebali mnie przy ojcu moim
 Manne, pomiędzy Ethaal a Saara —
 Co sto lat w gruzach tych — duch mój jak mara
 Duchom tu życie opowiada swoim
 Rozpamiętywa ... nad ludem jak listek,
 Co się od drzewa swojego odrywa
 I leci wprzestrzeń — w szumie wichrów śpiewa.

CXIII

Choć sam bez wieści napozór przepada,
 Przy lampach smutna braci mnie gromada
 Szukała — z płaczem sławiąca Jehowę —
 I wynalezi cialo Samsonowe;

O ludu wielki! tyś Boga nasieniem —
Lecz iskry piersi twej uczył płomieniem,
Wtedy odnajdziesz ty ducha Samsona —
I wolny — światu otworzysz ramiona!...

CXIV.

Konają głosy — nad świątyni ruiny
Twarz słońca wstaje i wzłata wysoko,
Tak z twarzą słońca, o orlicy syny
Kiedyż się spotka ludu orle oko?...
Umilkły wichry — coraz ciszej grzmiało
A widmo ludu — z wichrami powiało...
Stań się płomieniem iskro niesmiertelna
A runie nocy potęga piekielna!...

(1855. Kraków.)

III.

MARYA MAGDALENA.



Lecz była dusza — dusza kobiety,
Co wieniec cierpienia nosiła u czoła.
Była wyższą od duszy — sędzią i poetą
Była tak wielką jak dusza anioła!

Bezimienny.



MARYA MAGDALENA.

W S T Ę P.

Dzień światłości czuje żrenica nieśmiertelna — w czarnych cieniach — długo — przeciągle tonąca daremnie — nieujrząwszy iskry — ani iskry, która z iskry gasnącej — co choć konając rozdziera płaszcz nocy podziemnej i konając woła, ja jestem! a więc jest światłość która ze mnie — jako z ziarna w ziemię rzuconego — powstanie wielkim płomieniem, którego ramiona jak dębu konary, rozsejda się po ziemi i odbiją po niebie... że błękit krwawą zapłoni się łoną — a choć echa tej światłości drgając konają po wiosków przestworzu wśród cienia, jednak żrenica widziała iskrę nieśmiertelności. — —

Lecz lepiej żrenicy która niewidziała iskry — i niewidziała co iskra, nieli żrenicy, która widziała ją co mogła zrodzić płomień konającą na tryumf ceniom... gdy duch krzyknie jak orzeł skrawiony: Była!... mogła być — i zgasła! już jej niema, niebędzie — niebędzie!... wtórzy odgłos myśli po niezgłębionych duchu otchłaniach — i przenika wszystkie zakątki jego — a kędy doleci, tam smutek zwątpień marą woła: Niebędzie! niebędzie. — —

Jak takiej żrenicy mile — jak jej bosko, kiedy z piekła pokus, z labirynta obłądów, zwaliwszy sfinans niepewności z dziewiczym majestatem swej wiary wypłynie nad gwiazdy — i ujrzy słońce — (opatrzności) — napije się tych promieni u źródła, co nie są jako ogień ziemski który pali i drżąco oświeca

a gaśnie co chwila — o! wtenczas żrenica patrzy — i śpiewa hymn swój, hymn nieskończony stworzenia i widzi dwa wielkie promienie, co rozdarły chmurę nocy i pobiegły w dwie różne strony a jednak różnemi bieżąc drogami, u jednego zbiegły i zwały się celu — jako dwa ramiona w modlitwie splecione. Jeden promień po niebie na wschód, wtóry na zachód strzelił, a w dwa wielkie ramiona, życia i światła — tknęły ziemię śpiącą i zmarzłą, jak gadzinę przy drodze niebios: wołając: zbudź się śpiąca — nocą uśpiona, mgłami zwłoczona — ciemnością oślepla — wstań — dotykamy ciebie — technienie nasze niechaj owieje ciebie — wciągnij je oddechem — ono stanie ci za technienie milionów. — — —

I zniknął chaos ziemi — lecz jako godzina wzniosła ziemia łeb' ciężki zmysłami — obłuda — światłość miała jej dać skrzydła — a ona żądło wystawiła światłości pelzając — o — puść mnie, ryknął piorun — wąż niebios — puść ojciec światłości! a węża ziemskiego zabiję — ja czołgam chyżej po chmurach niż on dźwignie łeb syczący, pelzając po swych błoniach nieskończonych. — Lecz ojciec światłości nie nieodrękl — i stała się cisza wielka — a wąż coraz się pasł, i liście i kwiaty żuł na pożywienie — i sen gruby. — «Czyż ta czołgająca istota weźmie później, zamarszły wprzód skrzydła białe? ... Czy wzbije się na gwiazdach i rozepnie skrzydła świetlane grające arf milionem po słońcach niebios.» Tak pytali trzej aniołowie, przelatując nocą z daleka — lecz odpowiedź aniołom grzmiała daleko jak skon grzmotu na Sinsaju chmurnych szczytach. I w ciszy nocnej przelecieli nad ranem, a każdy dłonią trzącił gwiazdę wśród nocy płonącej, i trzy gwiazdy spadły w ciemność czarną. Czy gwiazdy spadły? ... nie! one oczyściły swe światło, co płonie na wieków wieki! a choć po wiekach wieków zgasną w wielkim blasku, ty nie zagaszysz o myśli, której pióra unoszą w krainy miłości. — — —

Orle śniety ludzkości — do lotu! do lotu!...

ŚMIERĆ SARY.

Radość zabłysnęła w domu Symeonowym — i świeci przez oczy mieszkańców jego. — Służebnice pod lukami sklepień rozpalają blade światła i szepczą radosne wieści «Sara Pani nasza Symeonowi powiła dziecię a dziecię to, z błękitnem bławatka okiem — będzie wśród niewiast najpiękniejszą — a imię jej Marya, Marya Magdalena — ale ono najprzód nieplakało jak inne niemowlęta na świecie, pierwszą myślą dziecięcia był uśmiech. — I życie jej niechaj będzie uśmiechem — bo prawy Pan nasz i dobra Pani nasza — pokój domowi Ich i nam sierotom Ich służebnicom. — Tak szepczą swobodnie dziewczęta i zapalają światła — i znowu jak ptaszę w gaju swiergocze druga. — Jaka spokojność na twarzy dziecka tego! jaka cisza wśród komnaty — czy widzieliście jak Symeon Pan nasz z zamyslniem patrzył w twarz dziecięcia nowonarodzonego — ja slyszalem słowa jego jak dźwięki poszarpanej harfy, co pół psalmu wypiewała: «Jam czekał syna «mówił on» jam dumał, że syn mój pomści się niedoli ludu swego — i uderzy w trąbę Messyańską zmartwychstania z niewoli Rzymu — jako z Egiptu i Babilonu — a wtóry Mojżesz zastrasz Romę klęsk twrogą, i kjadnamy, braci swojej — potrzaska czaszki wrogów swoich — ale tyś mi dał wtórze dziewczę Jehowo! chwala Tobie — część tobie — acz biada. — Amen Jehowo! i dziecię podniosł do góry i błogosławił i w czoło pocałował — a ła radości pobiegła po czarnej brodzie jego i spotkała łzę dziecięcia — pierwszą na tej ziemi — łzę Maryi, Maryi Magdaleny. — I chora matka słabym miłości anielekiej wzrokiem spojrziała na dziecię, okiem niemej miłości — jak księżyc blade na cichą ziemię wschodząc — i znów słaba opuściła wzrok — i zdala się jako senna na łożu swoim lecz okiem posłała pocałunek dziecięciu — a nawet mała Marta, starsza od Maryi Magdaleny okrywała dziecigtko i do snu kołysała — odganijając muszki od ocząt śpiącej. — I stara Leli przechodząc, zaśpiewała cicho chrapliwym głosem nad nią: «Śpij, śpij, Maryo Magdaleno — piękna lilijko śpij!... albowiem snu ci trzeba, nim się przebudzisz do życia — niech piersi twoje swobodnie oddychają... niech serduzsko czyste w nich bije. — Jak

źródle znikome w górach, a może piersi two świętne dzie-
cińko! ssać będzie kiedy jaki mściciel, co się pomści krzywd
narodu Izraela ... — Ciszej — Ciszej rzekł Symeon — może
jaki strażnik Rzymaki dosłyszeć głos głosu pieśni twojej — i
najś dom ten szczęśliwy przed chwilą — idź czuwać nad Sarą —
która piersi twoje ssala, idź stara Leli ... Ale ja widziałam, rzekła
trzecia służebna, jak matka Symeona ciemna i chora, zwlekła się
z łóżnicy swojej — i szła bez łaski ku dziecinie wohając — ja
niechęć oczu — serce mnie wiedzie — o! ja niewidzę ja czuje! —
i przybiegła jako ptaszę do dzieciny — a kreśląc jej znak jako-
wys na główce rzekła — dziecino moja, smutne twoje życie! ...
— w tem wbiegła piąta służebnica kirem odziana — a twarz
jej niepodobna była i strój niepodobny do stroju czterech
dziewic — jak czarna chmura odbiła się o ich jasność — i przy-
szła jak czarny obłok — zakrywając gwiazdy jasne i wstrzy-
mała się na stopniach a tłumiąc lzy zawołała: «Gaście lampy
wy godownice! gaście — i płaczcie — a śpiewajcie smutno —
bo Sara matka nowo narodzonej Maryi, Maryi Magdaleny —
umarła! — i umilkła, a dziewice z jękiem pogasiły lampy —
i zgasły w śnieżnych alabastrach, jak ich wesolość, wlokąc się
czarnym dymem i z ciemnej komnaty wyszły jak cienie jedna
za drugą rozpuszczając wonne włosy i z pochodniami wyszły, nu-
cąc spodem: Biada! biada dzieciciu, któremu matka skonała. —
Albowiem jako noc bezsenna życie sieroty. —

I wyszły cztery służebnice — i cisza w komnacie — i
ciemność — tylko gwiazdka drży z góry i nieśmiały promień
z syla w okna komnaty — a jej skroni rozplótł się złoty warkocz
z iskier tysiąca — że gwiazda ta z rozpuszczonym warkoczem —
różna od gwiazd innych — leci przez niebo jak sieroca smutna
kochanka — płynie kregami światła gwieźdząc jakąś dziwną
światłością! I wszedł do tej komnaty Symeon już nie w godo-
wej szacie, co białe spływała z barków jego, ale w fioletowym
kirze, milczący i ponury — jak cicha noc, gdzie ani gro-
mu — ni gwiazdy. Na twarzy jego była boleść — święta —
ale niepierwsza — jak kamyk dorzucony do ciężaru serca —
jak kropla do pełnej już czary. — I obok boleści świeciła na

czole wiara Jehowy, co ojców wiódł przez pustynię a Faraona
w morakiej zagrzebał mogile, co mu wieczną łni zielonością!...
Symeon stał długo gnany myślami — i rękę do czoła przyłożył
a mlotany bólem przemówił głośnie, niż mawiają wczajnie
ludzie. — Boże Abrahama, kiedy nam dasz króla naszego. —
Zbawcę — Messyasa! który lud nasz z wtórej wywiezie nie-
woli? kiedy o Panie nami maluczemi zwałczysz olbrzyma
ludów — oto serce zakrwawione śmiercią kochanki życia —
matki dzieci moich — kładę na ołtarz twój Jehowo i palę
serce moje gwoi tobie — ono było ślachetne w imię proroków
Izraela — płonęło gorąco — i dziś płonie jak za dni młodości —
a ja go palę i przysięgam niespójrzed za siebie, skąd wygląda
twarz biała mojej biednej Sary — o moje serce! rozbijam
skarg tłumy — jak tłumy pian morza o skały piersi, a czoło
moje w ufności k' tobie niech będzie jasne Boże ojców mych, i
ojców — ojców moich — jeżeli nas osierocił — albo będziesz
znow ojem dzieci naszych — i dzieci dzieci naszych — a choć
nieujrzę światłości, oni ją ujrzą jasną jak ty — od Ciebie — a
przeto cios żaden niewyzięb mej wiary ku Tobie! — I głośno
zawołał na służebnice i służebniki — a wniesiono do komnaty
ciało uspiętej Sary — i postawiono — a dziewczona piąta czarno
ubrana niosła urnę z czarnego kamienia bez blasku i w niej
balsamy, któremi miała namazać zwłoki umarłej. I przysłał
służebnice i służebniki w licznej liczbie, płacząc dobrej Pani i
mówiąc: «Kto nam teraz matką sierotom, kto samotnym po-
ciechą będzie? — I weszła zwolna ślepa Rachel, matka Symeo-
nowa, wiedzona przez matę Maryę Martę i siadła u czoła —
w końcu zaś Arcy-Kaplan starzec — w długiej szacie Lewity —
rozłożył już dłonie swoje, chcąc śpiewać żal nad zgasłą. — Milcz
jeszcze milcz Arcy-Kaplanie rzekł Symeon — albowiem nie-
obecne dziecię moje najmłodsze, Marya Magdalena. — Dzieciatko
twoje śpi teraz Patryarcho rzekła Leli, ale Symeon wyszedł
z komnaty i wrócił z sennem dziecięciem obciążonemi ramiony
— myśląc w milczeniu tys niemowlę — Maryo — Maryo Magda-
leno — śpi spokojnie, śpij! może ci się śnić będą śpiewy
około matki twojej — a jeżeli Cię zbudzą, to choć dziecie
niezrozumiesz ich treści, może dziewczę wspomnisz je sobie a
wtedy zrozumiesz. — I senne dziecię złożył u stóp matki, nad

którą schylały się łzawie twarze i zbladłe czoła smutnych jak kwiaty rosy pełne — nad grobu kamieniem.

ARCY-KAPŁAN.

Biada nam!
Biada nam!
Bez Ciebie Jehowa!...
Jako Cedr nad górami
Galezi ramionami
Błogosławi górom,
Tak twa głowa
Między piorunami splotami
Morzom wszęch mocna i chmurom,
Niech nam da promień łaski,
Której żywota blaski
W sercu od błysną nam?...
A weselem krzyknie duch nasz!
Biada nam! Biada nam!
Bez ciebie Jehowa!

CHÓR.

O Ty, coś nam obiecał
Światłość Messyasa na ziemi
Coby dusze porozniecał
Iskrami swoich promieni —
Zmiluj się nad jej duszą Jehowa!...
Niepomnieć naszego słowa
Jako liść suchy jesieni
Biada nam! Biada nam!

ARCY-KAPŁAN.

Niech jak gołąbek przeczasty
Duch jej — jak arfy ton
Panie, Panie wiekniasty
Zaleci przed słońce twych tron!
A na ten smutny dom
Jehowa!

Spusć pokoju promień!
Bo na piersi głowa
Schylona mileży wśród wspomnień
Obietnic Sinaju twego
I święty tli iskrą płomień
W przyszłości ludu biednego —
Co już niekwili jak dziecię
Lecz jak lew w sieci spętany
Rycząc — wściekłym toczy piaty —
A głos ten ginie po świecie...
Biada nam!
Biada nam!

CHÓR.

Placzmę! Placzmę!
I twarz kryjny w dłonie
Albowiem popiół drogi
Dziś ziemia pochłonie!...
Targajmy warkocze włosów
Targajmy na smutnej skroni —
Dzień ten nad inne srogi
Biada! krzykiem tęsknych głosów
Jęczmy — głos Pana dogoni
Jak z Babilońskiej błoni
Biada nam! Biada nam!
Placzmę! Placzmę!...
Włosy rozpuszczone
Posypmy popiołem
Dusze zaszcipione
Pociochy aniołem
Niech wstają dzielne
Nad łzy śmiertelne
Lecz dziś Biada nam!
Biada nam!
Placzmę!...
(Myśi Symona w tej chwili.)
Nieplaczmę nieplaczmę próżno!...
Sądy Jego nieomylnie
Chwała nam!...

Choć cierpiam postacią różną
 Cierpień — dusze nasze silne,
 Nieplaczymy, nieplaczymy próżno!...
 Poniżenie i męczeństwo
 Najjaśniejszą dziś nam chwałę,
 Niechaj błuźni ezłowieczeństwo —
 Idźmy z Panem drogą białą!
 Za nami błogosławieństwo!

ARCY-KAPŁAN.

O Panie nasz!...
 Jakoś lud wywiódł puszer drogą
 Przez morza suchą wiódł nogą
 Tak jej duszę z ziemskiej niedoli
 Drżącą ... majestata trwogą
 Weź na łono twe!
 Osusz naszą łzę!
 Ułituj się!
 Biada nam! Biada nam!...

CHÓR.

Panie nasz!...
 Ciężki jak
 Wznosim do Ciebie!...
 Daj spokojność matce —
 Pokój domowi, dzieciom i cze-
 ladc.

Już umilkł Arcy-Kaplan i szeptał błogosławieństwa ostatnie słowa i wyszedł — za nim chór płaczków — a została tylko Rachella ślepa i zadumana mówiąc: Rózyczko moja! Saro! nie-dumala ja że Ciebie przeżyję!... i ukolyżę — w kołyse grobu — a Leli mruzczała coś nad śpiącym dzieckiem — Symeon stał jak wielka skała nieruchomy i błądy — ostatnie długie spoj-rzenie topiąc w głębokość — śmierci — co powlokła twarz Sary — jak by patrzył czy ta pierś raz jeszcze niewestchnie — czy nie spojrzy nań anielsko — nie uśmiechnie się niewinnie, ale próżno — próżno! rzekł zadumany — i sam niewiedział czem był tak spokojny Symeon, jak posąg stojąc milczący — i

do nóg jego przybiegła mała Marya Marta — a jako fiolek wonią swą u stóp dębu, pieściła się z ojcem — opasując małych ramion łańcuszkiem jego kolonna szczebioząc: «Ojciec! matka nieumarła! matka śpi! a my wyrosniemy i będziemy z Maryą Magdaleną czuwać nad tobą, śpiewać ci gdy senny, szczebiotać, gdy smutny będziesz — aż się uśmiechniesz — aż matka się zbudzi i powie: «dobrzeście mnie zastąpiły —! Nieśmac się!... i szczebiołała dalej mała Marta, a Symeon patrzył na dziecię powtórzył: — Ona śpi! — a dziecię rzekło: nieśmac się! patrz jakie niebo niebieskie! Służebnie cztery nuciły jeszcze żalobne pieśni łkając i wołając, Biada nam! i komnata powta-rzała: Biada nam!... i Rachella i Leli — tylko Symeon milczał. A czarna dziewczka ujęła swą ławnicę z czarnego kamienia, i maściami zwilżyła zimne ciało Sary i ostatnią pieśń zaśpiewała. — Chodźcie! czas jej do ojców! rzekł Symeon — i służebne wzięły na ramiona kości Sary a śpiewając nieśd zaczęły ku drzwiom komnaty — zawinąwszy w śnieżne płótno ciało umarłej — jak dziecię w pieluszki na noc długą —!

I powstała Rachella i kroczyła wsparta na Maryi Marcie, wnuczce swojej — i szła Leli płacząc i wyrzekając na pierś swoją... i szli już i nuciłi zawodząc smutno — za niemi Symeon z pochodnią — w tem śpiące dziecię zapłakało głośno i głośnieję. — Stójcie chwilę jeszcze rzekł Symeon — to pierwszy płacz w życiu! dziecię poczuło, że mu matkę unoszą — Biada! Maryo! Maryo Magdaleno i ty odprowadź matkę do groty a choć dziecię nierozumiesz, dziewczę wspomnisz — i zrozumiesz sen dzieciństwa — i wziął dziecię na rękę i poszedł dalej i dalej idąc nocą — a zawodząc smutnie. Noc schodziła już — ciemna — cicha — i wiatr poranka trzął zroszone listki — cichym szmerem jak dziecię arfy strony — ale było jeszcze ciemno — i księżyc błądy leciał między czarne chmury gnany prądkiem jak złe sumienie — a szedł orszak domu Symeona płacząc — i niosąc Sarę do grobu — kędy była jej matka — i matki jej matka — albowiem stary i zamokny był dom Symeona.

SYMEONOWE CÓRY.

Wśród domu ojców swoich siedzi Patriarcha Symeon — chorowały i blady — włos jego już biały — ale na czole taż sama milcząca stałość — której nierwałczyły cierpienia i niewygrzyły zmarszczki rozpacz. — Nie jedną noc przedumał Symeon nad ziemią swoją, nad dziećmi swemi przeobrał — i był jak stary Patriarcha Abraham wśród swoich. —

I taż komnata w której leżały zwłoki Sary — — kędy pierwszej stało małżeńskie łóżko Symeona — a pierwszej kołyska jego. — — Symeon zamysłony schylił głowę i zdał się niezważać na szczebioty Marty czanobrewej — a Marta zajęta domem i sprawami domu nieżyła duchem — troszcząc się o rzeczy ziemskie i myślą zasypiając — a słowem wesolem chcąc uśmiech wywołać ojca. — Ale ojciec milczy — smutek ogarnął go do dekola o wężyl pierś jego — Marta krzątała się ze służebniami jak druga służebna, a widząc, że ojca nierozweseli wyszła — wydoić owce i kozy, by ojcu świętą podać czarę mleka — za nią wyszły służebne — a Symeon zawołał z nich ostatnią i tęsknie spytał: Gdzie jest Marya Magdalena? — Od rana, Patriarcho, z arfą swoją, leży pod starą figą, patrząc na rozlane rzeki i doliny — i odeszła służebna ostatnia, a Symeon powstał i wyszedł ku drzwiom ogrodu swego — skąd ujrzał figę rozłożystą — a w jej cieniu córkę swoją Maryę — na której czole szesnaście wiosen chmurki niezostawiły. Marya Magdalena śnać wypiewała — pieśnią — co marzyła w duszy, bo arfa już leżała przy jej boku konając ostatnimi dźwiękami — a ona na siolków i mchu pościeli jak dziecinnie marząca oparta jasnowłose czolo a błękitne mi oczy tocząc po wzgórzach i dolinach ojczystejszej ziemi, rwała kwinty trawnika i dumala myślą dziewiczą!... Marya była jak kwiat o swej woni niewiedzący — a przeto była piękna jak zbiegły anioł na Hebrajskiej ziemi. — I poszedł Symeon ku dziecieniu swemu a nad zadumaną stojąc poglądał na jej włos złoty, co spływał po białych ramionach i rozlał się po trawie — jak słońcem odbity wodospad lecejący na łąki wonne — kwieciste — z białych skal marmuru ... i myślał w sobie — córa moja w kole niewiast, jest jak słońce w gwiazdach młodszych orszaku — i rzekł —

Maryo Magdaleno! zanuć mi przy arfie twojej — pomniusz kiedy niemowlę na kolanach moich uczyłem Cię o gwiazdach, kwiatkach i o Jehowie ojcu gwiazd i kwiatów i ojca twego — ucząc cię grać na tej arfie ... ojeze mój! posłuchaj — tobie gwoli znów biorę tę arfę — wzniosłszy błękitne oko w niebiosa błękit — uderzała alabastrowych palców pieśczęcią o złote stróny — gdy wiatr rozwiewał jasny włos matchnionej i głos śpiewu tęskny:

Przez usta moje jak głosy gromu
Natchnione lećcie o dźwięki —
Jak gwiazdy jasne z nad ojca domu
Wstańcie — i lećcie z mej ręki!...

Głosy stron moich skowroncze jasne
Myśli — o! lećcie wysoko
A dui dźwięk zgasnie — choć i ja zgasną
Wasze w głębiach tonie oko!

Jest miłość wielka — miłość Jehowy
I jeszcze jedna w mej duszy —
Od jednej krzyk z niej wzlata gromowy,
Choć drugiej grom niezagłuszy!...

O jest — jest inne uczucie ... stój Maryo Magdaleno — już czas — twój duch mi się spytał przez usta pieśni — ustami pieśni odpowiem mu — dziecic moje — dotąd ojciec twój cierpiał bardzo — a więcej jeszcze — gdyż cierpiąc milczał — i przez lat szereg nierzekł nikomu: Ja cierpię ... Maryo!... ty miałaś — Matkę!

Matkę mój ojeze?... to słowo niebieskie jak arfy ton brzmi tak tajemnie w sercu ... matka?... matka!...? — o słuchaj Maryo — Maryo Magdaleno — i uderzył w stróny:

Ta co cię w pierai swojej nosila
Kochając nim żyłaś jeszcze —
Ta co skonała gdy cię zrodziła
Na świat — w boleści swej dreszcze. —

Ta co dla ciebie cierpiała — to matka...
 O córko zgaduj, to duszy zagadka —
 Więcej już tonu, tonu niewypowiem,
 Bo duch twój zgodnie — dzień swojej istności
 I po imieniu zawoła — to matka!
 Gdy serce w piersi zacięży oliwom
 Płacząc w boleści i w niemej radości —
 Tam w tej zielonej grocie, o tam!...
 Twa matka uśpiona — a ja tu sam —
 Sam z Tobą!...
 O gwiazdko ma ... i z żalobą!...

Marya Magdalena już niesłyszała końca pieśni, porwała arfy z rąk Symeona i dośpiewała resztę. — Po raz pierwszy ujrzała przed sobą postać matki w słowo zaklętą! wspomniła snem dzieciństwa matkę, i śpiew jakiś — jak przez sen — i ten sen smu jak echo odbijało się w jej jamieci głosem: Binda nam! i wycisnęło łzę srebrną z oka błękitu i w piątę ścisnęło dziewiczą dłoń — że zastargala warkocz swój jasny. — W tem przybiegła Marya Marta — weszła — niosąc ojezu czarną z mlekiem świec — a Marya Magdalena grać przestała zamysłona — dziękował ojciec Maryi Marcie za napój, całując ją w czarno-brewę czoło — lecz inaczej dziękował Maryi Magdalenie za pieśń jej — spójrzaniem..

NOC W GROBACH.

Cisza w grobach Symeonowej Rodziny — i ciemno — i chłodno do koła — tylko siedm trumien stoją przy sobie ... a ostatnia z popiołami Sary — matki Maryi Magdaleny. Ale wśród groty wstał z ciemności cień jakiś ... ciemniejszy jak ciemność — a jednak jasny — jak krwawa gwiazda — wrok jego nie jest wzrokiem ludzi — widno, że był jasny miłością — lecz dziś jasny piorunem pychy i żalu, który sam przed sobą zagłusza — sam się go wstydząc — on wstał i sieje iskrami w grobach — i jasno w otchłani ciemnej — stoi oto trumien siedm — a on stąpił ku nim a echo konające woła za nim:

ktoż ten smutny cień, co nam głozom przerywa ciemność i ciszę wieków?... a z pod ziemi głos cichszy jęczy: anioł to, anioł upadły — szatan! — z wysokości serca Jehowy strącony w głębie nieości, to anioł czarny — wróg ludzi dzieciątek Jehowy, które już z kolyski wykrasieś uśliję — anioł to, anioł upadły — szatan! — i cień on zrucił wieko — śmiejąc się dziko — jak rykiem lwa pustyni zawołał — zwiędł jej oczy niewinne, oklamił — o dłoń jak stu Faryzeuszów ... biada jej lub mnie! i wyniosł piętę w górę i cisnął z tej garści, co ongi struny arfy pieściła ... garść iskiek jasných, żrących — na ciało śpiącej Sary — a iskry syczące pełzały już i pierścieniąc się okryły postać sennej — i toczyły ciało do kości, iż jedna wielka całość milionem robactwa ruszała się — a każdy z robaków napinał żądlę w górę i zarażał powietrze ... Tak zachychotał — cisną się ludzie do prawdy szkieletu, który im dalem wyszawy sak soku z niego — a drugą piętę w górę niosąc — z dłoni, która ongi przed Jehową perłami siała lzy nieszczęśliwych a zato nad ich głowy rzucała kwiaty wdzięków i nad ciernie ich skroni natchnień aureole — dziś cisnął w ciemność kilka błędnych światel, co drgając — sine, wiodą oko do obłądca. — Tak wodzą ich moje złudy a lśniące i blyszące myśli — wiodą do celu spruchniałego — kędy podłość podłości i pozyskto podłość! a śmiejąc się i rycząc glucho jak las burzą zdąany — uleciał z ciemności grobów w ciemność swoją — i znowu cisza zasiała wśród grobów Rodziny Symeonowej — ale niedługa chwila twoja — o ciszo — królowo noc. — Co za janość idzie — nie idzie ale sunie się z wolna po kamieniach i spływa z góry?... niby w ciało niewieściich kształtów obleczone — a jednak widać, że to nie człowiek — niby patrzy oczyma dziewczyni — wiecznej miłości i przebaczenia — a jednak widać, że to nie człowiek — niby dłoń świeża pełna kwiatów, które rozspjuje z wonią i garstkami jasných promieni pod stopą swoją — ta dłoń niby gotowa porwać każdą dłoń ludzką w upadku dłoni potrzebującą, i wyratować — a jednak widać, że to nie człowiek — a za tą jamością druga postać piękna — natehnioma — odlatująca — ale mniej jasna — i choć te oczy patrzą niżej niekończonych miłości i przebaczenia, jednak widać, że to człowiek — i chociaż dłoń jej rozspjuje

w kolo kwiecie woniejące, rosą jasne czy łzami promiennymi pod stopą jej białą — choć ta dłoń gotowa chwycić dłoń wroga w upadku dłoni potrzebującej — jednak widać, że to człowiek. Kto jesteście dwie boskie postacie — pyta nieśmiało szelest ich kroków konający echem w wrót jaskini — kto jesteście, pyta głośnie i śmiejąc szelest kroków drugiej postaci idącej ... u końca jaskini?... I szelest kroków pierwszej postaci odbity od sklepień, odpowiada w wrót konającym pytaniom: Anioł to — anioł Pański — dziesięć Boga — którego czoło w gwiazdach niemą schyłone pokorą — którego myśl wieczną skrzydłata modlitwą — którego dłoń wiecznie u hymnów arfy brzmi o zbawienie swych braci, duchem smutnych i płaczących synów na jednej z gwiazd miliona — anioł to — anioł jasny. Piękność — za nim się w dobro zamieniła ... A szelest kroków drugiej postaci odpowiada od trumień cicho konającym pytaniom: Marya to, konając: Marya Magdalena córka Symeona dziewczę cicha jako kwiat polny rosnący listkami, wonią i gałązkami ku niebu — niewiedzą o woni swojej. — Piękność w dobro ucieleśniała Marya to — Marya Magdalena — której myśl wiecznie skrzydłata modlitwą — serce wielkie wiarą — czoło pokorą schyłone — której palce niedźwiedza od stroń arfy złotej wysylają z niej pieśni jak gołbicie srebrno pióre, czyste, nieopadającymi skrzydły do Pana o swoich braci w niewoli — Marya to — Marya Magdalena! — I stanął anioł u środka groty — i stał milcząc — ale Marya Magdalena szła sama ku trumnom — a choć trumień było siedm — Marya poszła ku trumnice Sary matki swojej — zgładując ją sercem — i stanęła cicho — i serce jej było aż grota drżącym wtórzyła echem jak bicie czystego źródła skały wtrząca ... Aniele wiosny mojej ... mogę widzieć matkę moją, której okiem niewidziałam a duchem widzę jasną — wielką i miłą — ku mnie ... Aniele mój! Aniele! I anioł milczał i długo patrzył w Maryę Magdalenę, aż skinął dłonią — pod którą powietrze zagrało wonią cichej melodyi, jak pierwsza miłość. — I Marya Magdalena pomyślała w duszy, ohy ten anioł zostawił mnie samą ... I anioł nawet uczuś moich tu niezrozumie — takim smutna — tak zachwycona — duchem ciekawa —!... Ja tylko pojmuję co czuję — i ten co pojmuję wszystko!... i anioł zniknął — a ciemność dokoła groty

w ciszy zapadła — tylko szelest konających promieni anioła odbił się cicho — że go myślą słyszała Marya, i skonał cicho — ciszej grając: Czemuś mnie oddaliła? ... Ale Marya Magdalena zgłuszyła ten głos — czy niesłyszała czy słyszeć nie chciała — czy niemogła — bo duch jej pełen był oczekiwania. — I stało się ciemno — a tylko w ciemnościach tajemnym blaskiem złoto jaśniała truma Sary — przez szczeliny groty podziemnej błysnął złoty promyk nowiu — i padł na trumnę matki Maryi Magdaleny — i drząc przystąpiła ku niej — a usta do niej przylutowała pocalunkiem sieroty matce — i pomyślała: Jam dumala, że pod ustami będzie woń i pieszczota kwiatka z tej trumny — a to pruchno i drzewo. — — I klękła bliżej i tknęła świeczkami palcami wieka nieśmiało ... i pomyślała: — Jam marzyła, że pod skinięciem palców moich ozwa się uczucia, jak rozdźwięki stroń tkniętej arfy — o! — I powstała milcząc na palce — a w trwodze od upadku chwyciła się warchoza długich włosów swoich drżąc ręką sama ciągnąc się do upadku — i spięła się — a oddech wstrzymawszy — odgięła z wolna wieka trumny matki swojej i spójrzała — księżyc oświecał w trumnice ... szkielet odarty — pełen robactwa i zarazy ziemnej i czaszkę z dolami, gdzie dusza wyglądała ongi oczyma ... robak z ust wyłaził groźąc swej zdobyczy — z ust, co igrały uśmiechem — jak gałązka oliwna z powiewem wieczoru!... O matko moja!... jęknęła głośno Marya Magdalena ... i z trzaskiem opuściła wieko trumny a we łzach upadła na kamienie — targając złote włosy swoje — nie! nie! nie! — matko, to ty niejesteś! i chciała raz wtóry zajrzeć — ale snać ukrył się now za chmury noone, bo promień nad trumną Sary zniknął — i znów ciemno w grobach dokoła — tylko błędne światelka migwały oczom Maryi Magdaleny — tylko echo łaskota upuszczonego wieka trumny — konając na ścianach groty, wołało do płaczącej Maryi — biada Ci! biada niebezpieczna — czemuś myślą oddaliła anioła stróża wiosny twojej. — A Marya dumala myślą. — Gdzieś ty, gdzieś światłości natchnień ducha mego!... marzona w długie ranki pierwszej młodości — śniona w nocach dzieciństwa — przeczuła w pierwszą południa chwilę?... Gdzieś ty? Nie! nie, to złuda aniele mój!... Powróć! błagam — dziecię twoje — i utul mnie ciemniem srebrno piórych skrzydeł twoich — i rozświetl ciemność

duszy mojej!... o!... I znów jasność spłynęła w ciemności, a jasny anioł stał przy trumnie matki Maryi Magdaleny — i leżącą na głazach wzniosłszy spojrzaniem — już dłoń oparł mile na jej drżącym ramieniu, a dłonią wtórą tknął wieka trumny, które odleciało w dół i padło na glazy bez trzasku, jakby się zasłona chmur rozwarła — a anioł wakał jej postać w trumnie — śnieżną obleconą płótnem jak jasnym obłokiem niebios — śnieżną — czystą całą twarz tylko cudnej boskości blada, na której ślady lez kilka świadczyły o walkach życia i żalu braci — jaśniała z pod płótna szaty, dając świadectwo o swem życiu. — A Marya Magdalena długo wpatrywała się w twarz matki swojej — z niemię radości zachwytem — i jak w wód zwierciadło ujrzała tam wszystko — wszystko tak jak marzyła — i lez strumieniem zrosiła postać Sary — i milczała długo — długo — przypomniawszy sobie tę postać — raz — raz tylko jak we mgłę — nad kolebką swoją ... i przypomniała sobie niebieskie wrażenie pocałunku matki na czole — i czolo jej rozkoszą zajaśniało — lecz anioł skinął — a wieko znów leżało na trumnie jak dawniej i rzekł wielkim — śpiewym głosem —: Wiesz o prawdzie Maryo! wracaj w dom twój — i znikł — a promień nowiu znów strzelił nad trumną Sary — tak, że Marya mogła iść ku otworowi grotty — gdy w kolo jej głowy drgały i gasły i podlatujące rozdały się błędne ogniki, ludząc ją próżno — lecz ona niesza za ich sinym blaskiem tylko prosto ku stopniom bez pochodni — a gdy na świat wyszła, kury piałły pieśń o północy minionej i nów jasny sunął się w ciszy nad Judeą — i Marya Magdalena osłonięta szła z wolna ku domowi ojca i zaszła — a wszedłszy do łoża swego — śniła cicho do jutrzeńki spokojna — bo widziała co marzyła — lecz usnąć niemogła ... a w grobach za nią został głos jakiś nakształt śmiechu złości — a groby znały śmiech ten śmiechem rozpaczy i gniewu strąconego anioła!

PIERWSZE WALKI.

Słońce dziewczo — nieśmiało wyjrzało z chmur kirów — i gwiazdy znikły w słońcu — słowik oniebiał — a skowronek u gór szczytów zwiastował senniej ziemi świat!... Pod figą szmerzącą liście — stoi Marya Magdalena; w cichem zadumaniu pogląda na ranny świat — i w swej duszy odbija go jak w morza cichej modlącej się szmerem, fali — i szepcze ciszej od listków Marya Magdalena: Symeonie tyś mi mówił o matce mojej — ojeże! gdybyś ty wiedział, że ja dziś w nocy byłam u matki mojej — cudnej — świętej matki, co się przebudzi ... że była chwila, w której niebyłam sierotą — chwila nie sen!... co byś ty rzekł i chwylała arfę swoją — dotykając strun rosą lśniących ku słońcu — co już rozbiło chmur kiry a uzęła na czole pocałunek ojca i ujrzała go stojącego nad sobą — Dobrze, że czuwałeś dziś Maryo Magdaleno! dobrze żeś pielgrzymowała do matki twej trumnie, albowiem dziś w grobach młodość twoja a w śmierci życie nasze! A Marya patrząc w niego anielsko, nieprzerywała gry swojej i grała dalej ... I chciał jeszcze coś wyrzec Symeon — ale snąc zagryzł słowo ulatujące mu z wargi, że skonalo jak ptasze gotowe do lotu ... i odchodził mówiąc, że idzie Arcy-Kapłana mędra, i przyjaciela rodziny swojej, nawiedzić — i odchodził — i znów wrócił ... i nic niewyrzekł — bo słowo to znów jak kwiat zwiedło mu na ustach, mając się rozwinąć — zabite ciemnością milczenia. — A Marya widziała, że coś zataił i myślała nad tem, niepatrząc już na ranku wschód ... i niesłyszając szumu fal ... i skowronczych pień ... a cień anioła z daleka śpiewał tęskno: niemyśl, niemyśl nad tem, bo twój ojciec milczeniem swoim zhabił ciebie!...

Ale ze słońcem błysła za krzakami twarz jakowaś ... przeciw słoneczna sprzeczną słońca jasności — a jednak w jej twarz świetlaną, piejącą hymnem tak chciwie patrzy — z krzaków się czając jak wąż na łanie pustyni, co pije u cichego źródła — zbliżył się z wolna ów cień człowieka ... Ma toge

Rzymianina! — Cóż za śmiertelny ważył się wejść w tozde w ogród Symeona? ... biada mu! on się nieleka ludzi, stanął przed hebrajską dziewicą — i stał wzrok rzucając smutny — bardzo smutny — wymownie milczący — wymową niebios czy piekiel ... A Marya nucąc hymn niechęcy spojrzła w tę stronę i widząc postać toższą — ktoś ty? ... jękla — i serce jej zadrgało w piersi dziewiczej — a z dłoni upadła arfa — ktoś? jękla ciszej — i włosów zdrojem okryła się cała zasnaniając szkarlat — co oblał jej śnieżne ozoło — lecz cudzy milczał i pożerał ją wzrokiem — a wzrok jego był ten sam, co iskrył się w grobach Symeonowych w nocy — i też usta, co spienione wściekłą gniewem się śmiały rzynąć złością piekiel jak z lwa gardzieli — ale te oczy dziś smutne i dłoń powolna, może sobie anielstwo swoje przypomniał szatan, patrząc w dziewicę aniola i zapłakał — ale iskry mistle led potoczyły się po licu i przypomniały czem jest — więc przystąpił bliżej, przycałił się kotem — przypelzał węzłem — i nie jeszcze niemówił — tylko patrzył — ciszej od wody przyplynał — i znów przykoczył i cofnął się nieco — a ona ... nieśmiała się trzeci raz zapytała kto jest — bo jej się zdało iż go znała — i że go gdzieś niegdys widziała duchem — zatem oczy spuszczone wzniosła i spojrzła, lecz spojrzła już niby niechęcąc w twarz jego — ale anioł Pański widomy w tej chwili rzucił jej na oczy cień skrzydeł swoich i szepnął: walczycy bądźziesz — lecz walczycy musisz — i odstąpił o kroków kilka — jak daleko stał obcy — lecz obcy w tej chwili rzekł już głośno, gdy nań spojrzła: Kobieto! ... »piękną jesteś!« — Jam piękna! krzyknęła z głębi duszy — to chciał wyrzec ojciec! — to mi tań! ... jam piękna! ... i zdarła chmurkę cienia, co z skrzydeł swych na błękitne oczy rzucił jej anioł Pański. — I pobiegła i polecała jak ptaszko do źródła kędy czerpała wody dla kwiatów swoich ... a pochylwszy się nad fale spojrzła w głąb — i widziała swą postać — jasną anielsko cudną z okiem natchnionem i uśmiechem wybranych — i czoło myślą wzniosłą wieńczoną — i zawołała cicho — jam piękna! ... a cudzy rzekł jej głośniej: Maryo Magdaleno piękniejsza od piękności, co piękność twą na zgrubę piękności własnej stworzyła! ... ale anioł stróż zawołał najgłośniej: Maryo! Maryo! Maryo Magdaleno ... dowiedzińska się, żeś piękna — i

piękną być przestała jak każda kobieta, gdy się dowie, że nią jest! ... i Msrya spojrzła za siebie, widząc, że anioł ulatywał od niej po chmurach, łkając głośno jak strumyk w skałach i kryjąc twarz w dłoń ... i jeszcze wsparł się na jednej chmurze — i spojrzął raz jeszcze w Maryo Magdaleno i znikł ... i wtedy ujrza całą jasność aniola utraciwszy pierwszą jasność duszy dziewiczej — a w źródle zamęcała się woda, bo rybki martwe wypłynęły na wierzach zabite pięknej pysznej spojrzaniem — i obraz cudny rozleciał się potwornie w falech, i w nicosię rozchwał się przed drżającą okiem — a Marya odskoczyła od źródła.

I biegła wołając, jam piękna! jam piękna! i trwożna pytała źródła, jam piękna? — i każdego kwintka pytała bieżąc: Jam piękna?... i biegła ku faldzie starej — i chciała niewiedząc czemu spytała jam piękna — a cudzy leciał — biegł za nią sycząc Pięknaś! cudownaś! Jasnaś nad inne, Maryo Magdaleno! i znikł! gdzieś w krzakach — lecz Marya chwyciła arfę swoją i biła w stronę hymnem żala i boleści raz pierwszy smutna leż i smutku pieśnią ... i znów zadyszana biegła do źródła i długo w ciche znów patrzyła fale — widząc swą postać cudną jak wiosną, ale już nie z tym wyrazem co pierwaj — z czołem chmurnem i smutniejszą jękla jeszcze: Jam piękna! ... i znów rosy pytała, Jam piękna? Ja niemam plamy na czole ... moje ozoło myślą skrzydlate — jak śnieg gór Sinai ... moje oko jasne jak lody zacięte w słońcu na szczytach skal! ... Jak obłok nocy Maju! ... w tem orwał się z daleka wesoly głos Maryi Marty — Maryo Magdaleno! przecz schyłona tak tęskno dumasz nad źródłem? — niewidziałem Cię z tak chmurnem czołem. — Mój narzeczony jest! — paś mnie! bym cię nie obryzgała wodą — biorę dla owiec moich chorych wody — od doby chore zaraz chodzą niemogą — ale Marya Magdalena nieodstąpiła od źródła, lecz rzekła, porwawszy rękę Marty: Siostrzo! nieprawdaż, żeś jam piękna?... ty piękna ... rzekła Marta i schyliła się także nad źródłem — a widząc swój cień w wód zwierziedle — ujrzała się o wiele mniej cudną od Maryi Magdaleny — a zaszrodo wstała w dziewiczym tonie — i zagryzwszy wargi cisnęła kamień co stłukł bastro błękitne — a dwie postacie siostr ku sobie falami rzuciły się rozkołysane i

walcząc w pianach zmaczonego źródła znikły — i odbiegła miotana zawicią Marya Marta, zepsuta od Magdaleny — ale niedługo wróciła spokojna, bo Marta była przebacząca i małej dumy — więc rzekła ze smutkiem — tyś piękna Maryo Magdaleno! świat będzie u nóg twoich — piękna! ciesz się ze mną, bo moje jagnięta piły wodę i zdrowie — płacz ze mną — boć za dwie doby rzucę dom ojca Symeona i pójdę w dom Beniamina obluźniesz mego, płaczę z radości i smutku, siostrzo ciesz się i płacz razem ze mną!... zagraj mi raz ostatni na arfie twojej — bo jej już słyszeć niebędę — i przytuliła się do ust drżących Maryi Magdaleny — a ky ich i tchnienia zwały się w myśl jedną — smutkiem. —

I Magdalena zanuciła pieśń żegnania, Marta zaś niedosłuchawszy końca pobiegła do trzody swojej — w tem nadszedł Symeon w świątecznym stroju — i pojrzał w twarz smutną Maryi Magdaleny, mówiąc: Czemu zasmucona dumasz nad źródłem, córo moja?... byłem u Arcy-Kapłana i obiecał być za dwie doby — a pobłogosławił Marcie i Beniaminowi naszym ... ciesz się — a uś piosnki weselne Maryo — Maryo Magdaleno!... Lecz ona zulała się niestety czy niestachac śłów Symeona i milcząc w źródło patrzyła a zerwawszy oczy ku niemu, krzyknęła ojczel! jam piękna?...

Ha!... jęknął Symeon! Jehowa! biada mi Jehowa, więc jam zagłosno wyrzekł ... ty słyszałaś niebachna ... w źródle widziałas zgubę twoją — przekłete źródło truciń! i pluwał w źródło gniewny a żaloszny odchodząc ponuro — a Marya znów obrzawsz swój zamączony widziała najsmutniejszy w plugawej fali — ale zerwała się jak ptaszę trwożne i zbijając sercem poleciała daleko — pytając każdego kwiatka po drodze — każde ptaszę na drzewie: jam piękna? każdego kamienia co wyjrzał z fali — jam piękna? a odgłos jej głos — czy jakiś głos inny ... wolał mdlejąco jak fukającym chychotaniem: Piękna! Piękna! Piękna!...

OSTATNI WIECZÓR SIÓSTR DWOJGA.

Symeon przechadzał się w ciszy między drzewami ogrodu swego — a zmęczony trudami dnia całego siedł w cienistej gęstwi na wielkim kamieniu, co leżał pod starym Cyprysem — osłonięty dokoła liśćmi krzaków zadumał się głęboko. — Jutro o tej dobie pierwotodne dziecię jego Marya Marta będzie już w domu Beniaminowym — jutro ukończą się gody — rzewnie zadumał się nad córą swoją i acz nie tak ją kochał, jak Maryę Magdalę — jednak bardzo ją kochał — i w myślach porażony usłyszał z wolna szelest kroków — spojrzął — zrazu ciemno, tylko jasny miesiąc pełni sięgający świecił cicho nad ziemią — ledwie liścia szmer lub dalekie psa szczekanie zamęca ciszę uroczą — i oto widzi Symeon z miejsca swego łąwie niewieście postaci, idące z wolna między drzewa — obie wsparte na sobie ujęły się za ręce i kroczą milczące zrazu — a potem mówią z cicha to głośniejsz — i rozczulił się Symeon, widząc idące ku sobie dwie córki swoje — Marya Marta piękna — ale piękna światowo — szła oparta na ramieniu Maryi Magdaleny, ręką trzymała silnie jej rękę, i długie włosy Magdaleny zarzucała na szyję swoją — przy niej szła Marya Magdalena piękna — ale piękna duchowo i objęła ramieniem postać Marty smutnej w myślach tęsknych a jej czarny długi warkocz zarzucała na siebie, pieszcząc go w dłoni wtórej — i tak szły razem stąpając ciszej od ciszy wieczora — Marta jak rola piękna rozwinięta woni rozkosz — Marya Magdalena przy niej — jak pączek niecałkiem rozkwitły — ale na kiedyś cudniejszy kształtem i pełniejszy wonią rozkoszy — zbliżyły się ku Symeonowi niewidząc go — i szły mimo. —

MARYA MARTA.

Siostrzo moja! dziś ostatni wieczór nasz razem!... jutro o tym czasie, już nie w domu ojca — już w domu obcym — co będzie domem moim — Maryo, Maryo, ty niezapomnisz o mnie...

MARYA MAGDALENA.

Nietroszcz się Marto!... z zagrody rodzinnej idziesz w dom obluźniesz twego — a tam Beniamin młody miły tobie nad

wszystko, otoczy ciebie pieczytą swojemi, za te służebnicę będziesz miała służebnice swoje, którym Panią będziesz ... a ja ciebie zawsze — zawsze kochać będę (przechodzą). I Symeon został w milczeniu, śledząc oczyma dwie postacie dzieci swoich, a one obeszły ścieżkę do koła i z wolna w cichej rozmowie znowu zbliżyły się ku Cyprysowi, pod którym spoczywał. —

MARYA MARTA.

Wiesz ... ja go tak kocham — a choć on mi tak miły — tak trudno mi rzucić dom ojca — te progi, kędy pierwsze chwile radości myślałam — tyle drogich wspomnień dzieciństwa — z złotej — pierwszej młodości zostawiam! ... odwiedzajcie mnie często ... namawiaj starego ojca, by przychodził do mnie — przychodźcie do nas! a nieba wam przychylił w domu naszym...

MARYA MAGDALENA.

O niebój się Marto ... ty drzyśz moja droga! ... będziemy Cię odwiedzać co dwie doby — sama przywiodę Ci ojca, by spoczął w twoim progu — i podasz mu czaszę z mlekiem i chleb — i owoce z ogrodu twego — a będę mówić wtedy — a widzisz tak tęskniłaś tego wieczora — a takas dziś szczęśliwa — no! podaj mi usta twoje...

MARYA MARTA.

O Moja ty moja! O mój ojciec!...

(Przechodzą.)

I znowu został Symeon w milczeniu, śledząc z rozrzwinięciem zachwytu dwie postacie dziewcząt swoich, co szczebiotały jak dwa gołębie — wzrok jego dążył za niemi i dumny był mówić sobie: Jam zrodził!... a one obeszły ścieżkę do koła i w cichej rozmowie znowu zbliżyły się ku Cyprysowi pod którym spoczywał, szły przedź tą razą. —

MARYA MARTA.

A trzody moje — kozy i baranki białe które strzegłam i umywałam sama...

MARYA MAGDALENA.

Ojciec ci je daruje — będą twoje!...

MARYA MARTA.

To mój ostatni wieczór dziewięcący — ten miesiąc już mi tu niezaswieci!... ostatni wieczór z tobą — ty tu zostajesz szczęśliwa!...

MARYA MAGDALENA.

(Przechodzą.)

Szczęśliwa!...

I Symeon znowu został w milczeniu, patrząc na oddalające się postaci córek swoich; szły przedź to wolniej — mówiły głośniejszy i rzewnij — i obeszły ścieżkę między kwiaty do koła — a w cichej rozmowie zbliżają się znowu ku niemu — czarne oko Maryi Marty już błąd się zamgliło — a niebieskie oczy Magdaleny smętnie w niebiosy patrzyły. —

MARYA MARTA.

Ty milczysz — tyś taka jakaś ... smutna — ja rzucam dom ten, jakie — a dziś weselszam od ciebie Maryo — Maryo Magdaleno?...

MARYA MAGDALENA.

(Milczy.)

MARYA MARTA.

Czemu ty milczysz ... Maryo!...

MARYA MAGDALENA.

Żal mi za tobą.

MARYA MARTA.

O! wszak obie będziemy szczęśliwe ... patrz, jakie niebo niebieskie...

(przechodzą.)

I został Symeon w milczeniu poglądając ciągle na dziewcząt niewinne szept — i na długie ich cienie jak płaszcze wlokące się za niemi, i obeszły ścieżkę między kwiaty dokoła a w cichej rozmowie znikły oczom Symeona.

Gody w domu Symeonowym — oto Benjamin posubił dziś oblatnicę, czarnobrową Maryę Martę — dokoła w oświetlonej



świecznikami komnacie, łamią się chlebem weseli godownicy, obok wesela czeladka i uboży miasta. — A Symeon rozweselony, radby im nieba przychylić — czasem spojrzy na parę młodą i odwróci się, by ostrzeć łzę ciębą wspomniawszy na Sarę swoją — potem ostrzega służebniki gwarne, i przysłania okien, by snąc który z towarzyszy niezaprzął wesela w domu jego. — W środku siedzi przy parze spóźniony arcykapłan, któremu cześć wszyscy okazują — rozmowa płynie gwarnie jak źródło wiosenny po bławatach doliny — w tem jeden z gości Szymon z Arymatei rzekł: Arcy-Kapłanie! co to za dziwnie mądrości pachole było wczoraj w świątyni naszej!...

ARCY-KAPŁAN.

Symeonie! miałem ci o nim dać świadectwo — oto wczoraj siedzieli przedni starszy uczeni ksiąg w synagodze — a wśród nich znalazło się pachole proste — i jeło z nimi mówić o tajemnicach pisma — a jako z głębi wielkiej płynęły myśli jego, że nie raz oświecił mędrców zadumane i wątpliwe — palec Boży jest na tem dziecięciu — i cała świątynia zemną słuchała go uchem jednym...

SZYMON Z ARYMATEI.

A później, gdy go z rumieńcem radości i pokory odszukała matka wśród mędrców zdumionych!... Tam wszystkie niewinny plakały. — Arcy-Kapłanie! ja niemam matki — a radość czulem, jakby to matka moja była!...

SZYMON (później Piotr).

Arcy-Kapłanie! to dziecię wielkie będzie w imię Jehowy. —

SYMEON.

Niech będzie wielkie imię Judei. —

BENIAMIN.

Niech nam da szczęście ten prorok młody. —

MARYA MARTA.

Niech błogosławi dom nasz i trzody nasze. —

MARYA MAGDALENA.

Mnie niech spokojność wróci!...

ANIOL (niewidomy).

Wróci ją ... wróci!...

SYMEON (zamyślony).

Arcy-Kapłanie — twoje tylko słowa napelniają mnie o tem dziecięciu pociechą...

JEDEN Z GOŚCI DO DRUGIEGO.

Patrz, jaka ta Marya Magdalena zamyślona nic nie rzekła od początku godów — smutna i piękna jak kwiat spalony skwarem.

JEDNA ZE SŁUŻEBNIC PRZECHODZĄC.

Więcej grzybów znalazłam wczora, niż ona dziś słów rzekła.

DRUGI Z GOŚCI.

Nieuszło mi z oczu — ona tak roztargniona o! ta wieść o chłopięciu, co się rozbiegła po Judei, w takie zamyślenie ją wprawia — kiedy mówił arcykapłan, widziałem — łza jej upadła — a potem miast chleba różę do ust włożyła — aż z śmiechem ostrzegły ją służebnice.

TRZECI Z GOŚCI SZERPCE.

O! Marya ... jaka ona piękna — kiedy w nią patrzę — szczęśliwym — gdy jej niema, tak mi smutno! tęskno — o! gdyby oczy moje rzekły ci, jak ja Cię kocham ... Marya...

SYMEON.

Uczta nasza spokojna była i cicha, jak los ziemi naszej — dzieci moje — szczęśliwacie bądźcie — niż ojciec wasz!...

ARCY-KAPŁAN.

Pokój domowi temu!...

(powstaje).

(godownicy rozchodzą się).

SYMEON.

Niech służebniki z pochodniami i pieśnią weselną — odwiodą Maryę Martę — ku domowi męża jej Beniamina. —

MARYA MARTA I BENIAMIN.

Ojciec błogosław jeszcze raz!...

SYMEON.

Ręce moje kładę na głowach waszych — a serce moje bije miłością proroczą wam kwoli i dzieci waszych! z wami dusza moja. —

(Para odchodzi, za nią chór słabośnych z pochodniami, śpiewając.)

CHÓR.

Wiedziem — wiedziem Panią naszą — młodą — czystą —
wiedziem piękną i niepokalaną w dom oblubieńca jej —
wiedziem cudną — wiedziem! jak słोisko poranne splotioną ...
wiedziem!...

(śpiew ginie).

I sama została Marya Magdalena w komnacie biesiadnej —
już pusto do kola — kilka świateł już zgasło ... kilka jeszcze
plonie — ale i te zgasną niedługo — a jej śnieżne czoło schyli-
ło się w myślach i opadło na pierś białą — Marya Magdalena
duma o mądrzem chłopięciu, o którym mówił arcykapłan na go-
dach ... i niewiedząc czemu zadumała się Marya, i serce
ozwało się w piersi jak dotąd nie było ... a oczy potoczyły się
ku niebu i w niebo wzniosły ramiona. — W tem Symeon wszedł
z Arcy-Kapłanem w cichej rozmowie i przerwał zadumanie
Maryi Magdaleny. — Ojczy! błogosław to jedyne jeszcze dziecko
moje!... błogosław młodości jej! — witałem ją z radością na
świecie — a życie jej boleścią okupiłem — i kochałem ją nieco
nad córkę moją Maryę Martę — boć tamta o domowe tro-
szczyła się rzeczy niebaczna piękności świata i duszy — a ta
dziewica od chwili pierwszych oddechów myślała wyższą —
błogosław ją Arcy-Kapłanie!... I starzec wznosił oczy ku niebu
z myślami swojemi, a ręce złożył na złotowłosej głowie Maryi
— Maryi Magdaleny — a Marya przykłęka i po raz pierwszy
w młodości swej płakała rzewnie jak dziecko — a Symeon mi-
czał jak grób — w ponurych śnąc tonął myślach — Arcy-Kapłan
już usta otwierał natchnieniem słów Mojżeszowych — Dawidów
głosem — w tem opuścił ręce i zawołał — ciemno! — — —
ciemno dokoła — pogasały światła — zapalić pochodnie — czemu
ciemno?!... Płoną światła Arcy-Kapłanie rzekł Symeon. —
Płonie księżyc w swej pełni jętką klęcząca Marya — ojczy!
niech próżno nieczekam na siły słowo — na błogosławieństwa

słowo bom smutna — o — toć jasno dokoła — błogosław mi! —
Osłepiem! krzyknął Arcy-Kapłan i umikł w przerażeniu — a
Symeon ujął dłoń jego — a Marya Magdalena ujęła drugą dłoń
jego w drżące dłonie prosząc by błogosławił. — Osłepiem dzie-
wico — gdy miał błogosławić tobie — błogosławić tobie nie-
mogę ... i wyszedł zwolna, wiedział przez smutnego Symeona
— a u progu odwrócił się raz jeszcze — lecz twarz jego
jaśniała jakimś blaskiem natchnienia i rzekł głośno. Może
jaki prorok błogosławić ci będzie!... i zniknął z Symeonem —
a Marya pozostała długo jeszcze — klęcząca jak posąg świętyni
— ustom jej uleciało: Może jaki prorok błogosławić ci będzie
— i nagle jak spłoszony labędy zerwała się i pobięła w ogród —
kiedy noc cicha poglądała gwiazd oczyma ku ziemi — a kiedy
pod starą figą swoją stanęła w cichem zadumaniu, ujrzała
w dali dwoje oczu, nito dwie iskry — zdala zbliżające się ku
niej — i palące jej serce — zbliżył się zwolna człowiek cudzy,
on znany już Maryi Magdaleny — czy jej widziały go raz już
i nieodwróciły się — zarumieniła się twarz jej i milcząc znowu
podniosła oko i śmiejeł poglądała już w cudzego spójrzenie a
on zbliżył się i twarz swoją odsonił śmiejeł — odwinął togi
purpurowej a pierś jego śnać młoda oddychała mocno — a
twarz jego była biada i namiętna, wzrok zaś jego smutny i do
piorunu podobien — kiedy pęcha po czarnych chmur łonie — i
rękę białą wyciągnął ku Maryi Magdaleni — a dotknął jej
dłoni — i iskry tajemnej rozkoszy przeleciały po całej postaci
dziewicy — i spłonęła — lecz milczała patrząc ciągle w twarz
smutną — jakby oczy wypatrzyć chciała ... a on siadł przy niej
na ziół pościeli i mówił rzewnym stu strumyków głosem, co żę-
gnąją źródło swoje lecąc w świat ciemny: «Wiesz Maryo
Magdaleno — ten świat niejest światem! Ten Jehowa niejest
Jehową — i życie niejest życiem! To całe życie — światem
zwane — to jest wielki sen w głowie olbrzymia — on śni teraz —
i nas w śnie swoim stwarza — a ma nas dopiero wyśnić czymem
po wiekach — my błądzim tu — krążym — zdaje nam się, że
żyjemy — a my snem tylko — kiedy się zbudzi ów olbrzym —
w jego głowie sen zniknie i my się marnie rozwijem na waze
wiatry, Maryo Magdaleno Marya milczała i niechciała
słuchać czarownych słów głosu, co smutno męlały w jej głowie

a jednak słuchała i rzekła: Ale w chwili zbudzenia on olbrzym znowu nas stworzy żywych — wyśnionych snem — bo myśny snem pięknym ... nieprawdaż?... i nagle przerażona chwyciła się za ramię czyli snem tylko niejest — a poczuwszy błąd swój, uśmiechnęła się gorzko — lecz on młodzieniec twarz smatną już osłonił w togę i odchodził między drzewa — a kiedy Marya Magdalena podniosła oczy niebieskie na niego — on już nikał w cieniu liści i kwiatów — raz tylko błysnęły jeszcze dwa węgle spójrzeń jego — z za krzaka róży Jerychońskiej — i znikły — a Marya Magdalena długo za nim patrzyła, niewiedząc czemu, zasmucona — i zdało jej się, że usłyszała w dali śmiech szyderczy — straszliwy — jak głos kota wśród wichrów nocy — ale głos ten wydał jej się płaczem głośnym — rzewnym — smutnego dziecięcia, że sama smutna zasłochała głośno — niewiedząc czemu? a później pytała siebie: czyj to był śmiech?... aniola li stróża wiosny mojej... czyj to był płacz?... młodzieńca smutnego?... i niesłyszała, co odrzekła sama sobie, tak głośno serce jej drgało — gdy śmiech ten zlał się w śpiew gorzki i konał takimi rozdźwiękami:

I z moich cierpień milczącą ofiarą
I z mych katuszy śmiechem obłąkania,
Pójdę — poniosę z tych popiołów czarą —
Na koniec świata — śmiech i urągania!...

O piękna moja! czemu Ci nie bratem —
O — gdybyś była siostrą mą ... tak lubo
Nam by ten było — życie jednym kwiatem,
I szczęście naszą niechybno zgubą...

Ty byś rękona opłotał mi szyję
Ja bym twe usta z uśmiechem całował...
W twe oko patrzył ... ha!... przeklinam zmięj
Co mnie strąciła — kiedyś się ratowałam!'

Marya drżąc słuchała tych głosów — ale ując musiała — bo coraz głośniejsz grzmiało niebo — i z czarnych chmur na

' Podług Hebrajskiej piosenki dawnej. —

wałą tryskały ogniste błyskawice — ogrzewając burzę — w bliskości...

Z G R Y Z O T A.

Wesoła jesień w Judei — albowiem ciężkie winnice dorodne schylają grona — a słońce krwawo zachodząc — widzi każdego Pana jak zbiera z gałzi i składa wina swoje. — Liście acz zielone i świeże jeszcze ... nie są już liśćmi wiosennymi — lecz czerwienieją — owoc ciężki na schylonej gałzi zastąpił ich piękność — ziemio liczne twe zbioru!... ale tyś zbyt nie zbiorom rada!

Chłodny powiew wieczoru poruszał listki na drzewie figowem, pod którym siadała Marya Magdalena — od miesiąca już siada tu smutna i milcząca — jej czoło jasne — schylone ciężarem wstydu — jej dusza brzemienna ciężarem sromu — jej pierś ciężarem winy! Marya Magdalena płacze gorzko dni całe i nocy całe bezsenne na łożu swoim — na twarzy jej znać długie walki — a boleść na ustach wydeptała ślad głęboki — ów cudzy milczący znikł — i niewiadł rąka togi jego. — Tyś Rzymianin krzyknęła Marya Magdalena — poczuwszy ciężar swej winy — Rzymianin!... rozsiadł się głośno, a znikł w czarnym dymiącym obłoku — i było słychać cichy — coraz to oddalający się ale coraz głośniejszy płacz aniola wiosny Maryi Magdaleny. — Jej oczy już dawno niewidziały postaci jego — stąknione — ciężkie łzami i winą — jak ziemia deszczu spragniona, gdy chwistem porasta — jej twarz zółkła, oczy jej smutne zapadły — i targala naprzędno włosy warkoców swoich, przeklinając dni swoje — i winę swoją biada! biada!... łona do którego przylgnęłam pierśnią moją czystą — dziewczęcą — sercem rzewnem do serca podłości — biada! biada mi! .. piekło otchłanie otwiera przedemną — lecz poźreć mnie nie chce — ziemia pochłonać mnie nie chce — o przekleśtaś ziemi! i piekło stokroć przekleśta, że mnie pochłonać nie chcecie! .. głośno jęczała Magdalena winy swojej — i głazem ziemnym tłukła wściekłością żalu piersi białe, a piersi nie pękły — tylko krew purpurowa na chwilę popłynęła z rany i płynęć przestała — Marya Magdalena głośniejsz zwierza wyla

winę swoją, jak anioł upadły, co się szatanem uczuł — o! jasny jest anioł aniołem — lecz ciemniejszy anioł szatanem! Lecz cała przyszła nędra i trwoga Maryi błądy i rozpraszały się — przy tej jednej okropnej myśli, że Jehowę, którego kochała nad siły sił swoich, obraziła — i odbiegła jego głosu. — — I Symeon pod cyprysem starym na kamieniu zadumany nad smutkiem dziecięcia swego, posłyszał własne jej słowa za głosem wyrzuczone — słowa jej winy — i żal — i srom — a zadźwiał w głębiach człowieczeństwa — ale po chwili w ogromnej miłości przebaczył pomyślawszy, że starcem jest — i poszedł ku Maryi Magdalenie — białym włosem głowy swojej otarł lzy dziecięcia — mówiąc: Przebolełem! przebaczam Ci!... gdzie on — kto on, niech Cię pojmie Maryo! — — «Symeonie! Symeonie!... daj mi się ukryć w piekła podziemne przed wzrokiem twoim — przed ojczyzną twoją — daj mi się włożyć w sieć włosów moich, niech skamienieję jak skała — a ja w nich przepokutuję me winy!... ojeze!... ty coś mnie tak kochał — pieścił nad źrenicę oka twego ... przeklątam!... ojeze!... jego wrzak był chytry — a podłe uwiódł litość moją — a jego ramię było pieszczące z razu jak powój — a potem silne, żelazne, zimne — przemocne!... on mi mówił o zrównaniu i wspólności — o śnie jakimś straszliwym — i o przyszłości naszej — o przyszłości narodów — i zapłatał me serce jak machę w sieć piorunową słów — a ramiona moje zapłatał w toę!...

Toga! Toga! Toga!...

zaryczał Symeon jak lew pustyni — toga!... w wym domu ... i porwał ramiona córki bladej — i wstrząsłszy je piorunem — oczyma patrzył chwilę w oczy jej trwożne — przobódl ją spójrzaniem i rzekł toga! i jękał cicho jakby usypiała — i puścił ją na ziemię — a siłą cierpieniem zarzucił płaszczem swoim białym — i zgrzytając toga! odwrócił oczy — i oczy wznosił ku niebu — i spójrzył w błękity Jehowy — i Jehowie rzekł Toga!... i porwał na ręce cierpiącą Maryę Magdalenę — i wyniósł jak dziecię na podwórze domu swego — a kładąc na ziemi — nierzucając jej o głazy — rzekł lękając już tajemnie Toga!... zdradca dziecię ... i wyciągnął ramiona nad udręczoną niewiaścą młodą — jak do błogosławieństwa i rzekł Toga! — i przeklął — a

wzłonił wejść do domu swego póki żyw ... i jęcząc już ciszej Toga, potoczył się ku domowi.

Maryo Magdaleno — wznosisz zwolna głowę po męczarniach twoich — jak po śnie kamiennym — ty milczyłaś — bo w tych boleściach wszystkie jęki już uleciały błagać za tobą — a na tę boleść niema jęku! wszystkie lzy roztrwonilaś — oko błękitne jak suche źródło — plonie, niema już już na to cierpienie, Maryo Magdaleno, ty jesteś sierotą — miałaś być matką sierocie — niebędziesz nią!... Po tobie zostanie tylko smutek kamieniem — i krew twoja na kamieniach — póki się niezatrze — Maryo! Maryo Magdaleno!... Ty wznosiłaś głowę, nieśmiałaś jej podnieść całkiem, oczu zbłąkanych wzniesić w niebiosa chciałaś — by je zamknąć by spać — spać na wieki — i po wiekach wieków — ale ty nieśpisz — bo w twoje ucho grom uderzył — ty słyszysz żałośnie jęki, w domu ojcu twego słyszysz głosy: Biada nam! Symeon patriarchyka nieżyje.

Ty nieśmiesz pelzać ku domowi temu — chcesz strzaskać skronie u zwłok ojca — dotknąć szat trupa jego, jękiem go wkrzesić — chcesz tam iść a niemożesz — biada ci Maryo Magdaleno! — oto zdaleka ... patrz — budząca się, oto z daleka idzie postać wesoła piękna — czarnobrewa. — Zielonem okryta odzieniem, na rękę niesie male czarnobrewę dziecię — to Marya Marta! dziecię swoje — sama jak dziecię szczęśliwa — wnuka niesie Symeonowi, przeszła mimo i niewidziała Ciebie — i śmiejąca z lzą radości weszła w próg domu gdzie śpiewają: Biada nam!... O! chwila niedługa — a znowu biegnie taż sama postać, biegnie ku tobie zaplakana — i woła: oddaj mi ojca! Symeona oddaj mi, piękna gazdino! wróć mi Symeona zbrodniarko!... I chce przystąpić do niej pełna wstrętu, a niemoże. — Litości!... pomyślała Marya Magdalena, pomyślała lecz niewyrzekała, bo choć w męczarniach jest, niechce litości i siostra odeszła zaplakana, bo smać litość wstrząsła Jej sercem, a z domu było już słychać głos jej smutny złaczony z głosami innych: Biada nam! I wkrótce z domu wyszedł orszak, czarnym ze srebrem odziany kirem, śpiewając: Biada nam! i niosąc zwłoki Symeona ku grobom ojców jego, a Marya Magdalena

silniejsza, wydarła kamień z ziemi a bijąc się w piersi nuciła także, nuciła z obłąkaniem — biada nam! Toga! biada nam! toga! toga!... i patrzyła za orszakami, co znikł — i chwyciła śpiew, co znikł, tłukąc się w piersi — a piersi niepłkły. —

Cień jakis jak upiór — kroczy ku tobie chorej — to Leli — stara Leli, litościwą przejętą — wlecz się ku tobie i nieś arfę twoją, przysłała i zajęczała: przekłetas! idź w świat jak ci kazał, a oto arfa twoja, weź ją z sobą — żebrząc, śpiewać będziesz — na kawalek chłoba! i zwlekła się znów ku domowi, i siadła w progu patrząc z daleka na córkę Sary, a tak siedząc, usnęła smem starości — na zawsze, a Marya Magdalena chciała strun ręką dotknąć — lecz ręką niesłucha — więc uszy drżącemi — tknęła złotych strun — i struny oddały dźwiękiem płaczu pocałunek rozpaczy.

W JERUZALEM.

Oto tłum różny zbiegł się dokoła a w środku stoi biada niewiasta; jak biały posąg stoi, szaty jej opuszczone, oczy błędne — i włosem wiatr powiewa, a ona z arfą w dłoni — nuci pieśń za srebrniki tłumy... uderzyła w arfę swą — i ikającym śpiewała głosem: «Rano wschodzisz o słońce, ziemi oblubieńcze z chmur łoża i wieczór w nie zasypiasz. — A wschodząc i zachodząc, widzisz palm wesole grono... co szepeć śród winnic nad Jordana brzegi — i drż rozkoszą. Lecz jedna z nich niedrży rozkoszą, ale schylona k' ziemi — bez liścia. —

Uschnięta w niebo suche niesie ramiona. —

Suchym jęcząc głosem: Biada!...

A palmy ławce powtórzą znów: Biada! i znów cisza nad brzegmi Jordanu.

I cicho płyną fale jego...

Ciszej płyniesz o życie sieroty. —

Przekłete — życie człowieka!!»

Tu z pieśnią umilkła — z oczyma w dół spuszczone — a kilka rąk cisnęło jej kilka monet — a zbierając je w łachmany

otała oczy błękitne — zapadłe — jękla z boleścią — i padła o ziem jako palma wichrem burzy zwalona.

Wściekłaś o chwilo rozpaczy, kiedy po walkach daremnych seree jak fala pęknięte o skały winy — zwątpi o sobie, kiedy oko nieśmie spojrzeć tam! w gwiazdy — a w oku łzy już niema, o biada wtedy ciała i duchowi — godzina taka wybiła... nie-szczągliwym!... przekłętym!...

Lecz jeśli wśród walk życia — w chaosie cnót i zbrodni, łez i rozkoszy, ciszy i burzy, błysnie jaśniejsza chwila, jak kwiatek na fal powodzi, białego dłoni, co chwyci się tego kwiatka i uwierzy, że ten kwiatek z głębi ją wyrwie!... Taką byłaś o myśli moja! kiedy twój promień pałał się na blaskach klejnotów i proźności Faryzeusza!...

Któż w Jeruzolimie niezna możnego domu najbogatszego z Faryzeuszów? dach jego domu przyjmuje wszelkich cudzoziemców, by po różnych ziemiach glosili możność i łaskawość dobrodzieja... przed jego oknami tłumy żebractwa pełnąc próśniami imię jego wymieniają — aż je głośna trąba wezwie do jałmużny. — W tym domu dziś biesiada. — Wielka, huczna biesiada! bo najbogatszy z Faryzeuszów wyprawia ucztę dla pięknej niewiasty — do której się przywiózł jak pies — która przysłała z daleka w dom jego — i tłum Żydów i drugi tłum cudzoziemców niemożo oczu oderwać od twarzą cudnych wdzięków i stroju lśniącego klejnotami — oto po prawej sama za stołem — a po jej lewej siedzi sam Pan domu wśród biesiadników tłumy — reszta rozchodzi się po wspaniałych komnatach, a z ust do ust przebiega imię Marya Magdalena... Ona z włosem złotym wonnym balsmem ziół górskich sznur pereł na rozziany po głowie, co we wieńcu pomarańczowym jak rosa gwieździ — pod łukami brwi jasnych, niebieskie ciemne oko strzela pognięcie — i usta uśmiechają się wesolo niły... ale wesolosić jej błędna... i uśmiech ten płaczący niejest nieumyślnym uśmiechem — ni to spojrzanie czystego anioła spojrzaniem — i lica jej piękne blade badością wielką — po jej śnieżnych barkach

upina się śnieżna szata w błękitne narzucane kwiecie — i u łona zielone z kwiatem namiętym unoszą się liście jaśminu — a w rękę zemdlaly kwiat róży Jerychońskiej ... na białych jej ramionach dwa krągłe dolki błyszczą bielą, w które nieśmiało całuje ją Faryzeusz — dumny i szczęsny Pan raz wzrokiem miłości pogląda w oczy swej oblubienicy, u nóg której, rozkochany, jak pies gotów głowę położyć, a raz okiem dumy patrzy w tłum, pyszniąc się klejnotem Judei — albowiem Judea niema takiej jak ta niewiasty! — U środka komnaty stało dwóch młodzieńców, różnych twarzą — a jednakich strojem i wiekiem — a różnych i myślą w tej chwili, acz niepodobnych sobie w życiu — jeden jest pieśniarz Grecki, gotów co chwila wśród dziewcząt i owoców zaiskrzyć wzrok — i rozśmieszyć usta godową Anakreonta pieśnią, a na wino i na imię pieśni swej zaklinał się przed towarzyszem swym, że we tłumie bachantek Jońskich takiej niema ... że na olimpie Boginie jej nierównie! — A drugi z wyniosłem czołem i księgą pod pachą szerokim odziany płaszczem, miał znajmy myśli na twarzy — był to uczeń z późnej szkoły uczniów Platona i w duchu cieszył się iż widział jedną, jedną piękność duchową — a sercem już przyglądał do niej — tęsknem w jej oko tonąc okiem. — Za stołem w szerokiej tozde bogato bramowanej, co spadając słała się purpurą po marmurach podłogi, siedział bogaty Rzymianin młody — i pożerał tę postać w milczeniu ... rozpaczy i szyderstwa nie człowieczego — Ona ze wzgardą oczy odwróciła od togi. — Tłum napawał się jej pięknosciami — a jej obryzdała ta piękność, bo marzyła o innej piękności, którą poznała tracąc ją ... I powstało grono biesiadników od stołu — pijane i zmysłowe rozsławiając usta, gwar uwiebiaenia wrzał dokoła, w ten zatrąbiono na godzinę jalmużny — i goście poszli przyglądać się wspaniałości pana Jalmużnika, co garściami siał z pychą złoto swoje, między ubóstwo ludu — gardząc motłochem. — A w biesiadnej komnacie została sama jedna Maryja Magdalena — a z jej lica zgasyły iskry uśmiechu — oczy pobladły smutkiem — a z wzgardą patrzyła na tłumem idącym ku drzwom podwórza — i stargawszy perły warkoczów swoich — a zdartszy biesiadny wieniec, z kwiatami tylko u łona wybiegła z tego domu — przysięgłszy niewrócić w podłe progi

pychy i próżności jego ... tam zostawiła strój, który z siebie zdarła — cały — i nieumiała nic prócz zgrzyzoty w sercu — i cicho w biesiadnej komnacie na kwiatkach kobierca błyszczą perły jej włosów i łzy jej oczu przy sobie, jak rosa poranna na łące — w tem wbiegli słudzy a ujrawszy perły, zbierali je chwiei, zostawiając łzy drzące a wtedy słońce strzeliło w okna, złotym promieniem zebrało z wiatów kobierca, łzy żalu Maryi — Maryi Magdaleny ...

Gwar i krzyk wesela na ulicach Jerozolimy — lud cisnie się tłumnie dokoła, matki niosą radosne niemowlęta, dziewice wiodą starych ojców i mgłowie żony swoje — i młodzieńcy oblubienice swoje, tłum woła jakiem radości, duch wesela stąpił w serca tłumu, choć tłum niewie skąd? oto środkiem jego wśród okrzyków zachwyta, zwolna kroczy chuda oślica — niosąc na sobie świętą postać Boga w skromnej postaci człowieka — a lud rzuca rymy i szaty przed niego — i jego szaty całując — woła ogromnie: «Jezus! Jezus Nazareński!...»

Wśród różnego tłumu oto Maryja Marta z małym Symeonem na rękę — wesela i poważna — oparta na Beniaminem mgłu swoim — a niedaleko niej, smutną wzniosła nad tłumem głowę niewiasty, piękna i dzika z rozwianym włosom w nachwieniu patrzy w twarz przejeżdżającego — usta jej otwarte dawnonią zębami — ramiona drżą żywo — i oczy zapadłe otwarła jakby je wypatrzyć chciała — a widząc lica Jego smutne — płacze gorącemi łzami zachwyta i radości ... i wyciąga rękę ale nieśmie tknąć szaty jego, jak posąg stoi niema śród powodzi tłumu, co mimo przepływa — a serce jej bijąc głośno woła: O nim marzyłam!... i czuje chwilę pocięchy — Maryja Magdalena schyla czoło — a rozplotszy włosy — cisnęła palmę świeżą — którą miała w drogiej dłoni — i ustami dotknęła szat przejeżdżającego — i ukłękła milcząca — a mimo przeszła oślica i przeszedł tłum obok kłęczącej — a ona jak głaz kłęcząc milczała, wołając krzykiem duszy swojej: To marzyłam!... i schyliła kornie czoło swoje, wołując ze łzami i

ciągnąc rękę ku niebu, jęczał jak gołąb z ramiony chcący z ziemi ulecieć w niebo: Kocham! on przebaczy!...

G O L G O T A .

Ku Golgocie dąży Marya — Marya Magdalena, sily jej opadają — ziemia się zatrząsała, zasłona rozdarła się w świątyni — i w niej serce się rozdarło ale boleścią męki Chrystusa i część jego światową odrzuciła precz — szczyt kędy dąży strony i droga trudna, lecz oto idąc pod górę, spotkała wracającą Maryą Nazareńską jak lilij zlamaną, twarz jej była jak gwiazda biała — a wsparta była na Janie Apostole — i obok szła dziewica Weronika i błądy człowiek imienia Agabus...

Błogosław mi! matko boleści... zawołała Magdalena padając u nóg jej jako ptak zraniony — o błogosław, bym doszła do szczytu modlił się u krzyża jego. — Wtedy Matka boleści ręce swe białe złożyła na ciężkiej głowie sieroty i rzekła «Idź!» a Weronika ukazała jej chustę białą z twarzą Boga człowieka z całą męką i niosą jej — a wtenczas powstała silna — i szła dalej pod Golgotę Marya Magdalena.

Wieczór osłonil ziemi szczyty, noc schyla się nad Judeę — biedna Judeo!... głuchsza noc Cię pochłonie ... noc wieczna, nieprzespiana — a dzieci two rozypią się po kuli ziemskiej jak nurówki, którym rozwalono mrowisko, jak orłowie, którym burza rozewała gniazdo ... Coraz ciemniej nad ziemią — chmury lecą po żalobnym niebie a na Golgocie wielka cisza — jak po burzy — Golgota zadumana wznosi swe skronie nad Jerozolimą i duma!... o dniu dzisiejszym ... pasta już Golgota — ale dziś tłumy deptały jej szczyt — oto trzy krzyże stoją wbite w ziemię i niosą w górę wielkie ramiona, dwa, grubsze po boku a jeden gładki w środku wyciąga na świat pokrwawione ramiona niezemdlące — i niemi błogosławi światom! światów! Dziś był straszny dzień męki i skonu, albowiem na dwóch krzyżach skonały dwa lotry — a wśród nich Jezus Nazareński. Ale

ludź Izraela niewierzył w niego — grzmotnął kamieniem bluźnierstw pierś krwawą — wszyscy rozpierszchli się uczniowie jego — i zabity skonał — — oto na sabat zdjęto już ciało jego i zaniesiono do grobu, w którym jeszcze nikt nieleżał.....

Krzyż w środku pusty a po bokach jeszcze wiszą dwa trupy zloczyńców. — Ciemno już, lecz widać jeszcze ich twarze — — oto jedna schylona spokojnie gdyby usnęła marząc o raju, u wisła na powrozech kłótemi barki skrupowane ... usta przymknięte nieskonaly śnąc przeklinając — bo spokojnie uśmiechowi równa okryła spalone wargi... Postać drugiego lotra bez wiary — pełna bluźnierstwa i zbrodni — po niej wściekła namiętność wydeptała swe ślady, żebra wyskoczyły chcą z trupa — tak śnąc mocował w i drgał konając — a ręce jego i nogi wryły się w powróż, którego stargał niezdołaly — usta jego spienione musialy kłgąć strasznie konając, oczy w półotwarte wywrotem patrzył jak piekło. To założyciel rodziny, wszystkich — dziś bluźniących zbawicielowi — acz złałale bielmem śmierci ... biała mu — ostatnią myśl jego była zbrodnia!... Oba kości polamane dla przedszego skonu — a krzyk ich boleści jeszcze drga nad Golgotą ... lecz oba już nieżyją — a na Golgocie cicho — nawet Marya Matka Jezusa odeszła z Janem uczniem jego za ciałem... Lecz cóż za postać biała nito chmurą śnieżną z niebios spadła — bieli się tam ... u stóp krzyża, na którym catory zgłoski i krew? ... Postać niewieścia — smutna i milcząca — oplotła ramionami krzyż — a milcząc przykłada usta do niego, szepcząc coś — a na pół myśląc całuje drzewo ustami, jakby zeń słodycz pszczołą wysysała... Oczy jej niebieskie w czarne unoszą się niebo — czoło długim włosem okrywa ramiona, a myśli jej daleko odbiegły skrzydłami modlitwy goniąc mistrza, w którego uwierzyła do końca ... oczy to, Bóg widzi, oczy Maryi Magdaleny, córki Symeonowej, grzesznicy omówionej w Judei — pięknej a rozkosznej, ale z oczu jej łzy za łzami lecą — a ona milczy, jakby na myśl swą głosu nie miała ... i niema długo krzyż trzyma w objęciu swoim.....

A z krzyża spadła ostatnia kropla krwi — i na jej głowę upadła.....

I noc — i cisza na Golgotcie!

I wzniosła się jak kwiat po rosie — i jasno w jej duszy — acz niewie o tej kropki, co upadła na jej smutną skroń...

Oto szelest u stóp Golgoty, kilka oprawców spieszy jeszcze zdjąć z krzyżów ciała dwa złoczyńców. — Ciemno już całkiem do koła idąc przy pochodniach — a Marya Magdalena słysząc ich z daleka ścisnęła raz jeszcze krzyż w ramiona z wszystkich sił swoich — i nagle drugą stroną Golgoty znikła jak cień przy pochodniach oprawców, co jej niewidzieli... a Marya Magdalena odeszła nie przeto by się ich lękała* — lecz ażeby modlitwy jej i stanu serca jej podłych oczy niewidziały...

I oto trzech oprawców staje u szczytu Golgoty — by zdejmować z dwóch krzyżów pozostałe ciała — ich wzrok dziki i krwawy — a ognisty ich włos:

PIERWSZY.

Śpieszno braciśki śpieszno, bo zapada noc — noc głęboka — zdejmujemy z krzyżów te zbrojce...

DRUGI.

Ha! patrz jaki śmieszny ten łajdak! dzieci mordował za Heroda jeszcze... oko jego krwawem patrzy bielmem!... to mistrz Barabassa!

PIERWSZY.

Ale ten drugi inny kształtem — choć ma ramiona poprzetręcane i żebro mu bokiem wylazło... patrz on się śmieje jakby się śmiał ze śmierci — ze święta!

TRZECI.

Jaki spokojny!

PIERWSZY.

Ha! ha! spokojny — to mi spokój...

DRUGI.

Coś jak ten Nazareńczyk...

TRZECI.

Powiadam tobie: Milcz!...

PIERWSZY.

To ci coś wgardle ugrzęzła ta oś Nazareńska!... niech teraz prorokuje, niech prawi o sobie i prawdzie swojej, co będzie do końca świata ze słowem jego. — —

DRUGI.

Teraz mu ciepło w tej ciemnej jaskini. — Robacy stoczą jego rany a gdy mu robak z gęby wyjrzy — niech mu powie, że jest synem Boga żywego! niech wstanie jako rzekł!...

TRZECI.

A jak wstanie?...

PIERWSZY.

Pierwej ja padnę! — Krzyżowałbym drugi raz, tak mi strach tego bezbronnoścą lica spokoju. — —

DRUGI.

Patrzaj — jemu ży cięka — hańba!...

PIERWSZY.

Wartbyś krzyża!... no ciągnij tego lotra!...

TRZECI.

Zgasła mi pochodnia!

DRUGI.

Cha! cha! lza upadła i zgasła — my nieplaczem — a płoną nasze świece. — —

TRZECI.

Jam był opętany — on mnie wyzwolił. —

DRUGI.

I cóż — toć mnie wzrok przywrócił, a dlatego mu dobrze nogę na nogę przygwoździł!...

TRZECI.

No! już nieśmy. —

DRUGI.

Porzućś łal niebezpieczny. — Cezar dziś Bogiem świata!...
on silny — groźny! rzuc' łale, upijem się dziś przy grobie
jego na straży, ciężki tam głaz!...

TRZECI.

Zgoda — jużem wesół — nieśmiły!...

I ponieśli trzej oprawy ciała zbójców — głosy ich roz-
leciały się po ziemi i znikły, a w górze stoją trzy krzyże
z wzniesionemi nad ziemią w górę ramiony i noc i cisza
na Golgocie. — —

Pierwszy promień słońca błysnął nad Judeą. Jerozolimy
szczyty błyskają jasno — i toną w niebiesiach. — Oliwnej góry
zielone skronie mgłą jeszcze owiane, a słońce oświeca próżny
już grób Jezusa Nazareńskiego. — — Do grobu jego przybiega
smutna Marya Magdalena, chce ukwiecić i zwilić martwe
ciało jego — lecz kamień grobu odwalony a nad grobem mło-
dzieńce jasny z uśmiechem wesela niebios i okiem dziewiczym
wita Maryą Magdalenę — a kiedy trwożna pyta o zbawcę świata
Anioł rzekł jej jak Arja:

Ten którego szkalasz zamartwych powstał i już u Ojca jest!...
a w jasnym kształcie anielskim ulatując w niebo śpiewał coraz
ciszej a jednak coraz głośniej:

W świętość powraca co święte
Co ziemskie w ziemię powraca,
Kona z piekłem co przekłęte
Hozanna! męka! krew! praca!...
Emanuel Hosanna!...

I uleciał głos ten, a Marya Magdalena widziała anioła swęj
wiosny — a postać jego znikła jak gwiazdka w niebiesiach... i
próżno wołała we łzach, aniele wiosny mojej. Gdzie Pan mój!
kiedy wiosna moja? kiedy sny dzieciństwa złote!... Lecz próżno
wołała i zeszała do grobu — lecz nie znalazła — prócz ma-
jestatu ciszy i mirtu, którym zwłoki obrzucono — więc
widzenie to poczytała za sen i długo płacząc bila jasnym o
głazy czołem, pytając głazów: gdzie mistrz mój Emanuel? lecz
głazy milczały — i wybiegła z grobu ludzi pytać Marya Mag-

dalena — — o! czyż jej ludzie więcej od głazów powiedzą?...
gorsi i głupszy od głazów! I cicho było koło grobu jak mimo
gniazda z którego ptak uleciał — tylko u wejścia klęczał
człowiek na kiju pasterskim oparty — i głowę pochylał
w modlitwie czy zadumania; wiatr powiewał jego siwą brodą
i włosom, co już gołąbiami popielniał siwizną — ale twarz jego
acz zmarszczona, zdawała się jara swobodą myśli. — Marya
stanęła i chciała go pytać — lecz On wznosił na nią oczy
i niewiasto! rzekł powoli, ty zdajesz się wątpić jeszcze?
o! wierz z prostotą a w powoleniu domasz... Słuchaj — powiem
ci dzieje mej młodości — a poznasz, że Pan niegardzi smutnem
sercem co wierzy. — Byłem pasterczem na wzgórzach Betleemu.
— Było nas trzech — Józef, Tadeusz i ja Nathaniel — jednego
Pana paśliśmy trzody i pacholętami przyglęliśmy do siebie
i razem zawsze razem byli przy sobie nasze czyste młode serca
do dwudziestej wiosny życia naszego, jak zróżnła gór jednakich,
co się w świat rozbieżne miały — ku jednemu morzu!... roz-
pierszciliśmy się z trzodami po świecie, ale dusze nasze razem
— i kocham ich dziś jak wtedy jak orlica pisklęta swoje, jak
pszczoła miód swój — bardziej niż serce i krew moja — jak
duszę moją!... ze słońcem wstawaliśmy i gnali trzody nasze,
jedne śpiewając piosnki i na fujarkach przygrywając — i nieraz
nocując na łąkach długo siadaliśmy razem przy ogniskach
śród nocy — lub leżąc na sianie trzej w ramionach swoich pod
wielką skalą — i byliśmy jak trzy kwiaty na jednym ugorze
których woń wspólna ulata aż skonają — i nieraz tak na trawie
leżąc przy sobie przezwaryliśmy noc całą o łąkach — kwia-
tach — dziewicach — trzodach — i o dusznych naszych — i o
wielkim Jehowie, co stworzył gwiazdy, kwiaty, dziewice — i
dusze nasze — aż w końcu umilkliśmy i już słowa nierzekli —
oczy nasze tonęły w gwiazdach niebiosów — a dusze nasze
w zachwycie śpiewały hymn miłozenia — już tylko oczy i ust
a nasze spotykały się z sobą — ażeśmy posnęli i budził nas po-
ranny śpiew ptaszki lub wschód słońca nad Judeą — o! i raz
pomnę jak wczora — leżeliśmy na wzgórzu sennie; trzody
nasze już spoczywały i cisza w koło zapadła — tylko niebo
drżało nad nami gwiazdolitę, i patrzyliśmy w nie miłując —
aż jasność jakowaś — jaśniejsza od słońca — acz niepalila tak

oczu, tęczową strugą tryśla z gwiazd — i rozsunęły się błękity — ujrzelismy kilku orłów białych, co bijąc po chmurach grały skrzydłami ... lecz zlecieli niżej, to nie ptacy! — to byli aniołowie Pańscy — głębie błękitu coraz szerszej otwierały się światłością — a wieńce duchów świetlnych porozplatane w coraz głębszej toni śpiewały chórem wielkiem nad wichry burz — a nam prostakom najprzód zwiastowali przyjsie Pana śpiewając: «Chwała Panu na wysokościach — a pokój na ziemi ludziom dobrej woli!...» i upadliśmy z głośnym płaczem — na twarze nasze — tak długo leżąc w niemej radości, aż zerwawszy się bieglismy do Betleem — — o! wierz mi niewiasto, gdym kląkł w tej stajence zawolałem: To Pan nasz! a później latami — stałem w tym tłumie, gdy go krzyżowano bezbronnego — i bijąc kamieniem w piersi myślałem — to Pan nasz!... on dziś zamartwychwał na ten błękit niebieski! na to słońce, co wstaje z grobów nocy!... tu umilkł starzec a Marya siedziała jeszcze na kamieniu grobu — słuchając ostatnich słów starca — aż powstała i całując ze czcią włosy jego siwe, oblała je łzami żalu — lecz wąpięga jeszcze — odbiegła po chwili, zostawiając go u pustego grobu Nazarejczyka!

O gród bogatego Żyda — dokoła stare drzewa i kwiaty — ścieżki rozbiegają się w różne strony i giną w ulicach Palm — w środku ogrodu pracuje trzech ogrodników. —

PIERWSZY.

Patrzcie! od rana przesadziłem trzy krzaki róży. —

DRUGI.

A jam z chwastów oczyścił ten wchód do winnicy. —

TRZECI.

Ej co wy! ot patrzcie — jam taki dół wykopał od rana.

CZWARTY (przysługa.)

Wiecie — ten umęczony prorok miał zamartwychwać...

TRZEJ inni.

Co?... —

PIERWSZY.

Glaz był taki ogromny! —

DRUGI.

Pieczęć Piłata!

TRZECI.

I stróże najwierniejsi — sławni oprawcy...

CZWARTY.

Faryzeusz jeden mówił wśród tłumu, że uczniowie noc ciału jego unieśli. —

DRUGI.

Co? ci trwożni rybacy?

PIERWSZY.

Przecież się rozpierzchni a ów najpier szy pomnicie gdy go się zaparł przy ognisku?... —

TRZECI.

(Upada na kolana.)

Uklękajcie bracia — to był wielki prorok. —

PIERWSZY.

O! ty zawsze marzysz.

TRZECI.

Czy niepamiętacie, jak wjeżdżał do Jeruzalem? jak mu palmy ciskaliśmy w natchnieniu, niewiedząc dla czego?... a pamiętacie jak się trzęsła ziemia — jak zasłona pękła w świątyni?... —

DRUGI.

Głupis!

INNI.

Cha! cha! cha!

TRZECI.

Panie! na różach moich nie takie kropłe rosy — jak widziałem byż na licu twojem, gdyś wjeżdżał do Jeruzalem!

DRUGI.

Głupis!

(Ochodził w inną stronę.)

PIERWSZY.

Zamęciło mu się w głowie — ale patrzcie — patrzcie! czy wzrok mnie uwodzi!... tam z daleka idzie ta piękna grzesznica...

DRUGI.

To Marya Magdalena — widziałem ją raz na uczcie, gdy m służył u Faryzeusza Joachima, blask swego domu wystawił oczom. Nazareńczyka tego ... naczynia pieniały się winem a misy kurzyły się jadem wszelakiem — gdy wśród uczt wbiegła ona! z okiem błędnem i włosom rozwinym, co ślad jej zacierał — w tejsze blekitniej szacie — i była piękna jak dzisiaj — a niewidząc nic w koło, zdala się tylko widzieć Jezusa, jakoż przybiegłszy ku niemu, olej wonny na włosy jego wylała a przypadłszy do nóg jego plakała gorzko, a kiedy jeden uczeń zakrzyczał we wstydzie i gniewie: Przez z tą Jawnogrzesznicą!... Jezus spojrział groźno i przygarnął ją ku sobie, a rzekł Panu domu — tyś mnie bogactwy twemi dumnie podejmował — a ona łzami obmyła nogi moje — i włosy otarła je swemi...

PIERWSZY.

Cudna! Cudna! nad kwiatki ogrodu twego — nad dziewice Judei — moja kochanka nawet jej nierówna. —

CZWARTY.

Przez tak prędko przebiega te ścieżki — snad szuka kogoś — oto napotkała smutnego Judę — coś z nim mówi — pyta — już odbiegła — on długo patrzy za nią — on ją już kocha ... smutny...

DRUGI.

Jaka niespokojna — to się zbliża, to oddala — jak się trwożnie ogląda — o! zaczęła szatę o krzak cierniowy — rozdarła — znów biec dalej — cała obłąkana — kogo ona tu szuka?...

PIERWSZY.

Cicho!... ku nam się zbliża...

CZWARTY.

(Urywa kwiat róży.)

Dla ciebie piękna. —

DRUGI.

Zdaje się go niesłyszeć — zdeptała kwiatek dumnie. —

PIERWSZY.

Czego żądasz Maryo, Maryo Magdaleno?...

MARYA MAGDALENA.

(Zbliżając się nagle.)

Młodzieńcy! a zaż niewidzieliście ciała Jezusa Nazareńskiego?... szukam go nędzna od rana — szukam napróżno młodzieńcy?...

PIERWSZY.

Uczniowie mieli wykraść ciało Jego?

MARYA.

Biada mi!

JUDA zbliża się.

Maryo! Maryo Magdaleno! wierzaj, on zmartwychwstał — ja mam matkę starą — siwą — była już ślepa i chora, a ma mnie jednego — i mnie kazała się wieść gdy obnażony stał przed Pilatem — i lud wołał Barabasa!... a matka moja dotknęła jego czerwonej szaty — i przewidziała ... droga matka moja. —

(Marya Magdalena odchodzi.)

DRUGI.

Znikła piękna! znikła jak cień za oliwnemi drzewy — nieodpyta swego proroka...

PIERWSZY.

Toż on i jej jasną główkę zawrócił!...

TRzeci.

O! pracowałbyś, kiedy niewierzysz; przyjdzie czas, gdzie uwierzyć — ale wtenczas będzie smutno...

DRUGI.

Cha! cha! obłąkało się pacholę!...

Inna część ogrodu — cienista ulica z cyprysów, w koło rozsiane drobne kwiatki, w środku bije źródło, Marya zbliża się, urywa liść z drzewa.

Listku mój!... jam się urwała — ty zginiesz — ty mi przypominasz ogród Symeona ojca mego — takie liście rosły nad jego chłodnikiem — listku! wiatr mi cię uniósł z ręki — ręka moja tak drży ... tyś mi uleciał ... listku zielony!... za tobą! naprzód!... a — tam jakiś człowiek u końca drogi — samotny pracuje — to ogrodnik — pójdz jeszcze ku niemu — jego oblicze schylone ku ziemi — nigdy go niewidziałam — a zda mi się, że go znam — on cierni gałąkę ma w ręku, co on robi z cierniami? ... on jeszcze ostatni — a jeśli on niewie?... biada mi nędznej!...

(Zbliżając się, wola z daleka.)

Ogrodniku! ogrodniku! aż tak niewidziałeś, gdzie Jezusa Nazareńskiego, którego Chrystusem zwą także — szukam go nędzna od rana — szukam napróżno ... mów...

CHRYSTUS

w swej postaci.

M A R Y O !

MARYA MAGDALENA.

O mój mistrzu!... (przypada do nóg jego — twarz kryjąc w dłonie) to on ... głos jego miłościwy .. on zmartwychwstał!... Mistrzu mój! o! o!...

A jam niewierzyła, pókim nieujrzała ... o! ja podła!...

CHÓR NIEWIDOMY.

W świętość powraca, co święte,

Co ziemskie w ziemi powraca,

Z piekłem bluźni, co przekłete

Hozanna! męka! krew! praca!

Emanuel!...

Blogo ci ziemi zławiona

Krwia Boga twego ochrzczonea

Blogo ci!

Emanuel!

On stąpi w niebo. — Ty za nim

Idź w pocie czoła! nad ranem

Świątłóść zabłyśnie Ci!

Emanuel!

I przyszedł wielki dzień
Zalocemzion wszelki cień

Emanuel!...

(Śpiew nikite.)

MARYA MAGDALENA.

(Odsłania twarz.)

Znikles mistrzu mój ... święty! umęczony — zmartwychpowstały!... grzesznica widziałam blask twój — nieosięplam ... oświetlam — kocham!... jeszcze w groby ojców, pożegnać ... drogę — a potem w puszcze — w puszcze...

(Ośchodzi.)

POWRÓT W DOM OJCÓW I W OJCÓW GROBY.

Gdzie jesteś o chwilo przeszłości, co na wichru niesiona skrzydłach — — nikniesz duszy mojej? — ty uleciałaś i znikły złote skrzydła moje — ale cień twój wspomnieniem odbił w snach myśli mojej — w godzinach samotności — i w godzinach rozpacy — kiedym cię pytał, kędy jesteś anielska — gdzie postać twoja? jaki duch porwał i uniósł cię duchowi mojemu?... Ale milczenie było twą odpowiedzią — więc milczałem — i milczenie było rozkoszą moją — albowiem ty w niem zostałaś zemną — zostało mi wspomnienie twoje — i ty zostaniesz ze mną — i będziesz we mnie, póki ja będę, a jeśli ja zgine — ty zginiesz ze mną, by żyć gdzie indziej — by żyć nieśmiertelnie — a teraz leć w inne strony. — Oto ogród Symeona — jak niegdys, kiedy Symeon spoglądał z spokojną otuchą na dwie córy swoje — oto — te same komnaty rzędem biegną po sobie — lecz dach ich rozdarła burza a mury stoją w gruzach — i coraz to ciemniej — już się z gniazda ozwał ptak nocy — chychotając głgiem kurezowym — a z daleka sunie się jak we śnie — śnieżna schylona postać wita z błakanem okiem te strony — usta śmieją się drgając dziko — a twarz jej pobladała jak w śmierci godzinę ... Marya to — Marya Magdalena — po raz ostatni przybyła w strony te, może nie z ciekawości — ale z pokuty — i wstępując drżącą nogą

w próg pierwszej komnaty — oto łoże Symeona! — dziś puste — cicho — grób jemu łożem. Nieraz gdy długimi skołatanymi myślami — próżno suu pragnął — siadała Marya Magdalena dziecię młode na pościeli Ojca i szczebiotaniem usypiała cicho myśl Symeona — a potem cicho odchodziła ... patrząc miłości wzrokiem w twarz jego — i cicho! cicho!... Symeon śpi — śpi głęboko. — — I weszła do wtórej komnaty, tam zwykła się modlić Rodzina Symeonowa ... lampa zgasała i próżna jest — a z lampy trwożny uleciał nietoporz ... tu klęczyły modlących się postaci: «Panie! powtarzając głośno ... patrz na los ziemi naszej!...» i echo tych głosów nikt nie ucieka z komnaty — a z echem ucieka blada Marya Magdalena — oto inne komnaty przebiega lękając się cienia swego — i szelstu szaty modrej ... O! tam w dali komnata Maryi Magdaleny — chciała i niemogła wejść w nią ... w progu jaszczurka gniazdo miała u dziewczęcej komnaty — a tam dalej oto łoże Maryi Magdaleny, ach!... cicho! Marya śni teraz — czyste dziecię — żrenica Symeonowa — Marya Magdalena trwożnie stąpa i oddala się — by niezbudzić śpiącej Maryi Magdaleny... boć zbudzonej straszno jest ... wybiegła w ogród ... to też drożyny po których biegła dzieckiem — te same — po których z Maryą Martą chodzily — oto cyprys z kamieniem białym ... bardziej rozrosly i pochylony — a dalej oh!... to Figa ulubiona, której konary cień dawały marzącej dziewczycy, figa bez liści, figa bez owoców — figa uschła ... ale cicho ... ciszej! ... by niezbudzić dumającej pod figą Maryi — Mary Magdaleny — boć straszna jest zbudzona Marya Magdalena ... tam w dali zielone błyszczą łąki, miesiąc ozłaca szumiące źródło, drzewa otulone mgieł srebrnym puchem, szepczą tajemnicie swoje — a dokoła tak pusto — tęskno! — i tęsknota o pierś cieniła serce Maryi Magdaleny jak bluszcze opierścienily murów tych milczące gruzy — i ścisną ją boleśnie, boleśnie!

Jeszcze lśni źródło białe, szerokie, rozlało się swobodnie — u brzegu stoi kłód Maryi Magdaleny — lecz nietyka łodzi swej — bo głębie mają cień — cień dawnej — a dzisiejszej Maryi Magdaleny — i w głębie tylko niezajrzala ... bo w głębie najczwazy połączyłaby się z postacią swoją wołając: «Jam piękna!...» Z śmiechem obłąkana. — —

I pospieszyła z arfą swoją w groty grobowe — cicho z stąpała w nie — rzędem leżą jak dawniej kości ojców — tylko Symeona kości przybyły — lecz Marya Magdalena nie śmiała uchylić trumny Sary matki swojej i klęka, śpiewając z arfą w grobach, głosem wielkim:

PSALM MARYI, MARYI MAGDALENY.

W ciemności, jakich ciemności nieznają, ukryj się o duszo mój, i w skrzydeł twoich cień otul smętność oblicza twego.*

A ty świeć mi tylko, o lampo serca mego.*

Albowiem wkoło mnie głucho i dziko.*

A ty jak puszcza jesteś o duchu mój.*

Arfo anielska moja słonecznej Pani darze.*

Umilknij od żalości i w grobach bądź niema.*

Bo od wielkiej boleści popękały stróny, które ramionom twoim ponosił gromów i lilii Pan.*

Aniele wiosny mojej, ukryj twarz swoją w dłonie i niepatrz na mnie.*

Bo pociemniały gwiazdy oczom moim.*

I wszystkich słońc słoneczność wypala darmo źródło myśli mojej.*

Duch mój zna wszystkie anielska pieśni i cudów harmonie znajome żrenicy jego.*

Ale smutny jest — i wżem obwił go smutek jego.*

A przeto w falę szaty tuli czoło swoje.*

Aż go uweseli Pan piorunem swoim, co u ducha wrót.*

Na straży usnął w tonie chmur jak lwie szczenie krwawiące zębem matki mleczną pierś.*

W czarnej chmurze śpi grom — czarny jak noc — i jak piekła sumienie — czarny bardzo.*

Lecz tak czarna jak w smutku swoim bezbrzeżna puszcza duszy mojej.*

Tęczo zrodzona z gromu, dziecię burzy ciche — otocz barwami twemi dusze wesole pacholąg czystych.*

A ty o słońce rozgrzej pola, co wchód twój przerażą śniegiem białych czaszek.*

W ciemności jakich ciemności nieznają, ukryj się o duszo moja — i w skrzydeł twoich cień otul smętność oblicza twego.*

Boleści moja namiętna szalona! dziko wyjąca — z rozkoszą cichą rzucam się w objęcie twoje.*

Pieśniary krzyku duszy mojej, uleć ptakiem wieczności w niebiosy.*

I konaj perla rozbryzniętych fal życia.*

Nieskończoności! nieskończoności! witaj.*

A ty tylko świeć mi do końca w ciemnościach, o lampo serca mego.*

I posła. — — —

I pocałunku złożył nieśmiała, ale do arfy usta przykładając, arfę złożyła na trumnie Sary — i rzekła całując trumnę Symeona — oto idę w puszczę, śpijcie spokojnie kości szczęśliwe — a nietknę tej arfy, póki niewstaniez i niewręczyz mi jej matko moja — a ty niezwrócisz pocałunku ojcie mój... a teraz w puszczę — w puszczę — biada młodości mojej!... A głazy grobów powtarzały biada! a kiedy szła cicho nad groty innych Rodzin Judei, z dołu jaskini słyszała drzące głosy — słabsze to silniejsze, co jak dźwięki arf dwunastu ku niej płynęły — a ona widziała światło przez głazów szczeliny — i każde słowo ustami powtarzała...

CHÓR DWUNASTU GŁOSÓW.

Amen! Amen! Amen! chwala mistrzowi naszemu — albowiem zwyciężył noc grobów — chwala jemu na wieki!...

GŁOS PIERWSZY.

Wierzę w Boga ojca wszechmogącego — stwórcy nieba i ziemi. —

GŁOS WTÓRY.

I w Jezusa Chrystusa — syna jego jedynego! ↓. Pana naszego.

GŁOS TRzeci.

Który się poczył z Ducha świętego —

Narodził z Maryi dziewicy —

Umęczon pod ponckim Pilatem. —

GŁOS CZWARTY.

Ukrzyżowan umarł — i pogrzebion —

Zstąpił do piekiel

Trzeciego dnia zmartwychwstał!

GŁOS PIĄTY.

Wstąpił na niebiosy,

Siedzi na prawicy

Boga ojca wszechmogącego. —

GŁOS SZÓSTY.

Z tamtąd przyjdzie!

GŁOS SIÓDMY.

Sądzić będzie!

GŁOS ÓSMY.

Żywych i umarłych!

GŁOS ÓSMY.

Wierzę w ducha Świętego!...

GŁOS DZIEWIĄTY.

W święty kościół powszechny. —

GŁOS DZIESIĄTY.

W świętych obcowanie! W grzechów odpuszczenie!

GŁOS JEDENASTY.

W ciała zmartwychwstanie!

GŁOS DWUNASTY.

W żywot wieczny!...

CHÓR DWUNASTU GŁOSÓW.

Amen! amen! amen!

MARYA MAGDALENA.

Amen!...

I głosy mrąco zbliżają się ku niej a ona słucha i myśli, że aniołowie modlą się pod ziemią, lecz to trwożna gromada apostołów i uczniów Messyasa, co w te groby przed światem się chroni — a przy pochodniach tu modły odprawia — i chór milknie — a w piersiach milionów echem wieków wieki odbija się myśl jego!

NA PUSZCZY.

Jeszcze noc — noc głucha w głuchej bezbrzeżnej pustyni — przygniata ziemię ciężarem ciemności swojej — wielka jaskinia tonie w czarnym cieniu — a czerwona zorza przez otwór wpada coraz ramię — to krwi koralowym blaskiem — to purpurą wschodu — i pierwsze złote promienie lamie na głazach omszonych — oto krzyż z dwóch gałęzi złożony — pod nim trupa głowa się bieli i grobowo śmieje — a oto na ziemi na łożu z mchu zielonego leży uśpiona — snem aniołów — cudna niewiasta o — znami snów śnisz piękna pustelnico! — włosy twoje okryły cię przed chłodem i wzrokiem poranku faldy szaty błękitnej od piersi twojej cichą harmonią zlewają się ku ziemi — oczy twoje przymknięte patrzą na świat inny — u nóg twoich dziki lew się rozciągnął ulaskawiony wzrokiem piękności twojej — ale oto wznosi się jej głowa — dziki krzyk orłów pustyni zbudził ją — usta smętnie się uśmiechnęły — zapadłe niebieskie oczy otwarły się z wolna i patrzą w ciemność — a wida z dala czerwony blask zorzy porannej — noc jeszcze! słońce daleko w pochodzie swoim — ranek pustyni nieustraszył jeszcze rosy z kwiatów dzikich — ni z piórek ptaszek — ni z listków powoju, co jak wąż spał się u wehodu na głazach piecary — i liściem zielonym odbija o szkarlat widomego nieba ... ale Marya Magdalena usnąć już niechece — siadła na mchów pościeli — a schyłona dumiała długo — gdy poranek rozpędzał pierwsze ciemności noey...

DUMANIE MARYI.

Jaka cisza w jaskini! —
 Jaka cisza w pustyni —
 Jaka cisza w mej duszy!...
 O a tam! ... daleko
 Na świecie ...
 Człowiek własne westchnienie własnym śmiechem głuszy
 Gdy go żmije obłąka!...
 O świat!... świat biedne dziecię!
 W ramionach olbrzyma
 Śni cicho — lecz gdy się zbudzi,
 Czyliż wzrok słońca wytrzyma
 Zrenicy sennej nieustrądzi?...
 I senną głowę do dawnej pościeli
 Ciężko — bezwładnie
 Znowu przypadnie
 Śnić o tych, co przed oczy jego przemienili...
 Świat ten w objęciu ciemności i grzechu —
 Świat ten szkarady węglem skajdaniony —
 O!... biada — w imię zawisła uśmiechu
 Czemu on takim przed ciebie stworzony?...
 Przech ty nie daleś doś siły — miłości...
 Człowiekowi!
 By lotem czystej duszy zadał fałsz podłości,
 Szatanowi?...
 Ha!... czybyś ty ... był okrutnym światów twórcycalem,
 Co dla dzikiej gry szala niszczy je i stwarza?...
 I dla sztyderstwa — czule serce przyjacielem —
 Kochankiem — bratem — ojcem — dziecięciem obdarza?...
 Czyż na to stworzył miłość — by po jej jasności
 Gdy zgaśnie — powrócił trojakie ciemności?...
 A serce własnych trucizn paliło się żarem
 I w łach gorzkich — upadło — pod własnym ciężarem?...
 O nie!... mistrzu mój ... o nie!...
 Tyś tam na kryżu twego wyokości
 Nad tłumami narodów w męce i miłości!

Cierpisz — przebaczasz wieki i na jasmem łonie
 Trzymasz ziemię — twe dziecię — o mistrzu swobody!
 Co w proch strącasz — i stawiasz mdlejące narody...
 Aż w własnych zasług błysną mądrości koronie!
 O nie!... o przebóg — mistrzu mój!...
 Gdyby wszystkie szatany wyły w mojej duszy,
 O ciemnościach w przekleństwie — których nikt niewzruszy

Ja do końca! do końca!...
 Zwołam: o stój!

Stój duszo moja, tyś królową słońca

Nad ciemności otchłanią —
 Lecz nim błysniesz, cierp za nią!...

Miłości święta natchniona

W dusze narodu wcielona

Męczeństwa czarną żalobą —

Nad ziemi witaj nam progrem —

Tyś Bogiem!...

A Bóg jest Tobą!...

Myśl moja w tej jaskini

A jaskinia w pustyni

A pustynia — wśród świata

A świat...

W bez końca granic — drży

Istnieje — wzłata!...

I budzi czynów sny,

O! samotna myśl moja

U cichego tu zdroja

Duma o Bogu swym!...

W łach młodości lśni łzom mym...

Przeszłości moja!... jak ten zdrój

Przeleciałaś ty chyżo skrzydłami motyla

Twem wspomnieniem uwidłych kwiatów wonny zwój —

I jedna wielka chwila —

Jak jedna wielka łza

Którą po zwidłym wieściu — niezwidłe wspomnienie

Z głębin ducha — wygrzebie

Gdy o świecie niebie

Jutrzeńki błysnie skra — —

Młodości!... «woń kwiatka...» strun głos!!

Jednakiej życia przyrody —

Jednaki im — wspólny los

W ranku burz — w ranku pogody...

Po chwili cudnej ten kraj

Racują — nikią — drżą —

Powracają w twój raj

I ulatują — żą! —

Przeszłości mojej jasny! — o boski aniele! —

Co łzawo z mgieł wychylasz — bladą twarz,

Gdzie jest chwilek minowych niebieskie wesele?...

O duszo moja smutna — o tych chwilach marz!...

Wkrzeszaj je — roznieć jasno w ciemniach twej pamięci —

Aniele! twym łńcuchem — o! niedawno tak głośno!

Twój obraz żyje we mnie — i pieśnią dośnoją

Śpiewa w sercu twej Maryi jak w porannych chwilach...

I lza co się świeciła — dziś się w oku świeci

Jak niegdyś — skrzydła lecą — o tych samych siłach

Lecą lotem natchnienia coraz wyżej! wyżej!

Trącając piór dźwiękami w czola gwiazd iskrzących —

Tajemnic tajemnicy — bliżej — coraz bliżej

Tajemnicza myśl sięga w krainach milczących!...

Samotna z wdową myślą w zadumie tęskniącej

Daleko od tych, z którymi

Miałam chleb mój podzielić w miłości gorącej

I lzy ich łączyć z mojemu!...

O tak! dziś sama — sama — jak listek z wód prądu

Gdy go rwą fale w otchłań ziemskich skal bezdemną

Prożno lejąc pogląda za łakami ładu

Balwan włokąc w swe piany — grzmi zenną! płyn zenną!

Spadnij w otchłań mi znaną i zatonie w głębinie

Obejmę Cię ramieniem i zatoniem razem,

Aż z głębin gdzieś daleko — ku wspom wypłynię

Innym będziemy świata i świat nam obrazem! — —

Jaka cisza wśród pieczary!...

I cisza we mnie

Jak po burzy! —

Zalano łzą, błyskawice oczy ginąę mruży!
 Usta me już niedotkną domowników czary
 I chwilę płyną — niebios tam rozświetli mary...
 Glazy na mnie oczyma patrzą łzawych braci
 Ich mech mi łożem dzisiaj ... o! śnię na nim błoga
 O! — nie o tem co było — co jest ... ale droga
 Daleką leczę we snach — dotykam postaci
 Co będą!...

Ale biada mi, gdy przetrę oczy —
 Snem ubiegłam daleko — przed bieżących za mną
 I smutna czekam na nich ... z tą chwilą poranną ...
 Aż każdy do tej gwiazdy — pelzając — przekroczy!

Ciemno jeszcze dokoła!...

Ranek nie daleko

W pochodzie słońce! — o, jeszcze noc wszędzie nademną
 Ale już jej ciemności siła nadaremna
 Rozpiera się w ciemnościach dziko unoszona ...
 A kiedy myśli mojej stróny się tu przędą
 Z nich jak gołąb pieśń leci — dokoła ... dokoła ...
 I głośno po imieniu swego ducha woła
 Myśl daleką co drzymie jeszcze w oddaleniu ...
 Wtedy siadam bezsenna — na zimnym kamieniu
 Purpurowych promieni — blask otworem groty
 Wpada — i zwolna w rannem — cichem dniu o lśnieniu
 Strąca kropkle z mchów na mchy — rozgania ciemnoty!
 I cóż ty pierwszy brzasku widzisz w tej pustyni?...
 Widzisz skałę — w drzew cieniu, jaskinię — w jaskini...
 Krzyż czarny — trupią głowę — i zimne kamienie,
 Wśród których źródłem bije moje serce młode
 A w kolo dzikość puszczy — i dziksze milczenie!...
 O arfo moja! jak tęskno bez ciebie!
 Ty w grobach ojców milczysz przypruszona

Gdy myśl sieroca sokoli po niebie
 I z serca zrodli piosnka zatęskniona!...
 Arfo! nim matka ma odda mi ciebie
 Ja moje gwiazdki policzę na niebie!
 Drzewo me w puszczy, co nad zdrój się chyli
 Upadnie w fale — ich łzami w tej chwili
 Podmyte — jako ojciec na swe dziecię gniewny
 Czuję łzy na swych stopach schyli się doń rzewny
 I dzieciństwo ... dziewiczość ... w blasku swoim cała
 Z pod ojców mych strzechą cienia!...
 I widzę dom ten cichy — i przyziół koło ...
 Na kolanach Rachelle składam jasne zło
 A ona w jasne włosy kładąc róży kwiaty
 Usypiała mnie piosnką — szląc myśl w inne światy...
 O! ptaki — wspomnienia!

To znów — pod moją figą leżę zadumana
 To w niebo goniąc okiem — to po ziemi mojej —
 Co w łąk i zdrojów szaty przedemną odziana
 Mej — wiosnie się roztacza — w szatach wiosny — swojej!
 Widzę ten cichy wieczór ... kiedy nad górami
 Coraz niżej zapada złotym kręgiem słońce
 Niknie w czarnych obłokach — strzela promieniami
 I coraz słabiej blaski sieje konające

Aż zgasło — między skałami!

A tam — z za gór nów drążyę wschodzi nad wodami
 Tysiącem głosów żaloki skrzecz w cichym stawie
 Gdzieś na łąkach pastuszek z rzewnymi śletami
 Nuca piosnki ze mgłami płynące po trawie ...
 Ozwał się pierwszy słowik — za nim chór zanucił
 Tak błogo — tak spokojnie — jakby piórka rzucił
 A tam pieśnią słowicza kwilące nad gwiazdami
 Był myślą moich marzeń ... z dzieciństwa czarami...

W dali z spokojnem czołem postać Symeona
 Tęsknota pali dasze, gdy w przyszłość pogląda,

Lecę dalej i wyżej — goni myśl szalona
 Widzę twarz matki mojej! — o czegoś myśl żąda?...
 Patrzę w nią — wypatrywałbym oczy w tej ciszy
 Myśli ma chwytła głos każdy...

Każde technienie słyszy!...

Toga! — zawiła chmurą! i zniknął cień święty
 A grom w skałach zaryczał Przeklęty!

Przeklęty!...

I z łona chmur
 Zaryczał grom
 Po szczytach gór
 Spadł w ojców dom!...

Okiem błętnym się w gwiazdach... to są żył aniołów
 Nad losem tu cierpiących splakane drżą w górze
 A im kto ciszej cierpi wśród płaczu padolów
 Tem więcej lez anielskich drży ma w gwiazd wszechchórze!...
 Tam jak pajęczków drgające miliony

Te światy przędą ognistą sieć Pana —
 Gdy po nich piorun przeleci — stargana
 Sieć w chmur warkoczech owiewa mu trony...

W zadamy głębsich gdy umilkną szaly
 O! kiedy się duch mój przebudzi?
 Gdzieś nad przepaścią — na urwisku skały
 Daleko od świata — i ludzi!...

Nie! nie! o myśli moja!

Tyś jest jasną tęczą
 Splecioną z fal zdroja
 Tyś — serca obręczą!

Siedem barw gra w tobie
 I patrzę w nie smatna
 Jak labędz — w żalobie
 Płynąca pokutna!...

Lecz niezem piekła, kiedyś ty jest zemną!
 Mistrzem! — tyś drogę wskazał mi tajemną...

Tyś dał potęgę w pokutnej żalobie,
 Dał samej — w imię twe — już nieżyć sobie —
 Bo od tej chwili, gdyś Ciebie ujrzała,
 Duch samotności zapagnął tajemnie
 Ku samotności myśl jak liść zadrzała,
 I ukochałam puszcę — niedaremnie!...
 O tych drzew kilka kocham — i tę ciszę
 To źródło — co tam wylega się w górach
 I gdy ku grocie spada w skał marmarach
 Smer jego wieczną pieśnią — mile słyszę
 Ta pieśń tęsknotę duszy mej kołysze...
 Tam — śpiewy piane! tam — rozkosze ciała
 Tam przepych życia — bluźnierstwo i duma,
 Tu — cisza głucha — urocz — wspaniała
 Tu głos wieczności urąga próżnościom
 I depcze zawiś obrzyna stopami —
 Tu z gruzów dumy wyrasta zaduma
 Jak palma w niebo leci ramionami
 Hymn przebaczenia nucąc świata złościom!...
 I w chwili kiedy twój chór archaniołów
 Śpiewając niósł cię skrzydłami sokolów
 Co były śnieżne i rosą błyszczące
 Rosą, co oczy splakały wierzące

Acz niewidzące...

Myśl ma niemogąc w niebo lecieć z tobą
 Uszła w dżecz pustyni z tęsknoty żalobą

I tu sama w puszczy skałach
 Po zdłusanej burzy szalach

Gdy duma w wielkiej ciszy nad sobą w żalobie
 Mistrzu mój, tęskni, duma, i płacze — po tobie!...

O! czy ty myślisz, że ja dla twojego nieba
 Kocham Cię!... o nie! przebóg — dla Ciebie! dla Ciebie,
 Choć całą wieczność cierpieć w twe imię by trzeba,
 Cierpiąc z tobą — w twe imię — ja już jestem w niebie

I twych cierni ból
 To mych bólów król,
 Jego bolem rozkosz czuję,
 Szaleję! miluję!...

A choć ma postać co piękności cudem
 Zwał świat ten niegdyś — śmiercią w puszczy zaśnie,
 Choć jama dusza żyjąca twym cudem
 W ciszy dla ciała na wieki zagaśnie...
 Chwała!... choć szkielet jej może wichrami
 Taczany w puszczy poleci z piaskami,
 Choć orły pustą roznieśią me kości
 I włosy moje skwarny wiatr rozwieje,
 Może tu jaki pielgrzym w potoczności
 Zbłądzi — tej groty spyta o me dzieje!...
 A orzeł jeden mój warkocz umiesie
 I w dom cichego człowieka zanieśie
 Co kiedy włos mój na arfę naciągnie
 Powoła rzesze i rozdmucha ognie!

W gwiazdy wzrok leci — i w gwiazdach tam tonie
 I czuje wielki dzień,
 Ogień cudowny rozżarzył się w lonie
 I światłość — a nie cień...
 Mistrzu o mistrzu!... od ojców mych grobu
 Leciłam chyżo bez arfy — bez pienia,
 Z rozdartą piersią — bez łzy — bez westchnienia
 Nie oglądając się... gdy ze stron obu
 Szkieletów tłumem gnaly mnie wspomnienia
 Z robactwem sumienia!...
 Ale ma dusza w serdecznej żalobie
 Była jak puszczoza bezbrzeżna — po tobie!
 Biejąc... otatnie spotkałam obrazy —
 Mistrzu mój mistrzu! — o! po ileż razy
 Dumam i płacząc samotna nad niemi
 Że już nad sobą płakać — żez niestanie?...
 Krzyżu mój czarny!... ach mistrzu mój! Panie!
 Roztozcz nademną cień — ramiony twemi...
 Biegłam z tych grobów — wśród ciszy — o! głucho
 Liśd tylko jęczał pod nogą — tak sucho,
 Jak serce młode w młeczeniu uschnięte,
 Choć niepęknięte!

Biegłam... przez ciemność... i przez ścieżki kręte,
 Niesiona ducha boleścią — i krzyki
 Serca rozdarte guszając w dni przekłęte
 Niewiedząc sama, kędy zajdę...
 Lasem

Lecąc, widziałam tylko blask księżycy,
 Co przez gałęzie przediera się czasem
 Gdy czarną drogę zwierzętom rozświeca
 I tylko błędne leciały ogniki
 Wiankami błyszcząc — to gasnąc nad głową,
 Dały o sobie wieść z dala puszczyki
 I cicho!... staję — znów bieję polową
 Istoty mojej, nad otchlan — a piory
 Duszy za tobą ulatujące w chmury...
 W tem półrzę... w dali... czemś wiatr tak kołysze
 Skrzypią gałęzie głuchym jękiem w ciszę,
 Błysnął robaczek ponocony skrzydłkiem...
 Rozświecił... gałąź... gasnącem światełkiem
 Idę... poznaję... to człowiek!... i słyszę,
 Jak ryk straszliwy z piersi się dobywa
 Duch czarnym krukiem z ciała się wyrwa
 Twarz czarna!... broda jak ogień czerwona
 Patrzę w te oczy... patrzę — przelgniona
 Ha! to Iskario!... zdrójca... tu pędzony
 W zgrzyzotach własną ręką obwieszony!
 Biada! zażrzałam... krótko przeżył Ciebie!
 Ognistą plamą pocałunek zdrady
 Na czarnej twarzy — jak blask w chmurnym niebie
 A z ust robactwa legły się gromady,
 Jak broniąc swojej piekielnej zdobyczy
 Snęć krwawe wargi — jak plaster słodczy!...
 I biegłam dalej — nieznając gdzie — kiedy —
 Świat mi się migał — drżał — w ciemnościach nikał,
 Znów wyjrzał księżyc — a ujrzałem wtedy,
 Że nad jezioro biegnę...

W tem ktoś krzyknął —
 Ktoś imię moje — jęknął słabym głosem
 Patrzę — twarz jakaś z najeżonym włosem

Z głębi wyziera — ciałem w wodach zniknął
 I znów zapadł — księżyc igra w fali
 Znów błysła ... patrzę — twarz trupia w oddali
 Przez usta woda już się wala zdrojem,
 Oko — śmiertelnym — szkliło już poznojem
 Twarz tę — widziałam! ... sina — jak twarz kata —
 Znam ją! — dłoń podać chciałam, kłóżyć wierzył!...
 Wołam ... to głowa Pontskiego Piłata
 Z wody wyjrzała — zbliżam się — już nieżył!
 On się w te fale stracił po kryjomu
 Wśród bogactw świata zagryzł — wspomnienie!
 On tak jak Judasz uszedł z swego domu,
 By w głębiach — z sobą utopić ... sumienie!
 Zginął jak Judasz — choć Judasz cię sprzedał
 A on się tylko — nieoparł ... dla Ciebie ...
 Winny jak Judasz — bo cię zbrodniom wydał
 Alez umył ręce — czuł krew twą w swym chlebie —
 Kto czuje prawdę a prawdy niebroni,
 Ten ją zabija i zdradza nikczemnie,
 Ten ją z katami wspólnie — stojąc — goni —
 Kto dla niej głowy swej pod miecz nieskloni,
 Biada! a ludzie — ludzie! o! daremnie!
 Pojść ni podnieść się niebędąc w stanie,
 Nie uwierzyli — w Boga zmartwychwstanie!

Leciałam dalej — księżyc znikł za chmurą
 Las nikt wśród nocy — a góra za górą
 Leci — związana kamiennym łańcuchem —
 Jak duch braterstwa z narodowym duchem
 I na szczyt góry gór wbiegłam ... tu staję —
 Pierwszy świt słońca trysnął po nad światem
 Pod gór stopami puszczy skaliste kraje
 I morze piasków z koralowym kwiatem ...
 Tak cicho w koło — ni śmiechu, ni płaczu
 Tylko nademną gdzieś ptaszyna kwili
 O tam samotnie sięgdę ducha tułacza,
 Tam poznaj siebie! dumaj — aż do chwili,
 Gdzie los twój w bólach wrzeszcze się przesili,

Tam w siebie spojrzysz twą żrenicą smutną
 Dusza wróć w niebo, z kąd zbiegłaś pokutną!...
 Spójrzałam na dół — i w puszczy nieme głębie
 Runęłam z góry!... Jak skrzydła gołębie,
 Zniosły mnie myśli ... brodzę w mech i w piaski
 Dokola dziko ... skały w niebo dają
 Z skal leci strumień na skały ... i w blaski
 Słoneczne grające w świat balwany dają
 Idźcież w świat, idźcie! ja powracam z świata —
 O! ramionami bym was zatrzymała!
 Powiem wam jaki świat — powiem me lata...
 Falo, stój chwilę — ty u źródła biała
 Półki u źródła!...

Fala poleciała,

Goniąc za falą — i znikła w oddali.
 O niepowróci myśl — ta siostra fali!
 I bieżąc dalej — słyszę ryk boleści,
 Co wtrząca skały głuźsząc szmer strumienia —
 Idę — za głosem dzikich bólów wieści
 To lew u wchodu jaskiń krew brończący
 Tarzał się z bólu, gryzł gałzy, pniący,
 I grota była — pełna rozryczenia ...
 Zbliżam się, spojrzal w oko w swej wściekłości
 I zamilkł —

Strzała tkwiła w jego czole

Wyrwałam pocisk — a zwierzę w radości
 Do nóg mi peła — snąc ustały bole,
 Bo liże nogi me w dzikiej wdzięczności!...
 Objęłam w ramię tę grzywą wspaniałą,
 Ze mną zwierzę dzięki pieścił się jak dziecko
 Patrząc mi w oczy żrenicą zachwałą —
 O! tak mi w oko niespójrzal — nikt w świecie!
 (Piękną być muszę! raz ostatni pomyślałam,
 Gdy z królem dzikich pustyni jak z dzieckiem igrałam —)
 Pojrz — a przy nim krwawa kość leżała —
 Wśród kwiatów trupia głowa! ... o! ta strzała
 Na swoją zgubę z łuku wyleciała!...
 Nad nią się cicha lilija pochylała!

Biedny lucznika! zagnany w pustynie!
 Twa czaszka niech mi wspomina — człowieka!
 We mnie niech patrzy rozdarta powieka,
 Wspomina wieczność — zanim świat przeminie!
 I trapią głowę obmyłam we zdroju,
 Krwi jej ostatki z falą popłynęły
 Jak me wspomnienia, co do świata Ignęły —
 I zaszłam do tej w mechach i bluszczach groty
 Padłam odpocząć — w tak błogim pokoju
 Jak niegdyś ... niegdyś!... w dzieciństwa wiek złoży
 Łą dwóch gałęzi krzyż twój ... mistrzu boski!...
 Złożyłem w święty kształt tajemnej zgłoski
 Co jednym znakiem słów zawarła słowo
 A ciało słowa okryła połową!
 I na kamieniach gałęzie krzyżowe
 Wsparłam ... a ku nim spięłam bluszczów zwoje,
 Pod nim złożyłam białą trupa głowę
 A pod nią czoło — spiekle czoło moje!...
 I w mechu zieleni — pod ten krzyż w ciichości
 Gdy złożyłam czoło — dziś na tym kamieniu
 Mistrzu!... to widzę tę chwilę przeszłości,
 O! chwilę boską — zapala! miłości!
 Kiedy tak niegdyś skroń o drzewo twoje
 Wsparłam — ostatnią krwi kropką obłana!
 Krwią tą obmyta! zbudzona — wybrana! —
 O kiedyż — kiedy ojciec mój Jehowo,
 Weźmiesz mą biedną — mą stęsknioną duszę
 Na łono twoje — kiedy pieśnią drżącą
 Dasz mi znów twoje głośno opisać słowo
 I czuć skończone braci mych katusze?...
 Tęsknię do Ciebie! — o ojciec światłości!
 I nie niekocham — niewidzę prócz Ciebie —
 A w tobie Kocham zmarłe ojców kości
 I myśląc o nich — myśląc, żem już w niebie
 Panaerną duchem od tych świata złości!...
 Twe słońce wstaje — i ptastwo zbudzone
 Radośnym krzykiem wita zorzy linienie,

Wiatry cię chwalać z morza przybłądzone
 I ja Jehowo — patrząc w te promienie —
 Acz nie swobodnym — szmerem palmy rzewnej,
 Co się w łzach rosy modli w pieśni śpiewnej...
 Módlcie się z mną wy Cedry pustyni!...
 Już wstaje słońce nad pustą przestworzem,
 O wy! nad piasków wymiesione morzem
 Liści powiewem — których nie niewini
 O szepczcie w rosie porannej Jehowo!...
 Przebacz twee Maryi! dziecięciu smutnemu!...
 Bo dni jej gorzkie jak piołunu ziola...
 Wzrosła na grobach, które mija pszczoła!...
 Me serce młode — jak oltarz, na którym
 Zgasł dawno płomień w rozpaczy objęcia
 I dym po polach zwiłóć się tłem ponorem
 Ach ofiarnemu miłość ma jagnięcia!
 O na to słońce! na te w rosie ziola
 Patrząc, cię wielbię i uchylam czoła
 A myślą lecę jak skrzydłem anioła!...
 O! wszystkie gromy i męki katusze
 Wymierz w pierś moją ojciec wój w tej chwili
 A wyzwól braci bolejące dusze
 I w hymn dziękczynny duch mój się rozkwili!...
 O drę ku tobie!... o tęsknię, ty w niebie
 Ojciec! krzyk duszy niech leci do Ciebie!...
 O żyje smętnie — lecz Kocham i wierzę!
 Skrzydłami myśli unoszona czuję...
 Że matka moja ... wstanie! umiłuje!
 Z jej dłoni arcy moja dłoń odbierze!...
 Mistrzu mój mistrzu! jak duszy mej błogo,
 Śpiewać pieśń życia w godzinach milczenia
 Acz niesłyszanej, wołać, od nikogo
 I zaknąć tajnie — twoich gwiazd skłiepienia!
 Bo oto widzę krzyż twój na Golgocie
 I od ich zbrodni gwałt kajdan — mord enocie!...
 Lecz biały gołąb — o! spływa skrzydłami
 I siadł na krzyżu nad sennych głowami...

Błyńcie nam błyńcie! błyńcie Panów Panie!...

Nad mordowanych tęskniami Synami
Oczekiwane błyńcie zmartwychwstanie!
Ojciec nasz! Panie!...

O! ja szaleję miłością ku tobie
Która mi usnąć nie da w moim grobie!..
O myśli moja! ty nie masz granic!

Bóg jeden twoją granicę —
Leż on bez granic! I wszystko za nic,
Co nie jest prawdy gromnicą!...

Ją grom miłości zapali!...
I piekło w nicie powali —
Witaj z nad wieków nieskończoności,
Miłości! miłości! miłości!...

(Wychodzi z groty.)

DZIEŃ OSTATNI

(Ranek w pustyni — na to niebios ostatnia gwiazda gaśnie.)

Cisza wśród puszcy — słońce ukryło się za obłok jasny ... a jeden promień jego spływa na ziemię — ale łamie się na liściach drzew schyłonych nad Maryą Magdaleną — dokoła dzikie skały sparty się ramionami, po nich rosną kwiaty i drzewa — ziemia zielona kołysze się falą traw — z których skalne kamieni czoła błyszczą jak z morskich fal. — Pod jednym drzewem na traw pościeli leży w cieniu i ciszy boska postać Maryi, Maryi Magdaleny! Piękniejsza dziś o samotna pokutnica w dredze ku niebu jak w zgiełku świata ... choć błądność powlekła cudnych liców krągłość. — Najpiękniejsza piękność idąca ku piękności wiecznej! ... Przed nią zielona gałązka błyszcząca rosną w traw fali — słońce przez liści cień zbiega i promieniami całując oświeca i pieści postać niewiasty. — Oto w ciszy łącząca nad

¹ Tu chwila, według myśli Correggio. —

księgą Mojżeszową zadumała się myślą — księga ta jedyny sprzęt, jaki z ojców domu uniosła ... i w nią tonie myślą jak w źródło bez dna i wyczerpnijęcia ...

Z uśmiechem zdziwienia — okiem spuszczeniem zagłębia się w tajemnicę proroka jakby śniła — z końca jej głowy szata błękitna zlewa się na śnieżne ramiona — i niknąc pod piersią cudną postać osłania — z pod osłony błyszcząca niedbale złożone na sobie nogi śnieżne na mechu a z czoła jej tryska myśl jasna — pod brwi łukami igra przeczacie i na usta zbiega uśmiechem w zamysleniu. — Głowa jej oparta na lewej ręce, co niknie we włosach — a włos złoty spływa na ramię białe i jak źródło rozlewa się po traw zieleni ... na jednej księgi połowie oparła łokieć swej ręki — a z drugiej strony listkami igra wietrzyk nieśmiało — i drugą ręką objęła wtórą księgi połowę — a faliste piersi jej spadające uwiły na kartach księgi, co drżą od rozkoszy czy porannego powiewu? i myślą czystą tonie w morze Biblii — a przy niej ta sama kawnica której balsamem namazać chciała zwłoki mistrza, co zmartwychwstały ...

I czytała te słowa proroka.

„A korab unosił się nad falami rozbukanego żywiołu...
I bieży dalej myślą — oderwała ją od księgi i znów na nią padła okiem ale już niżej i czytała znów:

„A tęcza przymierza weszła na niebie. — A Jehowa przyrzekł, że już potoku niebędzie...”

I znów myśl jej oderwana — lociała skrzydły w dal — choć oczy nad księgą uwiły — a myśl jej była taka: o matko moja Saro! czy prędko ty zmartwychwstaniesz. — Ojciec mój Symeonie! czy prędko przebaczysz mi?... lecz kiedykolwiek wstaniesz — wstaniesz! I oczyma czytała dalej — gdy na śnieżnym ramieniu poczuła tknięcie lekkie nito listka upadłego ... pełne pieszczoty — nito nieśmiały pocałunek kochanka ... lecz zadrżała nieśmiało się obejrzeć — bo myślała: może ten anioł, co posilił Agarę — anioł ten pański może stąpił ku maie ... ale — jam niegodna ... i podniosła błękitne oczy od księgi, a ujrzała nad sobą cichą śnieżną postać z arfą w dłoni — ujrzała matkę swoją Sarę — której nieznala a jednak przeczuła. — Matko!!! jęka we łzach, ciągnąc ku niej ramiona ... a mierząc i niemogąc dać głosu — bo na to głosu nieznalała w swej

piersi. A twarz Sary była także spokojna — jak onego czasu, kiedy anioł wiosny odsonił ją oczom Maryi — Maryi Magdaleny — w śnieżne śmiertelne odziana płótno, co do stóp spływało — a Marya za sen ją biorąc, tknęła jej szaty — a szata się ruszyła — i tknęła tęsknie swojej arfy — a arfa zagrała rzewnie. To Sara, matka twoja!...

S A R A.

Maryo, Maryo, Maryo Magdaleno!... dziecię serca mego i śmierci mojej — otom żywa i przybyłam oddać ci arfę twoją złożoną na trumnice mojej — masz ją i śpiewaj do końca ... oto w chwili, kiedy konał mistrz wołając: «Ojce! zacoń mnie opuścił!...» kiedy ziemia zadrdzała w głębiach głębin swoich i księżyc zaćmił się nad nią — powstał umarł z grobów — i szli do Jeruzalem — i ja powstałam z nimi ze snu śmierci, Maryo Magdaleno — arfa twoja zajęczała «wstań!» i zbudziła mnie — jestem, dać ci wieść o światłości i życia — jam powstała jako marzyła — i jak powstał Emanuel ... a z światła przeszedłam do twej pustyni! ale ja wrócę w groby ziemi a duch wróci do niego bo tam radość wiekuista, tu zaś walka i tęsknota — ale ja będę znowu z tołą, o dziecię moje — a Symeon ojciec twój dłoń w dłoni postawi Cię przed tron Jehowy — czystą i pokutniczą i dziecię moje!... oto technienie, którem życie moje przelewam w Ciebie — byś wiedziała, że ja jestem w tobie — i że ty jesteś — a będziesz choć gwiazdy pogasną!... i technęła na nią z głębi piersi — a postać Sary odeszła do Jaskini Maryi, Maryi Magdaleny — a z jaskini otwora błysła światłość i z wolna wyszedł z niej w godowej szacie Symeon — z spokojną jak ongi twarzą — czołem wielkiem, uśmiechem myśli i przebaczenia. — I stanął a wyciągając ramiona swoje błogosławił Maryi Magdalenie. Postać jego miała dawny kształt ziemski dla jej oka — ale była duchem ... co czoło jej usta dotykając, rzekł: Maryo, Maryo, Maryo Magdaleno, oto oddaję pocałunek na trumnice mojej pokutniczo złożony — marzyliśmy tylko zemstę i nią truliśmy się!... witaj Chreścianko! — przyszedłem dać Ci wieść o światłości — uderz w twe stróny, dziecię moje — a dźwięk ich niech

usłyszysz pustynia — i niebo niech mówi pieśnią twoją ... A Marya Magdalena w milczeniu uderza w arfy stróny — głos drży i jako dym catopalny — pieśnią w niebieskie leci kraje — i pieśń głośna ulata jej ustom — a głosowi jej wtórzy chór z daleka:

MARYA MAGDALENA.

Gwiazdo mojej wiary
 Niezgasiałam ciebie!
 Ogniem mej ofiary
 Lénisz mi dziś na niebie!...
 Światłości! ty jesteś na wieki!
 Samotnie wierz duszo w nią smutna,
 A myśl twa zbawi ciebie,
 Z popiołów błysnie pokutna
 Na wieków wiek!...

CHÓR NIEWIDOMY.

W świętość powraca, co święte!
 Co ziemskie do ziemi wraca!
 Z piekłem bliźni, co przekłete!
 Hozanna! męki! krew! praca!
 Emanuel!
 O powstań ziemi zbawiona
 Krwią twego Boga ochrzczona
 Błogo Ci!
 Emanuel!
 On stąpił w niebo — ty za nim
 Idź w pocie czoła — nad ranem
 Światłość błysnie Ci!
 Emanuel!
 I przyjdzie wielki dziejów dzień,
 Syn wieków na odmetu fali,
 Lecz tych, co prawdy słońca szukali!...
 Nad wszelkie dni! i pierzechnie cień!
 Emanuel!

MARYA MAGDALENA.

Ojcie! ojcie nad gwiazdami,
Zmiłuj się nad nami!
Lecz zmiłuj się nad niemi
Ślepemi! i smutnemi!
Ojcie! ojcie nad gwiazdami!...

CHÓR NIEWIDOMY.

Błogosławiony duch!...
Co w boleści dzień
Niestracił wzrok i słuch,
Niezmarniał w marny cień!
Błogosławiona łza
Każda — nad słońca
Jasna drży w wieki bez końca
Pożarów Boga skra!...
Samotna walka tu,
W wieczności Boga wspomnieniem
Będzie zwycięstwem mu
Hymnem nad niebios sklepieniem!...
Kto nieupadnie do końca,
Choć samotny, ostatni,
Ten zaświęci nad słońca!
W orszakach bożych bratni
I grom spadnie weń
W on dzień!...

I coraz głośniejsz grzmi arfa dźwiękami nad grzmot Syonu —
drżają strony po stronach — pękła ostatnia.

SYMEON I SARA.

Maryo! Maryo Magdaleno! z miłością twą bez granic chwyć
się ramiony tego krzyża, co oto stoi w piasek bity!...

MARYA MAGDALENA.

Emanuel!

(Chwyta się ramionami krzyża, który odrywa się od ziemi i unosi się w niebo.)

(CHÓR OD ZIEMI.)

Odtąd potęgą Maryi Magdaleny miłość Tego, co przed wieki
był — i będzie, gdy wieków niebędzie — na którego chwałę
góry i otchłanie ziemi — i wielkie serca człowiecze śpiewają.
O zbawcy milionów cześć! co Zmartwychwstał chórem aniołów
otoczony — one siejąc gwiazdy po chmurach nocy — śpiewają:
Chwała Jehowie, co był przed wiecznością — i po wieczności
będzie! i dniowi Chrysta! a ducha dniu gromów nad nie! bo
jego początkowi niemasz końca!... chwala mu na paciorku wie-
ków różańca — na wolności niewolników — na śmiertelnych
nieśmiertelności, chwala Jemu! a z nim kochankom jutra, co
z bolem oczu szukali miłości słońca prawdy!...

(CHÓR POWSZECHNY.)

«Pokój ludziom dobrej woli!»

D E M O N.

(EPILOG DO MARYI MAGDALENY.)

Szatan Ci ojcem — anioł matką Tobie!
Na twój początek poglądały zorze —
To też przed Bogiem — raz klęczysz w żalobie
Schylon w miłości i w wiecznej pokorze —
I twe anielskie w niebo pręgasz dłonie
Nucisz piorunu archanielskim piением,
I czoło składasz u Boga na łonie
Jasny — słoneczny — miłości natchnieniem — —
A po raz wtóry zrywasz się — i bliżny
Zadajesz sobie — i wyjesz piekielnie,
A twój pianą szatańską wściekły
Godzisz boleśnie — lecz tylko śmiertelnie...
Boś — ty zapominał, że na znanie krzyża
Wszelkie się czoło w przepaście unia
I w jego imię ofiar swych tysiące
Ciska w otchłanie — aż zapełni głębie —

I górę wzniesie aż w nieba gwieździące,
 A wtedy w chwile miłośne — gołębie —
 Dusza u szczytu boleścią skrawiona
 Światy pomieści — jedna — w swe ramiona —
 Miłością będzie milionem — miliona!...
 Boś ty zapomniał, że miała w otchłanie
 To co najświętsze — piekłem — na zdeptanie,
 By potem jasna i tryumfująca
 Zeszła nad gwiazdy gwiazd — i nad słońce słońca...
 Boś ty zagubił myśl tę w tym chaosie,
 Że jemu zgina się wszystko śmiertelne
 I głos najcichszy — w głośniejszych tłumów głosie
 Kolano ziemskie — niebieskie — piekielne!

Niejest na ziemi twojem przeznaczeniem,
 Gonić za wielkiem — niezemiakiem wrazeniem
 Lub za pięknością z przekleństwa zamianieniem...
 Tyś sobie tylko obrał czynu hasło —
 Hasło olbrzymie — w obliczu którego
 Wszystkie inne zmilkło i zagało,
 Jak gwiazd jutrzejski od słońca rannego...
 I «wspólności» gardłem ryknąłś spiżowem
 Depcząc to wszystko — co przeszłe — co święte —
 A głos twój lecąc echem milionowem
 Zalecał wszędzie — jak duchy przekłete —
 Gromem przepelzał po niebie północy
 Zorzę okrwawił i rozdarł na dwoje
 Lecz biegnę dalej — z południowych nocej
 Z kometań wieków w wysięgi — w słońce boje!...
 I tam upadłeś — jasny — i olśniony
 Że w pierwszej chwili, myśleli złąknieni,
 Iż anioł pomasty mieczem uzbrojony
 Stąpił na ziemię — kędy odkupieni
 Już zapomnieli na odkupiciela
 Na zbawiciela...
 Lecz głos twój pierwszy — nito piętni Syreny
 Anielsko niby w uszach się odbiła —

A choć ryk piersi twojej rykiem hyeny,
 Co po smętarzach przeszłości wietrzyła
 Najświętszych ofiar — cicho śpiące kości...
 O! pomyślano, że w szatach miłości
 Szedł anti-messyas w tóry — i mocniejszy
 Niżeli pierwszy (bo zdał się podłej się!...)
 «Wspólności!»

Krzyknąłś a głos twój cudowny
 Jak elektryczną iskłą wrzas do koła
 Obiecał ziemię — że skrzydła anioła
 Niełata chyżej — ni duch tak wymowny!...
 I wielkie echo pod niebios sklepieniem
 Zawrzało głośnie w brudnym kotle ziemi —
 Ludzkość się stała Tytanów plemieniem,
 Co mieli dłońmi dotąd niekrwawemi
 Z krwi odbudować — wtórą babel świętą,
 Potęgą szponów orlą tytanicznych
 Na szczytach — wzgórzów — wielkich wydzwigniętą
 Ale na grzbietach gór — gór wulkanicznych!...
 Tyś skonał marnie — szatan cię ożywił,
 Podniósł — i podją ku ziemi gadziną
 Rzucił z radością — byś ty wszelką winą
 Ziemię poślubił piekła — i ożywił
 Trąd hańby wiecznej — co ją znieszczylił...
 Biegniesz po ziemi — stań — o stań na chwilę!
 Zaklinam Ciebie przez szatana ojca...
 Ha!... co za piekło w tobie — że tak mile
 Szatan zaryczał — «ziemia Samobójca!...»
 Tyż ty olbrzymie! ludzkości Samsonie!
 Ty Prometeju — Heraklesie młody,
 Niesiesz twej siostrze ikierki swobody,
 Z których ją pożar wolności pochłonie?...
 Ale przez morze krwi — z licem wypiekłem
 Przez fale ognia i morderstw pożogi
 Płynąć nam trzeba — ziemia będzie piekłem
 Za nim w niebiosach zmieni się rozłogi...
 I wtedy z śmiechem odrzecziesz mi dumnie,
 Oto ja ciskam, co wielkie i święte,

Pod stopy wielkiej — idei kolumnie!
 Niech kona w prochu! jak rody przekłete
 Jak wrzody podłe — jak kwiecie pomięte —
 Aż w lot Feniksa z popiołów powstanie!...
 O! głos wyrokiem twoim był szatanie —
 I choć mnie wściekłość bezbrzeżna porwa
 Jednak bzy ciche spadają po skalach
 I wichry smutnie w burz jesiennych szalach
 Szumią mi cicho: Dusza nieszczęśliwa!...
 O biedny! biedny, obłąkany Synu —
 Ty coś zamarzył tak wzniosłe i czyste
 Siąść w rydwan chwały — i piorunem czyna
 Zabyłszą ziemi szczęście — promienisto —
 Tyś jej zaświecił tak krwawo — tak mglisto!...
 Biada ci biada — bo cichy Pan w górze
 W olbrzymich dłoniach ma wagę Nemezy —
 Biedny! raz tylko przez czerwone morze
 Sały syny ziemi — o! niedepcz Genozy,
 Bo ciebie zdepczą Demonie — aniele,
 Co o twej duszy — zapominałeś w ciebie!...
 Lecz ty niesłuchasz — tyś przeszedł tam w dalek
 I po zamierszłem tej ziemi przestworzu
 Hasło szatańskie cisnąłeś w te fale
 Co lśniły cicho po ludzkości morzu —
 A więc zatonięz we wlanem bezdrożu,
 Tyś sam labirynt — świat swój stworzył sobie
 Więc twem przekleństwem będzie — tam samemu
 Zabłądzić kiedyś!... i światu swojemu
 Zlorzeczyć — płacząc na swym własnym grobie,
 Ty coś niósł gwiazdy wolności twej ziemi
 Ty sam ją skuleś w łańcuchów brzemiona!
 Ona myślała chwilą szataniona
 Żeś jej przychylił nieba dłońmi swemi
 A tyś ją okuł tymczasem w te pęta
 I tam! ją strącił głębiej niż Bóg głębie
 Stworzył na ziemi, że długo przekłeta
 Drży w swej boleści — i piersi gołębie

Czyści i myje raz wtóry — okropnie
 Bolesięć skonu — jękiem bezmadziogi
 I piekiel wszystkie przebywając stopnie
 Co chwila pada — w burzach i zawieji —
 Dwie siostry twoje — jedna myślą harda,
 Co Panu chciała spojrzeć oko w oko
 A druga podła — stanowiąc wysoko
 Runęła w otchłań — bliźniostw odszczepieństwa —
 One obydwie zakłęte w dwie skąły
 Ramiona twoje żywcem pochwytały,
 I tak w ich pęta kamienne okuty,
 Patrzysz na skutki twoich spraw na ziemi —
 Przed ciebie stąpa duch jej błądy — struty
 I ciebie usta przeklina trupiemi —
 Za nim miryady krwawych — zaprzędanych —
 Nędznych — zwątpionych — i pomordowanych
 Ciągną i wyją hymn zwątpień i ciała
 Że ich skowitem cała ziemia drżała...
 I wrogi światła zawołały: chwaha!...
 Za nimi jeszcze idzie tłum siepaczy
 Którzy na czołach z ognistemi blizny
 Niosą cyrograf: «w imieniu ojczyzny —»
 A w sercu podłość ich katów! — ich płwaczy!
 Widział ten obraz — uchyłam zasłony —
 Wpatrz w niego oczy — jam płakał nad tobą!
 Szatan twym ojcem i ty szataniony
 Dawności rostał z miłością — żalobą —
 Dziś rozpacz tobie kochanką jedyną
 Ona w żelazne — duszące ramiona
 Schwyciła ciebie — i ciśnie do łona
 Że krwawe strugi łez i potu płyną —
 Ty dziś odpowiedz na zagadkę piekła
 Ty — coś ten obraz wywołał z otchłani
 Kędy jest miłość archanioelskiej Pani
 Gdzie ta swoboda, co z ziemi uciekła!...
 Oto masz ziemię podłą niewolnicę
 Co się w obrobach targa i szaleje
 To samolubstwa niewolnicze dzieje

Ciemność wieczystą cisnął w jej źrenice
 Gdy płacze — piekło głośno się z niej śmieje —
 Ale na ojca wieczystej światłości!
 Tyś jest niecały szatan! — to zagadka,
 Zagadka piekieł, co czarne ciemności
 Zadały niebu, że ziemia warynka —
 O! cierpiasz srodze — i jeszcze z żałobą
 Lutni mej płaczem żałę się nad tobą
 Ale już płakać lutni nieprzystało —
 Zrywam jej stróny — nim umrze to ciało...
 Ty dziś już jesteś — niewielki — niestraszny —
 Już twa potęga mignęła i zgasła —
 A tu z twojego szatańskiego łuska
 Dym został ciemny — brudny — aż go jasny
 Promień słoneczny zmiecie z zorzą do dnia
 Aż zgaśnie nocna — szatana pochodnia...
 O! na ten widok — w rozpaczę zdziały
 Ty samobójstwem krwawe pasmo życia
 Chciałbyś zakończyć — ty — któremu drżały
 Gwiazdy wielkości! chwaly! — od powicia!...
 Biada o biada! miecz ofiarny w górę
 Wzniosłeś i w łono chcesz cisnąć ponure —
 Ale tam w górze cień jasny, uroczy,
 Zstępuje z niebios boski — i proroczy
 On cicho — zwolna po niebie się sunie
 I aż ku tobie swą postacią spływa
 I rzekł swym głosem: O synu piornunie!
 Patrz w niebios pierś błękitną, co tam śpiewa
 Oddechem ster — to Boga nieszczęśliwa!...
 Pierś — kiedy orły obdarzone pióry
 Zwatały w pióra! — jak wąż — gdy sam runie
 Duch — Bóg piornunem wzgardy nań — nieplunie!...
 A ty na widok tego cienia z góry
 Strasznie w ciemności krzyknął i zaplakał
 A wielką skałą bił w pierśi ponury
 Żeś pieśni życia — z krukami przekrakał —
 To anioł jasny — ha! to matka twoja,
 I ją już szatan tem wyciem jak hyena

Porwał na chwilę skąd cicha ostoja —
 Ona to — ona! Marya ... Magdalena!!!
 Ona w pokucie na puszczy swe dzieje
 Chlebem gorzycy i łez oplakła
 Anioł twa matka, co piór puchem wieje —
 Szatan twój ojciec — bez serca — jak skała...
 Oto na ziemi — Demonem twe dzieje!
 Ona ci nieda Samobójcą zostać
 Ty dziś należysz — już — już do przeszłości,
 A Bóg, z którym się miałeś serce rozstać,
 On cię niebędzie sądził w swej miłości —
 Tyś niejest szatan — tyś zbłąkane dziecię,
 Jak straszna mara zbiegło twoje życie —
 Lecz tyś niewinien, za wielu i wielu
 O marnotrawni ziemi przyjacielu —
 Tyś się zbłąkał — a pokutą twoją
 Było błaganie — a twój anioł zbroją
 Otoczy ciebie natchnienia i wiary
 I przejrzyś znowu w łzach rosy łan jury!...
 Nim w przyszłość padnieś ramiony drzącymi —
 I całym tworem odleżisz od ziemi —
 On — cię niebędzie sądził — lecz w swym cudzie
 Ziemi cię odda na sąd pobłażliwy —
 Aż oburzeni gdy cię przekliną ludzie
 Wtedy przygarnie ojciec miłościwy —
 Bo tylko Boska miłość tak bezdenna —
 A on cię wtenczas w wszechpotęgę twórczości
 Weźmie do łona — i ręką promienną
 Tak cię przytuli — że się całą duszą
 Rozpłyniesz w jeden — ocean miłości...
 A w on czas — biada! tym, co dzieci kuszą!
 Ty będziesz mierzył sprawiedliwość ziemi
 I z wielką wagą — na wieków głębinach
 Staniesz — pod niebem z ciemności przedsięni —
 Jak smętny Michał archanioł wspaniały,
 I zagrzmiesz pieśni o poległych synach
 I zagrzmiesz:

Wstańcie! wieki przedrzymały —

O! w imię ducha! i ojca! i syna!
 Wielcy i mali — dzień hańby i chwaly —
 Na sąd ostatni wstaniecie!... cnota!... wina!...
 Wybiła wieków godzina!...

Tak Pan ci zawsze choć na drodze kaźni
 Wszystko przebaczy — jeśli twe nasienie
 Rdzeń twego ducha był prawy —

Sumienie
 Twoim obrońcą — pod hasłem przyjaźni!...
 Przyjaźni ludów wolnych, w dobrej woli,
 Serc — które tylko — ból bratni już boli!...
 O! niedość złożyć ręce na pierś białą
 I patrzeć w niebo łaknąć zmartwychwstania
 Lecz działać — walcząc myślą zmartwychwstałą
 Co wieczność — swej miłości potęgą pochłania!
 I złe dobrem zanieli — co się dziś zszatania!...

Kraków. 1855.

¹ Postać Demona pomyślaną jest jako myśł ludzkości, Biekróć w pochodzie swoim ku prawdzie, sądzie z drogi dobra. — I tak, trąd materyjalizmu, despotyzmu czy terroryzmu, cynizmu czy szatanu, czy komunizmu przywaty, składają się na tego syna Maryi Magdaleny, którą, pod postacią człowieka kuśił szatan w parpazie tąd Błogosławiej, symbolu przemocy i samobójstwa; Marya wiele błędnła, ale więcej kochała — a sąg z pierś jej trysnął promień ratunku Demonowi, tak, jak z łona Polaki walczącej z ciemnością e światłość trynąć musi mesyjaniczny promień miłości, który świat z kolei zgolama na nowo wprowadzi na drogę dobra, wiodącą ku daniam braterstwa ewangelicznego i ku dołowi Parakleta.

KONIEC TRYLOGII.

WITOLIBRARY

DZIKIE KWIATY

SZKIC PSYCHICZNO-SPOŁECZNY.

AUTOROWI WITOLORAUDY

ŚWIAT - I - POETY

WIECZORÓW WOŁYŃSKICH

Z MIŁOŚCIĄ I USZANOWANIEM

POWIEŻONE.

I.

NIEZABUDKA.

(GWIAZDOM CO NAD KOLEBKĄ ŚWIECIŁY!...)

Such tears become thine eye
If I thy guileless bosom had
Mine own would not be dry...

BYRON. CHILDE HAROLD.

Ty wysiłą modlił się — i nieprzeklinał...

SŁOW. BENIOWSKI

J'ai cherché partout l'ideal, avec l'ardeur du cerf, qui cherche
la fontaine dans un jour brulant...

G. SAND.

RAMY DO OBRAZU.

Jaka biała mensa anatomiczna — wyheblowana chędogo
wyschłą dłonią bedela — wyszurowana pulchną ręką jego żony.
Ale najprzód niech Panowie zapalą cygara, bo i w swerach
moralnej anatomii są niemile atomy. Niech Panowie staną
w półkole, komu za wiele będzie, niech odejdzie, kiedy zech-
ce. Dalej bedela — w tym dużym kotle dość rybek, bądźmi
śledzió która później usnęła — obaczym, którą sobie na osobne
studjum wybierzem. Dajcie mi muzg osiemnastoletniej dziew-
czyny — marzącej, zadumanej, bujającej skrzydły młodości
daleko po gwiazdach i tęczkach — z których żadna niedorówna
oczom kochanka, o których marząc rwała i w zdrój chyży
cisnęła wiosenne kwiaty, aż jak one główkę pochyliła i w zdrój
ten padła... Lecz to nie to! mleczna siostró Ofelii śpij — śpij
spokojnie wiosna z temi którzy giną młodzi! — Dajcie mi cza-
szkę dyplomaty, kulawego diabła, który chciał oszukać Boga i
siebie — muzg jego ścisły — rzać mi raczej całe ciało! tak —
padło z łoskotem na stolnicę w nieładzie śmierci — w kolo ust
przyczaił się przymarły uśmiech dwuznaczny — oczy zagasłe
zdają się chcieć zerkać tu i tam — a nżkie czoło ma coś
miedzianego, jakby płyta czekająca by na niej wyrzć: «kongres
Wiedeński» — dalej! płytką stalą skalpela roztwórzmy piersi
— zobczmy czy twór ten — miał serce? o! Panowie — nowe
do spirituszu zjawisko — piękny, piękny eksemplarz — pa-
trzenie — kłębek robaków zwity sino — glistowato — ale to
nie to — precz z nim! Dajcie mi żyda spekulanta z lichwiarską
żyłką — ale tu sucho w muzgu, to nie to — precz z nim! gdzie —

wyszukamy szlachetną żyłę, co bije w kopalni dobra? dalej! dalej!... Dajcie mi skąpca — fałszerza — to nie to — dajcie dumnego faryzeusza, który biały Chrzęściński grosz wdowi powlekl gryzaniem światowego Ultramontanizmu — to jeszcze nie to! ha! oto Eksemplar lekkiego człowieka, co przesłizgał swe życie na głębiach jak wodny pająk niezmoczonyżylek lekkiach nóżek a zdalo się paradyi Elifa, Faunowi po kądzieli, że zna głębie i wie, co jest w głębiach ... i śmiał się z wszystkiego — przecz z siebie — siebie brał zawsze na seryo — Panowie! każdego najmniejszego robaczka jako twór Boży, bądźniem brać na seryo — wszystko — prócz takiego człowieka, prócz człowieka z ciasnem sercem — w istocie, kłopot z tą monografią serca, ambaras panowie — otwieram — piersi jak u tuczonego kapłona — tłuste a wrodku — nic; puste jak pusta stodoła — przecz z nim bedelu, wołę szalbirza, skąpca, kobietę upadłą z rozpacy — on gorszył tylko młodszych niż wykształceniem które było jego udziałem — sarkazmami zatrutował — materyalizował słabsze umysły, lubił poezy i herbatę — muzykę, bo mu nerwy i bębniaki muzgowe pieściła — nauki jak wykwinatę potrawy — poezya była mu zabawką perfumowaną, a strącając pył z żabotów z cytrynowym uśmiechem powtarzał za amore swoje przysłowie: utile dulci! we wszystkim tylko komiczną stroną chwytal i usiłowal kpić z wszystkiego — summa dość tragiczna z tej komedyi, bo człowiek ten przekpił samego siebie i stanowiako swoje, a wielu zwichnął i na żywe serca posypał ziemię umarłych — niewart orlich szponów, psich zębów niewart!... Bedelu, daj mi na stół czarnego psa twego — biednego Negra, co zdechł z żalu za synem twoim — patrzcie! porównawcze studyum weterynary — nawiasowe ale wżłowate — otwieram pierś — tu jest serce — psie, ale lepsze od tego człowieka, co jak polip w Odzie Adama wzbil się na fali trupie — wołę Negra! konika polnego świst wołę, bo on swą melodyjną jednostajną czasem rozweselił duszę znużonego pielgrzyma w stepową noc przy drogach rozstajnych! Dajcie mi wyschnięty ten czerep — to oszaska pysznego starca — młodzieńczego — filozofa — niemial on miłości Sokratycznej, o chrześcijańskiej nie mówię, bo jej pojęć niemógł a pojęć niemogąc — negował! zdalo mu się w spekulatywnych zaciekach,

że posiadał sekret mądrości, że za chmurami metafizycznymi odsłonił treścian prawdy — a zgubił do tego klucza główny — miłość — tak że nauka stała mu się ulubioną potrawką, która mu smakowała bez względu na jej rezultata w ludzkości — miał satelitów bledszyc od siebie — i cóż z Ciebie nadęty mędrce? prawda umarła w dęchu twoim, o którego nieśmiertelności nawet niemógłś się matematycznie przeświadczyć — gdzie mądrość twoja? oto z twego muzgu wznioł się pyłek tumanem i rozpiarszał w promieniu słonecznym ... zaiste to nie homeomerye panteistycznej przyszości — proch wniósł się z muzgu i znikł — nawet mi palców nieobryzgał — idźny dalej. Podaj cialo matki umarłej — głowa rozszadzona boleścią, wnętrznosci poszarpane jak stróny, życie uszło z krzykiem ostatnia bólu, ale pierś wazbrana zda się jeszcze oddychać miłością i szarpać się przyszły na losem sierot które zostawia — to zdradza, że miała duszę — ale to nie to — hej! dajcie no cialo poety, co z rozpacy skończył w domu warjatów — bo ludzkość odbiegła przepaścią od ideału dobra, piękna i prawdy, w którym ją widział — a dobilo go, że i on sam niewystarczył rozmiarom swego ideału, którego sądził od ludzkości. Gdy to poczul — oszalał — Bóg go sądzić będzie, bo był w nim i czuł jego męki tustalowe — patrzcie — na skroni tej żyły jak batogi choć już martwe — odchylał przymarłą powiekę — błękit namiętnego oka zdradza pęzasa — sentyment Panowie!... usta płaczą jeszcze gorzkim uśmiechem, śnać skonały, chcą drgać przekleństwem, które się mimowolnie w ląbędzi hymn hymn błogostawieństwa całej ludzkości, jej najjaśniejszych stroń, przeznacili!... klątka piersiowa cisna — szyja długa — bedelu nożyce! czemuniecie tych długich włosów nieostrzygli — niedbalstwo!... bedelu — niedbalstwo!... cale cialo wyprężone jak strona na lutni — śnać w bóleści i kurczach drgało jak struna — harmoniją stopioną z dysharmonii — piękne — białe formą w siemielnej nagosci — studyum dla rzeźbiarza — bedelu, z niego szkielet do gabinetu! muzg do spirytusu, bo zabiegł szczeólnieci żyłkami, na tę barwę anatomowie niedali nam jeszcze nazwiska — teraz do klatki piersiowej — płuca spalone — śledziona jak bibuła — a serce!... cha! cha! cha!... patrzcie jak orzech świstający — roztwory pusto

jak w orzechu, tylko w środku rozdęte — a tu wil się robak, co go przedrążył — a znacie jak się ten robeczek wabi?... poszya — panowie, poczay!... ale to nie to — przed nami co innego — oto chłopiec czysty i zdolny — oddalony od matki, co go oplakala żegnając do szkół, pracował z zapalem i usypiał z pacierzem na ustach — wiara jego była wielka, serce niemniejsze — rozum jędrny i silna wola — wiele poezyi — nie-mało dowcipu i wdzięku — rozwijał się jak kwiat zmartwych-wstania — genialność tryskała mu z czarnych oczu — a po-tem?... potem zbrukało się w podłem towarzystwie — niemial wytrwania — o ile dobre towarzystwo byloby go podniosło przez niego podniesion do potęg niepospolitych, o tyle że zbrukało go, jak kwiat zmięty przy drodze, który do piersi palącej przytulila dziewczyna wzięwszy go od żegnającego ko-chanka — który osioł przechodząc przejuje lub zdepcze — a który dewotka znalazzy go z całą krasą od Salomonowej piękniesz — zamyka go do książki od nabożeństwa za-tachowanej!... chórem krzyknęliście: szkoda człowieka! o! tak szkoda — kiedyś społeczeństwo odpowie za niego i za wrzody swoje — patrzcie ciała zniszczone rozpustą, by-dłęcę wyraz przedziera się przez genialny smutek po liach zmiętych — o jest takich wiele — sunt lacrimae rerum — ale to nie to jeszcze. — Oto kobieta, o której rzekł jakiś gubernier: une femme irreprochable! w istocie — przed jej cnotą możnaby broń zaprezentować — ale wyidealizowawszy w sobie obowiązek, jak fatum, z człowieku stała się zimnym, ołowianym posągim — aformym chodzącym, zdrowa jej i umiarkowana organizacya kwitła przy tych wyobrażeniach coraz bujniej i romaniej — despotym kształcił się w niej, że stała się jak imperatryca zaszczytny na buraku — okropne było tem, że ostatecznem jej wyobrażeniem było: bądź cnotliwa i będzie ci się dobrze działo!... i z siedmiu prób najwcześniejszą spaniętała: «chleba naszego powszedniego», i tak zmroziła w sobie resztki uczucia, brak miłości ujął jej miłość ludzką, szorstkość i absolutność przyjaściół, a co najsmutniejsze; groza purytańska, zaufanie dzieci i ta święta zwięczyła tyle rezultatów swego znacnego życia, bo nie miała wielkiego serca przy wielkich cnotach — tragiczna postać! Tyle istot

niższych od niej doskonałością w biernem spełnianiu obo-wiązków, przeszło ją w zakresie działania, bo czuły więcej jak ona; przy końcu życia pojęła pomyłkę, przekonała się, choć nie przeczuła, że bez serca bóstwo niechylby bóstwem, że ko-bieta bez uczucia jest rośliną, która nigdy niekwitnie, pojęła to — lecz niepowiedziała tego śmiertelnej koszi swojej — jak wszyscy ludzie tego rodzaju — była konsekwentną — ale to sprawiło, że będąc ultrakatolicką miewała niechrześcijański sarkazm na ustach — który był jej cieniowym krzakiem na drodze do nieba. Tu znowu inny eksemplar — oto człowiek, który żył miłością wśród ludzi, i miłością ludzie zabili go — chciał on być szczęśliwym uszczęśliwiając — lecz materję poświęcił duchowi i materya zemściła się na nim — zato ludzie krzyżo-wać zwykli. — On jednak ubrał się w spokój marmurowy, a w piersi jego jak lampą gorzała miłość — miłczeniem wyrobił w sobie siłę ducha, a duchem dwie zasady: jedną z nich była: «miłcz a działaj» — druga — wszystko dla ludzi ale nie dla ludzi! (to jest zrobić dla nich wszystko z wszystkich sił, ale nie dla oka ludzkiego, dla blichtru i rozgłosu — bo tem gardził i stał wiecznie w cieniu) żędcz sławy namiętną miał, ale ambicyą jego było zrobić coś, co by go przeżyło — pragnął jej do-piero na grobie swoim i pojmnował jako żędcz podzielenia się z ludzkością najszlachetniejszą treścią treści swojej, modlił się czynem by czyn jego modlił się za nim, i pracował życiem nad posęgiem prawdy, bo cnotę przed wszystkim kochał — dla cnoty — gdyby był wytrwał w tej wierze i nie dał się złamać zabiegom podłości ludzi, byłby był mocniejszego ducha od Annibalów i Brutusów, złamał się jednak cierpieniem, bo był człowiekiem, struł się gorzycą własną i zaczął powątpiewać — a na nadgrobiem kazał sobie wyrzeć słowo: «nie wartos!... eheu!... Takich jak on nadgrobkim, bywa zwykle góra kamieni na grobie któremi ukamienowały go — kamienie! Dajcie mi inny eksemplar — oto trup emancypowanej ko-biety, która chciała wzrosć rozumem nad poczenie po-winności — patrzcie w jej piękne rano — w starym, cichym, cieniowym ogrodzie, w cieniu starego zamku, przy szmerze fontanny otoczonej girlandą cudnych kwiatów, nad któremi drży piękniesz ruchoma girlanda motyli, pięk-

nieszys od tych kwiat się rozwija — przy szmerze fontanny z książką w ręku siedzi zamysłona i niewiem czy więcej piękne, czy więcej zamysłone młode dziewczę — z duszy jej ani jeden pyłek wiosenny dotąd nieopadł — a twarz jak pączek pełen woni i rosy porannej świadczy, że dusza dopiero w pączku swoim — oczy patrzą na świat jakby mu się dziwiły — i chciwie biegną po kartach książki — ubóstwia ją matka, nad życie miłuje ojciec — ale wiosna pierwsza mija, powołzenie psuje ją — sny pierwsze nikną — a duma i miłość własna budzą się. Wtedy wykształcenie zaczyna ujemnie działać jako fałszywe pojęcie i jednostronne; ma wiele imaginacyi, mało uczucia, więcej dowcipu jak głębi ducha i pewien kaprys wyraża się w niej — podobala jej się zjawisko Aspazji rozprawiającej o duszy z Sokratem — siedząc na kolanach Alkibiadesa, i podobala jej się Dianna z nowiem na skroni i rzeka dumnie — będę Dianą! i tak było długo, długo — a była piękna — ale czas mija — matka, ojciec umierają, dom się pochyla, drzewa wiosenne odarte z listków szumienią żałośnie, wreszcie i z jej ideału kilka świeżych listków opadło... a pewnego wieczora w gwarnym salonie uderzył Dianę dziwny obraz — przez otwarte okna arkadę było światło księżycyca reszta lata z ogrodu, a na żelaznym kominie zima głośnym płomieniem już się odywa — chwyciła się za czoło — poczuła swe podobieństwo z tym obrazem — pojrzała w lustro — i poczuła, że — się starzeje; wyrzuciła astry ze swoich włosów i cierpkość rozlała się po jej twarzy — spojrziała na gwiazdkę, co drżała na blękicie, ta sama gwiazdka świeciła jej wśród rodziców i hołdów świata, z pierwszej młodości wonią wiosenną — lecz dumnie otarła łzę — i gorzko zrobiło się jej. Dianna dotąd nigdy niekochala, nieniała tego uczucia — zrobiło jej się gorzko — i — oddała rękę człowiekowi, który był — głupi!... o! i to ta sama, która zachwycała nie jedno wielkie serce swemi talentami, rozumem i gracyą, która niejedno szlachetne przywiązanie zmoroziła sarkazmem... a potem — potem — tyle, że młodo jeszcze — umarła — na raka!... nie mawisz nigdy szczęścia być matką! kazała się pochować w trumnie zasypanej kwiatami i położyć ciało swoje bokiem jak gdyby spała na kwiatkach — aby po śmierci być piękną — ironia życia!... i na trumnę swoją kazała rzucić

warstwę kwiatów, by grudy niedużny — a serce swoje w srebrnej szkatule, kazała posłać człowiekowi, którego bala-mucila lat dziesięć — oryginalne capricio, gdyby nie chorowało na oryginalność!

Tu ciało zółte felietonisty, co ziarna złote talenta zgnoił i zmarnił w kolumnach gazetarskich — a to dewotka, która mając się za kandydatkę do beatyfikacyi, po drodze zgubiła: miłość — zapomniawszy, że bez niej świętość jest grobem pobielanym — trupem bez ducha, to jest, że bez niej nie ma świętości!... ale umysły panów zaczynają się nużyć — w tem bedel ramieniem silnem rzucił na stół ogromną masę cielska — tak potwornego, że audytorium z krzykiem odskokoczyło od stołu — a mistrz przemógłszy wstręt w duchu, rzekł — z uśmiechem niby obojętnym jaki przystał trybunałowi umiejętności rozsądzającej: co za pyszny eksemplarz! i pierś rozkoryszy: patrzcie — oto człowiek — bez serca — ma ci on w piersi jakiś umat suchy ale serca on nigdy nie miał — szatańska zagadka! w tej piersi tak ciasno, płytko, pusto, zimno! grób za życia! dziekiem obrywał stopy motylowi i tak go puszczał w powietrze, topił ptaki i szczepięta, później dekucał komu mógł i trapił dla miłości trapienia — despotyczność najprzód w nim się odzwała — później — dojrzwając, rzekł sobie: mam rozum i dla rozumu swego postanowił wszystko poświęcić, moje «ja» — rzekł sobie — jest Bogiem — i Bogiem swoim! — po za którego kościołem głupstwo — z góry pasowała go podłość na materialistę, ałfą i omęgą był mu interes — po za nim nie niebrał na serio... tak pojnował przypuszczalnego stwórcę i stworzenie — żyć, użyć, zużyć, to była treść! chwycił odrazu wszystkie zło i brzydkię strony wszystkiego, wszystkie plamy, z szczególną skwapliwością uradowaną, dobrem nieucieszył się nigdy, niepodniósł go, o dobre i piękne niebołała go głowa, jak gdyby zło tylko prawdą było — niezapalił się nigdy w życiu do niczego — i niczem niezschwyił prócz potęgi spotęgowanych kapitałów świata — gdy złego w czem niemógł wynaleść, był zły i smutny i był jak mucha coby pstrząć globus zabrękała, oto plama! oto miasto! spekulacye jego były dwójakie — zarezumienie samolubstwa pychy ludzkiej — i materya dla materyi — patrzcie! na ten łań zboża

jak cudną, falistą harmonią chylił się pełnością swoją, i dojrzaniem w rzewnym powiewie poranka, w brylantach rosy młodzieńczej — a z nadtej fali w górę wzniosły głowy tylko kilka kłosów pustych — te krytykowały butnie łan ten kłosów polskich i szumiały o ich brakach jak Faryzeusze, mówiąc, żaden nie wzniesie się jak Ja! o tego pocałunek! — zawsze ludzkość rozpada się w dwie przepaści, jedna błada, smutna, zmieszana, w krwawym pocie twarzy, jak łani biblijna «wydając wyk nie-mały» i na krzyżu wołająca: «Ojciez mój! czemuś mnie opuścił!...» druga, nie nie daje, ale krytykuje dającą — i dobrze jest, bo geniusz nieładnie protekcyi, geniusz prześladowców ładnie, których by złożyłyby się kiedyś na piedestał dla jego ciegiego posągu ... kategori drugie był, i w niej się rozwinął drugi człowiek, despotą był gdzie mógł, a na rozum polował kosztem wszystkiego — wolał zrobić podłość jak głupstwo, wola była u niego siłą, tylko odwrotna strona medalu miała u niego wartość — chęcił się, że miał śmiałość myśli swoich w obec swiata, miał więcej, miał ich efronterę, która tak często popłaca i szedł dziwnie łatwo przez świat błyszcząc miedzianiem czołem i uśmiechem cynicznym. — Pierwszy pokarm wziął z dzieł przeczących Chrześcijaństwu bliźniacza, którzy dziś jak złodziej, co się nocą wkradł do kościoła, z złotych promieni odzierając, wstąpił nad ludzkością boską głowę Ukrzyżowanego — by te złote promienie sprzedać za kilka srebrników na Targowicy!... wołę Judasza! ich którzy «wiedzą, co czynią» przeklinie ludzkość po ich owocach, a uczniowie ich są jak alchemicy średniowieczni — nie prócz litości po nich niezostanie!... Pojęcia które ten bohater oto wyssał z mlekiem matki podeptał i skaził tchem niewiary, stracił w obec swego Ja z ółtarza dogmata religię świętą — a zastąpił ją — czem? balwanem cywilizacyi panteistycznej, uzurpatorki powszechnego kościoła, w którym brak tylko antychrysta jej podpalacza; stał się też odtađ poganianem — i balwana tego przystroił na runtowania subtelnych systemów w łachmany frazesów, które-mi wgardził by dumny żebrak Muryka! ... cnota jako cnota, gniewała go; kiedy słyszał o jakim wzniosłym czynie, zaraz szukał, jaki ten, kto go spełnił, mógł mieć w tem interes — sprawa Polski — i postać zbiorowa Chrystyanizmu napel-

niały go szczególną konfuzją i zaciekał się wiecznie, jaki interes mógł mieć zbawiciel by umrzeć na krzyżu?... cieszył się systemem mronek panteistycznych, jak błąk, który z gnoju na łąkach wylataje i cieszy się, że jest tym gnojem i w gnoju ten zbiorowo wraca — osuszył mużg by dowieść, że cywilizacya jest kościołem powszechnym, cywilizacya chciała zastąpić bóstwo — a Chrystusa uczynić mythem — symbolem — myśli też o niesmiertelności duszy i nemeza śmierci sprawiła go w naiwno-łehdźliwy kłopot ... w Bogu szukał płam — bo sam był płamą — a nocy jednej pijanej wrzasnął: «Czemu on ma być lepszym odmiennie — on był człowiekiem jak ja!... i szukał dowodów na obalenie bóstwa Chrystusowego a znalazł je na nędzę i głupstwo własne, tem smutniej, że był z ludzi, którzy gdy krzyżują, co dzieł Chrystusa ohydą myśli i czynów swoich; słowa zbawiciela: Nie-wiedzą, co czynią! niemogą się do nich stosować, bo wiedzą doskonale — co czynią, tylko skutków niewidzą! i zapomniał, że kościół w gorszych niż dziś bywał burzach, a wyszedł z nich zwycięsko, bo bramy piekła go nieprzezycięją — człowiek ten wreszcie uszał z radości, że wygrał proces — z wdową!... a jako adwokat na wspaniałym palacu swoim umieścił miedzianny napis bezczelnego cynizmu: «discordia civium, concordia lapidum» oto jego summa — nigdy niebył z siebie niekontent, a pracą murgu swego siłił się by być i kropkę uryny sprowadzić do jednego mianownika!... idea Polska przerażała go jak upiór, który mimo wyrozumowanych logicznie pewników, że niemożo powstać, wiecznie powraca — i otrul się nią — a na grobie jego ktoś napisał:

Duma to wielka góra — z której wysokości
Widzim krainy — nicości! —

ale przez z nim — kiedyś będzie to ciekawe studium z innych względów, które weźmiemy, oto inna postać — sporności!... tyś ulubionem dzieckiem przyrodzenia! patrzcie! ten młodzie-niec maż, którego życie wygrzyło tyle zmarzeczek na białem czołe, i posrebrzyło zawezienie młodzieńczy włos ... a który ma tyle ognia młodości i tyle nienawiści tyranów na ogorzalem licu, tyle geniusza na czołe! — serce jego wielkie jak świat zda

się rozsądzać pierś a na ustach zamarły uśmiech mówić: to orzeł!... ma on na czole wicher Mochnackich, usniech Juliuszów, a wyraz partyzanta Polskiego z roku: 1863! to poeta czynu — ziarno, które Polska rzuca w wiek dziewiętnasty — jako sprawa Chrześcijaństwa — i ludzkości, pokoleniom pokoleń, by wstało z słońcem nowej ery! — Dzieckiem — dumną sierotą pójrzał kilka razy na gwiazdy, rozplakał się dziko, kiedy drzewa szumiały o krwawym zachodzie słońca — potem przy padłszy do kurhanu Polskiej ziemi, całą treścią życia krzyknął jak orzeł o wschodzie słońca: matko!... i to był szlub jego z Polską, i ideą ludową!... kiedy raz na korytarzu klasztornym padłszy na kolana rozplakał się nad bolami zranionego i ukrzyżowanego Chrystusa — po chwili boleści zerwał się i krzyknął «to Polska!...» a widząc w kościele posąg zmartwychwstałego, znowu «to Polaka!...» zawołał w sobie — ale nam pierwiej ginąć z pracy — by grób jej pęknął słoneczny!... odtąd życie jego jednym trudem czynu, jednym emisjarytem — błękit niebios mu dachem, Polska rodzina, zawsze gdzie indziej, a zawsze wszędzie, w różnych strojach — a zawsze on!... wśród wszystkich warstw — Mamką jego była poezja, matką demokracja, ona wykołysła go śpiewając o młokach i przyszłości ludu, że płakał dziko wznosząc pięści ku niebu, czemu się z ludu nie rodził — lud był jego ideałem!... przyjaciółką duszy której był zawsze wierny, była mu burza wiosenna, jego zwierciadło — a matką chrześną była mu rewolucja, marzeniem jego była szubienica — nad Plutarchem szalał z rozkoszy a na dziejach ojczyzny ostrzył serce jak miecz na głazach Wawelu!... pierwszą miłość, co piekłem rozkoszy rozdarła mu pierś młodą, poświęcił «Ojczyźnie!»... a urońwioży parę łez krwawych nocą, i parę piosnek, co poszły w lud nieznanie, postacią kochanki rzucił o skąd ołtarza narodowego, i z milczeniem Promety, pociągnął jak ptak błędny aż się stał — kapłanem krwawej ofiary w narodzie walczącym za ludzkosć, w narodzie szeregowców szeregowca, nad Bruta zwątpieniem płakał, a Napoleoneów z kościanką zwąc szatanami pychy, niewierzył tylko w oszukaństwo ich dla nas! — głodny, ukryty — nędzny wędrował z propagandą swoją, omdlewał pracą, bronił się z wszystkich sił spom zwątpienia i żmijom pokus ludzkich,

tak szedł — do końca — a kiedy wrzała trąba czynu i odryknął jej łew przebudzony wstając mrowiem mas, które zniech jego piersi zapalił pożarem — on wierzył w udział ludu, wierzył w cud ludu — i niemylił się — lecz wierzył w lud jutra — i poszedł z otwartymi ramionami błogosławiąciami cynem, przeciw massom rozbestwionym oszukanych dzieci, wychowanych w ciemności, które szatan posłał na matkę w bój — i lud ten rozdarł go na miliony relikwii narodowych jak tygrys, po których sam poszedł, w przyszłość!... a on mu z rozkoszą Tytana zwycięzcy i ducha tryumfatora piekiel, rzucił z uśmiechem rozkoszy ciało swe pod nogi, sercem obejmując go miłością przyszłości i błogosławiąc morderców swoich w imię Polski przyszłej posłanniczki w ludzkości! cześć! cześć! cześć! amen — — milczenia chwilę uczcijmy tę postać i wejźmy w niebie!...

Jako małe intermezzo studium anatomicznego na umarłych, ożywny sobie teraz na chwilę kilka postaci. — Oto grupami rozrzucone — zapelniają szeroki, zbytkowny salon XIX. wieku. — Bliziej nas grupa kilku kobiet (tak zwanych) i mężczyzn (tak zwanych).

Książniczka Hortensya była jak kwiat jej imienia, pretensjonalna i krzaczysta jak on; jak on bez woni, z liściem lakierowanym jak konwensas, z bladeo zielonawo różową sentymentalnością daleką od sentymentu, choć w pół zawrócone oczy karpia umierającego o nim dawały cheiny świadectwo czule jak szklanka ciepłej wody. — Przyniej na kanapie samotrzeć królowa generalowa Gertruda Kornelia raczej general swego generala, był to ptak drapieżny żeńskiego rodzaju — imię jej zdawałoby się serce oznaczać, ale z dźwięku jego takie wyrastają szatańskie rogi. — Twarz jej jak z Rzymskiej kamci zdjęta przypominała Agryppinę z dni młodszych, Klytemnestrę z dojrzałych, miała coś z uśmiechu Carycy Katarzyny II, i z zysa, którym Marya Tudor witała Filipa II., a przerażała Joannę Gray — ale tak umiała patrzeć, że tylko bystreemu oku nieuczła jej zywotność. — Niemile imponująca, rysów ostroch — z ustami mocno zaciśniętymi, w których było coś zakapryzowanego i złośliwego, co usiłowało być dowcipnem, a było tylko złośliwe, i lawiną głupstwa, i ciężkością deszczu ołowianego opadały pomysły jej nauzu,

mimo niesłychanej garderobianej przebiegłości, która nigdy nie śpi, ale jak kot mefistofeliczny pacierz mrucząc, odbywa wieczny sztywach — za parawanem, i w poczciwość innych niewierzy, bo jej sama nie posiada. Czoło jej szerokie barwy miedzianej; jaśnieło śmiałością, co w imię celu uświęca środki — a oczy jaszczurczego koloru, z takimż wyrazem, żywe — wypukłe — z schodzącymi się nad sobą brwiami latały tak szybko, że zdawały się rozszerzać, to zwięźać kocim obycajzem — szyla była i brunatna, nie mniej jak arystokratyczna, dźwigała perły, co ją dusiły niemilościernie, jakby się wystroila w lzy sieroty — a pierś jej szeroka, bezserdeczna i miedzianej dumy była taka, że w nią mógł uderzyć jak w tarczę swoją kapłan bachusa — serce byłoby tam nieoddźwignięto, a na wibrację między zbiegłyby się bachantki i Fauny całego świata... Czując, że nie ma serca — zatem miłości nigdy niepotrzebuje — tem samem wiedziała o swej niesłychanej pod tym względem wyższości, nad resztą śmiertelnych, którzy przez życie przechodzą z rozdartym uśmiechem, gdy im serce pęka, a czoła młode, zorane już brudami życia, chyłą się w dół ponuro — ona — miała na usługi wieczny uśmiech pogański zadowolnienia z siebie i próżni swojej, w której się kochała — ale byłoby bachantka z pozorami dewotki — na pozór prześliczna, w istocie odrzucająca — kłamliwa wściekłość i przewrotność, która wyrzekała raz pompacyjnie, że każdy ideał przepadłszy — owszem — odrzekł ktoś, Pani jesteś mi sama dowodem, że nie każdy! na szczęście niebyła ona Polką — lecz cudzoziemką! ... Przy niej — niezapominajka uszczęśliwiła z łaki wiosennej, z Polskiej łaki naszej ... z oczyma, co tak swobodnie i serdecznie patrzyła na świat boży, i tak się cieszła wszystkim, bo wszystko widziała tak dobrym i pięknym, jak się odbija w jej wzniósłej i niezamąconej duszy, której dotąd nie nieporuszyło, prócz gołąbka miłości ludzkiej pijącego w krynicy jej serca — i prócz współczucia ku biednym dla których w swobodzie duszy swojej, pierwszą łzę znalazła — kochała ona wszystkich i wszystko — od Chrystusa na krzyżu, którego rany przy każdym wieczornym pacieryu ją bolały, do kwiatka mdlejącego, skoszonego przedwcześnie, co zdał się niebieskością swoją pożytyć z jej oczu, głębokich jak Morskie oko, w którym odbiły się

gwiazdolite błękity... Czy dać jej do was, którzy macie serce, list rekomendacyjny? Ona była nieszczyśliwą — ale tyle czystości i swobody miała, że choć to przeczuwała, niewiedziała o tem — bo za mało wartości do swego Ja przywiązywała, by się uczuć nieszczyśliwą — i z ust jej nieschodził anielski śmiech, a jednak straszne jest to przekleństwo sieroctwa które trafia głowę dziecięcia — a najstraszniejsze w skutkach swoich, kiedy istota młoda — samotna zaniedbana i krzywdzona — naucona kłamstwa sercem jeżeli nie jest świętą — pocznie się paczyć — i szlamie się jak lilia na bagnach ludzkich — tych chwil nieopłakałby przez wieki płacz aniołów a nie skaralały dostatecznie zemsta szatańców... Istocie tej — do ostatku cierpieniem modlił się naznaczone było, by innym szczęście wymodlić, umierając z myślą przebaczeniem wonną a gdy duch jej ulatywał od mogił tej ziemi — miłość — jeszcze była treścią tej istoty, która poświęcając się całe życie — niewiedziała przed sobą, co to poświęcenie... Czy zapytacie, jak ją ukochał wybrany jej? straszny to dzień dla rodziców — kiedy szczęście dziecka oddają człowiekowi, którego nigdy nad to znać niemogą, wydrzeć córkę z ramion matki i nieszczyśliwiec jej — więzić sierotę z bolesną przeszłością i niezakwieciec jej reszty życia, co to jest? nawzięcie, ja niemiem! tem straszniej dla serca każdej matki, że zwykle, przez jakąś fatalność wielkie serca do cianych się przywiązują i z całą wzniosłością duszy jak bluszcz opłotusz się przywiązaniem w koło niemej bryły — grzęzną z nią razem w niedokwasie chleba powszedniego — lub łamią się petryfikują i przez przyzmat własny patrzą na resztę świata! ... Młodzieniec ten — była to apatya zwana męczyzną — bo charakterem Emila — był brak charakteru!... był on w połowie ofiarą wychowania cudzoziemskiego, ale w połowie — własną — bo czuł niejedno złe, z którego miał woli (jak kłamał siły) się otrząsnąć — Emil słowo Ojczyzna znał z reputacy — i widząc go raz stary pesymista żołnierz Napoleoński, rzekł z przekąsem: o — czy — zna! młodzieńca, co to ojczyzna!... konwencyonalny choć poczciwy młodzieniec, znał ją z kostiumu mazurka w balecie Paryżkim — a ujrzawszy ją za powrotem do kraju, choć tylko w profilu realnym, zląkł się jej z krzykiem dziecka —

bo niewiedział czem Polak — nieumiał się podnieść do godności Polskiego młodzieńca, bo nie miał namaszczenia ducha w niewoli — bo nigdy nawet niezasłyszał — czy są jakie skarby i piękności w naszej ziemi?... Ale jego się też nikt niespyta nigdy: Czy znasz ty ten kraj, w którym Wisła krwawo myje Tatrów stopy, kędy nad brzegiem jej z ruin patrząc, płacze rozczochrawszy warkocze brzoza dziewczina nad ciemnością zgorzzonego ludu, co mieszka w tych czarnych chatach? Kędy sterczą szkielety zamczysk mamutowe, dumne jak Goliat, a jak Dawid milościvi? nikt go niespytał, czy znasz ty ten kraj — kędy szumią ludu bólem bory Białowieży, kędy hukają dąmy tęsknej Ukrainy rozplakane w głos rusalczany nad falami mogił, w których trzęsą się w północ hetmańskie kości tysięcy — kędy gwiazd niebieskich, a Bóg mówi: jeszcze nie czas?... Czy znasz ten kraj, gdzie dumkę porwaną z nad Dniepru i Bohu, wiatr niesie, aż Sandomierskim płynąca lanem ujrzawszy brzegi Wisły jak ptaszę rozwesela się w krakowiaka i stopiona z dawonem Częstochowy, rzuca by swoje kwiatom a wzięta nad Warszawą tęsknotą mazurka szalona i zdumczoną — aż zwolna zpoważnie w majestat hetmański poloneza sunącego od morza do morza — którego pieśń raz smętna jak przędzona z promieni księżycy, woni kwiatów i perel rosy — to znów rycząca jak Bałtyku fala i jak pierwszy grom, co na wiosnę woła Hozanna! — Czy znasz ty Gopla brzegi — i czy kłęczales ty wśród urwisk akał, kiedy piorun Morskiego oka poniesie Gopla podzrowienie, że drżą ruiny zamczysk od Marmuru Lanekorony, do krzemieni Ostroga?... Widziałeś li Kamieniec Podolski w tęczy objęciu i noc stępową na pełni cichej?... Czy znasz ty o biedne pachole ten kraj — co dziś cmentarzem kwitnącej Europy — ale jedynym w jej kramie znakiem zmartwychwstania?... kędy się rodzą orły w kajdanach, w chwale niewoli swojej czuwające przy grobie słońca — czekają na jego wschód — i jedni giną a drudzy wstają by ginąć wolażąc: Morituri te salutant patria!... kędy każde dziecko Izaakem gotowym — każda niewiasta, co się sznawad umie aniołem — każdy mąż rycezerem ciszcy czy burzy — o! biada Ci młody synu Polski, jeśliś się wcześniej niewyświęcił w zakonie Ojczyzny, i rano niepomodził w kościele historii na-

rodu — byś kiedyś popoiłom ich mógł niezadrościł, nosząc w pierś serce zamarte lub zamzarłe przez przekłety sen ducha! ... bo choć niezumiały nad kołyską twój sztandary, choć cię nie chrzczone na krzywych szablach, choć cię niepiastował Karliński, nie sprawiał Czarniecki, nie błogosławił Ks. Marek, nie nauczał Rejtan ni Kościuszko, ale tobie powinda arfa sumienia twego, że trudniej — bohaterskiej, ale tak żyć tobie jak im! boć nad tobą szumią ciggle skrzydła orlicy białej w krzyż rozpięte — by kiedyś pobłogosławił — lub przeklął!... Biada Ci, jeśliś w grobach ojęw niewyzytał — krwią dzieci kłnącego napisu: «A największy rozum — cnota!» Ona woła w sumieniu twojem: patrz na ten lud! odwieść go — a będziesz większy jak oni wszyscy, gdy lud ten przewidzi przez Ciebie i pójdzie z tobą odwalić grób matki, którego sam niedźwigniesz — przekłety! jeżeli przepiesz to życie i zagasisz ducha!...

Ale przejdźmy w inną część salonu — oto w kącie młode chłopię, co jedynie przez rozum i talenta swe weszło tutaj — tyle ognia tryska mu z oczu, trudno zgaśnąć — czy bardziej wisus — czy bardziej poczciwy?... To dziecko Warszawskie — huluka — rębało — lekki jak kita ulńskiego kasku — zażady lub serdeczny — wrażliwy jak colaka arfa, bywał pastwą każdego towarzysza — i trzeba było ciggle się obawiać, by ludzie skrzydłami tego orłęcia nie wycierali sadzy w zapalonym kominie namiętności swoich — z całą hojną garścią zdolności, bez szczyty wytrwania ciskał się wszędzie — ale nawet zabrnąwszy w złe gdyby jako łotr był krzyżowany — jeszcze byłby tym łotrem, który na Golgocie ducha swego z miłością polecił Panu. — Zalotny, gdy raz przy zwierciadle zbroił się do podbicia młodego serca, oburzony własną próżnością, przed zwierciadłem dał sobie policzek — lecz ujrzawszy raptem jak mu z kolorami temi do twarzy, wyleciał w tejsze chwili, by się z rumieńcem ładniej wydać. — Wybiła godzina uroczysta — a pachole to z różą w ustach i pieśnią wesolą pobiegło na działa... a kiedy granat pierś mu rozdarł — róża posypała mu się na blade czoło — to cała jego nagroda — ledwie miał chwilę pomyśleć o siwej matce... i jeszcze o kiemś... i skonał obojętniej niż śpiewający Jehan Frolo, kiedy za nogi trzymany przez Quasimoda z głową w dół kołysał się, by paść za

chwilkę nad wieżami Notre-Dame. — Typowi temu można wiele zarzucić — ale niekochać go?... nie można! — a teraz z salona, wróćmy na ioseną anatomiczną — oto inna jeszcze niewesoła postać — człowiek, który się pierwiej szlachciem, niż Polakiem urodził — zdaje nam się to śmieszne! to kroci coś na kupłana, który duchowno świeckiemu zupełnie poświęcił a jednak! gorzka to komiczność, i realna, choć mamy tyle znacznej i poczciwej szlachty! Tu wytkamy karykaturę szlachectwa — niegdys szlachcic przed wszystkim był Polakiem, a w skutek tego dopiero szlachciem, w tem cała wielkość — świętość niemal w zarodzie charakteru, z którym takie brzemie powinności dęwigali!... to cała jego Wielmożność, od Psiego pola do Wiednia — od Zawiszy do Rejtana — od partyzantki, którą improwizował Czarniecki, do tej, którą improwizował Puławski! a jeżeli szlachcic lub magnat ugrzązł w błoto prywaty, naród piętnował go Wojną kokoszą i Targowicą — protestował Barem i 3. Majem. — Ale dziś spotykamy postacie — które bez cienia tych przymiotów, noszą się z klejnotem jak jemiola narodu — i siedzą w ciemnościach: jasności wielmożnej jak feudalne puszczki w dawno rozwalonych wieżach, nieuzyteczne i nieszczytliwe. Oto ciało takiego człowieka! niemógł strawić, że już Bogu dzięki niewszystko od szlachty zawisło, i niewszystko nią stoi, że zatem od jej błędów ludzkich jedynie już los kraju niezależny, bo wypadki dowiodły, że się wytworzył stan trzeci, i że lud kielkuje... Ludzie tacy w naiwności ducha są w stanie dowodzić, że stan ludu pogorszył się od czasu, jak zdechła Furja pańszczyzny! nie do uwierzenia! są, którzy syna ludu śmieli zwad dzieckiem nieprawego łoża — na taką bezczelność niech dumnie każdy syn ludu poczucie się w godności swojej, i uczciwość swoją siermięgę — a jeżeli zasługą dawną pochodzenia (1) toć nieco dawniejsze pochodzenie syna ludu!... Taka szlachta, która sądzi, że nią tylko naród stoi, petrifikuje się w głupocie i egoizmie swym, jak przedmieście S. Germain. Coby dziś, kiedy ci ludzie odeszli ojezyczną dla tego, że nie oni na czele, co by dziś było z tą Francją, gdyby lud i stan trzeci w niej się nie był wyrobił? takim ludziom kłątwa ich własne strute zasady, takim społeczeństwo obecna i potomna odpowiada jak mąż

w Nieboskiej komedii: «Boś już na śmierć zasłużył, Mości Książę!...» Gdziekolwiek w świecie wybuchła jaka wojaczka — krew i ambicja ciskała temi ludźmi i wszędzie byli gotowi się zaawanturować — ale kiedy kraj zapotrzebował żołnierza — niejedien z takich z zagranicy lornetował powstanie, śmiejąc indywidualne widzimisię przeciwstawić objawom życia i instynktem całego narodu — oto są narowy i arogancja karmazynowa — i patrzeć człowiek ten — taki na końcu rozpił się, nikt nie wiedział czemu? oto robak poczciwości Polskiej pomy dojadł po cichu, pomy świerszczał w uchu, kolką w boku, sztydem w brzuchu i solą w oku dogryzał, że on karmazynowy niezdążył na pole bitwy, tam gdzie dowodzili ojeowie, kiedy tylu biedaków poginęło jako wodzowie narodu, uświęciło szubienice... ten mól zatruł mu starość — i wypędził poczciwca do groba... smutne jest życie!... a to jeszcze święta dama — która potrzebowała 30,000 renty — by być enotliwą i — dobroczynną — co za zasługa!... oto jeszcze kilka typów — typy ludowe — sztuka ludowa u źródła — oto młoda dziewczyna z załamana ręką i choć młoda, ma bujne włosy siwe — białe jak mleko — a w włosach jeszcze kilka zwidłych niezapominajek — panowie jestem lekarzem — a w tej chwili staje się studentem — chce mi się płakać panowie — tej dziewczyny dzieje dziwne i dzikie — to poetka natury — ludowa poetka instynktu i intuicji bez żadnej samowiedzy — niewykształcona od nikogo prócz cudów natury, poezja jej śpiewa z jej piersi mimowolnie — jak śpiew ptaka, który nie wie, że śpiewa — jak źródło, który płynie — bo niemode niepląnąg — jak kwiat, co niemode niekwitnąg — wyrosła na kurhanach i sierota niewiedzieć czyja była siostrzyczką niezabudek i skowronków mistrzynią — a oto muzyk ludowy — lirnik stare ślepiec, który tyle przeboleł — tyle czuł i cierpiał — wreszcie umarł szamocząc się z zwątpieniem i depcząc szatana jak archanioł Michał — i jeszcze jeden — oto malarz ludowy — malarz z instynktu, który sztucoce poświęcił życie — przez piekło dał się do pracy, przeszedł świat, a kiedy forma stała się niewolnicą jego ducha — zaskoczyła go — śmierć, oto sztuka która spotkała się tutaj w trzech typach ludowych — i spłotła się akkordem... o tych typach pomówimy nieco — i poczniemy od ostatniego — piękne bo duszą

to ciało młodzieńca pacholęcia sercem, białe — wiotkie ciałko — snad była w niem dusza — na tem czole wysokim myśł się rozlała — wieczną tesknotą — oko długie — rzęsy i brwi czarne jak głyby węgiem znaczone — suchoty — suchoty panowie!... dziś o nim nasz odczyt — prócz robaków ich trumien mało kto u nas wie dzisiaj o naszych artystach — nim robacy obwiją twe ciało i szkielet rozpadnie się w prochu, powiem dzieje twego ducha o dziecię, zakną całą boleść i piękność, która rozlała się w śmierci twojej... śpij, śpij młodzieńcze! ja tylko powiem boleści i natchnienia twoje, co inaczej śnią się dziś tobie — ja pokażę tylko twoje młode i rzewne serduzko co było pod siermięgą, nim je struła gąsienica świata — jak pączek wonnej róży — uśmiech twój pierwszy i łzę twoją ostatnią, co jak perła pójdzie na rózańiec Bogarodzicy! — odejść teraz bedelu — wrócisz, gdy zadzwonię. — Ale zlej mi jeszcze ręce wodą, bo bardzo pokrwawione... Ergo panowie...

C Z E Ś Ć I.

I potoczyłem okiem po łąkach mej ziemi — a ziemia moja była jak pierwsza myśl stwórcy uroczą w wiosnie swojej, że duch mój klęcząc zawołał Rusi, Rusi, czerwona — jak dziewica spłoniona ty przywabiasz — czarujesz! ... widzę Cię w całym uroku wiosny twojej — faliste wzgórze twoje uśmiechają się świeżą zielonością, znikły śniegowe pleśni, twoje niebo czyste — jasne bez chmurki — a skowronki w błękitie dzwonią chórem wesoly psalm Panu Bogu, którego słońce oświeca i ogrzewa ruchome twory twoje, pełne życia i rozwijające się życia radością — skrzydlaty chór ptaszek na zielonych majem galeziach szczebiocze bez końca — skowronka długie psalmy i jednostajny głos kukulki — wesoly krzyk wilgi i szczebiotanie jaskulek, śpiew czyżyka i szczygła, gadatliwość sroki rudej, że ją Pan Bóg stworzył, gawędy wróbli — odzywiania się dudka tego błaznka natury i głos bąka przerywany naradą szpaków lub tęsknym pojęciem słowiczym — i klekotami przyjaciela bociana wszystko to napełnia ziemię żywą harmonią — Robactwo barwy złoconemi łni w słońcu ruszając się mrowiem — słońce caluje ziemię jak strojną narzeczoną, co zakwitła bogactwem wdzięku bez końca, rozumiała się i rozmarzyła smętnością gajów, rozjęczała echem rozmarzłych źródołów, co szumią od gór po dawnemu lijąc mechy akumitne brzegów poobrywanych — a w tej naturze — cichej i ciepłej — zagrzmielo raptem wiosna siejająca kwiatami dolin i wzgórzów, hojną dłonią rzuciła garść pereł na suchą ziemię i przymknęła paszeczki lodów — pierwszy piorun to alleluja zmartwychwstającej natury upadł na siołków błoni do dziewiczej tęczy stóp — a tam słońce wyjrzało z za chmury i śmieje się do szata burzy — i gaj znowu zaszumił i

zaśpiewał, zagrył zdroje, zajęczały dziewicze trzciny stawów — a kwieciste doliny drżą girlandą motyli, co upiły się rosą ich ocząt ... Jakaś woń wiosny wieje skądś i odradza wszystko — z piersi nawet nieszczyśliwego człowieka dobywa cichą łzę ulgi, jakby mu ciężar spadał z chorego serca — rozrzewnia pieśnią różnika i fujarkę pastuszą, co płacze wieczorem tęsknym i staje lękając w każdych wrót — a w dali nad wierzchołki lasy błyszczą modry łańcuch karpaci i odrywa się od błękitu niebios — szum wiatru kołysze trzciniami stawu i jękiem drzewa mdleje nad jego fal zwierciadłem otoczonym kołem starych wierzb lub lip prastarych — w dolinie rozsiadane wśród zieleni czernią gęsto chaty wieśniacze, kurse, wiekłą nad dachy obszarpane i mszyste srebrnym dymu obłokiem — jedna na drugiej tak zbite — a środkiem jak matka w roju pszczoł czarna, prastara cerkiewka, omszona i pochylona, miga w słońcu krzyżkami trzech kopuł nad stawem, i co rana dzwoni po rosie, i co wieczora za umarłych; kto nie słyszał jak grają tęsknie płaczące jej dzwony, co wykołysały i oplakały tyle pokoleń, ten niewie, co głos tęsknoty i czem tajemnicze ducha dumki — ona modli się i dzwoni, aż rosą zaplaczą drzewa i kwiaty, gdy anioł Pański przelatuje nad spoczywającą wioską i niemym emstarem, co zdaleka od niej czerni krzyżami na mchu i zioliach — wśród falistych mogił, sosen zielonych, i brzoź o rozczochranych warkoczach jak płazek boleści — tam krzyże powywracane — krzyk kruków od bora dochodzi, bieleją kamienie i czaszki — a na mogiłach czasem wśród fijołków uwite gniazdko słowika ... pod krzakiem polnej róży. — A tam na wierzchołku, dąbrowa starych dębów rozpostarła się i szumi uroczyście opodal wioski nad wielkim stawem zarosłym szuwarem. — W las bieżący wśród traw ścieżka kręcona i gubi się wśród paproci i łamie w lesie — tą ścieżką idą dwaj młodzi podróżni spocząć w cieniu starych dębów — im więcej w las, tem więcej drzew — i tak idąc gdy chcieli już usiąść, ujrzeli wśród krzewów niską obdartą chatę obrosłą mchem i bluszczami — była to cudna — ukochna nam, Polska chata, Bogiem sławiona, w całej nędzy i prostocie swojej — taka, w jakiej najlepiej bywa Bogarodzicy na ścianie a Bogu w duszach ubogich — parę ścian z chrustu zlepionych, dach ze strzo-

chy poszarpanej, na nim uwite gniazdo bociana, a w koło kilka brzoź cienistych i daskich juragbin, stara grusza brzącząca pszczołami, i zdrój leśny, co szumiał po kamkach w majowym słońcu, wśród dzwonków polnych i nezałudek — a nad zdrojem prosty krzyż czarny wśród lasu ozdobiony wieńcem z kłosów. — Przed chatą kobieta pędnie odziana doła chudą czarną krową żującą wiązkę wonnych ziół ubieranych w gaju — niewiasta siedząc zakłopotana poglądała na dwuletnie dziecko, co się bawiło spokojnie z starym psem białym — i tęsknym głosem zawodziła strofę dumki, którą echo roznosiło w lesie odgłosem słów:

Zeszły gwiazdy, wstało słonko,
Przed worota,
Ejzoryno, Zorynońko!
Wzięty syrota!...

Kto nie słyszał tęsknoty dumek ludowych, ten chyba śnił i marzył tylko tęsknoty ale jej niespotkał w perłach jej smutku. — W tem pies się zerwał, najeżył, zaskomlił, chrypliwie tułąc ogon pod siebie, piosnka umilka, a niewiasta zerwała się ku cudzym, co jej słuchali niemo: Niech będzie pochwalony! — «na wieki!» odrzekli siadając — dacie nam tu czocząć?... o! byle nie ze szkoda — odrzekła wesoło, bardzom z was kontenta, dodała schylając się do ich kolan z nieśmiałą naiwnością. — Młodzieńcy siedli przy sobie na murawie, jeden z nich był w krótkiej podróży kurcie z torebką przez plecy i dużym słomianym kapeluszem — oko miał czarne, bystre, włos ciemny i uśmiech wesoły a szczerzy — drugi był czarno ubrany, z ramion zdział płaszcz i smuczony rzucił się na trawę — na twarzy bladej i wychudłej miał wyraz goryczy i jądumy — długi włos spadał mu z wysokiego czoła, na którym krzyżowały się młode zmarszczki ku zapadłym namiętnym oczom niebieskim — smutnie i surowo patrzącym przed siebie — wyraz jego był wyrazem boleści przechodzącej w rozpacz i serdeczne szayderstwo bez żądła — poczciwa niewiasta z trwogą pojrzała na drugiego przybysza, złękała się, by nie urzekł jej synka, toteż odwołał psa i na ręce wzięwszy dziecko chciała odnieść do chaty —

gdy pierwszy z nich odezwał się łagodnie: na co go bierzecie — ot na płac mu się zbiera — niech się bawi, dajcie mu pokój! — ośmielona matka posadziła na ziemi dziecko ciekawie patrzące na podróźnych, potem chłopię wróciło do psa, wsiadło nań jak na konia i skubało za uszy, stary pies rad temu machał ogonem, a niekiedy białkiem zerkał na gości błyskając resztkami zębów i warcząc, kobieta dalej doła krowę, a gdy skończyła, podróźni zażądali mleka — biedna wieśniaczka zadumała się nieco, bo to był jedyny jej zarobek, jakeli mleć mogła na wyżywienie siebie i dziecka — ale po chwili pełny dzbanek zielony, na którym błyskała żółta malatura pięjącego koguta, podała im z uśmiechem: «daj Boże zdrowie!...»

Lękacie się widzę, byśśy tak nieodeszli, rzekł pierwszy z podróźnych, podając, acz spragniony, dzban towarzyszowi, co milczał i głowę wsparł na ręce leżąc w trawie, a gdy się napił, porwał sam w obie ręce i przechylżywszy pił chwieje i długo. —

Bo to widzicie, rzekła zasumowana, skrobiąc się w głowę niewiasta, ja biedna sierota, przed rokiem zabili mego męża daleko na wojnie, i tu zalała się łzami obcierając je fartuszkciem, drugi, co miał pół gruntu chciał do mnie przysłać, ale ja go niechciała, zostałam z tym ot! biednym robaczkiem sama na świecie — a ta krowa to nasza matka, bo nie więcej niemamy, co ona da mleka, to przedam w mieście, teraz to pcha się biedę, ale przeszłej zimy!... mocny Boże! toć to przednówek!... i drugie takie dziecko wziął mi Pan Bóg — i tu jej twarz wyszła prosta i młoda, miała tyle żalu i wyrazu nędzy materialnej, a bogactwa niebieskiego, że jeden z podróźnych dał jej zaraz kilka białych groszy — a drugi wyjął z płaszcza dwie srebrne sztuki pieniędzy i oddał z współczuciem mówiąc: jam biedny ale tyś biedniejsza — ale tyś biedna a jam biedniejszy — pomyślał ponuro: a radość jej rozjaśniła mu twarz chmurną i dziką na pozór.

Bóg zapłać, krzyknęła rzewnie, musiałabym z miesiąc po to deptać do miasta, lub z sierpem zarabiać, a gdy jej drugi wstydliwie wesołą srebrniki, niepojęła, chciała je oddać, i rzucił się do jego nóg, lecz on z wstrętem uskoczył od podziękowań a wieśniaczka znikła w chacie, poczem mignęła się i

przepadła na chwilę wśród lasu. — Wtedy pierwszy rzekł do drugiego: oszalałeś? trzecia część twego zarobku u tego skąpcia?... już prawie nic nie masz?... drugi ruszył ramionami, przeciągając się na marawie — i rzekł: jak niedać?... ileż można rozśać radości tem srebrnem śmieciem!

Ale życie twoje przez przyszlą ziółkę?...

Zaprawdę! wielem stracił, niebóg mógł występować jak dawniej między ludźmi — ale dość mam ludzi i nieciekawym ich więcej — lepszych ani górnych, głupszych ani mądrzejszych już nieopoznam, robią swoje, nieładem dają od nich — nie próż zapomniał i potępienia — bo i nie więcej dać niemogą!... i tak oganiam się jak od much — dość mi ich salonów — geniusz człowieka przejdzie przez piekło a nie upadnie, przejdzie przez salon, a niepoślizgnął się i nieupaść mu prawie niepodobna!... artysta prawdziwy nieżyje z żyjącymi, iskra Prometeusza pali mu pierś, on całe życie przeczeka na tych, o których przeczuwa, że przyjdzie mają, lub przepłcze nad temi, których już niema, lub których obdabiał, a ujrzał, że niewarci jego przekleństwa — a jeżeli żyje w tłumie i od tłumy czego żąda, o! to się gorzko ludzi — i tu rzekł jakby do siebie:

Żadna ża bratnia marnie nieprzepada,

Drzy nieśmiertelnie do gwiazd wniebowzięta,

Lecz wielkim duszom na tej ziemi — binda!

Bo ludzie nędzni — choć ludzkość jest święta!...

wolę, rzekł po chwili, taką obdartą chęć — która zostanie w mojem wspomnieniu — ach! bo też nie smutniejszego jak podróźować — wszystkie wrażenia, rozkosze, i cuda — są chwilą tylko i nikną jak sen — zmienione na wspomnienie — od czasu jak miasto pielgrzymki do ziemi świętej, ślubowaliśmy obejść Polskę od morza do morza, wspomnij, co za tłum wrażeń!...

Prawda — odrzekł drugi, ale wielkich — uroczych jak przeszłość — boiskich jak przyszłość tej ziemi — co do mnie, ani Litwa, ani mało ni wielkopolska, niezachwycała mnie jak ta część ziemi naszej między Wisłą a Dniestrem — tutaj mój pędził miał kłopot wyboru. —

I ja zdejmej widoki — ty dasz tekst — zobaczysz!...
 Dobrze tobie mój smatorze! odrzekł drugi, ale mnie tak jak marzę tę podróż żnąwą oprawić w tęczę poematu — wypiewać wszystkie wdzięki tej ziemi — przaszłość — obecność — przyszłość — ludzie i lud, miasta i gruz, wieś i rzeki — góry i stopy — z każdego kurhanu wysnąć głos życia, zadumać się nad węglem Wawelu i cegłą złotej bramy, nad skalą Kamieńca i kościołami Łucka, nad wieżą Kruszwicy i cudami Tatrów — nad stepem Ukrainy i wzgórzami Przemysła i Lwowa — a te szkielety mamutowe: Tęczyna i Odrzykonja, Wisniczka i Ostroga, Otyki i Krzemieńca, Rożnowa i Czorsztyna!... a dech święty, co płynie od mogiły Kościuszki do pół Orszy — od Cecory do Obertyna. — Od Chocima, do Berestecka, od Żółtych wód do Maciejowic, od Kościeliska do Jasnej góry, od Grünwaldu do Wielkichluk — od Byczyny do Olsztyna!... od Psiego pola do Grochowa¹ — przebóg! ha! trwoga mnie dreszczem przebiega ... namaszczenia! ... tymczasem zbliżył się ku niemu dwuletni chłopczyca i przyniósł mu z uśmiechem biały kwiatek z nad zdroju. — Podróżny porwał go na ręce, przycisnął do gorącej piersi — i rzekł: on mi dał dobrą wróżbę!... i bawił się i pieścił z nim długo i wesoło jak dziecko z dzieckiem, i zawiesił mu medalik z matką boską z jednej, a orlem i pogonią z drugiej strony i napisem usque ad finem, na szyjce — w tem matka przyniosła im plaster miodu i rzekła, wybilam pniak dla was — na zdrowie wam — podróżni z wdzięcznością wzięli miód, a drugi z nich rzekł: Piast lepiej nieprzyjął swoich aniołów; i kiedy matka chciała od podróżnego wziąć dziecko na ręce zdziwiona śmiałością dziecka, on jeszcze raz przytulił go do siebie i w ezło białe pocałował — i z oka spadła mu duża gorąca łza na czoło dziecka — on łzą tą uczynił krzyk na jego czoło — i szepnął «Błogosławieństwo poety niech będzie z tobą!...» niesłyszał tego towarzysze, ale słyszała matka ... przepłknonia. — Powstali podróżni, a z dobrocią pożegnani odchodząc jeszcze spojrzeli ku chacie; jeden z nich rzekł, patrząc mile na dziecięcim, wiesz, tak długo myślałem nad twarzą aniolka, który w moim obrazie

¹ Dziś miastem dodad — od Grochowa do Grochowisk — od Grochowisk do Salski!...

pokazuje drogę do Egiptu zbląkanej przesnająwieszkiej Rodzinie ... tum ją znalazł — ta twarzyczka zostanie mi w pamięci ... Cieszę się tem dla Ciebie, odrzekł drugi — ale jeśli jutro nam widzieć wschód słońca z Urycza, to czas w drogę, dojadł, znikając za krzakami leszczyny, przez które się przedzierał!... i zmilkł oczom niewiasty ze ścieżką ginącą w lesie — a dziecię na jej reku długo płakało, patrząc w stronę, kędy odeszli, tak, że niemogąc go utulić zawołała matka — ten człowiek go urzekł!... zamalała ręce przeczcuciem i srebrniki rzuciła do skarbony cerkiewnej.

Kilka wiosen ubiegło w chacie starej od czasu, jak ją nawiedzili podróżni — ale dziś — djabli się żenią! oto dzień straszny dmie i luczry zawieją zimową, wicher urągnąć zda się świata, wali drzewa, mroźnie wyje szamocząc lasem i roznosi tumany śniegu po drogach ... stare dęby walają się z losoktem, grusza rękoma przed chatą, zamiecie bieleją do kola — noc zapadła głęboka, a zimny jasny miesiąc, przerażony jak twarz Judasza ugania chyżo, chylży, wśród poszarpanych mglistych chmur, za które się chowa i znowu uchodzi ... dokola mroźno i straszno, niekiedy słychać wycie wilków, a burza szalona targa wśród nocy ubogą chatą, w której słychać krzyki bolesne i płacz rozgłośny, rozdzierający dziecinny — wilk zdaleka błyskając śpiami podszedł ku chacie — a ułkł się tego płaczu i przepadł w gęstwinie — w chacie tej miga smolny kaganek luczrywa — błękitny płomyk zda się gasnąć, to znów buchnie do góry przed obrazem Bogarodzi — ściany odarte, pozalaplane mechem, a szparami wicher gwizdże i trzęsie chatą śród lasu — a na ziemi pod ścianą leży blade śmiertelnie kobieta i wyschłą dłoń wyciąga do chłopięcia, co rzuciło się o ziem koło niej na słomę i drżąc od zimna i trwogi płacze z krzykiem kłając drobne raczeta i koszulę: Matko! weź mnie z sobą!... ja tu nieostanę sam! oj matko!... oj! oj! oj! — oj! oj! oj!... Ale niewiasta wyprężyła się, zadrała — jękla i opuściła głowę oddając ducha — a nad nią w niebogłosey orwało się chłopię sześćioletnie i zwilo się na jej piersi chcąc zbudzić na próżno, aż głos mu schrypiał z żalu i trwogi — a nad nimi krzyż czarny migał ze ściany —

w tem z cicha wszedł sędziwy pleban wioski — przyszedł już za późno! stał tak długo i milczał, szanując pierwszą boleść sieroty nad wiek jego potęgą — wreszcie kiąkł i rzekł: dziecko moje — pomodlimy się za nią, bo ona się nie zbudzi — ona spoczywa — mnie cię oddała. — Będę tobie czem Bóg da! pójdiesz zemną — i ujął za rękę pacholę, co milcząc wilo się splakane przy trupie matki bez głosu już — a na głos plebana zakrzyczało znowu: niepójdę ztąd! niepójdę!... ale kapłan milcząc wziął je na ręce i posłł kościelnemu, który je okrył i wziął na barana — a chłopię zalkało strasznie: ona tu sama zostanie sama — zziębnie a potem ją zakopią pod śniegiem — niepójdę! niepójdę! puść mnie dziadu!... ale kapłan i kościelny wyszli już z chaty niosąc dziecię, co darło się a krzycało wśród śniekzystej burzy i zamieci — już jej niepokazą więcej!... puście mnie! puście!... ale chata już znikła w ciemności nocnej a w niej tylko został trup niewiasty, nad którym stojąc stary pies wyl żalnością — a wicher żalnością zdął się jęczać: o matko!...

Wśród wioski ustronnej bieleje między czarnymi chatami ponad stawem biały dworek plebana — dworek to niski — pod słoną, znać, że wioska i pleban ubodzy, ale dwie duże lipy, co cieniem osłaniają podwórze i mały ogródek zasadzony bujnem kwieciami, zdają się świadczyć o jakiejś swobodzie, co zamieszkała z człowiekiem, który sobie wybrał największy i najpiękniejszy z zawodów na świecie! drzwi od plebanii przymknięte, słońce przegląda przez konary lip, co drżą szmerem wieczornego zachodu — i ze wzgórką plebanii rozległy widok roztoczył się do koła ... na podwórzu pod lipami siedzi male pacholę, znać, że myśli więcej jak dziecię, choć dziecię latami — oko jego smutnie błękitne do koła — usta zdają się coś szeptać niewiedząc o tem — w rękę ma węgiel spory, którym po murze znaczy jakieś rysy — jak twarzą ludzką — z zajęciem patrzy w to miejsce — sunie rączką drobną — a z pod ręki tworzy się profil niewieściej twarzy grubo odznaczony — czoło i oko w którym zwolna duch się przebija — wreszcie uśmiech bolesny i coś śmiertelnego — a nad czołem fałdy chustki niewieściej —

i chłopiec zerwał się zarumieniony, klnął w ręce z krzykiem: Ona!... i zaczął twarz tę całować i gładzić rączkami, szczebiocząc jak ptak gdy słońce mu zabłyśnie. — Tak, to twarz twojej matki moje dziecię — rzekł pleban który stał się za nim — Bóg pobłogosławił duszy twojej niewinnej i dał ci odbić oblicze twojej matki, co się tam modli za tobą — bądźiesz malarzem mój chłopcze — może bądźiesz artystą, ale to droga daleka — boleśna — pójdiesz, jeżeli Cię Bóg powoła — masz lat trzy, nacię — jeszcze wiele czasu i pracy przed tobą. — Chłopiec zdziwiony podniósł smutne błękitne oczy na plebana; niewiedzieli czemu serce żywo zabiło mu jak nigdy dotąd — pleban rzucił już w umysł jego pierwsze iskry oświaty — ale w tem sposób raz pierwszy się odezwał — chłopcu lzy rzuciły się do oczu, chciał coś spytać — w tem w cerkiewce dzwony wieczorne tęsknie się rozgęzwały nad polami i starym stawem, słońce zapadało za smugą Karpat — głos rozbrzmiał się tęsknie nad wioską konającą gdzieś w lasach i po wzgórzach gdzie drugi dzwonek w drugiej wiosce odzywał się ku niebu i tak z końca do końca po ziemi naszej — po całym Chryścianstwie — harmonią rzewną grają wszystkie dzwony ziemi, jęcząc i modląc się bolami ludzkości, co wiecior, wlatując w niebo jak wybawione dusze i drząc w drodze dźwiękami połączonymi z opadającą rosą wieczoru — z wonią kwiatów i promieniem konających światel wieczoru. — Tak jęczał dzwonek cerkwiwołając:

Anioł Pański —

a anioł pański w tej chwili posuwał ręką trzynastoletniego chłopca — i pleban rzekł: Tadiu, pomóż mi za duszę twojej matki! — i ukląkł wraz z chłopcem a po modlitwie wrócił do swojej izby a chłopiec siołem i polami, ulicą starych lip poleciał sam niewiedząc kędy — aż tą ulicą zaszedł — na cmentarz wsiak rozłożony w polu nad wielkim stawem porosłym szuwarami, z których gdzie niegdzie wyglądały błękitne wód zwierciadła — opodal cmentarza w polu stał dąb prastary, samotny — olbrzymi — mógł on pamiętać dni Grünwaldu — rozrastał się w dwa olbrzymie konary i szumiał jeszcze bujnym liściem epopeję czaszłości jak Homer drzew — wnętrze jego było przez czas zupełnie wydrążone, tak, że

mógłby w niem mieszkać pastelnik — w tem wnętrzu stała biała statua Madonny, na szarym piedestale, na którym rytu był napis: Królowa korony Polskiej, czuwać nad czuwającymi — niżej był wiejski emtąrz otoczony czworostronnym rowem i wałem — na jego środku biała kolumna z krzyżem — a nad falistemi mogiły, co rzędem legły przy sobie, szumiało parę topól, kilka grusz dzikich, porastało trzy młode brzozy i trzy małe świerki — na mogiłach popochyłane mszyste Krzyże zarosłe bujnemi ziolą — z emtąrzem tego był widok cudny, który dotąd widzę w zwierciadle duszy mojej — piękniejszy nad wszelkie cuda — od jednej strony biegło oko po obszarach stawu wielkiego i łuk bez końca kończących się błękitem nieba — po drugiej łańcuch Karpat z Paraszki szczytem trojakim wznosił się dumnie — bokiem szła szeroka droga sadzona szeregiem lip prastarych, co szumiały gwarem matron — a na prawo stara dębina — dalej wśród topól wyglądał wielki dworzec, cerkiew, i zabudowania wiejskie — na emtąrzu tym była cisza aniołów, cisza rosy wieczornej — wśród mogił w głębi była zapadła już mogiła matki Tadeusza — porośla bujnemi ziolą, a na skromnym krzyżku z drzewa białego korą brzożową, pleban położył napis: «bądź wola Twoja!» — tam co wieczora, samo niewiedząc czemu biegło dumac pachole, coraz rzadziej zakręciła mu się kła w oku, gdy wspominał ową noc wichrów i burzy, w której go wyniesiono z chaty — tutaj słuchał szumu ziół bujnych i szmeru topól — kwilił słowika, co się zagnieżdżył na emtąrzu — przy grobie matki jego — tu patrzył na wschód i zachód słońca, a barwy i gra światła na horyzontach dziwną harmonią grały w dziecinnej duszy przeszłego malarza — tu siedział długimi wieczorami — czasem krzyż chwycił w nieme objęcie, czasem kładł się na zroszonej ziemi twarzą do nieba i patrzył w gwiazdy, któremi drżały głębie błękitów — i słyszał jak mu nad głową szumiały drzewa, co się modlą nad mogiłami — a nieraz zdało mu się, że głosem jego matki szumią: Czemu o dziecię tak wcześniej czolo obkleśi żalobą — czemu nieuganiasz po łakach — czemu niewywilisz z dziećmi siola, co drogą pędzą bydlę i wesołe pieśni zawodzą — ledwie czerńcaśnie ubiegło ci wiosen a ty przychodzisz na nasze groby i wołasz: jam sierota!!! i tęsknisz, sam

niewiesz za czem. — Aleś błogosławione o dziecię i Bóg Cię kocha — bo wcześniej dotknął Cię cierpieniem — zabrał Ci matkę, którą sam miał aż do śmierci. — On sam będzie ojcem tobie!... niepytaj o tych szczęśliwych, co się tam śmieją, choć będziesz łaknął, nieoddalbyś potem jednego ciernia twego za ich wesele — patrz jakie niebo niebieskie!... jakie gwiazdy jasne! tam popłyniem kiedyś!... ale wtedy zrywał się z ziemi sierota — jakaś twoga zo z zmierzszchem ogarniała mu duszę, jakby ją kto ścisnął ręką żelazną — uciekał gościććem, zdało mu się, że go coś goni — i tak zalatywał na plebanią — gdzie usypiał na sianie wonnem jak jego pacierz wieczorny...

Zapada cisza wieczoru — konają ostatnie jęki dzwonów cerkiewnych — rosa opada na kwiatkach mogil emtąrza — a słońce schyla się ku niebieskim góróm — na emtąrzu cisza — tylko nad jedną mogiłą stoi jak smutny anioł — młoda dziewczyna z wieńcem niezapominajek w ręku — postać jej smukła i biała — długie ciemne włosy aż nadół opadają w kosach po wiotkiej szyi — a oczy niebieskie, których wzrok sokoli jakąś tęsknotą omgiony i pełen boleści aniołów — patrzy na czarny krzyżek z niemym smutkiem — ręce jej opuszczone, ale oczy podniosła ku niebu i wieńiec niezapominajek ją zawieszac na krzyżu, na którym napis: «bądź wola twoja» — i jeszcze niezawiesiła go kiedy głos świeży, drżący: I ty tutaj niezabudko!... owzał się za nią — i jednym skokiem stanął przy niej chłopiec nieśmiały i zdziwiony — pierś mu drżała jak nigdy dotąd, i twarz miał czerwona jak róża. — Dziewcze zbladło, krzyknęło głośno i upuściło wianek na trawę — drżąc rzekło: I ja sierota!...

Będzie nas dwoje, to niebędziem sierotami, wyjąknął drżąc chłopiec i patrzac na jej spuszczone oczy. —

Nieraz ja widziała zdala, jak tu siedzicie smutny, to dumalam sobie, uplotę ten wianek matuli twojej. — Chlopeu by się skręcił w oczach — jak dwoje skrzydeł podniósł ramiona — objął ją i całą siłą przytulił do siebie — jakaś rozkosz dzika niebiańsko rozsadała pierś ich — a usta i oczy

zbiegły się akkordem w niemy pierwszy i ostatni dusz po-calunek!... taki — jest jeden tylko w życiu, w którym spotykają się swoje dusze — echem odbił on się między grobami, a wiejski otmąrz wydał im się rąjem — byli jak by się od wieków znali. — Po chwili rzekła dziewczyna: — Tu nad stawem w trzcinach uplotłam ten wianek z niezabudek, i tuląc główkę do jego rozkolyсанej piersi szeptała cicho: nieraz mi było smutno — z chat Michała tam z góry widziałam, jak tu sami chodzicie. — Od dziś ja Cię niezabudką zwać będę — mówił z radością chłopiec. —

Niech będzie, odrzekła krasnójac blada dziewczyna — niech będzie! — i ja sierota!...

I ty!... zawałał cisnąc jej rękę — my oboje — rzekł i podniósł upadły wieniec, wieszając go na krzyżu mogiły, przy której usiedli oboje — Bóg Ci zapłać za wianek, matula pomodli się za Ciebie — za nas oboje — rzekł, patrząc jej rzewnie w oczy — za nas jak za swoje dzieci. —

Dziewczyna spuściła smutnie oczy i milczała, niewiedząc czemu — i on niemógł mówić, aż dotknął jej ręki i rzekł: Ne-zabudko!...

I była cisza — po której rzekł: — A ojcowie dawno Ci po-marli?...

O! dawno, rzekła smętnie — nieznam nawet ich mogił tutaj, co już zapadły — stary gospodarz mówi, że mnie nad stawem znalazł porzuconą w pieluszkach — i nikogo przy mnie — i wziął do chaty — z litości — tu zapłakała gorzko. — On dobry, ale wziął mnie z litości — taj ja cudza na świecie — ja kormornica. On dobry — ale ona! niech jej Bóg pomituje, wy-mawia to co dzień, i nieraz lije!...

Bije!... zerwał się chłopiec, zacisnął pięści i krzyknął przez łą — chatę im podpał!...

Jak sarna skoczyła dziewczę — i złożyła ręce przed nim. — Bój się Boga — niegadaj tak, jabym się utopiła, albo ucieknę z siola i pójdę w świat — tam ja się już oswoiła, tylko wieczorami smutno mi, kiedy śpiewając sobie przędę lub dziecko ko-lyszę, nieraz matka przytuli swoje dzieci — a ja dumam: mnie tak nikt na świecie nieprzygarnie, i kiedy u wieczery jedzą dzieci, mnie sierocie dają kawał chleba osobno od dzieci przy kądzieli

— i psu tak dają — toć z psem go jadam, bo do nikogo więcej niemam się przytulić — on się łasi a ja go głaszczę.

Ja! ja! zawałał młodzieniec — i tulił ją do siebie — drżąca i splakana — a zgarniająca jej włosy z bladego czoła, rzekł: słuchaj Nezabudko!... przychodź tu, co wieczora z takim wianuskiem, będziemy się tulić do siebie, i mówić o niebie, o matce — o Panu Bogu — ty kochasz Pana Boga?...

O bardzo!... odrzekła składając rączką!... i nieraz płacząc nad nim, że go ludzie tak strasznie przybili do krzyża... on mnie nieopuścił ale kocham go nie zato, że mnie chleb daje, lecz, że stworzył takie niebo z gwiazdami i miesiącem — takie drzewa i kwiatki, że się raduję sama niewiem czego — ja tak lubię patrzeć na to niebo, gdy już skończę robotę a dzwonek od cerkwi zadzwoni, to siadam na podwórzu i patrzę jak słońce zachodzi za góry — ot — tak jak teraz. —

Nezabudko!... to i ja tak!... zawałał Tadeusz — i ja tak lubię o Panu Bogu słuchać i o aniołach jasnych, jak każe ple-ban, i jak Pan Bóg świat stworzył. —

Co to świat?

Świat? — to ziemia i niebo razem ze wszystkim, i dobre i złe — i ładne i smutne i ciemne i jasne, dziewczyno — a na tym świecie każdy ma aniola stróża!...

I ja mam? spytała Nezabudka! o! tom nie sma!

Nie! nie! odrzekł prędko chłopiec — ale go nie wi-dzisz choć on przy tobie, ale ty mnie nieprzestaniesz lubić choć masz aniola stróża, rzekł patrząc jej niespokojnie w oczy. —

O! będę do śmierci! wyrzekła — gdy będę zasypiać, poślę ci aniola mego na dobranoc...

A ja tobie mego!... i milczeli znów długo — poczem rzekła Nezabudka — mroź mnie nieraz przechodzi, że mnie po śmierci zakopię w takim ot dole... zagrzebię w ziemi — a tam tak ciemno — duszno!... tyle gadzin — o straszno mi!... i tu-liła się do niego. —

Ale dusza twoja nieśmiertelna polecą tam daleko — do Boga i nigdy niewrze — tam będziemy razem — bo ludzie nie-śmiertelni!...

Nieśmiertelni — powtórzyła i westchnęła głośno, a w tem

westchnieniu znać było tęsknotę za nieskończonością wieczności
jasnej — za prawdą!... za Bogiem!...

W tem — Niezabudko!... zawołał — wiesz — ja będę ma-
larzem!...

Co to malarz?...

To taki człowiek, co na desce lub na płótnie farbami wypi-
suje niebó i ziemię — lasy — wody — i ludzi i świętych jak
na obrazach w cerkwi!...

A! a! ty... ty!... co to za szczęście — gdyby ja mogła —
ale ja wolę być durna — jak ty będziesz tak znał... o! jak to
musi być ciężko — jabym nigdy nieśmiała wypisać świętego —
albo Pana Jezusa bolejącego na krzyżu — lub pod krzyżem ma-
tejkę świętą bolejącą — bo by mi serce pękło — i zalała się
łzami — ty — malarz!... Moja ty — przerwał — ludzie robili
już dużo świętych, gdy mieli łaskę Bożą i niebo nawet i
świętych już za ziemią tak jak są w niebie przed Bogiem — a
wielka to łaska, gdy Bóg czyjej duszy da widzieć jak w niebie
wygląda, by potem to wypisał na płótnie — ja niewart tego —
ale nie więcej niechęć — jak niezmogę, to się utopię!... sztuka...
co to szczęście żyć dla sztuki. —

Co to sztuka?...

To co w człowieku największe — gdy dusza za życia
widzi — przeczuje, co tam bywa w niebie i tu na ziemi
zrobi to farbami, albo opowie słowem, albo piosnką wy-
śpiewa!...

Piosnką... mocny Boże!... toć ja czasem śpiewam sko-
wronkom, gdy słysz jak śpiewają, i sobie ot nuąc — i płacząc
na świat patrząc — i sama układam sobie piosenki. —

Ty niezabudko — a zaśpiewaj mi jaką!...

Kiedy mi przy was ciężko... i zakryła twarz rumianą rą-
czętami — to tylko samej można... Tak i ja rysuję sam, gdy o
matce myślę... ale zaśpiewaj moja!... ja w ziemię będę patrzeć.
— Dziewczę zanuciło:

Na wzgórkę na zielonym
Młode dziewczę tam stało —
Z pięknem białem o! łonem
Włóski na wiatr rozwiało...

Na wzgórkę na zielonym
Młoda brzołka szumiła
Z śnieżnem białem o! łonem

Swe warkocze rozwiała...
Dziewczęć duma i nuci,
Smutnie patrzy w niebioso,
Brzoza szumiąc się smuci,
Z listków spuszcza łzy rosy...

Coś tak tęskno dziewczynie
Siadała płakać nad rzeką,
Ku niej swachy w dolinie
Z gwarną pieśnią się wzięła —
Coś tak szumi, marzeka,
Drżąc brzoza listkami,
Ku niej idą zdaleka

A idą z siekierami!...
I poranka jednego
Jęczy cerkiewny dzwonek,
A z pod nieba chmurnego
Dzwoni, dzwoni skowronek...

Na wzgórkę — na zielonym
Wóz ciągnął czarne woły
Wóz skrzypi ciężkim pionem
Oj! oj! nie do stodoly!...

Na nim dziewczęć uśpione
Z oczu iskry uciekły
Rączki na pierś złożone
Łęca w bładość się zwlekły...

Na nim dziewczęć uśpione
Z czołem jak lilia biała,
Rączki na pierś złożone,

W niemy uśmiech śmiała...
Na wzgórkę na zielonym
Wóz ciągnął czarne woły,
Wóz skrzypi ciężkim pionem
Oj! oj! nie do stodoly!...

Na nim brzoza złożona,
Z ran jej ciche łzy ciekły

Warkocze od jej łona

Aż po ziemi się wielki...

I po brozcie zanucił

Ptaszek dzióbkiem zroszonym

A po niej — ktoś się smucił

Na wzgórkę — na zielonym?...

i echo porywało ostatnie słowa — a chłopiec lkając, głośno całował długie warkocze dziewczęcia, co umilkło nieme — i milczeli długo — po czem rzekła — niesmaczenie się tak zawsze po matuli, bo mówią, że to szkodzi umarłym, słyszałam o tem dziwną powieść na wieczornicy, i kiedy noszę wodę w konewkach od krynicy do chaty, to składam sobie z tego i śpiewam taką piosenkę:

Trzy doby jak mateńka skonała!...

Trzy doby Marysienka płakała!...

Świeci słonko! — świecą gwiazdy oj! świecą,

A z jej liczka łzy lecą — oj! lecą!...

Aż na czwartą noc śni się mateńka

Jak dźwiga pełne wiadra dwa wody,

W pocie czoła je dźwiga i stęka,

Aż krwią blade nabiegły jagody!...

Matko, matko, pyta Marysienka —

Co tak dźwigasz, o daj, daj ulżyć sobie,

To łzy twoje, odrzekła mateńka —

Łzy, coś na moim wyplakala grobie!...

Nie płacz, nie płacz o dziecię me łube,

Lecz żyj w pracy i trudzie, o moja!

Pracą dziecię zabędzisz twą zgubę

A mateńka będzie z tobą twoja!...

Nezabudko, ja kiedyś to wszystko farbami wypiszę!... o!
gdy się nauczę w mieście...

W mieście!...

Wypiszę farbami i dziewczę i brzozę — i wóz na wzgórkę zielonym, co czarne woly ciągną — oh! ale kiedy ja będę tak umiał — słuchaj — u Plebana jest na ścianie święty obraz — a jaki!... tam jest opisane, jak będzie w niebie po śmierci — gdy tam będziemy — pleban mi o tym obrazie nic nie mówił, ale ja na niego nieraz patrzę długo i dumam o nim i śnię w nocy. — A jakże tam niebo zrobione?...

O! wielki to obraz — na okolo chmury, takie jak te złote — tam po nad górami — u góry stoi w chwale matka Boża z dziećmi, ze skrzydełkami motyli pod główką i śpiewają cudnie od skowronków ... niżej klęczy jakiś wysoki staruszek z siwą brodą a koło niego wielka czapka z kołcami złotymi wysoka z krzyżem stoi — a z drugiej strony jakaś święta śliczna z rękami na piersiach i oczy ma spuszczone na dół na ziemię — a u samego dołu dwa aniołki — ot tak jak my przy sobie tutaj — oparły się na rękach — patrzą w górę i dziwią się ... cudności matki bożej jasnej jak słonko — dziewczę milczało zasłuchane — aż rzekło: O! patrz jak słońce zachodzi!... i patrzyli oboje trzymając się za ręce — na świat Boży — przed niemi ciemniały błękitne smugi Karpat, nad którymi do połowy zapadła słońce rozlewając strugi światła po niebie — i purpurą ostatnią złoćciło niebo — chmurki przybrały ognistą barwę i ciągnęły w dal wdrownice — ptaki wrwały na gwiazda, żeglując błękitem — inne świegotwały gwarno o zachodzie — na listkach drzew szemrzących modlitwy szmerem odbiły się ostatnie promienie — rosa opadała już ziemię — zdala dołstywał głos fanki — jakaś piosenka się odrywała — ryk wracającego bydła, dzwonił krów i śpiew pastuszy, sepaki i wróble gwarzyły żwawo — tam dzikie kaczki ciągnęły ku stawowi — bocian wracał na gniazdo — z dali ozywał się derkacz na łąkach i czajki jękiem na moczarach — o podał pod emtarzem staw wielki zablasyła łoną zachodu i pochylił się szumem trzciny — dzienne głosy ptaszek ustawały — słowik ozwał się w wilklinach, a po chatkach ujadanie psów dołatywało — szmer listków strącał rosę świętą — a na łąkach rozległych ozwało się chórem zechotanie żabek jednostajne — którym od czasu do czasu głucho odhuczał bąk ze trzciny stawu jak przewodnik tej wielkiej orkiestry — puszerek

zerwał się i jęcząc kołem ich obliczał — poczęły się snuć niedoperze — zdaleka piosenka jakaś fajarki głosem płynęła jak anioł pokoju polaćni wśród woni i światła wieczoru — majowe chrabąszcze zagrały — a nad tem wszystkim rozemdliał się zdala dzwon wieczorny tęskną harmonią — i mrok zapadać począł. —
Zgasło!... rzekł chłopiec. —

Już się ściemnia, odrzekła smutnie — tam miesiąc pełnię wstaje nad trzcinami stawa i ot! gwiazdka moja zaśróżała... mnie czas do domu. —

Już!... ale przyjdź jutro, bądźniemy znów mówić o Panu Bogu, o ziemi — i ojczyźnie...

Co to ojczyzna?... —

Ojczyzna dziewczyno!... rzekł młodzieniec gorąco, to co nam najświętsze po Bogu — to ziemia — matka nasza, gdzie śpią zmarli ojcowie od wieków — ojczyzna tak do życia potrzebna jak dusza — jak powietrze do oddychania — kto niema ojczyzny, umarły jest — ojczyzna nasza wielka i święta — ale źli ludzie, wrogowie napadli ją i odebrali nam — i chcieli nas odczucić mowy ojców — ale Bóg dobry i ona zmartwychwstanie — ojczyzna nasza — to Polska!...

Polska!... wymówiła, składając ręce jak do modlitwy... O tak! ona, mówił mi pleban jak Pan Jezus ukrzyżowana i w grób złożona — choć żywa tam się męczy — ale grób jej otworzymy!... Boże łaskawy!... zawołała Nezabudka!... W książkach uczył mnie pleban, jak dawniej było u nas a jak dzisiaj — jutro powiem Ci, jak było w ojczyźnie naszej świętej — i oboje rzucili się z głoynym płaczem całować ziemię drogą — a chłopiec rzekło — sztuka przemówi głosem naszej ojczyzny!...

Jak ptaszek zerwała się dziewczyna — i rzekła dobranoc — lasce bożej!...

Przyjdź jutro tu Nezabudko rano!...

Aż wieczór!...

Dopiero wieczór!...

Niemogę!...

Musisz!...

Dobranoc!... rzekła i uciekając jak podlatująca kuropatwa, dziko znikła za krzakami drzew — w głowie jej się zawracało — on tego wieczora wyszkalił jej duszę, tak ubogi jak był, miłością

tylko rzekł chaosowi jej myśli: stań się — choć oboje nic niewiedzieli. — I zwolna poszedł chłopiec do domu, wołając jej ginącej na wzgórk dobranoc Nezabudko... a zdala brzmiała mu jeszcze piosenka:

I po brzoście zanuć!

Ptaszek dzióbkiem zroszonym

A po niej ktoś się smucił

Na wzgórk na zielonym...

I na tej mogile schedzili się co wieczór i modlili razem — i mówili o świecie — o Panu Bogu, o duszach swoich i ojczyźnie świętej — a co czuli na dnie dusz swoich, przeuczucie!... niebo otwarte stoi człowiekowi, póki godzinie nieba — co czuli, wie kto kochał a kto przeżył miłość swoją i zapoznał — nich spyta strąconego szatana, jak mu bywało w niebie?... I dnia pewnego Tadeusz obok liców matki swojej wgięciem na ścianie wypisał z duszy swojej obraz: Nezabudki... i patrzył nań z miłością pierwszą i ostatnią — niemocą swoją wymowną — ale kiedy się zbliżał pleban, prędko zmaszał ręką na murze i zarumienił się — potem płakał rzewnie, bo już drugi raz tak niemógł «wypisać» jej lica — które mu gwieździł przed oczyma i spłaszka każdą myśl ziemską. — — —

W białej cichej izdebce siedzi Tadeusz z grubym przedkiem w drgającym ruku — przy nim misa pełna rozartego oleju i grube farby jaskrawe — pod ścianą rozpięty kawał płotna szarego — on z boleścią suwa po tem płutnie ręką drzącą, a pod nią występują z wolna kształty ciała — człowieczego — widać postać leżącą trupio — snem śmierci — wzdłuż płotna... ręce i nogi wyprężone, piersi skrwawione — a głowa w cierniach i oczy zapadłe już zawarte — twarz poślółka i strasznie zboliała. On patrzy miłośnie w to pierwsze dziecię myśli swojej i widzi w nim piękność boleści — i przeżegnał się chwytając farbniarskie

narzędzie od mieszczniana, co malował czerwone sztachety plebanii — a ujrawszy kształty ciała i głowę Chrystusa — padł na kolana i rzewnie zasłochał: o mój Jezu! nic niemam — nic nie wiem — jeno że Cię miłuję — całą duszą o! ale i ty mnie bardzo miłujesz o biedny!... Weź ciało? weź duszę moją na ofiarę... a gdy to mało, weź nawet malowidło moje... tys tyle cierpiał o Jezu!... taka zbrołała twarz biada — o! bardzo Ciebie Kocham!... umarłbym tak jak ty za ludzi — za Ciebie!...

Za nim stał pleban rozrzedziony w zdumieniu swoim i ręką kapłańską wznosił nad jaśną główką, zlewając błogosławieństwo na prostaczka — stał długo — i jemu bza upadła na widok bohomażu poczętego w miłości i prostocie — potęgą wiary i namaszczenia, co tworzy z niczego — jak źródło, co nie może nie-tryśkać. — Bóg Cię wybrał, mój synu, rzekł zwoła i łagodną powagą — będziesz artystą. — Co to artysta?...

To człowiek, co dźwiga krzyż większy ale i cięższy jak inni ludzie do końca — i na tym krzyżu umiera zwykle zrelizowany, a grób jego zakwita chwałą narodu — artysta — to człowiek, co sztuce poświęca życie, gdy go Bóg natchnie i powoła — ty będziesz malarzem — wielkie to szczęście ale i krzyż wielki być artystą — ale biada temu, kto sztukę połową tylko serca ukochał — kto jej się oddając niepoświęci jej wszystkiego prócz ojczyzny w tem życiu!... niebo będzie Ci otwarte, ale pamiętaj, że tu nic niemasz i chwała twoja w tobie i nie z tego świata — gdybyś sztukę zdradził i skałał w świecie i zbrukał białą sukienkę duszy twojej — piekło odeswie się w tobie na myśl, że Cię Bóg kapłanem piękna, dobra i prawdy namaścił, a tyś tego w twoich oczach niegodzien — i nie stoisz tak wysoko jak artysta winien — pierś twoją rozdrzesz i z niej rzucisz z życiem twem pokarm ludziom — a ludzie wiesz co ci za to dadzą — uśmiech politowania — w pierś uderzą kamieniem i rozkrzyżują — a nad tobą napiszą: waryat bolesi! — ledwie kilku takich jak ty waryatów pojmie ciebie spójrzaniem tęsknem, i ścisnieniem dłoni drżącej serdecznie — mimo tego będziesz artystą?...

Do końca! do końca!...
Mimo szysterstw i nędzy, zwątpień i pokus — ?
Do końca! do końca!...

I żadnego miana nad miano artysty nieprzełożysz. — Pogardzisz dla tej korony wszystkimi blaskami ziemi — a sztukę ukochasz nad wszystko, choć sam zostaniesz sierotą z sercem płkającym?...

Do końca! do końca!... jęczał jak łabędz w skonaniu chłopcica z ogniem żrenić, co zdążył się iskrami przyskać — wtedy kapłan rzekł: więc idź pod krzyż ten niewinna duszo! lecz bądź jak dziś godzin twój drogi, bo tylko krok od szczytu do szczytu do otchłani — i kląkł przy dziecku — którego niewinną szną z czią ucałował — bo dziecink było jeszcze z tych, których królestwo niebieskie — których kto zgorszy, wart kamienia u szyi — które kto rozczaruje lub wiarę im wydrze, zbrodnię zbrodni popelnia i niewart nawet — kamienia ni głębokości morskich. — «Chrystus, rzekł kapłan, umiłow twą duszę, kiedy Ci nieumiejącoemu dał twarz swą wyducać...» To wasza nauka! rzekł chłopiec całując rękę kapłana — wczoraj zakalicie tak cudnie jak Pan Bóg złożony był do grobu — a trzeciego dnia zmartwychstał — tak i my zmartwychwstaniam — i ojczyzna... to Polska!... Kapłan bę otarł — ziarno jego schodziło bujnie. — Tak moje dziecink — ale na rękach i nogach niedałeś ran jeszcze. —

O! niemogę! niemogę zranic tego ciała świętego — on i tak tyle cierpiał — jabył go ranil — niemogę ojeze! nie. —

Trzeba moje dziecink bóle ten natchnieniem Bóg ci odpłaci — niedługo wielki Piątek — położym to płótno na boże groby — a ludzie modlić się będą przy niem i stawac się lepszym od modlitwy — dokończ — każe tobie. —

Chłopiec z lekka poczynił ślady gwoździ na rękach i nogach Zbawiciela — po czem zapląkał i zadumał się długo i rzekł! patrząc przez bzy na zbawcę — to Polska!... o gdybym mógł choć iskry życia wlać w jej pierś!... Ojeze! ojeze!... daj mi ten kielich goryczy!...

Wielkanoc zbliża się z wesołym okrzykiem na Rusi: Chrystos woskres!... i od ołtarza do ołtarza gdzie kapłan je wymawia, to słowo przebiega cały obszar ziemi, od ust do ust, od dzwonu do dawosu, od siola do siola — ale jeszcze milczą dzwony — bo wielki tydzień okrywa świat żałobą, a wierni świata chrześcijańskiego obchodzą groby po bazylikach i tumach — po drewnianych kościółkach i cerkiewkach... modlą się u grobów i czekają w pracy królestwa bożego. — Cisza w starej drewnianej cerkiewce, co czarna, pochylona stoi przy smętarzysku wśród wioski. — Jej trzy kopuły omszone migają rdzawemi krzyżkami do nieba, a sama pochylona się ku ziemi — śnać długie lata przedumala na tem miejscu i niejedno pamięta ją jej dzwony jęczące, dzwoniły na chrest i do grobu niejednemu pokoleniu tej wioski. — W wnętrzu jej drewnianem z starości czarno i ciemno — słychać szum lip i swobodne świągotanie wróbli — przez szpary wiatr zawiewa i jęczy, u sklepienia sowa ma gniazdo — nad wrotami chór, kropielnica — pod ścianami stare jak świat ołtarzyki spruchniałe złożone aż kapie, i czarno z gruba na złotych tablicach poczciwe bohomyzy malowane z wiarą — in illo tempore — patrzcie — tu święty spiął konia, trątuje smoka, co stęka z bolu ale się śmieje i bucha ogniem siarczystym — tu Abraam ścina Izaaka — tam znowu pogrzeb jakiegoś biskupa, trumna wółotwarta płynie na barkach ludu śród gromnic — a w niej śpi święty staruszek z długą brodą ak śnieg białą — wyżej dwunasta apostołów groźnych aż strach! z narzędziami męk własnych. — Zdają się więcej o piekło niż o niebie mówić — tam znowu Maryja Magdalena z włosami długimi w skale pokutuje przy trupiej głowie — a na chorągwi malowany zwycięzca — w morzu płomieni wyglądają biedne duszyczki przeżę w górę ramiona — a anioł z góry zlewa je dzbankiem wody... pod każdą ścianą po dwa ołtarze nakryte białym obruskiem — na nich krzyżek z drzewa lub otowiu, wśród świec złotych i ksiąg starych, a ku środkowi niły w winnicy, pną się carskie wrota — na nich z brodami białemi i piorunującym okiem Kirylo i Metody błogosławili, zamknięci u góry promieniami opatrności... Za nimi — tuż wielki ołtarz a w nim Boga Rodzica w sutog koronie, z twarzą mażaną, lecz oczyma dziwnie rzewnej matki, w niebieskiej sukience, a na szyi

aż ciężko od koralu i paciorków jakby odwróconą tęczę upięła, na jej ręku dziecina z jabłkiem świata, którym dławią się mo-carze ziemi, dziecina boska błogosławi światu rączką poczerńiałą od czasu i pocałunków. — Cerkiewka wółotwarta — dziś wielki Piątek — na środku leży na podłodze rozkrzyżowany, krwią obłany — w cierniach sełżony — zbawca świata — do dnia trzeciego — u Jego głowy pali się lampka szklanna, a dalej na stopniu ołtarza rozłożone długie płutno — na niem malowany Chrystos złożony po śmierci. — Ciało rozciągnięte boleśnie — ręce leżą spokojnie, wyraz boleści rozlany na twarzy czarnemi otulonej włosami — co spływają z pod wieńca cierniowego. — Cicho śpi Pan Jezus — a w kolo kłęczą wieśniacy w modlitwie, kilka niewiast z dziećmi, stary wieśniak i kilkoro młodych chłopiąt z złożonemi rękoma, modlą się rzewnie i patrzą miłośnie w bohomasz zrobiony bez nauki i pojęcia, lecz przeczuty do oczów ludu — i lepszy jednak instynktowo od bohomaszów cerkiewki. — Pod Chórem stoi w milczenia młody malarz; jego głowa podniosła się w myślach, długie włosy opadły na szyję — a oko tonie w górze, kiedy marzy nowe kształty dla duszy swojej... a przez szybki otłowiane cerkiewki promień słońca strzelił i padł nad jego głowę, otaczając mu smętne czoło — a drugi rozlał światło po tle obrazu, gdzie na leżącym płótnie spoczęła po raz pierwszy jego myśl kwitnąca w kolebce sztuki...

I cicho było w cerkiewce, tylko promienie gromnic drgały i szmer modlitwy włościan jak szmer fal ułatywał w górę niemą harmonią, z ust prostych, których niekialo przewrotne słowo ani samowiedza złej woli. — Wtem wbiegła do cerkwi — biała dziewczyna uboga, ale bieluchno odziana — była boska i nic prócz białej Koszalinki, dymki czarnej i chustki białej na główce niemiała — włos jej długi spadał kosą na ramię a niebieskie oko pigknie choć tęskno patrzyło — gdy doszła do środka cerkiewki gdzie u ołtarza leżało płótno grobu, oświecone słońcem — krzyknęła nagle: o mój Jezu!... i przypadła jak ptaszek całując nogi krwawe, a z tem wrażeniem kłękła do modlitwy, złożony w nawiązanie rączką na piersi jak aniołek Perugina — tu poczuli stojący w dali młodzian, że mu zadrgało serce i łzę otarł z powieki, czuł pierwszy tryumf artysty, tę świętą chwilę

kłosa ziemie w raj ramienia, i staje za długie ciężkie koleje pielgrzymki życia — widział, jak przed wymodlonym obrazem jego klęka do modlitwy z krzykiem zachwycenia, składając rączki na pierś — jego kochanka — on wtedy szczęśliwy modlił się do niej modlącej się gorącą wiarą, co góry przenosi! widział jak gromadka ludzi klęcząc modliła się i wdychała do tych ran zbawiciela instynktem, o dzień jego królestwa na świecie przyjdzie mający — i było mu jakoś błogo w sercu. — O! wy, którzy w nie niewierzycie lub w to, co sobie sami sklejecie, bo w was bóstwo zamarło, co nie raz gwiżdżąc z pogardą deptacie ziemie wiosek swoich uboższych, miejskich murów zgnile pigmeje, przywykłe do sybaryckiego delektywania się fotografiami wielkich arcydzieł mistrzów, przy czarnej kawie, które podziwicie na zimno, dziwiąc się i rozumując, przypisując mistrzom duszom to co im się nie śniło, twory bez duszy, o których pytamy się stwórcy czemu stworzył wucha, komary i was na świecie? szanujcie prastare bohomyzy biranackie po cerkwich — i Chrystusów po drogach i kapliczkach bolejących — tak malował święty Łukasz niezając rozumem estetycznych reguł — takim jest ikon Czystobowski; zostawcie jeszcze ludowi jego bohomyzy, on ich jeszcze potrzebuje — inne by do niego nie trafiły, jemu lepiej z nimi jak wam z galeriami, po których przesuwasz wasze szkielety! — Cicho stoi Tadeusz, promień słońca drży mu jeszcze nad głową — w kolo swego obrazu patrzy w garstkę, co się modli — ale on z radości nieczuje łzy w oku — jakoś mu ciężko w pierści, że nawet westchnąć nie może — dotąd mu tak nie było — przetań! czło — i dumał nad męką Boga człowieka, który mu stanął jako wzór najwyższy — pierwszy i ostatni przed oczyma duszy. — Z wolna rozeszli się ludzie — sama Nezabudka została — modliła się jeszcze i niewidząc Tadeusza, spuściła głowę, patrząc na obraz niemo z uśmiechem boleści i myśląc — gdybym choć jedną ranę wziąć tobie mogła! — tu niewidziany zbliżył się i ukląkł przy niej i szepnął Nezabudko!... to ja zrobił!... Twarz dziewczyny zarumieniła się, podniosła oczy i spójrzała na niego z wyrazem społecznia siostry po duchu — ale tak po prostu, po ludowemu, a tak nawiśnie smutno, że żaden mędrzec światowy nie dostrzegłby

tęgo i nie zrozumiał — bo tak chyła się ku sobie tylko kłose polne strojnieszę od Salomona... a chyba anioł Pański przelatując, dziwi się rzewnie ich piękności i rośg ich duszy z całą wonią myśli wiosennej unosi tułąc pod skrzydłem przed oblicze Pana... Kląkł przy niej i oboje rzekli po długim milczeniu patrząc w twarz zbawcy Świata: to Polska! Polska nasza!... potem, zaszeptał chłopiec Nezabudko: tu mi przyrzecz, że mnie nie opuścisz, że mnie nie zapomnisz — choćbym odeszedł daleko. — Aż do śmierci! szepnęło dziewczę, choćbyś ty o mnie zabył — i dotknęła palcami rany Chrystusowej stopy, instynktem, bo nieznała czem przysięga... która teraz splatała dawno już połączone dusze — i tak długo klęczeli — ich głowy schyliły się ku sobie — i rzekli: Jaki Chrystus biedny — nagi — umęczony!... i z dwojga oczu padło po łbie na rany dwóch stóp — i rany od lez tych pobłady!... Wtem w cerkwi odezwały się kroki powolne ciężkie, i wolne stukanie laaki o ziemie — odedrzwii ku ołtarzowi kroczył w długiej siermiędze siwy i ciemny wieśniak — barczysty i wysoki — włos siwy długo mu opadał rozrzucony wiatrem równie jak biała broda — duży miał kostar w rękę, którym tykał ziemie, nim postąpił, twarz miał dziką i dziwnie zboląłą tak, że przybierała pozór srogości, którą cierpienia długie na niej wdeptały brudną Laakonową — a krzaczyste brwi czarne jeszcze osłaniały sokołe oko które zaszło na zawsze mgłą smętną — bo w źrenicy jego zgasło światło... na zawsze!... na ramieniu miał lirę «z czarodziejskiego drewna» Niech będzie pochwalony! ozwał się do przytomnych dwojga, których namacał dwoma wraz rękami — czy ty Boży grób?

Tutaj — i Nezabudka rękę mu podała i pomogła zdjąć li-renkę plecy obarczając — bo był to lirnik wioskowy — choć nato niepatrzył — lirę złoty u stóp Jezusa — i kląkł się pomodlić cicho i dziwnie zadumał się — a promień słoneczny ozlacał te trzy postacie klęczące u grobu przyszęłego zmartwych-wstania — lirnik wstając rzekł: Ciemny jestem — dobry moi, połóćcie mi rękę przy ranach Jezusa, bym je mógł ucałować. — Nezabudka ujęła dłoń jego i złożyła przy zranionych stopach zbawiciela — które niemo i długo ucałował — a ustami zcałował dwie łzy ich na płutnie jeszcze drzące jak rosa po-

ranna ... lzy malarza ludowego i poetki natury, muzyk ludowy. — —

Czy czucie tę chwilę lata w naszej ziemi — kiedy przeminie wiosna marząca z szatami mgieł i tęcz — a złote kłosy szumią już i kłaniają się bijną falą ciężkie ziarnem ... niebo bez chmurki rozpostarło gorące błękity bezdenne jak pierś stwórcy, czasem w nich tylko cichy orzeł przepłynie lub mignie chyba jaskółka — drzewa rozwinięte cieniem długim ścielą się po ziemi — a tylko świst koników polnych od południa do wieczora słychać wszędzie — a na złotym lanie bławatek w zbożu rozwija niebieskie oko — o! piękna ta chwila upałów jak dusza namiętna, młodzieńcza chwila naszego lata. — W objęciu jego stopniła i znikła pochłonięta dziewicza wiosna — wtedy przed myślą najmniej stoi nam obraz jesieni — nie słyszym dzikiego krzyku wędrownego pastwa, co długim kłuczem płynie pielgrzymio wśród sinych chmur daleko — wysoko — nie słyszym szmeru żółkłych liści, co wiatr roznosi tumanem i zawieszca w objęciu babiego lata snującego się złoto po wszystkich płotach — — spokojnie — błogo w tym letnim upale — schylamy czoło, jak te kłosy dojrzewające. —

Na wzgórzach przy drodze lipami szumiącej — stoi w polu ten sam dąb opodal cmentarza — dąb wydrżony, w którym bieleje posąg bogarodzicy — nad której skronią gwiazdy niegłaskie błyszczą — dziś Boże ciało — tu będzie ołtarz jeden w kapliczce dębu starego, co w zielony puch ustroił dumną koronę — ksiądz z ludem przyjdzie dziś święcić pola — na stopniu przed posągiem białym stoi Nezabudka z wieńcami bławatków, któreimi otacza skronie Maryi — matki sierót — a przy niej Tadeusz z rękami pełnemi świeżych kwiatów polnych — ona skronie i stopy posągu okłada kwiatami, on je zrywa i przynosi — a w cieniu na dużym glazie siedzi ów stary lirnik z lirenką swoją — on ich ukochał jak dzieci — zadumał się w myślach i zdaje się słuchać, czy głosów natury, co szumią falą kłosów i liściem dębu obrzyna, gżmi ptaszak i poświstem koników polnych rozpustającym we łzach kwiatów — czy głosu dwojga kochanków. — Czy jakichś głosów dalekich, co wspomnieniami

więją z kąśdź w jego duszę ... lica jego uśmiechnęły się jakąś pogodą czy odbłaskiem pogody...

TADEUSZ.

Nezabudko!... malarz by lepiej nieułożył tych kwiatów.

NEZABUDKA.

Oj tak!... we wsi nazywają mnie durną Rózią, ale choć się zemnie śmieją, że niechodzę na muzyki, oni tak kwiatów nieuplotą matce bożej, ona też kocha Nezabudkę sierotę!... będzie już bławatków, daj parę kłosów i dwa maczki, teraz dzwonek polny — tak — a teraz traw, by związać wianek. —

LIRNIK.

Jakie kwiatki uplatasz, dzieweczyno?...

NEZABUDKA.

Bławatki — niebieskie kwiaty, jak niebo. —

LIRNIK.

Oj ja już nieba nigdy nieujrzę!...

NEZABUDKA.

Biedny! dałabym Ci oczy moje — żebyś ty choć raz mógł widzieć to słońce, jak wschodzi i gwiazdy, jak błyszczą.

LIRNIK.

Oj ja je czuję, dzieweczyno! dumam i czuję te gwiazdy, jak skry ... jak pająki, przędam tam w górze do końca świata.

NEZABUDKA.

Zagraj nam na lirence — słuchałabym dzień i noc — tę dźwięk o Katarzynie — plakałam od niej, tak mi tęskno było. —

LIRNIK.

Oj! same smutne piosnki gram — bo smutne to dzieje — oj! smutne! (i począł stroić lirę) czy już późno?...

TADEUSZ.

Schyla się słońce. —

Lirnik westchnął, mruknął coś i jął przebiierać palcami po jęczącej lirze, jak gdyby cierpieniami ludu jęczała — a niezabudka założywszy ręce, słuchała płacząc wisnek i biorąc kwiaty z rąk młodzieńca, głą stary lirnik stóp Bogarodziicy pod dębem tak znucil:

Szumyt woda, witer wije,
Katarina z żalu mdlije,
Płacze, płacze, czarni oczyi,
Lijte slozy w deń i w noczi. —

O! pozał się serdec Bohu
Ja bez nioho zyt nemohu,
Płacze, płacze, czarni oczyi,
Lijte slozy w deń i w noczi. —

Hdeś u innej krasnoj diwy
Znajde szczastia, bud szczaszlywyj,
Płacze, płacze, czarni oczyi
Lijte slozy w deń i w noczi...

A czy wirnyj czy zdradlywyj
Bud mu Boże mylostywyj,
Płacze, płacze, czarni oczyi,
Lijte slozy w deń i w noczi...

I powietrze powtarzało — lijtje slozy w deń i w noczi... I głos rozbrzmiał się tęskno... dziewczyna zasluchala się smutnie, a chłopiec — rzekł dziko: Nezapudko! za miesiąc się rozdzielim!... Niegadaj — odrzekła — ja pójdę tam pod krzyżyk a kto wieniec zawiesi na grobie matuli... kto mi tak powie: Nezapudko!... mocny Boże...

On pocałował ją w oczęta. — Ja wrócę — pleban kazał — muszę... muszę się uczyć...

Mój Boże! mój Boże — szepiała, wijąc ręką po czole — i zastłoniła liczko — a on mówił gorzko: bodajes była mnie nieznała — przekłty dzień; biedna dziewczyna, co ukocha artystę

— on jej da swego nieszczęścia połowę a szczęścia nieda — rozedrze duszę w walce dla ukochanej i dla sztuki — co ja pocznę bez Ciebie...

A ja — bez Ciebie — i zaśmiała się straszno — jak z za grobu — ale dobrze i tak — tyś mnie sierotę tulił do siebie — tyś uczył i tyle nauczył wszystkiego, coś umiał przez dwie wiosny — ja poleję z ptakami za tobą. — Boże! Boże!...

Pawle! rzekł Tadeusz do lirnika — obiecać nieopuszczyć tej sieroty — bo nikt jej nieprzygarnie, nikt o nią niebda... ona sama — jak listek na drzewie — jak ja sam — a ja zostać nie mogę — rwie mnie w świat — jabył zamarł tu — oh!... Prędzej jak pieś zginę od głodu, zaklął stary ślepiec — to córka moja!...

W tem od siola z nad pól zabrzmiały dzwony cerkiewki i śpiew się ozwał głośny. — Pleban szedł wśród ludu, co niósł gromnice i chorągwie; szli jak strumień polem ku kapliczce do starego dębu a śpiew się rozlegał daleko — szeroko z dzwonami i płynął w niebo. — Wszyscy uklękli przy sobie u stóp matki dziewicy a nad ich tłumem posąg biały wyciągał ręce, błogosławiąc pokoleniom pokoleń ubogich w duchu — co połączyły się w jednej pieśni na wieki. —

Ku zmierzchowi zapada wieczór jesienny — dzwon wieczoru daleko po bloni rozbrzmiewa swe jęki — wiatr chłodny wieje od zachodu i strąca listek po listka z topol otaczających cmętarz wiejski — a górą z dzikim śpiewem ciągną żórawie — w środku cmętarza mogiła, na której już odkwitły kwiaty polne i poźółkłe szumią łodygi, na niej krzyżyk czarny, na którym kołysze się świeżo uwiśnięty wianek niezabudek... w kole dziwnie smętnie i chłodno — po lasach odcienia żółte złocą się czerwono a na Karpatach bieleją plęśnie śnieżyste... na cmętarzu tym tylko zielono jeszcze, choć w polach już nago i na ściernistych rżyskach tylko gdzie niegdzie kwitną bratki polne — cmętarz to ten sam i ta mogiła gdzie się zeszło dwa lata temu dwoje dzieci — wy znacze tę mogiłę. — Przy niej stoją dwie dawne postacie: młodzian wysmukły, ze smutkiem

na twarzy, z szerokim czołem i boleścią, która pierś trawi tęsknotą za nieskończonością — a resztę walki by nieskończoności poświęcić skończoność — biada kobiecie, co artystę ukochała — jeżeli wielka jej dusza poświęci się sama dla sztuki, jeżeli nie zwiednie lub nie upadnie — ale zawsze będzie poświęcona — on myśli nad tem boleśnie — i walczy, bo kocha ją — niemal tak jak sztukę — tem uczuciem twarz mu pobladła — przecucie to dalekie przyszłego życia — idzie on na walkę, jak Izak na stos na pocałunki Judaszów i moralne sztylety wrogów — rwie się jednak — i czuły się zbrodniarzem gdyby został — wolałby się zabić, życie zwiodłoby mu nikczemnie jak tysiącom tysięcy a pierś jego pali żądza, by go coś przetyło na ziemi ojców; coś wam mówić o tem — kto nie przeczuje, nie pojmie — każeć rybce być bez wody — każeć pszczołce nierobić miodu! czemu pszczoła pilniej niż inne owady leci na łąki i pola — bo to, co robi, nie dla siebie robi. — A jednak on ją tak kocha!... tyle wykształcił duszę młodej poetki — przed oczy rzucił jej obraz świata — okresy ducha — przeszłość i obecność dziejową... i byli tacy szczęśliwi w rozmowach o duszy i nieśmiertelności... dziś życie stało przed czystym, nieświadomym tej drogi i z drżeniem ją przeczuwa — ale nim pójdzie jeszcze ostatni raz, patrzy za siebie, ucałował w lesie miejsce, gdzie stała niegdyś chata jego matki — dziś stoi tam inna chata i nowy mieszka leśny — zdechł pies stary, krzyż się wyrócił, tylko zdroj leśny płynie jak ongi... jak wielkie serce, co czuwa do końca — a tutaj — mogiła jego matki, gdzie tyle chwil przemarzył, tyle wspomnień zostawił — tu przy nim to samo dziewięć — lecz jakże inny wyraz twarzy dało jej to wykształcenie, które tak cheiwie z oddechem wciągnęła!... głowa jej spuszczone — a w piersi serce cięższe od mlyńskiego kamienia — ale on ukłękł przy krzyżu a potem pójrzał w niebo — wstał — porwał ją w objęcie żelaznej stanowczości — objął niemo — a jęk jego duszy w niebiesiach się odzywał — chciałby był umrzeć w tej chwili — a potem — poczył ją drżąc odpychać od siebie miotając się niemą pierśią — wreszcie jak dziki orzeł krzyknął:

Będź zdrowa! gwiazdo moja... na długo!...

Na zawsze!... powtórzyła bez żywej spokojna strasznie dziewczyna. — Jeżeli możesz, kochaj szczęśliwszego odemnie — a ona krzyknęła płacząc jak dziecko na te słowa — ale on już uskokzył za wał cmentarza i poczył uciekać — lecz głoszny płacz sieroty pogonił za nim i zamarał wgnęznościami — tak — że stanął — jak wrudy! — obejrzał się jeszcze, wyciągnął ręce. —

Nezabudko!...

Blawatku!...

I znów poleceł ku sobie — po chwili młodzian pędząc dziko polami, słyszał za sobą płacz głoszny i jakby śpiew:

A czy wirnij czy zdradliwyj

Bud ma Boże myłostwyj —

Płaczte placzte, czarni oczy,

Ljajte slozy w deń i w noczy!...

tak śpiewał lirnik przy drodze — on go ominął, lecąc ciągle za sobą, słyszał płacz dziewczęcia — taki płacz slychać czasem na wiejskich pogrzebach... ale się nieogłądał, choć długo — długo latami brzmiał mu potem głos ten w duszy — i tu zapadło słońce za góry — a z niem pierwszą część życia malarza — już nie dziecic wiejskie, z myślą wybijającą się do działania — ale człowiek — sam wśród tłumu — pytający — bez odpowiedzi — pukający do drzwi zawartych głucho — gdy szukał serca — dano mu skorpiona — idzie szukający — za czem?... za wątkiem myśli swojej — który spotka u grobu...

DZIKIE KWIATY.

CZĘŚĆ II.

BŁAWAT.

U nas niegdaź się był artystą — to samobójstwo — jest to
wydawać się dobrowolnie na pożarcie dzikich bestyi w cyrku...

KRAKOWSKI. SPINAK.

On ne bat de coup de pierre que le front des arbres couronnés
de fruits...

CHATEAUBRIAND. MEMOIRS. D. V.

O błogo ławia! błogosławiona!

ERNEST BULAWA. (KROPLE CZARNE.)

WIRK KWIATY

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

Gwiazdom, co świecą nad losem boleści!...

C Z Ę Ś Ć II.

Sinite parvulos venire ad me!...

Lat dziesięć minęło — lat dziesięć pracy, szamotania się
podróżą — wiele rozczarowań, tyle boleści — kilka kropel po-
cicochy — te lat dziesięć tyle burz przeniosły nad czoło młodego
artysty — a dasza jego wieków sierota czuła ciągly natłok
myśli, bo była genialna i namiętna!...

Oto w malej izdebce spoczywa na niskim łożu żelaznem
młodzieniec — księżyc w pełni rzuca nań jasne promienie i jasno
osrebrza cały nieład tej sennej, smętnej postaci ... ale promie-
nie jego działają nań, on chwytą coś rękoma — wstaje z wolna i
poczyna chodząc czegoś szukać — staje i woła: Niezabudko!...
i chwytą czarny węgiel — a nim na ścianie kreśli przez sen
wiersz taki:

Młodości moja! ty jesteś jak mglisty
Poranek, który ma tęczy wspomnienie,
I przyśność gromów; — i rosy blask czysty
Woi fijołków, pieśni słowiczej westchnienie
I w czarnej chmurze słoneczne promienie!
Lecz szum wierzb dzikich co po grobach marzą
Lecz jęki czajek, co się niebu skarżą,
Szmer trzein dziewiczych jak westchnienie smętne
Co się nie żali — lecz smutne — namiętne,

I świętojańskich muszek wianek złoty
 Co aureolą nieznaną mogiły,
 W leśnej ciemności drga blaskiem tęsknoty
 Nad głową śpiącą w sen ojczyźnie miły...
 Płacz rozczochranej wichrami kaskady
 W której księżyc zadrga promień białdy,
 Najwięcej zwały się w tobie — o! dzika
 Młodości dumna — tęskna — samotnika!
 A kiedy w niebo tęsknoty skrzydłami
 Walecisz, i pierś się rozmodli tonami,
 Raptem ci chmura po duszy przesunie
 I myśl i błękitów w własną otchłań runie —
 A o ziem pierśnią padłszy rozelkana
 Jak brzoza wichrów burzą szamotana
 Miotasz się niema, zliczała i smętna
 Drgające pięści podnosisz w niebiosy,
 Aż żal w twej piersi zaśpiewa Hozanna!...
 I ciśnieś ludzkosć do piersi namignąta,
 Lub płaczesz cicho, niemo z porannemi kłosey
 I w pierś słowioz wciągasz ruf anielskich głosy —
 Młodości moja! o — wieków sieroto
 Kiedyż twą dźwięk tęsknotę ukoiisz —
 Przepędzisz życie duszy nitką złotą
 Na sznąt Polski świetlaną... co stroisz
 W purpurę zorzy, w biały śnieg Sinaju,
 W gwiazdy Messyańskie — i w fald obyczaja...
 Lecz na tę tęskność, co się w tobie żali —
 Co w tobie śpiewa — co się w tobie pali,
 Czyż znajdziesz kiedy o moja młodości
 Ziolo w naturze... czy w głębiach wieczności...

Prawdo! tyś źródłem słońca słońce jedynem
 Po tobie człowiek sieroty — choć synem!

I węgiel z słabej dłoni się wysunął — on stąpa ku oknu —
 jakby w śnie swoim chciał zejść z góry w powietrzną podróż
 śmiertelną — bo pod oknem dwa pióra — otwiera — je — w tem

pies w kącie lęgący zawył głoszno. — On przetrzał czoło... i
 krzyknął zbudzony: Boże mój — znowu te mary!... ale czuł
 wielkie wysilenie i gwałtowne bicie serca, co jak młot w piersi
 uderzało — i rzucił się na łożo — a bezsenno ukrywszy twarz
 w dłonie — poczył myśleć o świecie i przeszłości swojej —
 artysta myślał on w duszy! o gdyby w kolebce obaczył cały
 ciężar życia, co go zbiorowo czeka — sam ten widok zająłby
 go — ale zwołana dzień po dniu niesie tak wszystkie chwile
 tantalowe!... i w tem też jego duma!... ale sztuka jest ka-
 plaństwem — lub niczem — artysta prócz Boga i ojczyzny —
 niema nic rodziny nawet — w niej wrastając, zwykle spotyka
 pierwszych wrogów — a później obojętność i politowanie —
 Jeżeli jaka dusza równie jak on waryacka go ukocho, musi
 kochać niemo i fatalnie — i całe życie w rozłączeniu, aż znu-
 żona padnie w śmierć lub w błoto. — Rodzina artysty to właśnie
 jego kalwarya. — Ona dopiero po wieniec jego trumny
 wyciąga, a później wieśna na kołku w spiżarni — umieściłaby
 go w salonie — gdyby liski jego były złote — lub choć...
 pozłacane!... które tylko w razie sławy i wzięcia — w czuły
 czulość się nagle zmienia. — Żona artysty — jeśli w chwilowym
 zapale odda mu rękę — przedź później jako kobieta zniema-
 widzi rywalkę swoją sztukę — i reszta życia człowieka myśli —
 znana od Sokrata do Durera i t. d. l. — po jego śmierci auto-
 rowa dzieła tego i tego — poszłocha w kącie, popije kwiatem
 pomarańczę i pospieszy użyć przemarnionego dotąd życia!... a
 tliwości tego przywiązania, które ma każde wielkie serce mimo
 zapalu do sztuki ku rodzinie? tej artysta niespotka — i niech
 się cały rzuci w objęcie sztuki, bo po za nią on sierotą bez granic!
 choć stanie na głowie, jego losem zawsze nieszczęście.

Boć złe tu jest doczesną mrzonką — a dobro — duch —
 światłość — realnością przyszłości — my jej pochodń przy-
 śpieszamy lub zwalniamy! zasługą jego, jeśli ma więcej
 miłości jak dumy — a więcej dany jak boleści! jeśli jest
 czyste duszy i odznacza się wspaniałością serca surowością
 obyczajów — miłością ojczyzny, którejby wszystko (sztukę
 nawet) gotów był oddać i niemiec tego za poświęcenie! —
 dalej w niezłomnością przekonań, bez zarozumienia, świa-
 domością swej siły i praw swoich, bez pychy, i w tej naj-

trudniejszej rzeczy: nieżądaniu niczego od ludzi — a przynajmniej — nie żądaniu od nich więcej jak od nich żądać można! boć i od niego kiedyś niemal żądają. — Artysta, czy wieszysz Polski to, dziś co innego — o! przepaścią różnego od artysty lub wieszacza, wszelkich ludów niepodległych! On jest kapłanem piękności i prawdy w swej ojczyźnie — i wskazuje jej drogę ku niebu! Kiedy tam mówią, że ginie w życiu, co w pieśni ożyło — u nas ożyłe musi w życiu i wzięte w nie, co ożyło w pieśni — przeto poeta od lat sta czuwa jak westalka przy grobie Polaki — i coraz bardziej nią boleje, aż wybijie dzień wielki! dzień jej na świecie! — On ją zwraca pieśnią na drogę postępu i dobrej nowiny, kiedy inne narody brną drogą używania, i chore są jak dzwon bez serca, co się miota i miota — lecz niezadzwoni! bo ten sercem jest Polska! w Europie dzwoni, kiedy inne części narodu pracują nad zawieszaniem tego serca w piersi dawnon, on czystości jego harmonii, z ogniem Tyrteusza pilnować winien — tu zerwał się z łoża i jął kończyć list do jednego z przyjaciół szkólnych — do rzeźbiarza — którego życie zrobiło kosmopolitą — list ten był takiej treści:

O rozświecam tę chwilę iskrami pamięci,
By mi w życia ciemnościach tam niezatonęła,
Gdzie ginie bez piorunu błyskawica chęci,
Kwiat spada bez owocu, mistrz bez arcydzieła!...
Takie chwile piorunem błyszczą wśród chmur życia
Które stoi przed nami w przestworzach chaosu —
A walk i krwawych ofiar — od chwili powicia
Do grobu — zliczyć, człowiek niema na to głosu...
Lecz takie chwile widzi Bóg słuchacz człowieka —
Bo gdyśmy obaj młodzi i myślą zuchwali
W obec czasu, co z pod stóp strómieniem ucieka
Przed posągami religii jak posągi stali,
Milczałem — patrząc niemo w twarz jej i surowo —
I niedałem się porwać braterstwa rzewności
Niedałem Ci zwiędłego wieńca, co nad głową
Trupią woń pochlebstw niesie, powiewem — nicosi.
Tylkom ujął dłoń twoją o twe ramię wsparty,
A w jej twarzy szukałem niebieskiej świętości

Smutku, co z piersi dawną boleścią rozdartęj
Na twarz przeszedł w uśmiechu — anielskiej smętności —
A potem oko w oko'm spójrzal Ci jak bratu,
I tęsknie po pracowni położyłem okiem
On natchnieniem oddaje, co artysta światu
Rzuca — na gody Baala — wyśmianym prorokiem!
O! jam garści uczucia po świecie roztrwonil,
Alem jeszcze nie bankrut — o! stójcie lichwiarze
Węde, którem ja ciepłem mej piersi wyonil,
Dzieci wasze z bogactw, wycieli nędzarze!...
To głos, którym artysta prace swoje wieńczy
A zemstą zszlachetnienie, ludzkości młodzieńczy —
Słuchaj bracie! artysta wśród świata rzucony,
To największa tragedia wśród komedyi ziemi
A nawet ojciec sierót tak mu oddalony,
Że ku niemu się musi wnieść skrzydły orlemi!...
Lecz pod słońcem większego nad to niema stanu,
Jak przy cierniowcy — gasną tu wszystkie korony,
I niewart być artystą, kto dni swoich ranu
Wolał by jakikolwiek służyć stan stworzony!
Tylko własną tęsknotą, walką i gorczą,
Przekleństwem przetopionem w hymny przebaczenia
Przez wichry, ognie, gromy i z pracy zdobyczą
Bóg pasuje na orła — szaleem uolenia!...
A na ziemi — o! niema takiej czarnej nocy,
Co by zrównała ciężkiej wielkich dusz żalobie,
On gwieździ jako lampa wśród cieniów przemocy
I stoi jako posąg na swych uczuć grobie!...
Świat jest sfinksiem, co padnie u nogę mu w proch czołem,
Jeżli zagadkę jego rozwiąże w natchnieniu,
Lecz jeżli krok od szczytu z swych natchnień aniołem
Rozminie się i ręce opuści w omdleniu,
Świat Szylkiem przystąpi z nożem wyostrzonym
I będzie krajal żywe drgające mu ciało
Pocalunku Judasza żądłem zazatanieniem
Wydrze mu resztki serca — chociaż tak kochało!
Lecz łatwiej wyrwie burza paszczą hurraganu
Skalę, po której strumień w otchłanie ucieka,

Łatwiej Cedr wykorzeni u szczytów Libanu,
 Niż serce — jeśli serce jest w piersi człowieka!
 Bo im więcej męczarni i potwarzy encie
 Tem krwawszymi się z piekłem duch nasz porwie spłoty —
 Walcząc w burzach się wznosi ku dziejom Gołgocie —
 Kocha świat błogosławiąc swych skrzydł połoty!...
 Na tej drodze Cię witam z smutkiem i rozkoszą
 Rad duchowi, dziś płacz nad tobą człowiekiem
 Takie chwile anioły pszczołami w ul znoszą,
 Dokąd godzien artysty duch — pod życia wiekiem!
 Świat najszczęśliwszy (śmiechem swym o pomstę woła)
 Gdy mu się uda w bydlę przemienić aniola...
 A jeśli duch samotny, co się krwawo trudzi,
 Padnie w drodze, co inna od dróg bitych ziemi,
 Głośnie jest śmiech szatanów, głośniejszy śmiech ludzi
 I ta myśl wlece w piekło, choć z skrzydły orlemi...
 Ale duch natchnion, zdolny — samego szatana
 Co się zeń naigrawa i rani w wściekłości
 Porwał w jedno objęcie wszechmocnej miłości,
 I przetopić zapalem, wołając: Hozanna!
 Bo zadaniem jest mistrza z bydlęcia ślepego
 Świat zanieślić, uorlić — w lot słońca jasnego —
 Lecz jeśli w młodej pracy nie lilia mu godłem,
 Jeśli go miłość jasna, co porywa światy,
 Nieumiesz z kałazy ducha pruchnem podłem
 Na zwiędłe wieńce będzie rwał wiosenne kwiaty —
 Jeśli na głosy tłuszczy nie swego natchnienia
 Baczy — o! biada sztuce — bo on jej mordercą,
 On pruchnem, co się błyszczą, świętości bliźniercą —
 Kto siebie nieoczyścił, niema oczyszczenia
 Dzisiaj Polak artysta — inny inny wcale
 Od artystów, co reszcie przewodzili świata —
 On kapłanem, co walczą — na najstroniejszej skale
 I czysty — kocha — tuli cały ogrom świata —
 Spolszczyć się — to z szlachetnieć i wiewać sąd Boży —
 Mistrz Polski w życiu czystym winien być jak w dziele —
 Biada, gdy życiem bliźni słownu, co tuk śmiecie
 Rzuca — takiemu forma u stóp się połozę —

Lecz naród go kapłanem nienazwie świątynicy —
 On będzie — niewolnikiem własnej niewolnicy!
 Głuchy na głosy świata — za głosem sumienia
 Jdź, ścieżką stromą, porząd ich gościńce bite,
 Jeśli twem dntem prawdy mają być wyrte
 W daszach braci, co wstają młodem pokoleniem
 Mającem wkrzesić wielkość — wielkiem oczyszczeniem!
 Jedna noc przedumana w ciemności na łożu,
 Jedno porwanie krzyża w samotnej komnacie
 Z ręką drżącą na piersi w tajnych walk rozdroża
 Postawi Cię na większym natchnieniu majestacie
 Niż tysiące frazesów, któremi salony
 Przesiąkły i niejedyn młody kwiat skałaly —
 Nad które miłszy listek jeden, świeży, mały
 I jedno wiejskie: Niechaj będzie pochwalony!...
 Geniusz przejdzie przez piekło i niepadnie może,
 A boleścią zła boląc upadłszy na łożu,
 Noc niejedną przeboli, przepłaczę nad temi,
 Których kochając chciałby wnieść skrzydły orlemi
 I porwał i piorunem jednym oczyszczenia
 Podnieść ich nieśmiertelnie tam! do gwiazd sklepienia!
 O! Nieraz cuda może najmniejsze pachole
 Z pokorą i z natchnienia gwiazdą na swem czole...
 Lecz jeśli idąc piekłem — niepadniesz ni razu,
 Niemógłsz niepośliznąć się w tych ludzi gronie,
 Co się lękają ducha jasnego obrazu — —
 I pokostem kalają świętą aureolę!
 Wolę artystę w piekło, niżeli w salonie!
 Przeklinam głosem brata i złorzeczę chwili,
 Co z zachodu trucizny wlała do twej duszy,
 I tych, co w nią brak siły, za siłę wszczepili!...
 Patrz! oto młoda Polska pęta swoje kruszy
 Cichą, męczeńską siłą — zaparcia potęgą
 Na świat ten zbydlęcony pogląda aniołem
 A w imię ducha stojąc nad genezy księgą,
 Ludom zwiastuje przyszłość męczeństw apostołem!...
 Posąg ducha naszego u wieków ołtarzy
 Sto! niemy — w kajdanach na wolności straży,

Wzrok wzniosł w słońce i w siebie wszystkie światła blizny
 Wziął — stojąc jak nadgrobek na grobie ojczyzny —
 Lecz choć wściekły boleścią — przez bramy piekielne!
 On wie, że zmartwychwstanie to, co nieśmiertelne —
 I na świat męczęństw dzwonem, jak głos apostoła
 Męką ducha serdeczną — jak trąbą zawoła —
 A pod stopą olbrzyma w pokornej ciemności
 Padną wieki materji — tam! w obec wieczności!...
 O! módl się młody bracie na ojczyzny łańach,
 Kochaj się w ojców twoich zielonych kurhanach,
 A i po tobie kiedyś dla Polaki zostanie
 Taki kurhan — i posąg chwały na kurhanie!
 Kto chrztem bólu ochrzczony — patrz na braci twarze,
 Nie wzniosł się — wielki — wielką spotęgnion boleścią,
 Znać go niebędą jutra potomne ołtarze
 W zorzy ludów powstałe — tylko «dobrą wieścią!...»

W licach twego posągu jest ta boleść rzewna,
 Ten uśmiech, który płacze, oko w mgłach smętności,
 W tej niewieście są chwile twojego cierpienia,
 Są walki w imię sztuki z miłością stoczone —
 I gorzki ból zawodu, co z krain zwątpienia
 Wieje w serce młodzieńcze gdy osierocone,
 A skrzydeł jeszcze lotom niepuszcza wolności —
 Świat wypycha artystów — na pulkach ustawia
 Jak ptaki — orłom szklanne oko w czaskę wlotczy,
 Wołów wędrownie skrzydło obarczy zórawia
 I Feniksa puszczyków gromadzą otoczy —
 Lecz kto wzrósł w serce wielkie i w chrobręgo ducha
 Ten niechaj w samym sobie pyta się o cudy,
 Niech wyszedłszy ze szkoły własnych natchnień słucha
 I wiarą niechaj zaklinie — z głazów — ducha ludy!...
 W niej? jest świętość — i cisza — majestat cierpienia
 Znać, że dłuto, co taki posąg raz wykuje
 Ma przyszłość — i że serce nie bez namaszczenia
 Co taki smutek jak w tej twarzy — czuje!
 «Lecz religia!...»

O! przebóg — ona wszystkie światy
 Wieki wieków ogarnia i zaślubia Panu...
 Usiadła zadumana, a o śnieżne szaty
 Wsparła księgi, co trójcę wieści ludów ranu —
 O! pomnij. Ona spaja wszystkie ludy ziemi,
 A ja w niej dopatryłem wyrazów zachodu —
 Czemu włos jej niełamał w dół spłaty długiemu
 I nie rozlał się w strumień z faldów szat po ziemi,
 I pierś jej nieboleje jak w chwilach porodu? —
 O! przyłóż młody bracie ucho twe z miłością
 Do ziemi ojców twoich — coś nieznał dziecięciem,
 I wsłuchaj się w tę ciszę, co mówi z wiecznością
 I przeczuaj wszystkie bole, co w niej śpią zakłębion —
 Co tam kości w kurhanach, co bez grobów leży,
 Co tam krwi męczenników przelanej w srogości,
 Co aniołów poległych w szataństwa grabieży
 Dzwoni w łańcuchach o wielki sąd nieśmiertelności!...
 A po tej ciszy — wszystkie kości się w mogiłach
 Zatrząsą głuchym dreszczem jak o zmartwychwstania,
 A kiedy krew zakipi w twych młodzieńczych żyłach,
 Wtedy wstań, religijnie wsparty na podaniu —
 Wstań! i w imię narodu, któregoś dziecięciem
 Dźwignij to krwawe dłuto — weź ciernie — rzuć kwiaty —
 A duch zdepece te piekła, co drą przed orłęciami
 Niosącym nieśmiertelne iskry w ciemnie światy,
 A wtedy siędziesz synem na twej matki grobie
 Boskiej! zamordowanej!... i Medyceusza
 Posągiem — będziesz dumać zemstę — aż ją w tobie
 Grom niebieski przemieni w miłość, co grób wzrusza —
 Widzisz tę świętą trójcę, co w księdze żywota
 Oczy religii karmi, nad wieków mogiła —
 Szedł Jehowa — a za nim piętrzy się Golgota —
 Dalej — duch święty ludom nową błysnie siłą —
 A przed nim, gdy isć będzie, padną tłumów tłumy,
 A imię jego wieków dwadzieścia powtórzy
 Długiem echem — jak trąby grzotną wódy sądu burzy
 I stopnieją ich czaszek bydlęce rozumy —

A jak liście pod stopy wichru w prąd porwane,
 Tak ludy — światy — wieki padną rozestane,
 I on oczekiwany iść będzie z wolnością
 Z wolnością niewolników — zaślubion z ludzkością...
 Bo iść będzie z wolnością niewolników Boga
 Z duchem pomordowanych, z niewolników blizny
 Co pomarli, w skonaniu niewiedząc ojezyny,
 I w rozpacz konyając, nieprzekleli wroga!...
 Bracie, na pierś twą rzucam serdeczne zakłęcie,
 Zanim w ziemi arcydzieł powędrujesz jeszcze,
 Spójrzaj po ziemi ojców — a prawdy odwieczne
 W posągach staną Tobie — jako słowca wieszce —
 Błogosławion, kto modlił się w grobach przeszłości,
 I powstawszy się w przyszłość rzucił krwawą pracą —
 Ale kto lampka serca ojezystych ciemności
 Nerozównica — ten traci, co szatani tracą! —
 Tam!... od niego się ojców precz odwróć twarzę,
 Opadną dlonie braci — z pogardy litością,
 Gdy nieobjął miłością ojezyste ołtarze
 Szatani nawet wzgardzą tą obojętnością...
 Bo Bóg jest mistrzem mistrzów —

On pierwszym rzeźbiarzem —
 Całowiek posąg — a dłutem Boga jest: cierpienie,
 Im więcej jego ciosów nad wspomnień emparzem,
 Tem cudowniejszy posąg!...

Jak to arfy brzmienie
 Im wyżej nastrojna, tem ton jej wznioślejszy,
 Bardziej boski — bo więcej Bogu podobniejszy...
 I nad myriady duchów, jak struna na lutni
 Chrystas bład — na krzyżu wisiał wyciągnięty —
 A głos tej arfy dobrze rozumieją smutni,
 Których duch w walkach kona wstając niebiewiązity —
 I tam po sfer harmoniach uderzając skrzydłem
 Lotem słowca wyprzedza i gardzi wędzidłem
 Bo miłość z niego wola:

Święty! święty! święty!...
 A hymnu tego słucha anioł zmartwychwstania
 Co stoi na mogiłach światów i narodów,

W sfer harmonii utonął i wieczność pochłania
 Tym łonem mąk i szczęścia, ducha korowodów —
 A w nich pochód ludzkości — okrzyki wesela,
 Skowyt piekieł — i dzikie śmiechy obłąkania,
 Nad niemi błękit tęczą duchów się rozściela
 I wielkie słowca wstają w przedświtach zarania —
 Tak anioł zasłuchany w muzykę milionów
 Zdał się słuchać anioła pioski... aż od ładu,
 Kiedy duchy żęglują do słonecznych tronów, —
 Zbudziła go pioruna glosem trąba sądu...

I życia swojego całym wysiłkiem dążył do piękności
 Prawdy wiekuistej — nie stracił wiary ale stracił — zdrowie —
 a nie więcej myśli dobywało się z niego, gdy już formę miał
 niewolnicą, tem atrozniejszej opłacał je — życiem, co poczynało
 zachodzić — cierpiał on wiele ale temu zawdzięczał siłę ducha,
 wyrobioną młeczeniem i był dumny, że cierpiał — nad wszystko
 kochał boleść swoją — i jednego bławatka z swoich pól nie-
 dałby za wszystkie rozkosze tego świata — owazem — gdyby
 po raz wtóry miał się rodzić a stwórca w jednej ręce, trzy-
 mając boleści jego natchnienia, a w drugiej świat cały i dał
 mu do wyboru, rzuciłby się przed nim i znowu zawołał z głębi
 piersi — « oddaj mi boleści moje!... »

Z łanów ustronnej wioski przeniesicie się w gwar miasta —
 w uliczkę ciasną i ciemną — na czwartem piętrze pod strychem,
 tam wśród nocy płonie światełko — to pokój młodego artysty,
 ciasny jak świat, w którym żyje — zimny i ciemny jak ci, co go
 otaczali. —

Na jej nagich ścianach węglem znalezione kontury — ślady
 różnych chwil i myśli — profile i próby anatomii malarskiej —
 na dużych kartonach gwoździami przymocowane szkice różne
 — tam zwalisko starej chaty śród boru i krzyż schylony nad
 leśnym źródłem — dalej na wzgórk uziębionym ciągną wóz
 czarne woly — na nim uśpione dziewczę snem aniołów,
 z rączkami na pierś złożonemi — tu znów wiejski smętarz i

mogła, nad której krzyżem stoi anioł smutku z wieńcem niezabudek — nad siennikiem słomianym rzuconym na ziemi szkie Chrystasa w oliwnym ogrodzie — i portrety Nezabudki — dalej leżą w nieładzie na ziemi papiery i albumy, ślady pracy, studia liczne, łamanie się z sobą — dążenie przez pracę bierną ku czynnej — trzeszczenia lodu zimy dreszczem wiosennym — rzucone w kurzu leżą w ładnym nieładzie książki, wzory, palety i pędzle — a w środku stoi sztaluga z obrazem dużym zarzuconym czarnym płótnem — lampka bładawa mruga na piecu w trupiej głowie — i rzuca blask na dwie przybite ryciny — jedna Roethla, śmierć przyjaciół, druga sąd Michała anioła, w kącie stoi nieomyta Venus Milos — a przy blasku lampki, co miga z pieca w zmiarszczeniu ponocnym siedzi błąda postać młodzieńca z rękoma założonymi na piersi, głową opadłą w zadumie. — Przebóg także droga mu przeznaczona?... On siedzi i дума boleśnie, bo sen odbiegł jego powiek — rozmyśla gorzko — na dworze noc się już kończy, pięć kury poranne, a wiatr gwizdza glucho — jemu dziwnie samotno i straszno jak dzieciciu, co matkę zgubiło — tak artystę przez życie całe — a wiatr przygrywa myśli samotnika: «Odbiegłś o myśli moja od wspomnień wioski rodzinnej i chwil dziecińczych — przeszłości moja — tyś za mną — ugodziłem w te łony świata — przeszedłem z wiarą i spotkałem się z ludźmi — pytałem nauki i słowa u starych mistrzów — zawiąli mnie chłodem i nędzotą myśli — pytałem współczucia u młodych, ale te dusze już poplamione — a jeśli która dąży ku wznościści to bez miłości i wiary — zapal jest bajką, cnota symbolem!... a piękno homunkulusem estetycznym lub akrobacyą dla efektu i mamony... O! jakże strasznie iść tą drogą i niemieć jednego serca, któreby swoim na tym szerokim świecie nazwał moją, któremu można by powiedzieć: cierpię — albo — szczęśliwy jestem i echo swoje tam usłyszeć!... Jedni idą i cofają się, inni upadają i jak orle złamanym skrzydłem pełzną po błocie, szycząc węża głosem sztyderstwa i przekleństwa — a wszystkich przechodniów za nogi ciągną w błoto — i sztuka wszystkim dołą krowa!... drogo artyście, wieszysz w niebo, ale przez piekła słania — lecz pioruny twoje, co palą skroń, są nieśmiertelne — im więcej bije ich w łono, tem wyżej wzięta duch skrzydłem boleści.

Poznałem zasady mądrości tego świata — i znalazłem śmiecie i popiół — poznałem jego radości i uciechy i uniósłem gorycz i wzgardę — w piersi mojej wiele popiołu i zgłiszczów i nie mi nie zostało prócz wiary, co mi dotąd świeci w duszy światłem swoim, drży tęsknotą ku Bogu — jest mi ona jak nocą świętojański robaczek, co z lasu wyprowadza za sobą zbłąkanego pielgrzyma... i nie już prócz niej tu niema — w obec sztuki — i wy — wy także moi boscy — moi mili — i najmilsi!... ty mój Rafale i wielki Leonardo — króleski Veronezie i namiętny Ribero!... drogi mój Salwatorze i kochanka mej duszy, Ruisdalu!... Sasoferato i Carlo Dolce!... Ty mój Roethlu szatany, strakony obryzynie — dziewicy mój Bellino i tęskny Solimene — tytaniczny Michale!... wielki Tyocianie i najdroższy Murylla — ach i ty mój święty Szefferze malarstwa Szopenie!... i ty jeszcze gwiazdo Delarocha!... mistrze wybrani, wśród których niema ostatniego — i ty potężny Kalamie! Endymionie natury, coś Alpami Taty przejechał — o którego skały chciałem raz czoło potrzaskać w godzinie rozpaczy — którego tęskno i buki szumiące chwyciłem w namiętnie objęcie, by mi szeptały dzieje minionych wieków — przy grzmocie wodospadów twoich, co ryczą ze skal w otchłanie jak stracone szatany — radnym spoczę i zamysleć się pod kolumnami ruin twoich — lub w niemej ciszy natury wśród ziół wodnych, co się ścięła po stawie wśród gluchoego szumu twoich dziewiczych trzciny — nito Syryne sprzeciwiającej się Filomeli — tobie natura w dziełach twoich mówi — «tyś mi dochował wiary!...»

I cóż — moje Madonny wypieszczone boleścią zamknęły zimne marmurowe salony Faryuszów i Mecenasów, gdzie spruwają funkce mebla!... zostaną wśród tych, co mi duszę wziębilli jak kwiatów moich wieńce nierządnicom na czoło! — wśród krytyków, co zszatanili krytykę i filantropów przyjaciół, co mnie w żrenice kluli «con amore» dziś po Zapasach z sobą, władam pędzlem — ale śpiewam, jak słowik, któremu by pięknie śpiewał, ptasznik oczy wypala!... — o! gwar ludzi przekłęty dla artysty — lepsza izdebka moja zimna, gdzie mnie duch grzeje!

A sława?... o! sławo — ty najpiękniejsza pieszczoto mojej

duży — na której trąby odgłos zerwałbym się był z katafalku — za której wieńcem laurowym skoczyłbym w otchłań... dziś widzę cię w całej znikomości twojej — gwiazdo moja — jasna, cudna, tęczowymi blaskami rozlała gry światła i gromów pogwiazdolitym błękitcie — nad otchłańmi... nicości!... ubiegać się za tobą można było dawniej — przed wiekiem — lub w średnich wiekach młodzieńczej aureoli ale dziś niwarto — świat i ciebie nieczuje — on czaszek swoich śniegiem przerazi słońca wschód. — Śpij śpij Mamucie przedpotopowy, w tobie gnieźdzą się môle — długo poczekaś na picur zbudzenia! z życia artysty, co tu zostaje? krzyk i mogiła!... i nie — nic więcej. — —

A tam?... zapytał rannej zorzy, co świta na górach, jeżeli dusza twoja zdolna ku niej się podnieść a ona ci powie, że lepiej by do obrazu twego modlił się lud ubogi w duchu a błogosławiony niż ludzie, co cię chcą z bogactw złotem i piszą o nim. — —

A opinia? o! poznałem tę nierządnie królową, córkę fortuny z nieprawego łoża, nietoperza którego zabija nad grobami ludzi wschodzące słońce z głoskami: «Vox Dei!...»

O! czarno zaczęła być przed oczyma duszy mojej — ze świata unoszę tylko pierś zbolałą, co niedługo odychać przestanie — odpłacić mi wzajemnym wstrętem — mam was dość o ludzie. —

Zostawcie mnie — wolę grób samotności mojej — witaj śnie nieprzespany — niemy — żelazny — mogiło nieznana, zapadła, zaroińska, bez krzyża, z robaczek świętojańskich nocną aureolą witaj mi — od was, dla których zrobiłem, co mogłem życiem zrobić, dziś kiedy chcecie aprobować, nie żądam nic — prócz zapomnienia i potępienia — boście niewiarci zbolałego przekleństwa mego!... wiem tylko, że prócz miłości pracy ciebiem ukochał ludu nad wszystkie siły człowiecze — nad piękność natchnień wioennych — i nie więcej niewiem tylko, że Cię kocham, ludu!... I rozdarłbym duszę moją na dwie części i rzucił ci ją pod stopy, byś po niej jak po tęczu prędzej przeszedł skalisty próg postępu — o! bo szaleję miłością ku tobie!... ty smutny ludu!... ludu, kochanku mój.

Gdy się w myślach pogrążył, noc zesłała i przez arkadę

okienka strzelił pierwszy promień rannego słońca. — On się porwał z łoża i zrzucając zasłonę z obrazu, zawołał: Gwiazdo zaranna! módl się za nami!... I słońce padło na obraz matki niepokalanej, stojącej na chmurach poranku, z rękoma opuszczonymi ku ziemi, od których promienie rozbiegły się ku padolom placu. — Jej twarz światłana przeboleciem jaśniej niebiańską słodyczą — światło bije z jej powiek, a na czole jej błyska gwiazda poranku, awiastując ludzkości w pochodzie potrójny dzień; prawdy — dobra — piękna — usta jej zdają się mówić uśmiechem boleści: «Pódcie do mnie wy, coście najbardziej potępieni — i wy coście najwięcej cierpiąc najwięcej kochali!...» U stóp jej kłęczą wierni z rękoma złożonymi. Starzec pleban uniesiony modlitwą i w wiejskim stroju niewiasta sprawiedliwa z licami matki młodzieńca — przy nich anioł cierpienia i piękności z spuszczonym skrzydłem ku ziemi, z wiankiem niezabudek w rękę, a z licem, które sniło się kiedyś młodzieńcowi... najbliższ stóp Bogarodzicy usiadł ślepy lirnik który grając na lirze, modli się pieśnią za lud, który pieśnią budzi i oświecając ogrzewa a w chwili tej przewidział — a twarz jego rozjaśniona blaskiem wybranych patrzy w gwiazdę zaranną wymodloną!... i wita pochód jej wórów ludu. —

Młodzieńcze stał i patrzył długo w owoc główny trudu życia swego — zaczął go porywać śmiech serdeczny, niewiedzial czemu — lecz ukoił go obraz własny. — i doznał coś nakształt chwili, kiedy w cerkiewce stał u Bożego grobu. —

W tem rozwarły się drzwi izdebki i wszedł — Mevisto pod postacią chudego eskulapa — krocząc ze śmiechem szkieletowatym wprost ku artystyce przytknął mu rękę do czola. — Go-rące!... rozpalone — a oczy zapadłe — pewnieś Pan znowu czwał — teraz już nie żarty — oto rada moja — świat przy Panem — masz Pan imię — rzuc niewiedziaczna sztukę i pohulał sobie — tu przytknął rękę do piersi i sparzył się medalikiem czętochowskim i małą złotą kotwicą poświęcaną — odskoczył. — Sztuka — również jak Bóg są symbolem — cywilizacja zbiera z nich owoce — te sny o nieśmiertelnościach są mronką waszą — niema tu nic wiecznego, prócz żądzy używania, każde uczucie

starsze się! — ludzie umierając przechodzą w noworodzących się i tak coraz dalej idą — a wasze objawienia ... cha! cha! cha!...

Apage!... krzyknął artysta — to ostatnie kuszenie twoje. —

Tu wyprostował się lekarz i rzekł — ostatni raz mówię panu, rzuć sztukę — bo — tu zasłonił twarz od obrazu, co zdał się go razić. —

Wszak można być i miernym artystą?

Wolę — być pierwszym szewcem jak drugim artystą — i drzwi wskazał. — Potem, konsumpcya — rzekł z uśmiechem — czuję ją dawno. — A! w takim razie — sługa — i rażony miganiem medalika na jego piersi wywnął się za drzwi — a za drzwiami zabrzmiał głos jakis jakby głolny płacz dziewczęcy — zatargał on wnętrzościami młodzieńca. — Na wieś!... raz jeszcze widzieć — i zapomnieć życie — może się jeszcze na jedną łzę zdobyć. — — —

I znówu cisza w ciemnej cerkiewce — cerkiewka jak była tylko bardziej schyłona i w ziemię zapadła ... szpary się rozszerzyły — obrazy poczerwniały ... wielki piątek znowu — carskie wrota stoją otworem, ale cerkiew pełna ludu, co modlitwą odrywa się jak paszczoły w ulu ... lecz w wielkim ołtarzu nowy duży obraz — dziś z niego opadła zasłona a lud z głośnem westchnieniem i płaczem rzucił się na kolana przed Bogarodzicą — ta sama postać Maryi z gwiazdą na czole — co zwyciężyła trudności sztuki i życia — malarz darował ten obraz swej wiosce — przedać go nie mógł — tu go zostawił, by się w tej cerkiewce modlił za nim. —

A na środku cerkwi stoi szeroka ława dębowa, na niej szare płótno i wymalowany grubym pędzlem dziecięcym Chrystus złożony w grobie — u głowy cierniami skłutej plonie lampa, a dokoła kłęczy garstka ludu i czołgając się na kolanach całuje rany Chrystusa ... a w kącie pod oknem stoi blada postać młodzieńca — ogień geniuszu i tęskność serca pali się w jego źrenicach — promień słońca trysnął od okna i zbiegł jak ogień na jego czoło — drugi strzelił nad wielki ołtarz i na ławę dębową

z płótnem grobowem... On porównuje z uśmiechem i łzą w oku te dwie prace swoje — i szepcze cicho: I niewódz nas na pokuszenie!

I szedł z wolna ku cmentarzowi wiejskiemu — dziś tu wszystko jak bywało; te same drzewa chyły się nad mogiłami i szumią niemo — w oddali dąb olbrzymi gra chrobrą pieśń wieków — te same krzyże popochyłane — i słońce schyla się nad szczyty Paraski błękitnej — w wiklinach odrywa się słowik — nad stawem jęczą czajki jak duszyczki czyscowe — na łąkach derkacz odrywa się jednostajnie — orkiestrze żabele przewodniczy bąk buczący w szuwarach — on — tego wszystkiego teraz niewidzi — a jeśli widzi, to chyba drugą duszą — bo całą życia siłą zapatrzył się jak posąg w schyłony krzyż nad mogiłą matki na którym uwiś świeży wianek Niezabudek ... przy krzyżu stoi wiejskie dziewczę z schyloną główką, strojąc ramiona krzyżyka — on patrzył na nią — patrzył — i niewiedząc o tem wyciągnął ręce i rzekł pół głosem dziwnym: Niezabudko!...

Obejrzała się — wydała krzyk zdziwały i martwa padła u nóg jego — on ciało jej wskazując Bogu i w niebo patrząc rzekł — oto życie moje! niech ona świadczy za mnie — i pocałunkiem wskrzęsił ją i podniósł, choć jemu serce słabo już w piersi bije. — — —

Na górze pokrytej gajem — leży młodzieniec w zamyśleniu — ręce opuścił na trawę — głowę na piersi myśli, i oku puścił wodze — daleko! — i błędzi po dziejów przyszłości — i po smętarzach pamiętek — chwile dziecinne i chwile młodzieńcze wstają zgrobu — i śmieją się do niego łzawo — i wołają, chodź z nami! później walki i zawody wstają i mówią, chodź z nami! wybujałeś wcześniej i wysoko — zaczęłeś żyć, gdy inni nie-mowlętami są wrażenia życia i natury — w trzydziesta nie-spelna wiosnach przeżyłeś, co inni przeżywają w stu latach — życie twoje wypaliło się — chodź z nami!... i rzucił okiem po wiosce — chaty czarne te, co dawniej — wśród nich stara

cerkiewka woła dzwonem wieczornym, chodź z nami — słońce już zaszło wśród mgieł złotych wiosennego powietrza — staw ozywa się głosami wieczora — bydlę rycząc z paszy powraca, słychać śpiew chłopiąt, dżwonki krów i skądś flet pastuszy — nad rzeczulką wśród brzoź bieli się stara plebania — ale już i pleban śpi na wiejskim cmentarzu — pokora pomieściła kości jego z kośćmi ludu — że nieznał nawet mogiły — ale mogiła jego w sercach włóścian wszystkich, których osierocił — i on zda się wołać, chodź z nami!... bo tam na ścianie plebanii już zatarte twarze drogie węglem kreślone — co się nie starły w myśli jego. — I tęczył okiem po świecie i świat był piękny — czemuż go człowiek tak kazi? pomyślał — piękną byłabyś o ziemio, gdyby na tobie nie było — człowieka! Lecz myślał: żal mi umierać na wiosnę — gdy się tak wszystko rozwija, żal mi umierać, bom taki młody — a ona marzy, że pójdę z nią do ołtarza!... miałbym tyle powiedzieć, a niemam komu... o! niewiem, co tam nad gwiazdami — ale tu przekłete życie człowieka!... i sennie mu się stało — pojrzał jeszcze na blaski wieczoru, co promieniami tryskały krwawo z nad Karpat, zaszmiały mu drzewa smętną muzyką nad głową, skowronek z dala zawiał nad nim z jakąś niebiańską piosnką, zniżając się ku niemu coraz bliżej, coraz rzewniej nucąc — i świat mu ciemniał przed oczyma, lecz stało mu się jakoś błogo w głosie skowronka tego, co płynął perelką w jego serce, zdało mu się poznawać słyszany dawniej nad kolebką głos swojej świętej matki, i zdało mu się sercem, że to dusza jej splywa po z niego i pieśnią woła: chodź z mną! chodź z mną!... i skowronek zniżał się, zniżał — zdało mu się, że mu dziobek zroszony do ust przykład — wyciągnął ramiona w błękit — upuścił głowę na fiołków murawę — stało mu się sennie — sennie — a choć duszno w piersi światłość lepszych światów zaczęła mu nagle jaśnieć — i usnął — na wieki...

A pod górę ku niemu idą dwie postacie — dochoǳą już — Niezabudka wieǳie za rękę lirnika przybrana w ślubnej koszulice jak śnieg biały obszytej u dołu bławatkami i wiankiem niezapominajek z barwinkiem na skroni — wieǳie ślepego starca, kładzie mu rączkę na ustach — i rzece — cicho — on śpi — niebudźmy go — szkoda, że niemasz oczów. — On taki

czudny... pobladł tylko i ma szaty jak Pan — ale zawsze jednak sercem. —

Zal spać, gdy słońce zachodzi — ja niemam oczów, niech on patrzy — rzekł lirnik i porwał śpiącego za rękę — ale ręką z łoskotem tamtego świata rzeczy, co już tu nienależą, opadła zima jak lód. —

Co to jest?... wrzasnęła Niezabudka? On umarł — jęknął lirnik. —

Dziewczyna orlicą rzuciła się na ciało, porwała je w objęcie — zatrzęsa i zaryczała: Bławatku mój!... ale ciało wysunęło się i padło u nóg jej na trawę — wtedy stanęła chwilę jak głaz — zerwała wieńiec z głowy, zaśmiała się jak szatan i ptaszkiem gdzieś uleciała że lirnik próżno za nią wołał — — i idąc za nią, macając kijem drogę, z daleka słyszał śmiech jej, potem szum mlyna i krzyk rozdarty — dziewczęto zbiegło i rzuciło się na młyńskie koło z wyciągniętymi ramionami — koło porwało ją — oplotło jej ramię i warkocz — strząsało rękę — w brylantach pian srebrnych i kropel wieniem opadających przeleciała w kolo okryta warkoczem — potem przerzuciło ją na wodę — i płynęła wierszchem jak rybka, co usnęła — a włos jej jak śnieg pościwał — za nią płynęło kilka bławatków po wodzie — wyglądała tak płynąc jak kiedyś po końcu świata, trup przeszłości... aż ludzie wyciągnęli z wody martwą z boleści i przylżyli się z płaczem dziewczęta jej świny jak mleko włosom przetaknym ostatnim bławatkim, co był jak gwiazdka błękitna pierwszej miłości!...

Jeszcze raz to samo wzgórze — te pola — ten sam smętarz wiejski — na nim świeża mogiła z krzyżem, który postawiła sama dziewczyna — urąbała, złożyła — i zakopała — lecz nie mogła na nim wieńca niezabudek — ni wieńca bławatków zawiesić... przy mogile stoją dwie postacie — ona starca ślepego ujęła za rękę i iść już mają — lirnik z lirenką na barkach i dziewczę z złamaną ręką i siwymi włosami — strasznie spokojna — i nieco usmiechnięta do grobów — jakby nigdy nie ją nieboleło...

Słońce zeszło niedawno nad wioską — ona ostatni raz spoj-

rzala na nią, podała rękę ślepemu, nie miała lzy jednej — tylko usta boleśnie rozwarła — nieme — a oczy w błękit uniesione w — rękę miała garść niezabudek — ucałowała je — przytuliła cicho do piersi — i rzuciła na groby. —

LIRNIK.

Bóg dobry uratował Cię dziewczyno — obojeśmy kaleki — chodź ze mną — będziesz mi córką, siostrą — matką — będziesz mnie przez świat wodziła — ja grać, ty nucić będziesz — i tak od siola do siola — a może ludzie dadzą nam chleba za nasze pieśni...

SZZABUDKA.

Bóg straszny mnie uratował — ale i jemu boleśnie rozpętało na krzyżu — boleśniej jak mnie — będę Cię prowadzić — chodźmy w świat, Pawle — pod swoją dzwonnica nam nie miejsce, w własnym siole pieśń sierotą — pójdziem daleko — będę tobie mówić o słońcu — o gwiazdach i tęczy — i o kwiatkach, co znasz po zapachu ... a razem będziemy słuchać piorunów ... chodźmy.

LIRNIK.

Kaleki pójdziem siad pieśni ziarno w ich serca, a może wyda plon na mogiłach naszych ... plon światłości wolnej — nieśmiertelnej — a przez drogę powiem Ci życie moje, dziewczyno ... dziwnie ono się spleło jak bluszcza na krzyżu ... i poszli z wolna i znikli za górą — raz jeszcze się obejrzała — otarła włosami białemi łzę — ostatnią — zaśmiała się spokojnie — twarzą jak cisza błękitu — a już tylko z za góry wiatr doniósł lasom wioski ginący po rosie głos:

- I po brzoście zanucil
- Ptaszek dzióbkiem zroszonym,
- A po niej ktoś się smucil?
- Na wzgórkę — na zielonym!...

I poszli! —

CZĘŚCI DRUGIEJ CZĘŚĆ DRUGA.

Hej! Wiśniczu! Pyszny chrobry Wiśniczu! co się z tobą stało — stoisz jak ongi wielki i straszny — dumne czoło niesiesz nad wzgórzka okolie i ku chmurom piętrzyasz czarną skroń — lecz u stóp twoich przebiegły wieki, a choć ty na nie zdajesz się spoglądać z dumą króla, co nad inne większy, każdy z wieków przechodząc — dotknął ręką twojego biodra — i zostawił napis czasu, hieroglifem, którego treścią — ruina! I dziś jak szkielet mamuta stoisz w ciszy słońca — a cień twój ponury pada na góry i siola, co wieńcem rozsiadły się u stóp twoich — co z okrucichów twoich powstały. — O! dumny Wiśniczu, co wieki konasz i skończyć nie możesz, jakby дума Kmitów pokutowała w tobie! szaty twoje porozdzierał — ale czoło twoje nieschyłone dotąd sterczy, choć na basztach nie wieją chorągwie z szreniawą — kolumny twoje w mehu i bluszczach wspierają marmurów zczerniałe łuki — baszty twoje urągają wichrom wieków — a na każdej orzeł biały przeraża grozą jak Jehowicznych podań ... z ostrym dziobem i skrzydłami — tylko okniaka twoje jak oczy wypłakane osłępiły i długa pleśń z nich zielono ścieka jak trawom zarosłego dziedzińca — i stoisz dziś po wiekach jak wrtody — dumny i straszny — urągający — a dziko i pusto w koło Ciebie — w twoich wiekocach sowy na straży czuwają, stary palniesz odwierniem, w dziedzińcach zielska pasz trzody — wały i mur zarosły, że myśl dziejeje i kryje się w głębiach serca strwożona — czasem wyjrzy we łzach smutku i wzruszenia i jękami zgrozy uleci ku niebu — a jęk ten chwycy aniołowie i uniosą pod skrzydłom ku Bogu dziejów. — Czy pioruny uderzyły w granitową pierś twoją, że popękala jak łono Babelu? ... a w piersi twojej, co za cisza przeraża — i w wnętrzu twojem białe widmo sumienia siadło wśród gruzów i duma nieme na złamanej kolumnie — tam w dali błękitny Melsztyn runął w fale dunajca — i Czehob się rozkruszył pod zębem czasu — i wrogui tobie Tarnów rozwalil się na górze Śgo. Marcina — a i dalsze druchy twoje: — Wielki Rożnów się pochylił — i Tenczyn królewski — i Czorsztyń dzikie gniazdo orłów — a ty jeden dotąd stoisz jak stałes i sprzeciwiasz się Wawelowi jak Kmita królowi Jegomości ...

I ujrzałem dzwonek polny wzrosły na ruinie baszty, z której Kmita poglądał po włościach swoich — i zerwałam go — myśląc, że ten kwiatek więcej ma zasługi niż ty Kmito — ale kwiatek mi zemdał w dłoni i ze smutkiem pytałem, czy tak łatwo skołał Wojewoda Krakowski — lżejszy skon kwiatka niżli skon całowika!... Wiśnicz! cisza śmiertelna w koło Ciebie przeraża — tylko rzesza lip przastarych otoczyła Ciebie jak matron kółem i szemrze sennie stare dzieje twe — rojem pszczoł, co ciągną muzyki cichej harmonią biorą miód grając w ciszy — jakby gdzieś w błękitach uwisnięta niewiedomie Czarnoleska lutnia echem śpiewała — — tylko brzoź kilka smutnych usiadło u stóp twoich i płacze rozcochrawszy warkocze — — a z żrenicy okien twoich tu i tam wiotka strzeliła kalina — której korale jak try krwawe po czarnych kąpiu marmurach ... i czasem — czasem błękitem od Tatrów nadpłynnie jaki orzeł — zważy się nad tobą w powietrzu — upaści pióro — i jakby przerażony z dzikim wrzaskiem ulata w przestrzenie — czasem pielgrzym przyjdzie ku tobie — weźmie to orle pióro i krwią serca napisze gorące słowo ... zaduma się oparty o baszję twoją i padnie w cieniu lip, z głową opartą o stary móżdżer, poglądnąc ku tobie!... a kiedy słońce zapadnie za srebrnymi wieżami kościoła, co strzeże starych grobów, wstaje z nad gór księżyc srebrny jak hostia biała w natury ofierze — on jak matka rozczula się nad tobą i otula mgły szatą bióder twoich rany. — Wtedy rzewno i cicho w koło Ciebie, ale ty i wtedy stoisz i milczysz grobowo — a myśl rzucona w twe czasy, jest jak kamień rzucony w olbrzymią gardziel studni twej kamiennej, w którą lecąc rozbija się i rodzi echa miliony, co grmią jak miecz rdzawy, gdy w trumnie spiżowej wstrząsną się popioły wieków bohatera — aż rozbije sztyg wody na dnie śpiącej i dudniąc przepadnie na wieki — przejdę po wnętrzu twojem — ha! dama i przeszłość wieje wszędzie — — dziedziniec czworoboczny z kruzgankiem o łukach kamiennych i starych kolumnach w smaku Bony — taki jaki miał Zygmunt stary — gęms szeroki z odzwianiami czarnych marmurów — po nim przechadza się w ponurych myślach ostatni Kmita — a kroków jego dumnych stąpanie odgłos niesie daleko — daleko — aż w podziemia sklepione, gdzie gniją Tatarzy i

Turki, nim na jaką osadę wypuści ich Wojewoda — ponury on jak lew wiecznie ranny, bo z pychy się nigdy niewygoi — ale nigdy niewestchnie — nawet sam przed sobą — dalej — dalej biegną korytarze i komnaty rzędem jedna za drugą — tam framugi, gdzie były posagi i kwiaty — ślady rzeźb i malowideł — resztki złocen, kapitale kolumn i pogruchothane głowy posągów — — ale dziś bluszcz pokrył to wszystko miłości objęciem — puste te sale wielkie i kragle, puste teatrum, kędy brzmiała retoryka i kwitły koncepta Włoskie — i złote szermowania w odprawie posłów Greckich — kędy żaliła się boska Helena i wyla nieszczęsna Kasandra — kędy deklamowano strofy Polskie z Jerozolimy, a chorus wspominał pławczkę fal morskich ... i pusta największa z sal — godowa — królewska — ni śladu tronu Zygmuntoów, kędy siadali miłośnicy — dalej! wyżej, resztki schodów marmurowych pleśnią ku górze — tam z kopułą zapadła stara kaplica, kędy przekięczwały życie matrony, rycerze brali błogosławieństwo kapłanów do boju — tu przy starym konfesyjonałe dębowym kiłki Pan Kmita i ponuro szeptał sekreta swego sumienia buremu zmichowi — i długo było tych rozmów, a w czasie spowiedzi burza trzęsła zamkiem — grzmoty i pioruny echem rozlegały się po kaplicy — tu krzyżem może nieraz leżał Pan Lubomirski, gdy mu żywot dumny zaciężył — i szlachta biła czołami przed jednym tylko Bogiem — aż w grobach jętko nieraz, a potem szła na potrzebę — i pomykała Wołosza — i nieogłądała się złota horda ... Tu Jerzy hetman — mógł może ścinać dłoń Stefana Czarnieckiego — — kaplicę świętą! ściany twe odarte nago, lampy pogasły — dziurawą kopułą strzela promień księżycy i błękit — a na ołtarzu wyrosła brzoźka jak kapłanka przeszłości szmerem nodli się łzawym i krzyż czarny listeczkami otula ... a szumi tak smętnie, jak by w niej zaklęta śpiewała biała duszyczka Orszulki Kochanowskiej ... i chórem dziewcząt więj jej kaliny po gyzmsach wyrosło — krzyż wyciągnął czarne ramiona a w ciszy słychać tylko spadanie kropel wilgotnych od sklepienia na głowy nad grobkowych rycerzy, co śpią niemo i groźnie — lub łopotanie ptaka ruin zabrzęczy po szybach otwianych — ale inaczej bywało tu onego czasu... Ha!... pamiętasz hardy Wiśniczu!?... oto od baszty wscho-

dniej długi czworogran przy boku zamczyka biejeje fundamentem świeżo zalozonym — to Kmitówka — przyszła część zamku gościnną którą budują w pośpiechu szalonym na przybycie dwora króla Jegomości, co za tydzień ma zjechać, bo już królowa matka uściskała Basię, a Pan Kmita submitować się raczył Radziwiłłowej królowej — fundament rośnie — w koło gwar, krzyk, ruch młotów — huk młotów i wrzawa jak na Babela — tysiąc ludzi pracuje w pocie czola — zwija się, podaje glazy i składa na glazach — to niewolniki Tatarskie — glazy rosną, powlekane wapnem i zalewane otowiem — sam pan dumny i wyniosły — stoi — zachęca dobrem słowem, rozrzuca złoto gdzie słowo jego niedziała — gdzie niedziała złoto — grozi — a groźba działa zmarszczeniem brwi pańskich — bo śnać pilno mu bardzo — i tydzień ubiegł — a jak szczenie zamczyka przyrasta do murów Wisznica Kmitówka gościnną — rośnie jej mur jak na drożdżach, wiążą nad nim sklepienia — rzucają dach szeroki — i czeka gości Pan Kmita — na więty dano znak trąbą — uderzono w kotły — spieczono most — zamek zapalał festonami lamp i pożarem pochodni — a oto bramą wtapczają się przy gromocie kapeli koleby i Karoće królewskie, za nimi blaski Litwy i korony suną w progę wysokie — i słyszysz — oto dźwiękami Poloneza grzmi świetlana sala — powietrze wonne drży światłem i muzyką godową — w komnatach gwar wesoly i huczny, po ścianach błyskają dumne postacie na obrazach — lecz dumniejsze od nich napełniają komnaty — w strojach różnych narodów, w rycerskich zbrosach z piórami wiejącymi hełmów, w Hiszpańskich i Włoskich, i szubach kobilowych — w litych żupanach i karnaszynach — z pogodą dumającą na marsowem czole, z zdrowiem i uśmiechem na licach — idą, przechadzają się tłumnie po komnatach — a koronki matron ich klejnoty i tęczyjące szaty cmią jarzące światła, co wiefcami wiszą w sklepieniach, idą — suną się parami pochodem uroczym Polskiego — patrzcie, oto sam miłościwy ostatni z Jagellonów w koronie złotej i w szatach litych, z szczęściem promieniejacem na «dobrotliwej» twarzy wieździe wyniosłą starą niewiastą z pychą i chytrnością na zgrzybiałej twarzy, czarna jej szata lina od perel i złota — na białych włosach gwicździ diadem królewski zwinęty w węża

Sforciów — purpurowy płaszcz jej gronostajem podbity pysznym faldem splywa ze suchych barków, a ogon długiej szaty niesie dwoje pacholąt jasnowłosych ... to królowa matka. — Za nią stąpa krokiem poważnym krępa postać rycerza z śnieżną brodą i włosom białym — to Pan Krakowski; w szorstkiej dłoni trzyma bieluchną rękę wiotkiej — białej postaci — zda się, że anioł obok rycerza przesuwa z uśmiechem dobroci i smutku wśród ludzi — śnieżna jej szata długo splywa ku kobiecie kwiatem; a korona zda się przygniatać to białe, swobodne czelo, od którego długie włosy lunęły na alabastrowe ramiona bujnemi warkoczami — to anielska Barbara. — Dalej dumny gospodarz zamku wieździe Isabellę węgierską, Czarny Radziwiłł Katarzynę królową — Radziwiłł rudy młodzieuchną Annę Jagiellonkę w błękitnej szacie — za nią Firlej stąpa z Panią Krakowską i Ostrogski z Panią Kmitową, zaś Pan Herbut sunie z Księżną Ostrogską, więc Zborowski wyrzucając szumnie wyloty z Panią Morastynową, więc Pan Górka otęły zalecając się, wieździe choź Halszkę z Ostroga — Odgróżą Panią Zborowską i Pan Koniec Polski z Panią Firleją, a wśród młodszego rycerstwa śmiało posuwa się Dymitr Sanguszko z Panną Tęczyńską — i ostatni Tęczyński z Zofią Tarnowską — nuż dziełny Leśniowolski zalecając się do Panny Podłodowej i młody smutny Kmita z Panną Gorajską — i batny Samuel Zborowski z wąsikiem młodym a animuszem w czuprynie wieździe Pannę Tarłównę — dalej — i dalej suną się Parami — po marmurach komnat i kwiatkach kobierców — a postacie ich dwoją i troją się w szybach dużych zwierciadeł i nęką w głębi — teraz Pan Kmita skłonił się królowej matce i wieździe taniec zygakiem węża Sforciów — czolo poloneza wśród grznotu kapeli poczyna się w jednej komnacie — a kończy w siódmej — w tem rozplotły się pary w długie dwie girlandy. — Król Jegomość odbił swoję Basię — połączył znowu orszak par jak unię Litwy z koroną — i żonę wieździe do tronu — suną — suną ciągle — o! jacy wy dumni poteźni i wspaniali! ... zda się moczarze świata — ojcowie miłościwi! dajcie stopy wasze ścisnąć — pobłogosławcie nam od lat walczącym nie jak wy z Tatory i Turki — lecz z całym piekłem!... i bry nam wieźcie na spinki do waszych karnaszynów — bo co innego niemamy!... lecz

damy wam tego za blaski wasze!... my smutni lecz dumni!... co się w kajdanach rodzim do chwały! pobłogosławcie nam do boju dalszego! stojcie chwilę — a potem idźcie! idźcie dalej!... I suną dalej śród komnat, gdzie kołami przechadzają się zamorscy goście leżni, podejmowani gościnnie i poważnie niewiasty, którym rada Pana Kmitowa — tam w jednej z komnat zebrano się kółko dostojnych Panów — pastorał radzi z buławą o zdrowiu Rzeczy polskiej, wszyscy szczęśliwi, że tak się sprawy dworskie skończyły. — Wśród nich sędziwa głowa Samuela Maciejowskiego z bibliją powagą Samuelów, dalej inni biskupi i pralaci, z którymi żwawo rozmawia Pan Boratyński salwując swe postępowanie — a Maciejowski rad usniecha się do Pana Krakowskiego, że poszło po ich myśli, czego dostrzegła baczna Bona — po prawej znów Orzechowski walcnie dysputuje z Panem Górnickim, namiętnie wyrzuca rękami — przy nich Frycz Modrzewski z jakimś włochem rozprawia o systemie Kopernika, nóż Podlodowscy i Deraniaki przysłuchują się dyspacie — po lewej stronie komnaty starzec wesoly szerokopierzasty śmieje się głośno z Pana Pazonki, a któż nie zna świebodego Reja z Nagłowic — radzą oni o nowych dygnitarzach rzeczypospolitej Bałubickiej, a Stańczyk idący sam na ogonie Poloneza udaje ruchy wszystkich i charaktery — po drodze przydaje im konceptu i w gwiazdach źle wróży Panu Kmicie ... a w kątku tuli się i słucha z uśmiechem zamysłony Jusio z Koehanowa. — Króleskie oko dumne i szczęśliwe błądzi po kołach senatorów i kasztelanów, z wszystkimi rozmawia łaskawie i uprzejmie, i uśmiecha się z wydwarzania Stańczykowego — wśród tłumu sam jeden błądzi wykintny i uniożony Monti, którego stańczyk drażnić poczyna — król wsparł się na ramieniu Tarnowskiego, z którym wesolo rozmawia trzymając rączkę Basi — a Bona po ciechu radzi z Kmitą za ciemną makatą, co ich osłania — tu Kmita wniósł zdrowie króla Jegomości i zgiął dumne kolano — grzmot kapeli zalucał — podniecili w górę czapki i krzyk trzykrotny obil się o mury Wiśnicza: Vivat Rex Sigismundus!... ha! i w jednej chwili jakby piorun spadł — umilkło wszystko, w ciemności zanikły duchy — kispicie zabłysnął a puszczyk zachychotał nad ruiną — i postacie zdąży się uchodzić łopotem

niedoperzy — i cisza głucha — w grzechach twoich Wiśniczu — jak dzikie zbudzenie po śnie niebieskim — drzewa tylko szumią głucho na basztach i zegar kościelny dzwoni północ w oddaleniu — ha!... dzwonią jeszcze inne głosy w komnatach — to brzęk łańcuchów — w murach Wiśnicza dziś wieża zbrodniarzy!... Wiśniczu — jaskinia lotrów!... o śpij! śpij marmurowy Kmito! kajdan brzęk i śmiech głośny, niby głośniejszy od sumienia rozlega się tak dziko, że od niego popękał mur Wiśnicza! ha!... i w wielkiej godowej komnacie zaś odartej — ciemno — tylko smolny kaganiec u sklepień drga i po ścianach rzuca koła światła, co spływają w dół i oświetwiają kołem siedzące postacie czarne, odarte, w kajdanach z długimi brodami — i ponurem licem napiętnowanym podłością — lub rozpaczą!... z łańcuchami u rąk i nóg, choć północ, oni niepiją, kołem siedzą, jedni chcą drzymać, inni złożyli ręce na pierśiach i spuścili głowy przeklinając, ci leżąc na ziemi medytują, jak ujęć — jeden z nich rudy i w pół pijany rzępoli na skrzypczkach coś fałszywego — a dwóch z weselem rozpacziwem piosnką brudną na ustach, tańcząc w szalonych skokach jak tańcem Szatanów, a łańcuchy ich dzwonią o ziemię w skokach — aż włosy stają na głowie — a gdy księżyc zajrzy oknem, to szepczą, że strazy w zamku — toć chyba runąć niezamoczono tobie nieugięty Wiśniczu — boś miał chwile czarniejsze, od których krwawiły się na basztach orły białe — wtedy runęło pół baszty twojej od zgroy — czy pamiętasz ty siełanki roku 1846?!... ha! ha! porośnij drzewami i zapadnij pod ziemię, miałeś w jednej komnacie z zbrodniarzami — więźniów za ojczyznę — którym na czołach na pisać chciano: niewolniki!... o miałeś ciała mętów skatowanych, pomordowanych niewiast, zemdlonych dziewic i zwigdytłych niemowląt i głos sierót, co chłosem zdziaczałym wyl o pomatę do nieba!... a u stóp wzgórzów widziałeś tłumy pijane — i zdzierate, oszukane przez kata, który je w bydlęcej srogości posłał na matkę własną — z nożami!... o! przeklęty — stokroć przekleństwa Polaka niewart ktokolwiek iskrę tę piekła rzucił w czystą, białą pierś ludu gołębi — dla niego piekła za mało — a szatan zarumieni się takiego drucha — ci co za głowy Polskie plačili, niewiarci, by się ich głowy potoczyły pod stóp tych więzionych złodziej,

lejące przed sąd Pana!... o! tylko Polski męka i modlitwa zdolna przebaczenie wyjednać dla takich wrogów obcego plemienia — i gdyby nie krew narodu ofiarą przelana za winy tylu ludów i tylu Pokoleń na dziejów wtórej Golgocie — drugiego piekielniejszego piekła trzebaby Boże na tych szatanów, gdyby miłosierdzie twoje niebyło większą przepaścią niż zbrodnie ludzi!... ale odwróć oczy — nie czas je wypłakiwać do reszty — trochę krwi i łez na inne czasy — naród, co od lat stu spiakuje przeciw całemu piekłu mieć musi krew zawsze gotową. — — —

Ty milczysz Wiśniczu — jakbyś się rozrzewnił nad dwójkiem ludzi, co w ciszy letniej siedzą na wale pod lipami u stóp murów twoich — słońce zachodzące, ozlaka baszt twoich bezmuzgie czoło — a brzęk pszczoł odbija się coraz cichszą harmonią... w ubogiej siermiędze, z lirą na barkach siedzi starzec chmurny i znużony — przy nim dziewczę młode z siwym włosom bujnym, smętne i ciche, z schyloną głową patrzy na rubinową strugę światła, co się po zachodzie rozlała szeroko — — — znać, że znużeni tylko, co siedli spocząć — kilka lat ubiegło jak wyszli z wioski rodzinnej — czy poznaćecie Nezabudkę i Lirnika?... Na jej licech znać, że pączek myśli rozwinął się bujnie, że z ust starca dowiedziała się wielu nowych prawd i rzeczy, zasad i podań, że przeszła wiele ziemi ojezycznej, widziała wielu ludzi a w oku jej poezya przez łzy przegląda...

LIRNIK.

Nezabudko — czy późno już — mów mi, jak wygląda świat — — — mnie tak ciemno — wędruję po kraja, którego piękności widzieć niemożę... słyszę gry ptaszat i szum drzew...

NEZABUDKA.

Chwila wieczorna zapada nad ziemią — łież oddychać — już przeszła burza; dobrześ się tu schronił w zamczyku ha! ten piorun, co w lipę uderzył — myślałam, że nas razem zabije... był to sądny dzień...

LIRNIK.

Dziecko! opisałem ci zamek, opisz mi burzę — słyszałem ją w całej grozie, ale niewidziałem — poetko moja gołębia, opisz mi burzę, bym ją widział...

NEZABUDKA.

Tylkośmy przeszli bramę zamczyka — i skorosł na lircie grając mówił o zamczyka dziejach — o postaciach jaśnych i kornatach — i wiezieniach — uczulam tęskność i słabość: jak zawsze przed burzą skwar był straszny i duszność wielka — ale w powietrzu była cisza śmiertelna — niezdąrzył liść — kłosy cicho stały w polu — ptaki umilkły — a od zachodu chmury czarne ciężkie poczęły się gromadzić i pochłaniać jedna drugą tak, że urósł jeden czarny obłok na niebie — i z daleka od Tatrów coraz częściej grzmot się ozywał jakby ryk jakiś z pod ziemi — coraz bliżej i dłużej — potem wąż przeleciał po niebie — chmura z paszery buchnęła loną błyskawicę piekielną — otwarły się ogniste wrota niebios i trzaskiem zamknęły — i zagrzmiąło na cały świat jakby na sąd ostatni — zdala rozpadziony wichur podleciał — jak objemie w objęcie konary drzew — jak rozszumi gałęzie, którym z czoła wyrwał liść i włosy; bory zatrzęsły się dźwiękiem szumem — łoskot walących się dębów chrzęszczących po gałęziach drzew coraz głośniej i padających z głuchym łoskotem przerażał las — chmury liście nisł wiatr szumiący i w przestrzeniach cisnął jaskółkami, co unosiły się w górze — — — wśród szumu wichurów i coraz częściej coraz ognistej błyska aż oślepiła wzrok — grzmot rodzi się z grzmotu — coraz bliżej — coraz dłużej — a chmura rozplotła czarne warkocze i długimi deszczu strunami powiazała ziemię z niebem — wichury trzęsły lasami — w tem — nad wzgórzem łysnęło okropnie — i piorun starą lipę rodarł na drzazgi — zakryłam oczy i przeżegnałam się stojąc na baszcie — wiatr mną szamotał — lecz trzymałem się kraty żelaznej — słyszałam tylko szum drzew okropny i chlapotanie deszczu i huk piorunów, któremi trzesło się niebo i ziemia — z chmur wylatywały luny zięjące, zalewały niebo z ziemią — i gasy — zalane we łzach nawalnicy własnej — lecz zwolna słaby — słaby grzmoty — wichury poczęły się utulać i słońce wyjarzało z za jednej z chmur piekielnością swoją śmiejąc się do — burzy — piorun jeszcze w oddaleniu rykał strasznie — ale podnosiłam głowę za każdym grzmotem i czułam, jak wielki Bóg i chciałam być w bitwie być!... słońce coraz jaśniejsz wyglądało z za czarnych chmur, co

się rozdarły i błękit błysnął — deszcz ustawał zwolna — a chmury jak spłozzone trzoły począły kędyś uciekać, rycząc jeszcze grzmotami — kanały — kanały — rozdziły się jedne z drugich i przepadając kędyś w górach gubiły się tęsknem echem po ziemi — po jarach i górach leśnych — tęcza jak most wielki błysnęła nad zroszoną ziemią — skowronki już zadzwoniły w błękitcie — tu na trawie leżał dąb obalony — tam łąza burzy błyska na róży polnej — z gór szumią i hucają wezbrane potoki — drzewa złożyły się burzy łzami — a... co wiatr ruszy brzoza, to tysiące kropel spadnie jak z liców sieroty na kwiatki łąk, kędy się motyl niemi upije ... cicho i lubo wkolo, tak wolno i szeroko piersią oddychać ... o Polska ziemi, tyś nam tak cudna, że bez twej cudności niebo niebem by nam nie było — i przeto też tak niebieska jesteś! słyszysz w oddali ten szum daleki? to zdrój wezbrany szumi po łące, weźmem kracąc się leci, zabiera gałęzie oderwane i mostki swoje, po których spada srebrnych pian łoskotem i wlecze kamienie — coraz szerzej — coraz szerzej — zalewa łąkę — a słońce ozlaca jego mętne zwierciadło ... ptaszki znów świągoczą strząsając rosę z piórek — a ciepłe słońce schyla się ku Tatrom — tak cicho na świecie, jakby technienie Boga! rozlało się w powietrzu — w błękitach żeglują orzeł — waży się i patrzy w słońce — co już — już zapada — tylko pół twarzy jego wygląda z za góry — zniża się — zniża... trysnęło jeszcze ogniem promieni w górę — polalo struge światła na góry i doliny ... o słońce! dobranoc tobie ... już tylko rąbek ognisty wygląda — maleje ... zgasło! ... i łąna krwawa oblała błękit — tęcza znikła — już złote niebo poczyna blednąć — góry ziemniały, niebiesko zielone lasy i łąki mocniej widać ... doliny dymią mgłami wilgoci ... łąza rosy błyska na kwiatkach i kłosach złotych ... a wietrzyk wieczorny kołysze niemi i zda się witać pierwsze gwiazdy ... drzewa stoją cicho jak po śnie i szemraz — jezioro ku niebu odbija się złoto i czerwono ... jak ta moja dusza, w której odbija się świat — i burza ... a nad nami cichy wielki błękit jak wielka pierś Boga rozwarła świata — skowronki tylko dzwonią — i chrząściel sprzeciwia się czajce — a tam od drugiej strony wznosi się białdy miesiąc ... Czerwona łąna blednie — i mrok opada zwolna ... od

wschoda blade niebieskie światła rozlewają się i rozpywiają w przeterzeniach w których aniołowie zapalają gwiazdy nocne... już ciemniej — dalsze drzewa nikią we mgłach zmierzchania... i cicho — dawon wieczorny zajęczał za dusze zmarłe tak ponuro — on jeden czuwa tu wierny tym grobom — jęczy żałośnie ... kona... i umilkła w słowach — złożyła ręce i z lekka otwarła smętne usta drżące, a twarz jej przybrała wyraz ascetyczno-ludowy, z jakim zapewne aniołowie otaczają Pocięszczylika ... z jakim modlił się mogła dzieckiem święta Teresa i śpiewać w myślach święta Cecylia ... w końcu wyciągnęła ramiona — i rzekła Amen! ... a modlitwę jej kończyły drzewa i strumienie ...

Potem zwróciła się do lirnika i rzekła: zjedźmy już na dół, bo chłód wieje, nim się z ciemni dojdziem do siola, trza poszukać jakiej chaty, bo daleka droga...

LIRNIK.

O moja siostru, niech twarz choć na rosie marawy położę! tam księżyc wchodzi a ja go nigdy — nigdy już nieobaczę...

NEZABUDKA.

O! czemuż niemogę dać ci oczu moich! ośleplabym szczęsną, byłeś widział, umarlabym z radości!...

LIRNIK.

Daj mi ucałować rąbek szaty twojej — to mi da tyleż szczęścią jakbym przewidział ... Nezabudko gwiazdko moja ... ty-leśmy przeszli razem cierpień i boleści i przewędrowaliśmy dłoń w dłoń Ruś twoją i łąny Podola i Ukrainy mogily — teraz idę nam ku brzegom Wisły a nim ujrzysz Kraków, opowiem Tobie moje życie. — Ty-leśmy przeszli razem — a nie masz mnie!...

NEZABUDKA.

O! bez słów twoich znam Ciebie.

LIRNIK.

O siostru moja smutna! Ciebie Bóg natchnął jak to ptaszek, co śpiewa — a niewie nawet, że śpiewa, niewie, co pieśń i niezna poezyi...

NEZABUDKA.

Co to poezyna?...

LIRNIK.

To ubóstwienie w słowie tego, co największe w Bogu — i człowieku! to ta piękność, co rozlana po świecie! ta wieczna tęsknota ludzkości za Bogiem — prawdą — żal człowieka za czemś nieskończonym, co kocha nad wszystko, co go rwie za sobą, a czego nazwać nieumie, to pomieszczenie całych światów w duszy jednej, tak jak małem okiem widzim świat cały ... przeto ludzkość oddycha poetów piersiami ... ale biada takim, na których padnie ten piorun — stokroć biada ... a ty biedna sieroto, co nic niemasz prócz sieroctwa...

NEZABUDKA.

A więc mam tyle!...

LIRNIK (po poezie).

Ty sieroto, co tu nic niemasz prócz miłości...

NEZABUDKA.

A więc mam tyle!...

LIRNIK.

I prócz cierpienia...

NEZABUDKA.

A więc mam — tyle!...

LIRNIK.

Ty, co tu nic niemasz. —

NEZABUDKA.

A więc mam tyle. —

LIRNIK.

Prócz Boga — więc bogataś nad wszystko! Masz dużej — poety!...

NEZABUDKA.

Ojcie! ja czuję, że piękne, co mi mówicie — ale mnie przed taką trwogą zjęła — ja wolę niewiedzieć o tem a z skowronkami modlić się panu Bogu i kochać świat i cieszyć — i

życia siłą całą — miłować Polskę naszą świętą — i miłością ogarniać wszystko — od siołka, co zemdlal na stolecu — do Pana boleśnie na krzyżu rozpiętego w boleści duszy boskiej ... kochać wszystko przez pamięć mego kochanka ... Bławatka mego... i chronić męczę od pająka, pająka od jaskółki, jaskółkę od orla — orla od gromu...

LIRNIK.

Gdyby bez gromu orlem mógł być!... podaj mi rękę — potknęłam się o kamień — teraz już równo — żegnaj Wiśniczu wielki — bądź zdrow!... chodźmy Nezabudko...

I poszli!

I gdy jęli schodzić, krzyknęła Nezabudka boleśnie — Co to? Zawolał Lirnik?...

Niedoperz zamotał się w moje włosy!... I z trwogą jęła szarpać warkocze — było coś przerażającego w tej wiosennej postaci z oczyma jak bławaty a siwym bujnym włosem, w którym nad jej czołem trzepotał się zawikłany niedoperz — jak fałsz w warkoczach prawdy — i próżno szarpała włosy — aż z trwogi padła z płaczem o ziemię — i zbiegli się ludzie — a jeden z włościan wydarł jej z garścią włosów potworne stworzenie i rzekł: przenocujcie w mojej chacie, dobrzy ludzie — boście widzę zmęczeni! — — Kiedy weszli do chaty, dzieci przy ognisku wieczornem obsiadły lirnika i prosiły o bajkę — wtedy jęł im opowiadać do snu starą powieść o żmiji, którą z Rusi jeszcze pamiętał:

Był raz król wielki wspaniały — i dumny —¹

Miał on trzech synów pięknych, miał młodzianów,

Kochał ich starzec, jak ląbędzę swe dzieci

I raz rzekł: «moi synowie kochani,

«Jaką z was każdy chce miłą odemnie?»

«Mnie część królestwa!» rzekł jeden ze synów —

¹ Wiersz ten źle i niedokładnie drukowany w pierwszym tomie p. 8., który dla miłośców błędów uważamy za sielęty. —

«A mnie, rzekł wtóry, daj ojcze dwór taki,
 Bym podróžować mógł po całym świecie.»
 I spełnił ojciec, a spytał trzeciego:
 Czegóś ty pragniesz, synu mój najmilszy?
 «Zbuduj mi ojcze na wysokiej górze
 Zamek wysoki, w którym by drzwi tyle
 Było, co w roku dni, a okien tyle,
 Co gwiazd na niebie śród pogodnej nocy.»
 I stary ojciec lubo się zadumał,
 Budował długo, aż w końcu zbudował —
 I stanął zamek dotąd niewidziany.
 Kiedy zagorzał światłami śród nocy,
 To jasne były góry i doliny —
 I w zamku owym siedło książę młode.
 O! piękny, śmiały i dumny młodzieniec,
 Że milem oczkiem wszystkieś naś książniczki
 I wszelkie inne niewiasty patrzyły.
 A wtenczas tylko stary ojciec mawiał,
 By za ten pałac znalazł mu synowę,
 I wnuczęt jasne główki dał w nagrodę. —
 Ale syn milczał, i tylko połował
 Na dzikie boje jeździł i ucztował,
 A o swej żonie przyszłej nie śnił wcale.
 Aż jednej nocy po ucieczce, po długiej,
 Ledwie się do snu pokładli śród zamku,
 Nagle — dźwięk, hałas, łoskot, jak grzmot burzy,
 Zatrząsł zamczyskiem w głębi jego posiad,
 I wszystkie okna, wiele w zamku było,
 W chwili padają z jękiem, wytłuczone. —
 Wyleciał książę z mieczem co tchu na dwór
 I patrzy — a to żmija siedmiogłowa
 Lecząc, wytlukła olbrzymiami skrzydły
 Znow wszystkie pyszne tęczowych szyb krocie — —
 Z śmiechem radości i po ziemi wężem,
 Sunie się chyżo, sunie przez trawniki
 I przez szpalery, ucieka, ucieka —
 I znikła z śmiechem — a książę w wściekłości
 Przysięgł jej pomstę — aż u bram piekielnych!

I znow budował, i znow okna wstawiał,
 A wstawił tyle, co gwiazd w pięknej nocy —
 Aliści znowu o północy z burzą
 I blykawkicą żmija przylatuje,
 I wszystkie okna z rykiem i ze śmiechem
 Wytłukła szwemi wielkimi skrzydłami,
 Co były wielkie jak piekielne wrota —
 Tu już jak piorun z nagim, lśniącym mieczem
 Wyleciał książę, doścignął bieżącą,
 I ciął w ucieczce w plecy — ciął i rąbał,
 Rąbał na sztuki, że się wolniej wleciał
 I tylko czasem lba podnieście hardo
 I plunie pianą i rykiem straszliwie.
 Lecz już — już leci, doleci swej jamki,
 W którą, acz była jaszczurcza i mała,
 Cała ogromna w chwili zapadła.
 W tem książę młody skrył miecza do pochwy,
 Jak się uchwycił ogona swej żmii,
 Jak się nie wgrzyzie w cielsko paznociami,
 Tak z nią przeleciał aż przez sparkę małą —
 I leciał, leciał, pod ziemią, daleko,
 Aż osłabiony padł bez sił i wiedzy.
 A gdy otworzył oczy obłąkane,
 Ujrzał się w ciemnem, ogromnem sklepieniu,
 Co się gabiło gdzieś w dali dalekiej,
 I wielkie masy pływały w ciemności.
 Wstał i szedł znowu, dalej, co raz dalej,
 I tak szedł długo wielkim kurytarem,
 Aż oto wielki zamek z skały kuty,
 Ze złotym dachem, stanął mu przed oczy.
 Książę wszedł w bramę, a tam trzy olbrzymy
 Spali snem twardym, w żelazo zbrojone —
 Ognisko wielkie tliło tam przed bramą,
 A okna były z wielkimi kratami,
 I jakieś dziwne znaki tam na murach.
 On wszedł i idzie, idzie, idzie —
 I dużo komnat przeszedł, aż ci w jednej
 Siedzi panienska cudna, czarno-oka,

W białej sukience, nad robotką jakąś.
 Oczki jej smutne, a usta zacięte —
 A gwiazda świeci jej —
 A on zapytał, skłoniwszy się pięknie:
 «Powiedz panienko, gdzie hydra ta straszna,
 Którą dagnałem i mieczem ranilem?»
 A ona z krzykiem radości, zdziwieniu,
 W oko spojrzawsza łzawo rycerzowi,
 Lecz nic nie rzekła i na ustach palce
 Kładąc, wskazała, niemo, by szedł dalej.
 I znów szedł długo, długo, długo —
 Aż wszedł w komnatę, w której czarowniejsza,
 Ale smutniejsza jeszcze od tej pierwszej,
 W zadumie tęskniej siedziała dziewczyna.
 Włos jej był jasny na piersi spadający,
 A na różowym licu bzy uwisły,
 Jak w listkach róży

Kropelka po burzy. —

Sukienka była jej z tęczy utkana
 A miesiąc świecił jej —
 I znów się skłonił, i o drogę pytał.
 Lecz smutne dziewczę, z nietajną radością,
 W twódcze mu szereg komnat ukazało —
 I za nim okiem rzuciło ciekawie,
 Aż znikł i kroki jego nikły — dalej —
 Aż znów w komnacie spotkał trzecią Panią,
 Ta najpiękniejsza już była urodą,
 I dumną, królów, dziewica, postawą —
 Lecz na jej czole smutek kwitł najsmutniejsz!
 Szata jej z słońca utkana promieni,
 A na jej skroni wianek gwiazd drgał blaskiem —
 A lilii berto śnieżne miała w dłoni,
 Aby go oddać — w czyjeż? — w czyje dłonie? —
 A słońce świeci jej —
 Lecz i ta łzami świetlana, swą lilią
 Drogę wskazała, dalej, i szedł ksiączę,
 Aż w jednej kirem okrytej komnacie,
 Spotkał karlika małego bardzo

I schyłego, acz pięknego licem —
 A biały smutek strzelał z jego twarzy,
 Acz ślady dumy na niej nie wygasły. —
 Wtedy zawołał młodzian niecierpliw:
 «Wskazcież mi drogę do tej hydry podłej,
 Bym pomścił krzywdy moje w gniewie moim!»
 A karlik zasie rzekł tylko: «poczekaj!»
 I wiódł go długo, długo, długo,
 Aż go do wielkiej sali przywiódł iście.
 Tam w środku było źródło pełne gadów,
 Kipiało warem i syczało dziko. —
 Karzeł rzekł: «w zamku tym jest komnat tyle,
 Co dni wśród roku, i okien co gwiazdek.
 I twój był taki, a przeto zawiści
 Chciała go zburzyć żmija czarownica —
 Reszty nie mogę rzec ci, lecz tak działaj:
 Tutaj, rzekł, umocz miecz twój — i miecz zmurzył
 A karzeł wiódł go do wtórego źródła.
 To było czyste jak szybka niebieska —
 «I w to rzekł, umocz, miecz twój nagi teraz»
 A gdy go zmoczył, rzekł szepcząc do ucha:
 «Słuchaj mnie pilnie: — oto tam, w tej trzeciej
 Ciemnej komnacie, śpi na wielkim łożu
 Hydra ta straszna i pokaleczona —
 Ale na łożu jest wielka pokrywa
 Na trzysta kłódek zamknięta czarownie.
 Łoże się wspiera na posągach dwiestu
 Co na ramionach dźwigają jej ciężar —
 A w drzwiach komnaty, gdzie leży w swych ranach
 Jest wąż ogromny, co swem wielkim ciałem
 Opasze całą ziemię i uciśnie.
 On po potopie wstał i jej tu strzeże —
 Tego nie zbijesz, niejedną już walczył,
 I zginął marnie. Ale co północy,
 W wielkiej, żelaznej wannie on się kąpie.
 Wedł mu leżą trzy one dziewczice
 Smutne, coś widział, i one śpiewają,
 A ja przygrywam na mej arlio złotej —

Lecz przy tej wielkiej wannie jest ogromne
 Żelazne wieko — to strąć całą siłą,
 To go przywalisz i na wieki zdłusisz —
 A żadna siła wieka nie podniesie.
 A teraz skrzyj czekaj tu północy,
 Bo duchów dzikie będą korowody,
 I w ciemną czeluś ukrył się młodzieniec,
 A miecz swój imał — w tem ci w jednej chwili
 Takim się gwizdem owzie szczerka zamek,
 Takie zkądś głosy zapieją, zabuczą,
 Zaryczą zaszę, i jękną i zmiłkną —
 I znova zagrzmia — że dreszcz zimnym potem
 Na dumne ciało młodziana wystąpił.
 Bo zdrażał zamek — jakby tysiąc dzwonów,
 I piorun krzyży — i tłumów gdzieś krzyki,
 Jak sta połoźnic jęki męczarniane,
 Jak pisk dzieciątek żywcem mordowanych —
 W jeden głos wielki splotły się piekielnie.
 Drułem mu włosy stanęły na głowie —
 I hurmy duchów, wielkich, małych, czarnych,
 Ognistych także, poczną skakać w cieniu,
 Piszczą, tańczą, biją się i krzyczą:
 To jako słupy ogniste i białe,
 To jako smoczki ze łbami kogatów,
 To trupie głowy na kurzych stopeczkach,
 Skaczą i piszczą, i piszczą i skaczą!
 To wąż zaszę, to ogniki błędne,
 To znova myszki, jaszczurki, jak ognie,
 To w niedopierzów kształcie, rżą jak konie
 To znów gąsienice olbrzymich, kultury,
 I wściekłych wilczy, z ludzkimi twarzami...
 Szkieletów także w płaszczach ze skrzek żabich —
 A każdy szczy i zięje iskrami —
 Tak trwały długo płasy, korowody,
 Aż karzeł zagrzał na arfie, co większą
 Była od niego, o wiele, o wiele,
 I zmiłkły duchy, i zmiłkły jak wstały,
 Jak strachy nocy o porannym dźwięnie,

Gdy lży porannej zorzy drżną na kwiatach. —
 O! cudnie brzmiała po tłumie tych wrzasków
 Muzyka arfy smutnego karlika!
 A kiedy zagrzał, w komnatach pieści brzmiała
 I cudnie niła, płacząc po zakątkach —
 I cicho znova, a trzy piękne dziewy,
 Smutne dźwigają ceber bardzo ciężki,
 I leją wodę do wanny żelaznej,
 A para bucha z wody wielkim dymem.
 Leją, dźwigają, i znów nalewają,
 A potem węża biorą na swe barki,
 Na białe, ciężkie już i tak boleścią,
 I leniwego dźwigają ramiony
 I w wodę ciska z ramion — gdy się stoczył,
 Plusnęło w wannie — i brzyźnęła woda
 Aż w trzy komnaty — gdyby wielka chmura
 Się oberwała z niebios aż do ziemi —
 A wtedy smutne piosenki mu nucił
 Na sen, a karlik na arfie przygrywa,
 A wąż się kąpie i w wodzie przewala.
 Tu skoczył rycerz z mieczem uświęconym,
 Zdała się całą swą siłą rozpedził,
 I pchnął obrurącz wielkie ciężkie wieko
 Co się zachwiało — i runęło z grzmiotem
 Na wielką wannę, na wieki — jak piorun.
 A upadł książę od hałasu wieka,
 I karzeł upadł i trzy piękne dziewy —
 I tak leżeli długo ogłuszeni,
 A po komnatach zamku i pieczarach
 Grzmiotem biegaly odbijane głosy,
 Aż słabnąc, ginąc, po długim kosaniu
 Znikły — a rycerz porwał się z niemocy,
 Gdy wąż się próżno mიაł w rdzawej wannie.
 W on to czas miecz swój porwał i w zapale
 Przelociał wtórą i trzecią komnatę
 I tknął nim kłódki wielkiej jako głowa;
 A ta opadła — za nią trzysta kłódek
 Pękło i spadło na ziemię z łoskotem —

To były głowy malutkich dzieciątek
 Co z jękiem kwilące, na chwilę ożyły.
 I pękło wieko: na ogromnym łożu
 Leży olbrzymia żmija siedmiogłowa.
 Ciało jej wielkie, w krwi spuchłe, zrabane —
 A z mieczem skooczył on bohater młody;
 I siedmiu razów potężnemi ciosy
 Odmógł jej orogie lby ogniem dymiące.
 Tu śpiewem dziwnym, jak niebian wesela
 Zamrząły ściany starego zamczyska —
 A żmija raz się w boleściach targnęła,
 I z strasznym rykiem tygrysa pustyni,
 Z śmiechem rozpaczy szatana — już zdechła.
 A wtedy dwieście posągów kamiennych,
 Które dźwigały jej olbrzymie łożo —
 Ożyły nagle, i z ciężkiem westchnieniem
 Z barków rzuciły to łożo potwora,
 Pod którym z grzmotem w dwoje pękła ziemia,
 I pochłonęła, w piekło piekiel króla —
 A w chwili zamek podziemny z ciemności,
 Stał na ziemi przacuńdym ogrodzie;
 A dwiestu dworzan ożywszy z kamieni,
 Do nóg się ślali swemu dobroczyńcy —
 A wtedy karzeł nie był już karlikiem,
 Ale był królem wspanialej postawy,
 I przystąpiwszy objął księcia z łzami
 I rzekł: o! dzięki! młody nasz wybawco,
 Bo my i zamek tu zaczarowani
 Byliśmy przez nią — ją z trzema córami.
 To moje perły, to moje trzy kwiaty,
 Co były dotąd zamknięte w komnatach.
 A ty o panie weź jedną za żonę —
 Ciebie, rzekł, młodszą, dam bratu młodszemu;
 A tobie starszej; dam straszego brata,
 Lecz ty, najmłodsza, chodź ze mną do końca.
 Do mego ojca starego cię wiodę —
 On jak gołąbek siewy, ty jak gołąb
 Czysta, niech gołąb cieszy się gołębiem!...

Tam będziem w zamku, kędy okien tyle,
 Co gwiazd na niebie — komnat co dni w roku —
 A na swych lutniach dwunastu śpiewaków
 Będzie nam śpiewało o upadku żmii. —
 I żyli długo, i byli szczęśliwi —
 Żmija to Moskwa — co zabrała Polskę,
 Oj matce naszej takiego pałacu,
 A dzisiaj uczy Ruś, że z nią jak córka
 Krwią połączona! fałsz dzieci i hańba!...
 Ruś siostrą Polaki — i bez niej by była
 Jako bez wody ryba...

Tu umilkł — wszyscy już spali w chacie — w koło niego
 wianuszek śpiących dzieci z schylonemi główkami się białł
 przy dogorywającym ogniu — na ławie nad czołem śpiącej
 Nezabudki księtyc promyk rzucił — wipę i lirniki na śianie
 ukląkłszy, zmówił swój pacierz — i usnął krótkim snem sta-
 rości — i tylko obraz matki Częstochowskiej patrzył ze ściany
 na sen sprawiedliwych a prostych jak lilie polne...

Rano z jaskółką zbudził się Lirnik i wraz z Nezabudką
 wyszli z chaty, gdy gazdy jeszcze spali. —

Szli przez pola szumiące bujną falą kłosów, o których Ne-
 zabudka mówiła starowi i choć niemieli nie zbierać z pól tych,
 byli im bardziej radzi niż włodarze — szli wzgórzami, wio-
 skami, ku Krakowu — a trwoga radością biał serce dziewczyny,
 że ujrzy ten gród, o którym tyle tyle! marzyła — i rzekła lirni-
 kowi: oto mi na myśl, w tej drodze przyszła kolenda — zanucy
 ją tobie:

W żłobie leży,
 Któż pobieży
 Kolendować matemu,
 Jezusowi, Chrystasowi
 Dziś nam narodzonemu!...

Już odeszli pastuszkowie
 Już odeszli trzej królowie
 Cicho u żłobku jasnego!...

Marya dzieciątko tuli,
 Śpiewa: «luli, bobo, luli!»
 Wół z osłem chucha niego!...

W tem niewiasta w czarnej szacie
 W dziwnym bólu majestacie
 Weszła — wyż jej niepoznacie?...

W pętach ręce, pierś jej krwawa,
 Bez korony Pani Izawa
 Choć królewska jej postawa...

I przy żłobku strasznie zbladła
 Do stóp dziecka niemo padła
 Wielka niemoc ją owładła. —

Ona tylko bez korony
 W piersi nagiej miecz utkwoniy
 Sama w świecie bez obrony. —

Miała skrzydeł śnieżnych dwoje
 Jako orzeł co na boje
 Lecąc, patrzy w słońce swoje!...

A dziecina, co się śmiała
 Nagie głóśno zaplakala
 Z rąk się Maryi ku niej rwała. —

Ku niej drobne wzniesła dionie
 I z swej skroni, na jej skronie
 Kładzie lkaając swą koronę...

A pod strzechą aniołkowie
 Nucą jak o słowikowie
 W żłobie leży
 Któż pobieży
 Kolendować małemu!...

Zaspiewamy ją na wilię góralom, odrzekł lirnik — z łzą
 w oku — oto mijany Tarnów — a to góra Ś. Marcina, spoczniem
 tutaj, ja ci zanucę piosnkę, co mi jeszcze pod Wiśniczem za-
 wiała od ziemi naszej:

I.
 Czy znasz ten kraj, gdzie orły na kurhanach
 Czekają słońca, czuwając w senności,
 Kędy w mogiłach wstrząsają się kości
 Przy gwizdzie knutów, brzęczących kajdanach?
 Kędy zazdroszczą ich grobów popiołom,
 Kędy tak bosko boleści aniołom,
 Czy znasz ten kraj?... o tam! o tam!...
 Chociaż w niedoli — tak dobrze nam!...

II.

Znasz ty ten kraj, gdzie mamutów ruiny
 Czola stawiają nocom piorunowym,
 A po marmurach ciche jarzębiny
 Kapią łez krwawych, lamentem dziejowym?..
 Gdzie narzeczoną młodzieńcom: ojczyzna!
 A ich nadgrody — wygnania siwizna?...
 Czy ty go znasz?... o tam! o tam!...
 Chociaż nędzarzom — tak dumnie nam!...

III.

Znasz ty ten kraj, gdzie ciernie i piolunę
 Rosną po grobach, matki wyją synów,
 Purpurą męczeństw, pożarowe łony
 A lud się modli krwawą męką czynów?...
 Wstecz dłoń żelazna pcha milionów życie,
 I głóśno matki nie nazywa dziecię?...
 O ty go znasz? o tam! o tam!
 Tak święcie — błogo — umierać nam!...

W oddali grają dzwony Krakowa jak wielka arfa niewidzialna w błękitie ręką wszechmocną imana. Zaiście dzwony, to arfa w koncercie dziejów!... Oni już schodzą — i dążą niżej — mijają kościółek Świętego Salwatona — emtaryżak z drzewami — i klasztor Świętego Norberta z basztami — ten klasztor boski, co siadł jak starzec nad Wisłą od wieków zadumany patrząc ku Tyńcowi i Lanckoronie, sząc glosy od Wawelu... idą dalej drogą, aż stanęli pod murem nad Wisłą; lirnik dotknął żelaznej bramy i krzyknął dziko z radości — to Lipy!... lipy moje święte! najmilsze lipy moje ... otwari bramę i weszli w ogród dziki natury — ślady ręki ludzkiej były tam jeszcze — lirnik tak znał te miejsca, tak, że on ślepy wiódł dziewczynę — zrazu po stopniach kamiennych trawą zarosłych — potem górą — tu Wisła — Wawel i Kraków odsłoniły się cudów harmonią — a wiród drzew wznosił się dwie lipy olbrzymie — wielkie jak boleść narodu, po którego rozbiore w żaloby znak sadziła je Polka — szerokie jak serce narodu tego — wysokie jak myśl jego — smutne jak on i jak on dzień i noc szumem liści grające pieśń smartwychwstania — wśród ciszy i burzy — słońca i gromom — do końca!... tu padł lirnik piersią o ziemię jak młodzieniec pełen szalu wiosennego — i tak długo milczał — nad nim wznosił się krzyż czarny, niżej pod cudną brzozą i dwoma topolami płakało czyste źródło — a dwie lipy ogromne miłośnie schylały się nad nim jak muzyka i poezya — pod jedną z nich był głaz wielki — na nim wyczytała Nezabudka te słowa głośno:

Kiedy się wszystkie smutki w duszę moją zwały,
Kiedy ulgi dla serca próżno szukać chciałam,
Miejscem mego dumania był ten zakątek mały —
Pamiętki — i nadzieje z sobą tylko miałam...
Pociechy moje były — uczuciom niewinność,
Piękne niebo — i szczerą mięszkańców gościnność.
Lirnik siadł — przetrwał czaso — i rzekł — te miejsca
gniazdem duszy mej — przeto nic ci o nich niepowiem — ale
strumień życia mego mija — pędzi coraz chyżej — i już mu
niedaleko do morza — przeto powiem ci, to życie, córko ludu —

dziwnemi ono wola na mnie glosy tonów dalekich — i wola
tęskno przez mgły przeszłości — aż dusza mdleje i na głos ich
wyrwa się jak orlica w świat wieczności...

Przeszłości święta, kto w tobie niema czegoś, przed czemby
nie ukląkł i niezapłakał strasznie, w tobie nic niekocha i
nic nieustracił — kogo ty niepobłogosławisz na przyszłe życie
młodości poezją, jak matka syna do boju — dla tego obecność
może być życiem złotem — ale przyszłość zasmuci się nad nim
— i orły porzucą jego kości!... dla tego płaczę za tobą, o
przeszłości moja — choć tyś mi obecnością i wiosną ciągłą —
a jednak płaczę za tobą — jak dziecko za matki cieniem — co
choć synem — sierotą!...

Kolebka moja była pod ubogą strzechą — uwisła ona u belki
chaty góralskiej — i w powietrzu podrzucała ją matka — że
mi się dzieckiem śniło żem orzeł — i że bujam nad Tatry —
nad Światy — nad słońca — — pamiętam moje góry — ten
domek — pogrzeby wa-wcenne ojca i matki — i psa wiernego.
Domek ten zgorzał — a z łaski ludzi oddan byłem do
szkół — bym się sam żyć uczył — i na siebie pracował... do
Krakowa. — Tam — i tu nad Wisłą pierwsze lata dzieciństwa
i młodościem przeżył — niebędę potem mówił o moich dniach i
nocach — radościach i smutkach, bo o sobie mówić niewolno —
pytam się siebie, com zrobił życiem — i o życia mego mówić ci
będę robocnie. — Nad Wisłą, na Wawelu przemarzyłem pierwsze
wieczory i noce — na glazach grobów ich hartowałem serce
do życia. — Oddany do szkół wyższych otworzyłem oczy na
świat Boży com widział oczyma ducha w przecuciu ... i od-
tąd, oddałem się z pracą i ducha całą siłą — naucz!...

Co to nauka?... Nauka Nezabudko — to myśli luzkości ujęta w słowo jak
barwy wody w tęczę — to słowo uczy, co na świecie było —
co jest — i co być ma — to tęcza lez całej ludzkości — i
klucz do prawdy wszystkich światów — a razem do enoty i

serca każdego człowieka, by wiedział, że jest wolny — i nie-
śmiertelny!...

— I dużo wie się po tem życiu w księgach?... czy człowiek
o życiu duszy po śmierci więcej się dowie jak sam czuł?...

— O! to co i pierwej — a często mniej jak wtenczas, kiedy
dzieckiem patrzył w gwiazdy niebieskie...

— Tyś niebył ślepyim ... widziałeś gwiazdy!...

— O! widziałem moje dziecię i pamiętam jak dzisiaj
piękności świata — z pracy w księgach wzrok straciłem —
ale mi nie żal — bo kto ukochał naukę, ten nie ma ofiar dla
niej — i nie żal mi, bo świat ma i brzydotę, której ślepi nie-
widzą...

— O! miły mój drogi — płacz nad tobą!... a czy miłością
niemożna być tak wielkim, że się wzrośnie nad brzydotę, że i
nauka znajduje ... toś mi mówisz, że Bóg nie żadnym bogaczom
świata oznajmił najprzód swe narodzenie ... jeno ubogim pa-
stuszkom, co jak my patrzyli na słońce i gwiazdy ... i tylko
sercem byli mądry. —

— O tak moje dziecię — ale ludzie upadli bardzo, ludzie
stracili miłość, przeto niemają tej wiary, jaką mieli przed wieki
— a przeto nauka dziecię ich myśli dodaje im siły — oni
muszą dochodzić i widzieć — by wierzyć — dla tych, co gorąco
miłują, dał Bóg natchnienie aniołów — i cuda jak pasterkom
— i lzy i cierpienia ... a tamtych dał naukę, tę gwiazdę, która
wiedzie mędrców do żłobku dzieciątka. —

— O! biedni ludzie...

— Taką miłością kochał Bóg świat tylko — i skonał na
krzyżu za to — taką miłością ukochała Polska nasza świat — i
za nią rozdarli ją — za nią i każdy człowiek konał w smutku i
niedoli — a będziesz teraz dalej kochać?...

— O! będę — na wieki i po wiekach... ale, co to jest miłość...

— To uczucie, którem się kocha człowieka niewiedzieć za
co i dla czego — którem winno się kochać wszystkich równo...
a olbrzymie, gdy niekochając siebie całą ludzkość miłości
bezbieżnej szaleń ogarnie ... i pójdzie jej życiem na ofiarę —
lecz biada temu, koby to uczynił dla tego, że to wielkie, onie
z miłości czystej ... gdyby niekochał taką miłością jak ty Ta-
deusza...

— To ja go kochałam?... to to była miłość ... teraz wiem —
co miłość ... i co miłość ludzkości całej...

— Odbiegłem od młodości mojej — słuchaj — czysta
daszo ... po całych nocach siedziałem w księgach i w nich su-
kałem pokoju, co mnie odbiegał ... Ze szczytów gór Ta-
trańskich patrzyłem śmiało w głąbie otchłani, a spojrzę
w siebie niebyłem w stanie — człowiek ział mi się gwałtowną
siłą, życie przekleństwem — i poczęłem wątpić — rozum do-
pomógł mi w wątpieniu ... jakieś przepowiednie wiedzy i żądza
sławy paliły mnie ... i szaleń z ksiąg mądrość ludzką —
pismo święte napełniło mnie czią, a księgi świata tęsknotą i
wyszałem z nich przekonanie, że bez miłości człowiek jest
niczem i zostanie niczem «jako cymbał brzmiały», że
tylko zapalem młodości do tego, co wielkie święte i piękne,
można coś dobrego i wielkiego zdziałać, że umarli, kto się
zaparł młodości swojej zapalał i zdradził ją i zaparł się jej
jak Piotr Chrystusa — odtąd on mierzy przepaść, której już
nigdy nieprzesadzi, a i tak zgnije w niej!... przekonanie, że
bez miłości człowiek nicością w świecie — stało się moim
kościółem, w którym przysięgłem czynem się modlić, by się
czyn mój modlił za mną po śmierci ... a było nas trzech braci
po duchu i sercu w szkołach — razem uczyliśmy się żyć i na
jednej siadaliśmy ławie, razem śmiiali się i boleli — i
ukochali się potęgą. — Nasze myśli razem rozwijały się
w nauce — razem my poglądali młodem okiem na świat i
wszyscy nad wszystko kochali Boga i Polskę!... każdy był go-
tów — życie — i duszę — oddać za nią w świętym szale, który
był rozumem naszym — po dniach my całych o niej mówili —
o niej dumali nocami — a czasem myśli — «my niewolniki»
odbijała się szatanem w duszach naszych ... patrzyliśmy w jej
przeziśle dzieje — nią mierzyli przyszłość — i dumali nad nie-
dołęstwem obecności — i przekinali wrogów, póki nas Bóg
nieoswiecił, że i Im nawet serce Polaka przebaczyć winno, wy-
parłszy go z ziemi ojców — i zapomnieć niegodnych prze-
kleństwa Polski!... choć oni «wiedzą, co czynią...» krzyżując
ją. — I pytałimy siebie jak ją uratujem?... jak wskreszisz do
życia?... «Wskreszając martwy lud — iskry piersi
«jego uczynimy płomieniem — a oświecony lud mając,

«odwalamy głaz matki grobowy... miłością tylko!...
«bo przez miłość umęczona miłością powstała z mart-
wych masi.» — I spojrzeliśmy z ognistą łzą na ten lud
ubogi w ducha a błogosławiony — zaniedbany, ciemny, przez
szatanów na matki ciós wychowywany — a potem przegraliśmy
na nily oświeconych, co żyją tylko sobie, lud mijając, tylko
dumie, chciwości, zmysłom i nałogom swoim — tu «poświę-
cenia trzeba!» — a do poświęcenia dojść można tylko przez
uczucie, że nicma poświęcenia — bo cokolwiek szlachetnego
zdziała człowiek, to zdziałana powinność, to owoc miłości i
wolności ducha, niosący z sobą niezgłębione skarby rozkoszy i
sily apostołstwa. — Pojgliśmy, że w ludzie i przez lud cały —
naród wybawić zdołamy — a więc lud oświecić — całą siłą
życia pokoleń!... ale jak tu oświecić te tysiące, co w wię-
zach ciemności leżą?... o! zaiste — nie dziełem jednej chwili
ale długą pracą miłości cudotwórczej — a nieopuszczając
rąk, nie zniechęcając się niczem — idąc naprzód z pochodnią
wiary — a choćby ci ją wiatr nocny zgasił — zapal ją w źni-
czu twego serca, który jest nieśmiertelny — — i dalej! —
przyjdzie czas, gdzie słońce dzienne z tej pochodni nasienia
wzrosłe podziękuje grobom kości twoich... Kto siły swej nie-
spróbował, niema pojęcia o tem, co może człowiek — wola to
córka wszechmocy — a miłość to wszechmoc!... O! piękny był
ten dzień, kiedyśmy sobie w trzech młodzieńców dali dłońce — i
pod niebem ślubowali na mogile Kościuski życie poświęcić —
ludowi!... Nad Wisłą na Skalce stoi tam stary kościół — tam
przed ołtarzem w Bogu wświęciliśmy przysięgę naszą — prze-
ciw całemu piekłu — a w troje maluczkie pacholąt błagali
trójce przenajświętszej, by nam pomagała w pracy przeciw
trzem szatanom, co nam rozdarli wolną — całą — Ojczyznę!...
a kapłan świętobliwy pobłogosławił nam i rzekł Amen! — i
rzekł! że jak Chrystus na krzyżu, cierpi dziś Polaka za zbrodnie
świata — a cnót naszych mgławcem zmartwychwstał tylko
może!... i wiarą naszą byliśmy potężni, poświęcenie przestało
być poświęceniem — a stało się rozkoszą — pragnieniem —
żądzą!... Z rąk kapłana przyjęliśmy Ciało i krew Pańską —
a od ołtarza poszliśmy — do czynu! Ale poświęcenia
trzeba było — o! poświęcenie tylko namaszcza człowieka do

boskich czynów — z nas trzech — każdy coś poświę-
cił. —

Jam był najstraszny z trzech — oddałem — naukę, której
marzyłem wyłączenie życie poświęcić — i pragnąłem z niej sławy,
Bóg widział, co mnie to w początku kosztowało — od ksiąg
miałem zejść do szkolek więziaków na całe życie... i stać się
nauczycielem pacholat prostych — rzuciłem księgi moje — a
powitałem tę pracę! — Drugi z nas — był bogatym dziedzicem
z ojców starą sławą — i był hrabią...

— Co to hrabia?... —

— Smutny to przydomek, poczciwa duszo — to plewa,
w którą zawiąją ziarno już umłoczone... tak naprzykład gdyby
Pan jakiś miał psa i przypiął mu czerwoną wstążkę na szyi —
czy by ten pies dla tego więcej był wart jak inne psy?...
dawniej w innych krajach dawano ten przydomek za waleczne
czyny — u nas go niebywało prócz wyjątków, a dziś nad miano
Polaka niemasz miana!... Wielu naszym dano ten przydomek
przy rozbiore kraju jak dziecinno cukierków, by przy katafalku
matki nie płakały; w piśmie ludzkim jest znak Nezabudko —
ten znak zowie się: i — a nad nim kładzie się kropka — otoż
male i potrzebuje kropki! — a duże I przerosło ją i obejdzie
się bez niej!... otóż z ojców miał wielkie imię — i był godziem
cacić całą jego świętość życiem swoim — niepyszył się niem,
owszem wstyd szlachetny palił mu czoło dumne, że dźwiga
Ich — imię — a w ich obliczu taki mały — że dotąd nie nie
zdziałał dla nieśmiertelności... i przysięgł być dumnym
«z siebie» a nie z ojców swoich, choć relikwią było mu imię —
a herb był mu kropielnicą, w którą maczał rękę wstępując do
kościola dziejów — kropielnicą krwi ojców pełną, którą łęgał
się idąc do czynu. — To też pogardził pleśnią przesądów, a żył
z ubogą a pracującą młodzieżą, krewni dawali mu po sobie
wielkie włości, chcieli ożenić go z księżną niemiecką — on zer-
wał — i wzgardził ich majątkiem. — A w dostatniej wiosce
którą miał po matce, pojął córkę sąsiada czystego imienia i
dobrej woli — ona go sercem pojęła i opromieniała mu
życie — z nią on razem począł działać — była mu cichym
aniołem pomocnym — choć niedługo żyła. — Salwator
miał jedną wielką i szlachetną namiętność: podróżować —

z rzekł się jej — i osiadł w swej wiosce — by czuwać nad ludem. —

Trzeci z nas — miał szczęście do ludzi i świata — czuł wiele — umiał nie mało — i był cudnej postaci — o! ten najwięcej poświęcił — ten skonał też w nadgrody skonem męczeńskim... On kochał nad życie swoje — młode, śliczne dziewczę, które bylibyż zamożni rodzice wydali za niego. —

On poświęcił swą miłość — i stał się — księdzem; by mógł w swej parafii działać jako pleban...

I stało się. —

Salwator osiadł w swej wiosce i — poświęcił zapal do podróży. —

Jaś, nasz wtóry druch — poświęcił miłość pierwszą i powaby świata — i stał się plebanem w tej wiosce. —

Ja na koniec — rzuciłem na ten ołtarz swoją namiętność dalszej nauki i ślęczenia w księgach — a zostałem nauczycielem w szkółce tej wiosce. —

Ukochaliśmy się jak bracia — o! więcej niżby wyalowić można, byliśmy szczęśliwi!... ale nasze ofiary i śluby młodzieńcze — pokryła wieczna tajemnica, wiadoma tylko temu, co wie wszystko!

Osiadłszy w swej ziemi, Salwator zwołał gromady i przemówił do nich od serca — poprostu — rzewnie — jak brat — nie jak «Pan» to dawne zwierzę, przed którego wspomieniem drżał chłop i bił pokłony, byle się przedzej jak od stracha odzegnać... przemówił otwarcie — śmiało — że chce im być Ojcem bratem! — byle mu uwierzyli — I zmógł Pańszczyznę dnia tego — radził, by dzieci posyłał do szkółki, od płacenia nauczyciela całkiem ich uwolnił i obiecał nadgrody, zaprosił na ich dzień cały — kazał zabić woła, zatoczył na dziedziniec beczkę piwa (bo wódki im niedawał) dwie muzyki rzępoliły od ucha — i tak rozpoczęło się dzieło na pozór łatwiej niż się zda — ale nie tak łatwo przyszło przemówić do głębi serca ludu, co zagnienione spał w grubej łupinie jak klejnot pod ziemią... pokiwali głowami — ucałowali go w kolana ale żaden niezrozumiał i ufności mu niedał... a z wzytkiego został blażęński śmiech sąsiadów, którym gardził — i uśmiech officialistów, który wyrozumiewał, gdy mruczełi

smaruj chłopca miodem! Ale smutny Salwator ręk nieopuścił — dziwił się zawsze tym, którzy od ludu prostego żądają jakichś sentymentalnych czułości — za jedyny objaw uznania swych prac żądał on tylko szafania; kiedy wieśniak przyszedł do niego po radę gospodarską, lub gdy bieda dokuczyła, lub w nieszczęściu się użalił, a po śmierci nazwie go ojcem — jego był cel osiągnięty... Trudno jednak szło — bo nieufność była mocniejsza nad wszystko — ale smutny Salwator ręk nieopuścił — — nakazał surowo officialistom sprawiedliwe i wyrozumiałe obchodzenie się z ludem, pod utratą obowiązku... a było im dobrze, więc ślepo słuchali, poczuwszy, że to serdeczna strona Pańska i że bezkarnie jej nieknęć... W długich przechadzkach swoich chodził po wiosce, między chałupy (wioska jego zwała się «Dobrawola») — kiedy się zmęczył, odpocząć zachodził i siadał na podwórko jakiej chaty, rozpoczynał gawędę z gospodarzem, czasem prosił o wodę lub mleko, które mu gościnnie gospodynie podawały... z początku uciekali od niego — i długo niemogli pojąć, by Pan mógł tak laskawie z nimi rozmawiać — i kiwając głowami radzili, co on w tem mieć może, że się z nimi niehardzi?... kiedy przychodził spocząć pod jaką chatą, dzieci jedne przez drugie uciekały za piec i szparami wyglądały na Pańskie straszdyło... ale w kilka miesięcy wybiegaly też same dzieciątka do niego i każde z gościnnia wabiło go do swojej chaty — on brał je z uczuciem na ręce, całował jak własne i wznocząc w niebo warok sprawiedliwego: mówił: przez tych daj mi działać na losy Ojczyzny!... i gładził je po czołach, wypytyując o różne drobności, a na szyjach zawieszał im medaliki z Maryą Częstochowską z jednej, a orłem i pogonią z drugiej strony, rozdawał im obrázky — i spinki do koszul błyszczące... tak tedy oswojono się z nim w chatach — ale nie dziwnego — bo Hrabia Salwator niejeździł białą, ani półdiabłem po wsi, chodził on często, sam skromnie ubrany i po zwyktemu — siadał na podwórku i rozpoczynał rozmowę — w niej badał potrzeby i myśli każdego i jego uczucia, kiedy który cierpiał, w jego uścisku znajdował współczucie i podparcie — toż przed nim najpręd poczęto się wywnętrznić, zwolna zaczęto się wychylać ka niemu — poczęto wierzyć w jego miłość.

bezinteresowną ... tym, co prawdziwie potrzebowali, dawał pomoc, tak, by ich nie przyznać do darmowania i wyrabić poczucie uczucia własności — któremu zimno było, dał mu paliwa, z tej prostej przyczyny, że marzył, któremu nie stało czem zasiać, dał ziarna, i tak zwolna, zwolna zyskiwał najprzód serca a zyskawszy serca — zyskał ludzi — bo kto zyska serce, ma już człowieka — tak najpręd ukończył go dzieci i matki — a w końcu nieufność gospodarzy tonięje od jego serca, zamieniała się w ciekawość — niepostrzeżenie na wzajemność trwożliwą z ram — Salwator nie tracił powagi wśród nich — miłość wyrabiała stosunek ojca do dzieci — choć sercem zniszczył wszelką między nimi a sobą odległość i zapełniał przepaście, jakie ich dzielić mogły... Przez rok pierwszy w wyższych szkołach uczył on się nieco nauki lekarskiej — by mógł choć w części na razie poradzić — i tak nauczył się krew puścić i utamować — ranę opatrzyć, wrzód oczyścić, miał i homeopatyczną apteczkę, którą wiele pomagał, a głównie leczył sercem i wiarą — a gdy raz stary gospodarz leżący od lat kilku na własnych nogach podziękować mu przyszedł ... gdy matce rodziny puszczeniem krwi uratował życie, a dzieciom pogubił febrę i gorączki, z pomocą apteczki domowej, odtąd wzywał z chorem i z innymi wsi zjeżdżały się na jego dziedziniec, tak że osobną godzinę na to wyznaczył dla zbytejnego natłoku ... poznawał on z radością, że nie marnie będzie działać — że lud Polski ma serce — a wreszcie, rzekł sobie, że choćby marnie pracował tu — żadna praca tam! marną nie jest — i choćby tylko jedną duszę podniósł — cel jego w życiu dopełniony — rozpoczął od modlitwy i niegodność własną poczawszy, resztę oddał Boskiej pomocy, czując tylko — że biorąc wolę — niezłomną — wziął człowiek od Bóstwa część jego Wszczęmocy ... W rozmowach z włościanami kłopotalo go, że nigdy żaden chłop nie przeczył — w niczem — potakiwał, przyznawał, kłaniając się jakby mówił Amen, a po godzinie rozmowy wracał do swego chłazem — otóż, szczęśliwym był, gdy raz rodzaj dyskusji naiwnej mógł wprowadzić — i zasady swej dowodzić, tak, by mu przyznać nie jako Panu, lecz bratu. Wzbronil zniżyć się do kolan — odklaniał się uprzejmie, każdemu dał dobre słowo, choć nieraz męczyło go długie

takie obcowanie z ograniczonym pospółstwem — co się działo w sercu jego — czują Ci, co czuli uczucie spełnionej powinności... Był jednak straszny sęk w robocie, który murem dzielił go z gromadą — przed stu laty zgorzała wieś i część jej mieszkańców wyszedłszy, nigdy niewróciła — ziemię opuszczoną po chatach i łąkach — rząd chciał kolonizować — poprzednicy Salwatora zajęli tę ziemię, odpowiadając rządowi, że gęsta ludność powiększy do dawnej liczby, wrócić te grunta włościanom — niebyło wszakże tego zapewnienia, ani zajęcia gruntów pewności na piśmie, wyzwanie tak długie według litery prawa przyznało je i nadal dworowi. — Jeden z starych ludzi jednak zapamiętał je i nadmienił mu o niej na ucho — dość mu tego było. — Nic nie rzekł — zastał kilkunastoletni proces obejmujące majątek — i niebawem doczekał się rozwiązania przyznającego mu zupełnie posiadanie rzeczonych gruntów. — Wtedy podskoczył z radością dziecka — we wsi krzyk, płacz i złorzeczenie na tych, co podjudzali gromadę do prowadzenia procesu na dal z dworem. — Zjechali się urzędnicy — wieś była oburzona i praca jego zdążyła być daremną — ale smutny Salwator rąk nieopuścił — nie wahał się on i chwili — zwołał przy urzędnikach na miejsce orzeczone gromadę — i rzekł jej: oto dziś z papierem w ręku przyznającym mi wygraną wedle prawa — oświadczam wam, że nie wygrałem wedle mego przekonania i uczucia sprawiedliwości — drę ten papier — i oddaję wam własność waszą — nie dziękujcie mi — bo niedaję mego — czynię tylko powinność — tu oddał im przez siebie podpisany dokument, jako że części ziemi zwraca im na zawsze i podał im dłonie z przyjacielskim uśmiechem — a grunta rozdał na własność synom tych gospodarzy, którzy celowali w szkółkę pilnością i obyczajami — Bóg widział ży włościan i ży Salwatora — na rękach ich wrócił do domu — odtąd pękły lody na zawsze — gromada napiętnowała swoich dawnych plenipotentów a on rzekł im surowo: nie dziękujcie, bom wam oddał to, co myślę, że wasze jest — gdyby było moje, nieoddalbym wam, byście niemyśleli — że macie prawo do tego, co nie waszą własnością — za to choć tylko od was, byście mnie kochali — a dowieść tego możecie, posyłając dzieci do szkółki. — Szkołka była przybudowaną do starego dworca

Salwatora — mieszkanie moje obok — ukochałem te dzieci — i stały się dziećmi mojemil... i są — i będą mojemu w narodzie!... w obszernej komnacie stały w dwa rzędy lawki do czytania i pisania — na ścianie na krokostynie z orłem i pogonią stał żelazny krucyfiks — przed którym klęcząc w początku uściskaliśmy się niemo z Janem i Salwatorem — a z nami trzema Chrystus był czwartyl!... na drugiej ścianie była mapa Polski według województw, nad którą wisiała matka Boska Częstochowska z dzieciątkiem Jezus — na trzeciej ścianie Karta Europy, herby Polski i Litwy i obrazy królów i hetmanów Polskich — w głębi — bielili się popiersia Kościuszki i Rejtana — i medal Hofmanowej... Religij uczył ksiądz Jan z kapłańskim namaszczeniem — reszta nauk rozkładała się na kurs trzyletni — celem było — by chłopiec moralnie i intelektualnie oświecił się o tyle — by poznał cel życia — poczuł się człowiekiem w swych prawach i powinnościach — i by znał, w jakiej rodził się ziemi — co jest Ojczyzna — czem Polska — czem była, czem jest — czem być powinna — i z Bogiem będzie — środkiem zaś do tego celu były nauki jak: czytanie — na historycznych elementarzach, nauka pisania i rachunków w czterech działaniach codziennych — nauka historii Polskiej z jeografią według dawnego podziału, tak, by dziecię umiało miejsce bitwy, rzekę i stolicę, lub województwo na karcie wskazać, z szczególną uwagą zaś dzieje porzobiorowe z poglądem na przyszłość — nieco Jeografi świata, fizyki o tyle, by wyszli z zabobonów i nieco postępowego rolnictwa, sadownictwa i pszczelnictwa, również pewne estetyczne pojęcie architektury i deklamacje przystępnych utworów jak: powrót taty, śpiewy historyczne — Ballada jakich wiele, legendy Hołowińskiego i t. d. — raz w rok był exam. Kiedy zesłali się rodzice i widzieli, co dzieci umieją, gdy postęp ich i wyność nad sobą przez wykształcenie w dzieciach swoich poczuli — dziękowali ze łzami — a smutny Salwator bronił się tym podziękowaniem że łą w oku — po examinie rozdawał nagrody dla zachęty i sprawienia radości Rodzicom i dzieciom, pierwszy premiant otrzymywał kołuch, inni bity, czapki, grzebień, książeczki do modlitwy, Wieczory pod lipą, obrazy świętych i z dziejów Polski, a jeden nawet otrzymał ścienny zegar za to, że się znał na zegarze, rodzice

zaś za posyłanie odbierali dobre słowo, niektórzy po kilka szcepów szlachetnych owoców do sadu, inni rój na początek pasieki, lub ziarna uszlachetnionego jakiego gatunku zboża — zachęceniem tem arendarze prosili, by dzieci ich były przyjmowane — naturalnie celowały w matematyce! — wiejskie dzieci wykradły się z chat do szkółki, gdy którego niepożyłali sami rodzice — były też owoce w ich pracy — a gdy który za-powiadał wyższe zdolności, pchnął go od czasu do czasu i do szkół wyższych, bacznie, jaką przyszłość wróży i ku jakiemu na się przedmiotowi — Boże! ileś ty cudów i szczęścia dał człowiekowi, byle on talentów niezakopywał i czasem oczy wznosił w twój błękit!...

Uszczęśliwiając Salwator, czuł się najszczęśliwszym z ludzi — widział, że nad spodziewanie idzie jego praca — i czasem w polu stawał w niemej ciszy o zuroku w obec Ukrzyżowanego — zawinięty w płaszcz swój — i niemo dziękował mu za pomoc z nieba daną i rozmyślał życie zbawiciela. — O! lud nasz dobry i zasny, lud nasz gołębil... myśl jego czysta jak jego pacierze, byle dobrego przykładu, dobrego wodza duchem i sercem — a cześć u nas nie przeprowadzą trzech z wolą, wiarą i sercem — trzech ludzi: dziedzic — pleban — i nauczyciel szkółki!...

We trzech trzymał się za ręce. — Pleban z wolna działał słowem Bożem — z ambony siał to ziarno, które dziedzic wspierał, ja pielęgnował mianem. — Pleban każde nowonarodzone dziecię witał błogosławieństwem Chrystu jako noworodzone z ducha — kładł wdowę i sierotę wspierał moralnie — posyłając do dworu po z dobrem słowem dane w potrzebie wsparcie materialne. — Odtąd samego Salwatora prosili opiekować, by im dzieci do Chrystu trzymał, którymi potem się opiekował, zapraszał go na wesela, które on czasem wpływem swoim kojarzył i nieraz chłopaki młode niemogąc u ojców wskonać, do niego przychodzili o wstawienie się dla nich za dziewczką, tak nieraz nawet przeprowadził Salwator, że mniej zamożnemu za jego słowem dał włościanin córkę dla jego zasności i praeowitości, w czem sam czasem ciepłą ręką pomógł, na weselach zapraszany zawsze bywał, pod cieniem drzew gwarzył wesoło i przypijał jak z braćmi — przy czem miał ojca

powagę a wraże potrzeby i grozę serca — bo gdy go raz włóścianin niesumienny, znany z kradzieży i pijaństwa zaprosił, nie był u niego — włóścianin do naznaczonego czasu poprawy odłożył wesele — poczem odbył je z radością w obecności radego dziedzica — w dobrej i złej doli przywykli widzieć Pana z sobą. — On z niemi się weselił i z niemi płakał, bo poszedł nieraz za trumną każdego zanego gospodarza... Raz gdy w przechadzkach zaszedł na wiejski cmentarz — właśnie zajechał wóz z czarnemi wołami i przywiózł ubogą trumnę — księdza niebyło, tylko kilku włóścianin spuścili trumnę do grobu, obmawiając umarłego — a kiedy ich spytał o przyczynę — odrzekli, że to pijak, który pijany, umarł bez spowiedzi — i certywali się, który z nich rzuci mu pierwszą łopatę ziemi — Salwator wziął łopatę i grób zasypał, mówiąc — kto z nas lepszy, niech mu kamień rzuci — czuwajmy, byśmy niżej niepadali — poczem klął i wśród nich, co przyklepli modlą się, pomyślał: dzięk Ci ojcze! żeś mi grzesznemu dał pochować biednego człowieka, co był tyle lepszy odemnie!...

Praca — to dar najpiękniejszy, jaki mógł dać Bóg — człowiekowi. — Niezabuďo! a mojej pracy Bóg pobłogosławił — bo chłopięta kochał mnie — bom do nich włożył z serca i czerpałem w niewyczerpanem piśmie świętem — w cieniu starej lipy schodzili się dzieci i jak owieczki białe do owczarni, jak pszczołki do ula garnęły się rađe do szkoły, a jasne ich główki rosły jak kłosy ku niebu, z których nigdyńm brylantów rosy porannej nieotrząsnął!... i Boga pełna była szkółka, kiedy porankiem ozwał się chór głosów dziecińczych «Kiedy ranne wstają zorze!» później obaczysz, jakiej śpiew ten był potęgą — uczyłem ich tak, by kiedyś oni sami, gdy nas niestanie, ludowi mistrzami być mogli. — Dwór swój otoczył Salwator sierotami — i łagodnym był jak dziecko — a mimo tego byli tacy, co drżeli przed nim — kiedy chłopca któremu dał grunt i chatę zbudował, a który chciał go okraść z stodoły, oddał pod sąd gromadzie a ta osądziła go na areszt i kiję, darował mu, lecz rzekł: nieczyn na drugi raz, czego byś niechciał, by Tobie czyniono — chłopisko runęło mu z płacem do nóg i od tej pory było uczciwym czelkiem — ale kiedy raz pijany urlopnik zbil starego Ojca, to w obec gromady kazał mu przy sobie

wyliczyć ręką wójta trzydzieści kijów — i napędził na zawsze z swych oczu — otdąd miał wstręt do urlopników i jako nad plagą wioski poczciwej, pracował ile się dało, dając im sposobność ciągłego zarobkowania — a dzieciom szkółki zabronił przystawać z urlopnikami. Dzieci te miały dziwną ufnosć Pana — kiedy raz jedno z nich z płaczem przybiegło prosto do dworu, że ekonom uderzył w twarz jego Ojca na łanie, smutny Salwator wziął je na ręce, ucłował — a potem w obec robotników na zawsze oddał mrużącemu ekonomowi!...

Ojcu jednego z dzieci szkółki — dał Salwator jako nagrodę gdy ją opuszczał, plug żelazny poprawny — gdy ujrzeli włóścianie, że nie cztery lecz dwa woły zaprzęga, zatem podwoić może i oszczędzić dobytek, przyzali po radę, jak by takich plugów dostać?... wtedy Salwator dał im radę, by każdy dziesiątą część swego grosiwa, tę którą zapewne przepuszcza w karczmie, oddał do wspólnej kaszy wiejskiej, a jeśli wszyscy gospodarze złożą się tak do wspanłki, co roku urosnie kwota, dostateczna, by zawsze jeden lub dwóch wylosowali taki plug poprawny — a tak w przeciągu lat kilku poprawi się gospodarstwo — do tej skarby dorzucił cichaczem taką kwotę, by na dwa plugi wystarczyło, drugi plug więc do losowania dodawał od siebie — co roku dwóch i to biedniejszych często gospodarzy wygrywało po jednym plugu, w przeciągu więc lat dziesięciu dwadzieścia plugów nowych żelaznych wieś posiadała — tak samo przekonał gospodarzy możniejszych o potrzebie asekurowania się, gdy zaś przypadek zrządził, że zasekurowani włóścianie w pożarze splongli i ci otrzymali wynagrodzenie od towarzystwa — wieś rzuciła się do asekurowania, a tem samem, prócz tego, że był poprawiała — poprawiała moralność swoją, bo nieprzepijała dorobku, przez co czasem znalazł się i grosz wdowi z pod serca wyjęty dla żebraka, z dalekich stron przybyssa...

Zwycięztwa te moralne odnosił Salwator niekiedy na młodszych gospodarzach, którzy bywali w szkółce — na starych chciał mieć tylko tyle wpływu, by mu na dzieci swe działać nieprzeszkadzał — i tego dopiął. —

Jeden ciężki kłopot trapił Salwator — oto wyzyskiwanie Żydostwa naszych włościan — i rozpajanie ich wódką w karczmie — ale smutny Salwator rąk nieopuścił — wiedział on, że i w Żydach są strony, które podnieść się godzi i w które na przyszłość ugodzić będzie można z korzyścią kraju, czuł wreszcie współczucie dla wzgardzonego plemienia, które siebie szanować zapomniało — wszelako Żydostwo miejskie uznał za tak zgangrenowane, tak niezdające chłopia i trujące w nim cnotę wódką i uśmiechem swojej rozumowej wyższości pieniężnej — że bądź, co bądź, postanowił Żydów wydzalić ze swoich arend — i wpadł na myśl, by kilku gospodarzy zawiązało się wspólnie — i wzięło arędę — nieposzło to tak trudno, jak się zdawało, zrazu oporem, później wieś poznała się na korzyściach tego i skutki dały się czuć niebawem — i gospodarze zaczęli nabywać pewnej wprawy handlu i przychodzić w miarę tego do szlachetniejszych potrzeb. — Budowali oni się, widząc zawsze w kościele Pana z Panią i dworem, modlących się przykładnie; a do szczytu dochodziło ich podziwianie, gdy kilku najbiedniejszym, co mieli kurne chaty, pobudował kominy, poposażał drzewa, a kilku bardzo ubogim, co niemogli, chaty nowo popostawiał — i tak, co roku postanowił sobie trzy nowe chaty postawić — tu pokazało się, jak lud nasz kocha pamiątki swoje — kiedy przyszło raz zwałić kurną chatę, co już zwałeniem groziła — wszedł do niej — i cóż spotkał?... Oto mąż, żona i sześcioro dzieci na słowie — i razem z nimi drób, krowa z cielęciem i dwoje prosiąt tuliło się w jednym mieszkaniu — a gdy przyszło rozebrać chatę, rzucili się do nóg z płaczem, że jej nieopuszczą, bo tam wzrosli i tam biedowali — tak, że siłą trzeba było wywieść ich z tej szopki — w której mógł w ślóbku pokornym znaleźć miejsce zbawca świata!... budowaniem takich chat dla biednych gospodarzy lub przebudowywaniem lepszych, zajmowała się sama Pani — i pomagała mężowi, w czem niepodobał — i ona nieraz chodziła po wsi, pielęgnowała chorych, brała sierotki, a dziewczęta wiejskie schodziły się do niej na naukę szycia i robót gospodarskich... dla kalek założyła dom przytulki biednym a zdrowym dawała sposób do pracy. — Była ona córką ubogiego sąsiada, z którą

Salwator ożenił się z przywiązania, przez co też zyskał wpływ na ubożną szlachtę, na którą działał począł. — Niektórzy krewni oddalili się za to od niego — ale żona wynagrodziła mu ich sowicie. — Była to anielska niewiasta — z sercem i umysłem matki Polki — rozum był tam z sercem w równowadze, a w życiu codziennem podwalnią obojga był u niej zdrowy rozsądek przy pojęciu powinności wielkiem i pogodzie jednostajnego usposobienia. Tak!... była to matka Polka! anioł, co dawniej z nieba zstępował w każdym prawie rycerski dworek szlachecki, dla podpory i szczęścia męga, a krajowi wykołysał pokolenie synów dzielnych i córek prawych...

Choć została żoną i matką jej dziecka — została jego kochanką z całym urokiem, który jej nieopuścił — mając dłużej czułość kochanki, lęczyła z nim przeczcucie i wyrozumienie przyjaciela, troskliwość żony i przyjaźń siostry — a tliwość matki opatrnościową — kiedy dostrzegła w nim chęć pracy, oddalała się, zostawiając go myślom swobodnym, dokąd sam do niej niewrócił z samotnych przedczek i prac unyślonych, z podwójną czułością i tęsknotą. — Uległa z przekonania i charakteru, choć delikatność jego nigdy w życiu tej uległości nie spróbowała, czuła jednak dobrze, że kobieta z głową przy największem przywiązaniu nie da się zawojuować mężowi ani jego rodzinie, a w razie meżowskiego niedołęstwa (lub nieszczęścia) niewiedzialnie potrafi być ojcem i matką dzieciom, a działał tak, by to wszystko na dzieło męga wyglądało — bo gardziła kobietą radą, że ma męga pantofo — czując, że cała wyższość kobiety wymaga pewnej wyższości i charakteru w mężczyźnie, by go prawdziwie kochać mogła. Czuła to wszystko dobrze — ale nigdy tego nie okazała, przekonawszy tylko życiem Salwatora, że w razie burzy losu (grożącej każdej prawej Rodzinie Polskiej, aż do wywalczenia niepodległości kraju) może być spokojnym o dzieci, gdyby ich niemógł wychować. Ach! ale jak ją też znał, cenił i kochał!... On także był raczej kochankiem jak mężem jej — widzieć było tych ludzi, jak się uprzęдали w sprawieniu sobie przyjemności, w oszczędzeniu przykrości każdej, podzieleniu się nią, a to wszystko bez czułościowości ekliwej — to można było ich wziąć nie za małżeństwo ale za niedawno narzeczonych. —

Wiedział on, że zwykle w świecie dzieje się więcej złego przez głupstwo lekkomyślne, niż przez przewrotność — że mężowie poczynają od robenia przykrości żonie — przez lekkomyślność samolubną — a nieraz potem na kolanach prosiąc — zostają sami samymi — a tak żona staje się albo cichą ofiarą, albo zwoła nękaną, pozbywa się zdania, woli — myślenia — i staje bierną machiną samolubstwa mężowskiego — dla tego powtarzał sobie często słowa królowej Jadwigi: wróć się szkody — lecz czy kto powróci — ztąd niedokuczył nigdy nikomu — choć niebiał tym maślany człowiekiem dobrego serca — byli tacy, co drżeli przed nim i tacy, co go nienawidzili serdecznie choć po cichu — bo człowiek idący prawdą przez świat — niemożę nie mieć nieprzyjaciół. — W skutek tego byli oni szczęśliwi — o ile dożenie nim być można — bo namiętnemu sercu Salwatora i w największych upojeniach szczęścia i w szale miłości przypominało się nieraz raptem, że kiedy oni tacy szczęśliwi, cierpi i płacze tyle milionów!... I smutniąc raptem, wtedy spowiadał jej tę boleść ducha swego — Starali się więc razem być szczęśliwymi i przez szczęście drugich gdzie — i jak tylko było można — dalecy od samolubnego szczęścia a więc byli szczęśliwi!... Salwator byłwał skłonny do smutku — paliła tę orlą naturę ogromna ambicja zrobienia czegoś wielkiego, coby go przelyło — zdziałania tego bez krzywdy — i pomocy drugich — wszystko sobie zawdzięczał — taką dumę może mieć każda dusza szlachetna — a niejedna powinna ją mieć!... ten jedyny warunek samodzielności osobistej. — W podobnych razach głosy zawzięci i sztyrdzter ludzkich były mu jak liść jesienny szeleszczący pod nogą. — Ludzie niemogli mu przebaczyć, że mu o nich niechodzilo — że myśli i uczuć swoich nieprzykroilo do fraka ich ostatniej mody — i w każdym kroku jego chcieli wysperać jakiś złe — jakiś interes — tę naturę rycia miewa często natura ludzka — gdybym ja porównał ze świniami — bałbym się świniom ubliżyć. — Życie ich przy ognisku rodzinnem biegło tak, jak się o niem czyta w ksiązkach, ale jak się niedowierza, by trwał mogło. Z powodu tej ambreyi Salwator cierpiał nieraz w sobie — radził się tylko głosu serca i sumienia. Ale głos żony nigdy nieodbił się o jego myśl — wiedziała też kiedy go użyć i jak

nienadużyć. Nieraz mawiał on z chmurnem czołem i goryczą: ach! gdybym stworzył jeden wielki poemat, wygrał jedną bitwę, jeden posąg Laokoonyu ukwę potrafił, jeden hymn Palestyny wyśpiewał — byłbym nieśmiertelny — a tak jestem — hrabią! to jest mniej niż niczem!... Z imieniem Ojców nie mojej zasługi!... ol ciężkie jest życie!... Wtedy głosem dzwonka Loretańskiego odpowiadała Ernestyna, zgarniając mu z uśmiechem włos z białego czoła: Wykształt jedno wiejskie, ciemne pokolenie — na synów prawych Polaki, a bądźciez więkzy, niż gdybyś tamto wszystko zdziałal — bo z nich wyjdzie wódz, co wygra bitwę, wieszcz, co ją wyśpiewa, rzeźbiarz, co posąg ukuje i śpiewak, co pieśń zostawi — ale moje harde dziecko! dodawała pieszczotliwie, nierób tego dla tego tylko, żeby być wielkim, z miłości tylko i dla miłości, to pewnością droga i miłsza Boga!... Czuję, żeś mnie pobila, odrzekal — i spokojny pracował dalej z pogodą sprawiedliwego. — Nigdy niecierpeli oboje, by kogośkolwiek obmawiano w ich domu — czuli, że nigdy prawie nie powtórzyłyby się w oczu ludziom tego, co się o nich mówi po za oczyma — a choć rozmowa nie jest łatwym koniem do kierowania — potrafili ją bez przykrości swego gościa tak zwrócić, by albo podnieść jaką dobrą stronę obmówionego, albo nieznacznie wejść na inne pole. — Z kim raz zerwał Salwator — o tym miał zwyczaj nigdy nie mówić — jeżeli niemogł o nim dobrze mówić. — Salwator w sądach o stanowisku kobiety — sądząc, że jako słabsza ciałem, już ma pewne wyższości duchowe nad nami, był w części za emancypacyę — to jest zmękczyzieniem kobiet. — Żona jego przeciwnie — niecierpiała kobiet emancypowanych — będąc cichą i domorodną istotą, jak biała konwalia — która gdzie schodzi, ginie. — W obę dość namiętnych sądów męża — miała niezłomność swych przekonań i zdolność bronienia ich dziwnie wdzięczną i roztropną, a pełną bystrości i dowcipu — ale niesprzeczała się z nim nigdy — tylko życiem swem — przekonała go — że sam wyznał jej — jak wielką widzi przepaść między kobietą emancypowaną — a ideałem kobiety. —

Jej łagodność i wesołość opromieniała ciemniejsze chwile skłonnemu do smutku i zamyślan, skłonnemu jak każdy duch

porywecy do opadania na siłach i zwątpienia o siebie — — choć Salwator mawiał z uśmiechem, że mąż winien kształcić żonę, wyrażał zawsze, że żona jego kształci i o tyle go ulepsza. — Ona zaś rumieniła się z uśmiechem anioła i czuła, że kobieta wyższa, potrzebuje czuć wyższość w męszczyźnie — jako żona w mężu, matka — w ojcu — a choć razem winni wiosłować łódką, którą on przewodził wieniem, choć zupełnie od siebie mogą być — niezależni i bez granic wyrozumiali. — Salwatora uwielbiała i nad życie kochała tym instynktem delikatnym, który wszystko przewidziane, przeczyna i uprzedza — a była ozdobą okolicy i podziwem sąsiadów jako umiejąca godzić kształcenie się ciągle, z tyłą powinności życia codziennego — dom jej i ogród miały cechę delikatnych staruś i myśli estetycznej — zbytku Oboje się strzegli i sądzili go rzeczą godną głupich i samolubnych parweniuszów, ale ład, porządek — i ozdoba wdzięczyły się wszędzie. — Dom urządzony skromnie, miał kilka cennych obrazów, fortepian dobry, który niesprawował po Polsku funkcji mebla — i niebawem wiecznie rozstrojonym dla miłości dzieci i indyków, bo czas się znalazł na wszystko... Strój jej był skromny, ale niepospolity i piękny... Była też Ernestyna godną być podziwem licznych i różnych sąsiadów, którzy po obec i nowe dla siebie wrażenia, poczuli teraz jeździć do Dobrego. — Z racji przez ciekawość podłą i grzeszną, później przez uznanie i poczucie mimowolny. — Nieraz schodziliłszy się z Salwatorem i Plebanem, by w trzech naradzić się nad stanem wsi i szkółki — potrzebę i zmian — wtedy zastawialiśmy go nieraz ponurego, samotnie zadumanego z przeszłością w komnacie starej wóród portretów starych, zamuconego, że w obec nich tak mało działa... i nieraz słabnął na duchu. — Ale odkąd się ożenił, ona wyprzedziła mu czoło i każdą chwilę przepłóła kwiatami niewieściego wdzięku i pieczyoty — dowcipu i poezyi niewieściej. — Czyniwała z wdziękiem i silnem przejęciem — śpiewała nieuczucie, ale z wrodzonym talentem i czuciem ognistym, a pełnem naszej tęsknoty, do tego łączyła przeliczny dar opowiadania i jakąś tajemnicę zdobycia sobie miłości ludzkiej. — Odtąd Salwator i na sąsiadów zaczął więcej działać — z początku kiwali jak barany głowami z niedowierzaniem jedni, z szyderstwem drudzy

szepcząc: ideały! ideały!... a inni dodawali «kusi się o popularność! nie wierzę w tę demokrację jaśnie oświeconą!... ale po roku ten i ów cichaczem założył szkółkę i dziwił się, że i jemu i ludzom o tyle inaczej, lepiej się poczynało. — W wiosce Salwatora zwolna wszystko się przemieniało — piękniało — stanęły lepsze, wygodniejsze chatki otoczone drzewami i ogródkiem warzywnym, płotami i bydelkiem poprawnem, lud smutny i niewierny był weselszym, dzieci umiały już czytać — i sadyli się jedne nad drugie, a z szkółkowego pokolenia żaden już niechodzący do karczmy — odszenie ich było bielsze, a nędza z nikąd niewyziarała białych liców — lat dziesięć nieminęło — a teli sam młody Salwator przechadzał się z żoną po tej samej wiosce, gdzie nowe domki mieściły już błogosławionych mieszkańców, a kiedy przechodzili, wychodziły niewiasty z dziećmi na rękach ku nim — i drobne chłopieta, niosąc im kwiaty lub jagody swoich sadów... i proszą, by spożęli w chacie — były tam smutki i trudy, nim doszło do tego: «ale smutny Salwator ręk nieopuścił...»

Kiedy się ożenił i żonę wprowadził do dworu, gromada sama przyszła — i złożyła życzenia i błogosławieństwo, a państwo wdzięczni, sprowadzili grajków, zatocono beczki piwa i nisy jadła — i całą noc do rana trwała radość — — i tak jak na każdych obrzynkach były losy, które ciągnęły włościanie — i wygrywali poprawne frębę lub cięgi, buty, skrzyżnię, grzebień, czapkę, dziewczęta wstążki i korale... a panię tej hulałki została na długie lata... Ale niedługo było tego szczęścia — po roku umarła Pani, zostawiając syna młodziu, co odtąd schylił się w żalobie — do śmierci! Kiedy konała — kiedy kładąc przy jej łożu, krył we łzach twarz mężką w jej pościeli, dano mu znać, że chata starego włodzara się pali!... idź, idź, do nich, rzekła gasnąca, ja z Bogiem będę — a oni Ciebie — potrzebują!... W tej walce trząsł się i szarpał nieszczęsny — ale po chwili skonała a on jak opętany wyliciał bez głosu, w stronę, skąd łona rosła coraz większą, coraz szerszą, coraz piekielniejszą nad okolicą — wicher szamotał drzewami — za chatą zajmowała się chata — i w krótko noc stała się dniem sędym — a morze płomieni z trzaskiem i dymem przelewało się słupami jasnymi coraz bardziej nad wioską — trząsk, jęk, ryk

bydła, głos dzwonów, krzyk i płacz ludzi — na tle lóny rozta-
cającej płaszczyki piekielny, wtórowały dziwnie duszy człowieka,
który raz ostatni spojrział na ciało świętej swojej — z sierotą na
ręku. — Rzucił się na oślep — zaczął rozrywać belki — szamotał
się ze strzechą słomianą — aż — z bólu i gorąca — zemdlął i tak
go odniesiono do domu kędy płomienie nie doszły. — Biada! kto
taką jedną noc przeżył w życiu — żaden dzień ani noc żadna
mu jej niewyodróżdzą — on się odtąd za pokutę śmiać
będzie!... W okropny ranek zaszło chmurne słońce nad «Dobry
Wolą» — zostało sto rodzin bez dachu i chleba — kłęby dymu
wlokły się polami nad popalone drzewa, co wczoraj tak zie-
lono szumiały — a wśród tłumów zrozpaczonych — wyniosła
postać Plebana ozywała się głosem wiary i potęgi bożej —
w tem w pośród ludu rozległ się głos: Pani umarła! — a lud
jak był — od popiołu chat z jękiem: o nasza matko!... pognał
ku dworowi. — Dzień już świtał i słońce oświecało nieszczęśno-
mu martwą twarz żony, co jeszcze z anielskim uśmiechem
zdała się czekać przebudzenia! On stał nad nią długo — długo
— nimo — z zaciętymi ustami — rękoma załamaneimi, w nie-
ładzie dzikiej rozpacz — aż jak dąb się powalił z niemocy.
Podniosła go gromada — zaryczał boleścią swą, tak że głos ten
doszedł tronu Boga — potem przetrął czoło — postąpił do ko-
liski, a wzięwszy syna na ręce — wznosił go do góry i patrząc
na krzyż, co wisiał nad zmarłą na ścianie, rzekł ponuro: bądź
wola twoja!... a potem rzekł gromadzie: to sierota! — stracił
matkę — niewiele mu po Ojcu — wam go oddaję, gdy mnie
nieścianę — wy mi go do chrztu potrzyście!... bracia moi!...
ta gromada porwała od niego dziecko i z ręką na ręce podawała
sobie, całując i z płaczem głosząc niewomowę — mówiąc: do
ostatka z nim bądźcie!... a Salwator oparłszy znużone czoło na
piersi wójta, po raz pierwszy cicho zaczął płakać jak człowiek
— na piersi człowieka ... i objął strapieni po swojemu, obję
uczuli ulgę w duszy.

Cała wieś choć po pożarze, który jej wszystko zniszczył,
zeszła się na pogrzeb Pani — z płaczem i łkaniem. — Ksiądz
Jan z smutkiem a poddaniem się widół orszak cały a sierotki
niosły z cichym płaczem Panią do grobu ... jak litie białe. —
Za trumną szedł z dziwną spokojnością Salwator — wiedłcm

go pod ramię — zdał się obojętny, boleść się w nim zawarła —
usta miał jak koncha zamknięte — a uśmiech, który mu płakał
na licu zmiętem był straszny. — I pod kościółkiem złoży-
liśmy trumnę, kędy ojcowie Salwatora spali suem marmu-
rowym!...

Na tym grobie napisał Salwator: Bądź wola twoja — i
chrzestne imię zmarłej. —

Nazajtrz cała gromada w kaplicy pałacowej trzymała na
krzywych szablach do Chrztu niewomowę, za które chórem
odpowiadała. — —

Łała Salwatora biegły edtąd chmurno — lecz spokojnie —
wśród tych samych prac — i zdał się wesolomy dla tych, co
sądzą z pozoru, co pod kwiatem uśmiechu nie widzą robaka
zgrzyoty, trawiącego wszystkie namiętne dusze ... Raz po pół-
noey zastałem go upadniętego bez zmysłów na wielkiej sali pa-
lacu, kędy wisiały na ścianie obrazy przodków jego — przera-
żony, pochwyilem go w objęcie — był martwy, miał czoło zim-
nym potem zroszone — gdy rozwarł oczy, zaśmiał się zwątpie-
niem i rzekł, błędząc wzrokiem po obrazach: Urągają mi! ich
życia przeszły na crynach wielkich i świętych — rumiane krwią
karmazynową. — Imiona ich czyste do końca zostały na ozdóbę
w ojczyźnie ich posagomy — i wiekom na czas — a ja ostatni,
działam — i działam tak mało — o! droga odzyskania nie-
podległości Polski przez wykształcenie luda — daleka — da-
leka ogromnie!... i cóż mi zostanie na śmiertelnem łożu —
gdy spojrzę na ubiegłe życie — i spytam się sam siebie, com
zrobił — co mnie przeżyje?... i umilkł — a zwolna wróciła
wiara — i znów był spokojny — zajął się gorliwie odbudowaniem
włościan — jak cała wieś długa — zagrzytały piły, siekiery, za-
częły się dźwigać nowe piękne chaty — a wśród pracujących
postać Salwatora zachęcająca do pracy i przerażająca ich —
porównywaniem swego nieszczęścia które zniósł, z ich kleską,
przechadzała wśród nich dziwnie spokojna i skromna. W prze-
ciągu roku stanęły spalone chaty świeże i piękniejsze jak były
— a kiedy włościanie radowali się temu — on pomyślał gorzko
com ja stracił, tego nieodbuduję — lecz oddaj to memu ludowi
— i Polsce oddaj, coś mnie wziął, sędzio świata!... i choć się

odtąd cały oddał z pewną niemą rozkoszą boleści swojej, jednak rąk nieopuścił. —

W roku tym krwawa łona zesła nad niebem naszym — nie pomnisz ją dziecienną pamięcią, możeś ty sama sierotą i dziecięcim zamordowanych Rodziców!... ha! krwawa to powieść i krwawe dzieje!... i sprawę zda przed potomnemi, kto ten pożar straszliwie niewczesnie rozniecił — a nad wszystkie piekła straszniejszy ten, kto go krwią niewinnych ugasi!... Zima była straszna, mroźna, wichrowa, wyciu psów po podwórzach, odpowiadało wycie wilków po lasach — od roku dziwne wieści obiegaly po naszej ziemi — jacyś ludzie nieznanymi przechodzili ją wszersz i wdłuż — i wywali do powstania przeciw wrogom, co nas ciemięzą — byli to ludzie wielkiego zaparcia i poświęcenia, którzy poginęli sami w ogniu wznieconym, ale nieszczęśliwie niepomyśleli dość nad skutkami swojej roboty. — A rząd szatański bez sumienia i czoła — rząd katolickim zwany, a nie Chrześcijański ugodził nas straszliwie — tam — gdzie najwięcej boli!... binda głowom ich na wieki!... ugodzili w lud czysty i niewinny, w lud ciemny, który obrali na kata przeciw własnej matce, która poraziła się w grobie!... szepnął im, że Panowie wiążą się z sobą, by ich wytyścić, że się ochronią od tego tylko wyróżnieniem Panów — i głowy Polskie płacili chłopom urzędnicy Cesarscy!... rzekli im, że chmury Polaków przyjdą ich wygubić — i dzieci wymordować a rząd ich bronić — chce. — Ha! uderzyli w piekielną stronę — i pękła!... tłumy ludu powstały trwożnie i zbuntowane, a rozpojone i roz krwią rozjuszone, jak rozkołysany dzwon piekielny rzuciły się na oślep wściekle — i zabyły Boga i sumienia, rade, że zrzuca jarzmo niewoli i pracy — poszły roznosić śmierć i pożogę — a wśród nich Niemcy porzebiane, zachęcające do mordu!... o! sielanki to krwawe, na które piekła za mało!... Tak zaraziła się wioska za wioską i zburzona powstawała — z kosami, kijami i pałkami idąc od domu do domu, zarzynając, dręcząc i plądrując — lub odstawiając do miast w pół żywych obywateli — sądny był to dzień — biedny i mały kto nie pojmie, że lud ten ciemny był biedniejszym od tych, których mordował, których uczynił nowemi męczennikami sprawy świętej — małego serca i ciasnego

muzgu kto nieprzebaczył dotąd ludowi — ale kto go do zbrodni zburzył — przeklęty! przeklęty! przeklęty!...

Skoro wieść o tem doszła, — Salwator zwołał gromadę i rzekł: Oto ludzie złej wiary zmówili zgraje braci Waszych, co morduje i plami czyste ręce w krwi Panów — nietruwoicie się — sumieniem zaręczę, że wam nie niebędzie — a urzędnika, którego mu przystawili chłopci, że ich do mordu namawiał — kazał z powrotem na szyi napędzić, bo rzekł, że niewart z polskich rąk śmierci. — Czy podniesiecie na mnie i na to dziecie waszego syna Chrestnego — kosi i noże?...

Do krwi ostatniej ojca naszego bronieć będziemy! krzyknęli i wzniesli ręce jak do przysięgi...

Z Salwatorem i Janem padliśmy sobie w nieme objęcie. — Wtedy Salwator rzekł: — «Sam was powiodę przeciw nim!» — w imię Boże!... rozpedziłem wiekielką czerń, co wstała — na hańbę i potępienie naszel!... nie tędy ojczyznę nam zdobywać!... tu wezwał ich do zbrojowni ojców swoich — rozdał broń, proch i kule — o dwie mile miał zamiar połączyć się z oddziałem powstańczym i okopać się w lesie — reszta chłopów wzięła kosi i cepy — i jak tamci nieśli zglądę pijani krwią przeciw Panom, tak Ci szli w obronie świętej sprawy, rozbijając czerń błędną i zwiędzoną!... Ale już tłum drapieźnych bydląt — popłynął rusnąc jak powódź ku naszej wiosce — a gdzie się przetoczył — jak po szarańcy zostawało — spustoszenie — że zaplace nad niem w przyszłości każdy czysty syn ludu. — Czuliśmy ciągle, ale praca zwykła nieustawała, tylko pleban mówił gorąco z ambyony dzień w dzień o rzeczach swoich a świętych — i w szkółce doszedłem do już porzbioworych dziejów, mówilem im o Ojczyźnie, której może im Bóg kiedyś bronić pozwoli — a Salwator zachęcał do męstwa i stałości. — I przyszedł straszny czas mroźny i zawiei w Lutym ha! był to Lutny roku 1846!... przeklętej pamięci — miesiąc ten rozległ się po ziemi naszej krzykiem matek i sierót — jękiem mordowanych — wrzaskiem morderstw, trzaskiem piorarów i łoną pożóg, dźwiękiem kos i drzewów — a przekleństwem po przestworach podań dziejowych. — Hordy zdzieczalonego pospółstwa szły pijane, tocząc się ku naszej wiosce — hurmą stanęli nasi włościanie i sparli się, w jeden

tłum — na czele stał pleban z krzyżem i Salwator z krzywą szablą z obrazkiem Bogarodnicy. —

«Z tą szablą dziać mój walczył w Waszemi pod Kociuszką — w imię Bogarodnicy i my dziś pójdziem! — Ale noc zapadała — i tylko ze wzgórze, za którym staliśmy, było widno na granicy tłum ludzi w szatach różnej barwy, anąc zrabowanych — przy ogniskach trzaskających i wiejących dymami pożarów ku niebu, siedzieli hurmą przy każdym ognisku, prażąc jadło, z pijaną, brudną piśnią korowodzili podłe urlopniki — i żołdactwo pijane — wlosy mi się jeżą, gdy noc tę wspomnę, ale zleciała na czyszczeniu i nabijaniu broni — i modlitwie cichej. — Słońce krwawo zeszło, oświecając czerń zbydęciała, co się poczynała poruszać — ku nam. — Na czele zgrai człowiek barczysty z pałką postępował — odzienie miał brudne, skrwawione i poszarpane, wzrok od stu djabłów i siedmiu złodziei — na palcach mnóstwo pokrwawionych pierścieni — a rudy włos ognisty kotłunem mu spadał po żylastych ramionach. — Był to Kuba rudy, złodziej, którego za zbalamucenie sieroty pleban ze wsi wyгнаł, gdyż psuł ludzi mimo wszystkich jego zaklęć — potem krył się po lasach i napadał ludzi z kilką złodziejami — i kradł konie. Gdy się przybliżyli Salwator i Pleban, zawołali: napród! tłum pijany włókł się bezładnie — aż po długiej chwili wrzasnęli Hurra! i rzucili się naprzód z kosami i cepami — wpadli nasi na tłumacząc gwałtownie — razem — wściekle — tak jak lud kiedy raz krew poczuje — ale po zapasach piekielnych — i niedługich przeważną siłą parci, cofnęli się wprzerażeniu i poczuli pierszchać — a na czele Kuba Rudy pijanem gardłem zaryczał: Ha! tuscie mi! czekajcie! teraz ja Panem wracam — i zbliżył się ku nam — a pleban wystąpiwszy z apostołską grozą zawołał: ani kroku dalej nie pójdziesz!... i krzyżem uderzył go w czoło. — On stanął jak wrzuty pod wzrokiem kapłana — ale po chwili cisy ponurej porwał krucieg bogato oprawną — i nią wymierzył w samą pierś Plebana — ogień błysnął i padł sługa Boży, modląc się za złoczyńcą, który niewiedzial, co czyni — i po chwili oddał ducha między orszaki męczenników świętej sprawy, których liczba dochodzi męczenników Chrześcijaństwa, padając za sprawę nietylko

Ojczyzny lecz całej ludzkości Chrześcijańskiej. — Hurra! wrzasnął Kuba i parł przed sobą cofającą się gromadę o troje mniejszą, co do liczby — garstka naszych szła ku domowi, unosząc na rękę rannego Salwatora, szarpącego się z rozpaczą i zwątpieniem. Już dochodziła czerń naszej wioski — wpadła na dziedziniec — gdy zbliżając się do domku szkółki naszej Kuba przewodnik zastrząsł się na całym cielem, jak opętany — i krzyknął — stojcie!... ani kroku dalej... tłum się zatrzymał jak jeden człowiek, a Kuba zadrał na głos piśnię, która brzmiała z okienek szkółki — przed nim leżał we krwi trup kapłana, który tyle razy kolatał do jego duszy — a ze szkółki orwał się srebrny, czysty chór głosów dziecinnych z anielstwem niewinności:

Kiedy ranne wstają zorze
Tobie ziemia — tobie morze —
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon...
«Boże Wielki!»

ryknął Kuba głosem tym, co zatargał jego wnętrzościami wzburzony, rzucił się na kolana przy trupie kapłańskim — ponuro mruczał: on rodziców ratował — mnie chował... a ja go zabił — potem porwał się się za głowę i straszliwie krzyknął: Oj! oj! oj! i popędził jak koń polami w las, gdzie go zszalecon obwieszzonego na gałęzi z uśmiechem waryata... wtedy zgraja ugodzona na wkrót stanem wodza — i śpiewem niewiniątek przesyta, poczęła się mieszać — napród, kto w Boga wierzył! — krzyknęłam na naszych, co nabrali ducha i po krótkim motłozieniu się rozpędzili strwożoną czerń, której moc za Kubą była odbiegła — a kilku naszych niosąc ciało plebana z płaczem głośnym, weszli do szkółki i na ławie złożyli je — tam głośnym lamentem oplakaliśmy jak dzieci, z dziećmi razem to życie, co zgasło a ciemność zostawiło wpród nas. — I odtąd smutne dni wlokły się w wiosce, bandę tę rozbito w okolicy po śmierci Kuby, doszła nas wieść o bitwie i upadku powstańców, z których kilku do końca dotrwali jak obrzymy ducha i śmiercią swoją uświęcili szambience — i cisza grobowa — jak głaz obrymy spał na nam na piersi.

Biada ci — przedwczesna, poroniona myśli, choć ziarno twoje padło w ziemię i niebyło bez plonu jak każde ziarno ofiary — koniec twój i rok twój przeklety po wiek wieków!... i głuche milczenie będzie po nim —

Niema spokojność wróciła do naszej wioski — w szkółce rosły pacholeta, a kilka sierot z dni nieszczęsnych wziął Salwator pod skrzydła swoje — i chował z synem jak swe dzieci — dwóch z nich poszło do szkół wyższych — i mają dziś imię w narodzie. — Tak ubiegły dwa lata — ale sielanki roku 1846 zadaly nam jakiś cios okropny na ducha, z którego nie mogliśmy się podnieść — myśl, żeśmy дочекали roku, w którym brat na brata a Syn na matkę powstał — zabijała tehy naszego życia — odtąd, pomimo, że się дочекаł żołnierzy powstańczych w swojej wiosce, kilku kapłanów — i dwóch znakomitych pisarzy za swem staraniem — odtąd — niewiedziałem uśmiechu na twarzy Salwatora — do pierca przyłączył modlitwę o śmierć wczesną. — Przeszedł rok 1848⁹⁷ a z nim nowe ognie i słońca, które zdaly się na wieki pchnąć ziemię nowemi tory — niestety, przeszedł jak cudowna burza wiosenna, a zaledwo z jego pioranów trochę oczyszczenia pozostało — i na długo padło w ziemię ich ziarno gromowe! — Kto u nas przeżył rok 1846 i 1848, przeżył wiek cały i dużo widział na ziemi — ale wolałby był niewiedzieć — jedyny pomnik olbrzymi tego wiekiego roku, z którego nieumieliliśmy korzystać, było darowanie Pańszczyzny — ogólne — w jednej chwili zapalu świętego i natchnienia zdziałane przez Galicyjskich obywateli — w naszej wiosce te więzy dawno opadły — na miejsce Plebana męczennika naszego, przyszedł już młody duchowny, syn naszej wioski i wychowawiec naszej szkółki, który właśnie wziął pierwsze święcenie — i stał się jego następcą — — ale straty jego nie niepowetowało — on dotąd żyje w pamięci ich pokoleń, co niosąc go z płaczem w grób, same mu krzyż wielki postawiły. — Z czasem, wzrok mój niestety osłabiony jeszcze w młodości nocenem ślęceniem nad księgami, nagle poczynął słabnąć — ciemniałem z dniem każdym, aż dnia jednego — na zawsze zagłusła światłość w źrenicy mojej — i stało mi się ciemno dookoła, ciemno jak w duszy mojej, przed którą ty ostatnia gwiazdka świecisz Nezabudko moja ... i ciemno mi będzie do końca aż

jasność wiekiasta oświeci życie moje na ziemi — nieczułem się na nie — byłem najszczęśliwszy z ludzi — i nikomu losu mego bym nieoddął — ale następują najcięższe chwile życia. — Z wiosną nowego roku straszliwy mór pustoszył wioski i miasta — tysiącami ludzi porywała Cholera gwałtowna i krótka — od chaty do chaty twoga biada lub płacz głośny zwiastowały częste konanie ... lud mówił sobie, że biały pies jakiś nocą chodzi od chaty do chaty, a kiedy wejdzie i zawyje, wszyscy wymrą — tak umyślił sobie Cholery ... całe włości wymierły, na pogrzebach padały żywe trupel na pieśni gminnej, których chowano. — W Dobrejwoli straszliwie mór harcował — chatami wymierali włóścianie jedni po drugich ... a tylko jęk oj! oj!... jak jedna zwrotka wracająca w pieśni gminnej, jęczał po siole, łącząc się z dzwonami umarłych ...

Wtedy Salwator rozwinął czynność i poświęcenie więcej niż kiedykolwiek — od chaty do chaty spieszył z gorącą służbą i środkami ratunku, z marmurowym spokojem, w który się ubrał i obojętnością dla życia — lecz z prostotą rzewną dziecka — i sercem nie wygasłym młodzieńca ... pomagał wielu, wielu uratował cielesnie, a tych, co niezdolni cielesnie, krzepił duchowo i ratował wdowy i dzieci — z lekarzem z miasta wprowadzonym, który rozumiał duszę Salwatora — i szczerzyńść swego zawodu, ratował, strzegł jak podobna było ... ale lud marł jak mucha, a chaty stały przy drodze jak puste gniazda, z których jaskółki uleciały w niebo ... nad wioską bez przerwy jęczał dzwon żałobny — i wlokły się chmurne dymy, które umyślnie palono dla czyszczenia powietrza ... a nad niebem olwianem żaden ptak niezanucił ... Kilkudziesięciu ludzi uratował sam Salwator — ale raz wieczorem późnym lekko ubrany poleciał do chaty swojej mamki, która już konała — próżny był ratunek. — Tego wieczora on sam przeziął — nim doszedł do domu, padł w bolach na ziemię, doniesiono pasującego się z kurczakami do domu, kędy z gwałtem i lamentem zbiegła się hurmami gromada ... odbieżawszy swoich chorych, zapelnili komnaty pałaca. —

Na łożu nizkiem z krzyżem w rękę leżał z przecuciem i tęsknotą wieczności Salwator — z wstrętem rzucał światło świata, bez żalu rzucał ludzi. — Wyprżony boleścią i z oczyma

pełnemi już śmierci, podniósł się jeszcze sił reszta i rzekł do tłumu kłęczącego, co musyką jęku przepelniał komnatę: bije już moja godzina!... błogosławig Was!... ludu gołębci — bądź jakim jesteś... idź naprzód... Kochaj... tu lzy paściły mu się z oczu: Oddaję wam to dziecię — syna mego — niech każdy z was chlubi się mianem wieśniaka — ono wyższe nad wiele innych — czcilem w was potomków ludu biednych, pracujących od wieków krwawo — i w potraconiu — męczenników przesądu i ucisku w świecie — a spadkobierców — przyszłości!... zasługi ojców waszych unosił się nad Wami będą i dadzą wam działkę dla Ojczyzny... choć nienadeszła chwila cuda — pamiętajcie!... życiem, śmiercią — każdą myślą do końca niech wam będzie — Polska! Polaka! Polaka!... i upadł na łożo, oddając ducha w boleści, z którą kłęcząc się pasował — jęł: jak błogo jest umierać... i skonał... a po komnatach rozległ się krzyk żałości i wycie żalu z sere ludu — mężów, niewiast i dzieci — co trwało dzień cały... chór ludu, co boleścią wołał do Pana zastępów — — przy łożu zmarłego «Pana!» nad którym dzieł niewidomi aniołowie i Chrystus patrzył z krzyża, wyciągając nad nim krwawe ramiona. — Byłem ślepy — niemogłem go widzieć nawet — ale gdy leżał w trumnie z spokojem wybranych i grozą miłościwego cierpienia na zapadniętym licu — czując, jak to oblicze zdąło się niemo wołać do przodków, co wisieli na ścianach w okolo: Większy on był od was wszystkich ten, co marzył się maluczkim grobów stróżem — bo żył wiarą, choć jadł trucizny — bo uwierzył, choć niewiedział — bo działał do końca w ciszy rozpaczy — bo cierpnął wątpienie a wszystkim mówił tylko o zmartwychwstaniu — bo był rycerzem ciszey i niemogoju — toć baława jego ocieni cieniem miłościwym groby wasze... A herb jego na trumnie niepałił go wyrzutem — bo go okupił «swoją» — nie ojców zasługą — bo z siebie a nie z ojców był dumny — bo był synem męczeńskim nowej zorzy — i dnia nowego!...

I głośno klkają jak jeden człowiek niosła gromada zwłoki jego na barkach — trumna na tych ramionach płynęła jak lódz do wieczności — płynęła na emtarcz wiejski, na którym bez nagrobka wśród mogił ludu kazał się pochować — ale

gromada postawiła mu pomnik nad posągi i marmury, bo wlaśnemi dłońmi usypała mu kurhan w polu, stawiańskim obyczajem, który do dziś dnia się zieleni!... Taki kurhan przestoi pomniki. Wspomnienie moje odpływają już odemnie jak labędzie białe na czystym jeziorze — które po chleb, a czasem po kawalki sereca mego przyplływają i jady z ręki mojej — teraz próno wołam na nie... one odpływają... nikią we mgłach srebrnych... tylko labędzi głos mnie dolata... pójdź z nami!... pójdź z nami!... Nezabudko, tam w Zwierzynieckim kościele dzwonią w pęknięty dzwon straszliwy — o! to dzwon młodości mojej!... a tu modlą się lipy stare... od Tyńca zawołał dzwon wieczorny, to dzwon rycerzy... dzwon Bielan ponuro owzał się nad falą Wisłaną — to dzwon kapłanów... odrzekał mu się dzwon Zwierzyniecki Świętego Norberta — to dzwon szlachty — i odgrzmiał tam we mgłach Wawelu dzwon — to królewski dzwon — i odjęczał mu na Skalce dzwon ludu o! znam je wszystkie nadwiślańskie dzwony... jak strony jednej harfy... śpią one w piersi mojej... i zbudzą się kiedyś... módl się przy tych dźwiękach, Nezabudko — bo mnie strasznie ciężko — i modlić się niemogę... i długa była cisza, w której pieśni jego życia dośpiewał epilog dzwonów modlitwa drzew i melancholicznej sieroty...

NEZABUDKA.

A reszta dni waszych?... a syn Jego?... Syn?... on niebył synem po jego duchu, dziewczyno!... syn jego opuścił wioskę — wyjechał w cudze kraje, tam przeżuł ojcowiznę — gromada złożyła się, by mu ją wykupić — ale trzy kroci więcej dług jego wynosił — sterał zdrowie i mienie — a nawet — dobre imię!... i gdzieś na obcej ziemi wstąpił do klasztoru, ale i tam się znuził, opuścił niedługi klasztor i zastrzelił się wśród cudzych... a ziemię ojców Salwatora zakupił Niemiec — i kolonię Niemiecką w niej zaszczerpił — pałac przerobiono na cukrownię — kości ojców przepokopano i białe domostwa jak groby pobielane porządkiem zbudowano, szczytając i łajząc — w miejscu ogrodu gdzie ścięto przastare drzewa, zasadzono poprawne buraki, szpary okien zastawiano obrazami pracujących — a lud Dobrejwoli załazy kolonistą

Niemieckie gdzie mogli, zmuszając go do opuszczania wioski, którą zagarnęli — swą mową i obyczajem nienawistnym — przekleństwo im — na ziemi Polskiej!... przekleństwo najczarniejsze, dokąd jej nieopuszczają!... Byłem ślepy — mnież pozostało przeżyć wszystkich? — uczniowie moi wyszli już ze szkoły — i siedli przy rodzinach — za gorzkie słowo oburzenia kazano mi opuścić wioskę, w której nic dawnego niepozostało — tylko w polach szumi kurhan Salwatora... Stary dziad, kozak dziada Salwatora, umierając, dał mi swą lirenkę i zbiór pieśni po sobie — przytuliłem ją do piersi i oblałem łzami, względem kij dziadowski — i poszedłem w picinią — i tak jeszcze, choć ślepy działać na serca ludu... raz jeszcze pomodliłem się na grobach Jana i Salwatora, padłem na jego kurhan — krzyknąłem boleśnie — jak ranny ptak — i pociągnąłem po ziemi mojej z picinią — to stanie mi za pielgrzymkę do ziemi Świętej!... kilka z moich chłopiąt nie chciało mnie puścić, były to resztki uczniów moich — chcieli mnie żywić jak ślepego Puhacza żywią dorosłe pisklęta: życie światło i miłość między sobą, odrzekłem im, kochajcie się — niedajcie się do końca!... Plebanowi zaś rzekłem: odtąd ty za nich będziesz odpowiadał. — Bóg z wami!... Bogosławic ich poszedłem — a tylko dzwon wieczorny zęgnął mnie jeszcze tęskno — mdlejęco — aż i on skończył — i tak szedłem od siola do siola, śpiewając ludowi pieśni o Bogu i Ojczyźnie, aż was spotkałem u grobów Pańskich... Ty płaczesz Nezaбудko?... przytuliłaś się do mnie, czuję gorące lzy twoje w sercu mojem — chodź z tąd — już ranek błysnął — czuję go po rosie i śpiewie ptasząt — chodź ptaszę moje!... chodźmy ku Krakowu... Jeszcze jest Bóg na niebie, Nezaбудko. —

I poszli! —

Widziałem Cię, piękny dniu nad Wisłą! o witaj mi choć we mgłę wspomnienia, gdy nad kępą twoją księżyc osrebrza starych topol rzesze... zakląłem Cię w głębi duszy a dziś cię widzę znowu. —

Radość i ruch na wzgórzach Skalki — to dzień Świętego Stanisława — zieloność okryła już brzegi Wisły, co płynie cicho z pod stóp Tatrzańskich i mija Tyńca, Bielana, Zwierzyńca i Wawelu stopy, aż pod Skalką się zakręca ku dalszym Polski dolinom — dziś Kraków cały wysypał się na to wzgórze. — Patrzenie! na te roje ludzi, na te nrowisko głów i strojów — a każdy dąży do kościoła, całuje krew męczennią na murze, której strzegą orły Polackie — a potem schodzą po schodkach kamiennych do źródła, nad którym posąg Świętego budzi Piotrowina — i myją oczy wodą — symbol święty umywania oczu duszy! Niebo jasne bez chmurki, a tłum płynie radośnie od Wawelu, mostem podgórkim i starym Kazimierzem — na stariej wieży grzmi już Zygmunt na cześć Patrona — pomiędzy stare domostwa izraelskie płynie strumień ludzi — i przelewają się bokiem ku uliczce malej, idą szpalernem starych lip koło małego klasztoru — wreszcie pod mur Skalki dochodzą — tam w cieniu drzew kramy rozłożone z koralami, pierścionkami i sprzętem jaskrawym, w który stroją się chłopaki dorodne i dziewczki hoże, niemowlęta biją w grzechiotki, a chłopcy małe w piszczałki się odzywają — gwar wesoly dokoła obiegł świątynię — co wspaniała z strumieniem schodów kamiennych spada na dół i czolem urasta w niebo, dwojga wieżę błagalnemi ramiony — szczytu jej strzeże patron męczennik, a w grobach spoczywa sługa Boży, wysłażony Jan Długosz. — W oddaleniu od niej stoi gmach czarny Świętej Katarzyny — wspaniała wśród gmachów — jak starzec królewski — jej gzymsy czarne, zalomy i koronki Gotyckie wielką myśl w swoje wieki — w wiek Kaźmierza, który w jej Fundamenta miał sygnet swój cisnąć, jak ziarno dobrej wroźby — a nadgrobbki

jej zniszczone, zalomy sklepień gotyckich wiekami poczernia-
 bych — i wielki oltarz, pogrążają w zadumę wieków i żaloby...
 Ona stoi czarna lecz nieschylona — czesć tym, co ją dźwiga-
 ją!... smutna ona i odarta, jak wdowa przeszości, jak postać
 znieważonej matki, na hańbę dzieciom!... a Skalka jak córka
 Jej, wieczorem skarzy się i żali nad nią i woła psalmem na po-
 moc ku królowi Wawelu — ale królowie śpią w grobach ponu-
 rych — więc woła nad Wisłą do króla królów w oddali Wawel
 we mglach króluje i kryje czoło — wieżycę jego otaczają wieńce
 plastwa, co z wrzawą leci ku nim — dalej odrywają się dzwony
 Zwierzyńca — i dzwonek Świętego Salwatora!... drzwon Bielan
 jęczy Spiżowo — a kona ponuro Chrobry drwon Tyńca — co
 ułata głosem daleko i kona jednym westchnieniem u źródle
 Wisły — a drugim u stóp świętokrzyskiej góry... zdaleka
 Marysieńka dzwon dodaje im siły i jasnym dźwiękiem rozpogadza
 harmonię ponurą nadwiślańskich dzwonów, które się modlą, gdy
 Kraków usypia pod skrzydłami ich dźwięków... o Krakowie
 drogii!... Kocham Cię taką miłości potęgą — że myśląc o tobie,
 padam na ziemię i przepadam z tęsknoty i żalu po tobie, grodzie
 święty — najmilszy na ziemi!...

Pod murem Świętej Katarzyny, oparty o filar czarny stoi
 lirnik siwobrody z lirą starą, a i okiem zamglonem, a przy nim
 młode dziewczę z boleścią i tęsknotą przeczuwającą na twarzy
 — z dwudziestą wiosną a włosiem białym jak mleko i złamaną
 ręką, w drugiej trzyma rękę starca i rólancie — zdaje się
 dumać o murach, które nad nią się schyliły — nie tak wygła-
 dała grupa Edypa z Antygoną, kiedy wędrowali wśród mirto-
 wych gajów Hellady, przez które na marmur jej ramion spły-
 wały promienie pocałunkiem Seleny cichej — nie tak Belizaryusz
 ponury z Ireną sentymentalną, jak z poezją romantyczną
 rycerstwa, kiedy go wiedła przez dzikie tłumy ulitowane
 i zdziwione — i nie tak jeszcze Ossian, kiedy go sprowadzała
 z gór smętna Malwina, zasłuchana w powieści o boskim Fingalu,
 kiedy słońce wschodzące rozpraszało mgły, wśród których schy-
 lone sarny piły wodę z grzmiącej kaskady nad wiszarami Mor-
 wenu — o tyle inaczej wyglądali — o ile inną jest poezja
 Polski od poezji wszystkich ludów ziemi. — Ona dziewczica i
 smętna wyglądała jak chodząca pieśń gminna, wiodąca za rękę

oslepiłą tradycję Słowiańską jęczącą w harfach Wenedów... tak
 stoją wśród tłumu, co ciekawie zagłada im w oczy — ona po-
 chyliła głowę jak kwiat pod rosą — i zasłuchała się w pieśni
 lirnika, niewidząc prawie tłumu, co przesuwiał przed nią. —

Lirnik pod murem tak śpiewał kilku pacholętom, co w bia-
 łych sukmanach — i kurtazynowych z pawiami pióry czapcz-
 kach stanęły ciekawie słuchając:

«Trzy nocy jak mateńka skonała —
 »Trzy nocy Marysieńka płakała —
 »Świeci słońce — świecą gwiazdy i świecą,
 »A z jej lica łzy lecą — i lecą!...

«Aż na czwartą noc śni się mateńka,
 »Jak dźwiga pełne wiadra dwa wody —
 »W pocie czoła je dźwiga i stęka,
 »Aż krwią blade nabiegły jagody!...

«Matko, matko, pyta Marysieńka,
 »Co tak dźwigasz — daj, daj ulżyć sobie,
 »To lay twoje, odrzekła mateńka,
 »Łzy, co na moim wyplakałaś grobie!...

«Nieplacz, nieplacz, o dziecię me lube,
 »Lecz żyj w pracy i trudzie o! moja!
 »Pracą dziecię zagabisz twą zgubę,
 »A mateńka zmartwychwstanie twoja!...

«A ojezyczna zmartwychwstanie twoja!...

TESTAMENT OBYWATELSKI

ZNALEZIONY MIĘDZY PAPIERAMI SALWATORA.

«Gwałtu dusza niecierpi. — Bo natura jej
wszelką przemoc odrzuci. — Jest to istota swo-
bodna, której oddane panowanie nad sobą —
«całych przyszych zasług jest nasieniem...»

KRAKÓW. DZIENNIK.

«Jeden tylko w świecie cnd
«Z salsztą Polską — Polski lud —
«Z reszta wszystko złodź zład!...»

PRALNY PRZYRZECIENIA.

W imię Ojca — i syna — i ducha Świętego!...

Tych ostatnich kilka myśli zostawiam, jako słowa doświadczeń i miłości dla braci, którzy ich zechcą — w nich zostawiam wyznanie wiary i doświadczenie żywota. — Chrystus Pan, najwyższa z potęg ziemi ostatnie słowo prawdy, zawsze był dla mnie jedynym wzorem do naśladowania, jako Bóg — człowiek — którego naśladowując i usiłując się ku niemu zbliżać, nie tracę ducha indywidualnej Samodzielności — owszem spotężnia ją w pokorze w obec stwórcy, z którym modlitwą czynna — wciąż obcuje życiem — przebóg! spotęgowuje się do potęg o jakich miłość wie tylko!...

Takim narodem wśród ludów — narodem Chrystusowym, boskim, stała się Poska, która, czując (i czujemy!) że przyjdzie

czas, gdy wstrząśnie posadami świata i Ery ducha świętego zwiastować będzie światłością, która z niej wyjdzie — wszyscy bardzo grzeszni jesteśmy — przeto słuszna, że za grzechy narodowe cierpiemy — ale przypuścić, że Polska, to wszystko, co cierpi od lat stu bez mała, cierpi tylko za grzechy swoje: jest grzechem!... zaprawdę winy jej w obec win innych ludów, które dziś kwitną, gdy ona szaleje z bólu w grobie, są niczem!... mówić, że ona jedynie za grzechy cierpi w obec zbrodni innych narodów, które się cieszą w rozpuszczeniu posiadania i królują... jest grzechem!... o! Polska z cnót swych publicznych i prywatnych jasna — za ofiarę i odkupienie historycznych zbrodni świata ukrzyżowaną została!... Ona stała się przez swe cierpienie ubóstwiona, mesyaszem ludów — perłą ludzkości, bo ziarnem królestwa Bożego — i jej apostołstwo preczyste świat oczyści na dzień trzeci, dzień Ery Parakleta!... którego czekając od wieków ludzkość mówi: «Przyjdź królestwo twoje!...» Przez Polskę przyjdzie królestwo Boże, które zmieni postać świata — i przez jej mękę okupiony wstrząśnie się w posadach posad jego!... Dla przeprowadzenia tego mesyjańskiego Objawu, wyalczenia dusz bohaterstwem królestwa Bożego, czyści winniśmy być o ile tylko zdołamy — a zdołamy tak wiele!... o tyle więcej niżbyśmy poważali się myśleć!... wierzymy tylko, kochajmy i idźmy naprzód. — —

Z tych zasad wychodząc — i z tych przecząc bolesno niebieskich — żyłem — tak jak żyłem — wiem, że lud Polski umęczony dziś, ma przyszłość, jakież żaden lud niemiał — ma przyszłość świata!... biada mu jednak, gdyby dla tego spotężnienia się tylko, a nie dla miłości dobra działał — dla tego rozpoczynając — trzeba rozpocząć od odzyskania niepodległości Ojczyzny — by ją wyalczyć w Imię Boga!... a by ją wyalczyć, lud wzwad i oświecić trzeba było... z tą wychodząc, starałem się do końca modlić — czynem — by czyn mój modlił się za mną i przeżył mnie. — Oto wyznanie wiary moje — jako człowieka omylnego, ale wierzącego niezłomie,

że świat przejdzie i światy runą, a wiara i miłość jako pewniki i zwycięstwa ducha, który Polaka wywalczy, nieprzejdą na wieki!... te słowa tobie ludu ubogi przekazuję!... ty masz wszystko — u Boga!...

Kiedy tak działałem, sąsiedzi moi jedni śmiali się ze mnie i piętnowali marzytcielem a wedle Ich pojęcia — poetą!... (sunt lacrymae rerum!) inni mówili, kusi się o wzięcie — lub, ehce być podziwianym. — Zrazu z lwią orłowością młodości gardziłem nimi — później litowałem się — w końcu zrozumiałem ich — bo wiele zrozumieć to wiele wybaczyć — toś śmiechy ich i klątwy brałem jako wieniec na pogodne czoło — i strojny tą protestacją szedłem dalej — naprzód! dziś nieżdam od nich nic prócz zapomnienia — i potępienia — bo i cóż więcej dać mogą — ludzie?... kto praktyczność nie za środek, ale za cel wziął w życiu — zabił się. —

W życiu mojem niemało namęczyło mnie rozmyślanie, czyby się myśli równego podzielał ziemi mojej i wszelkiego mienia, między lud, nie dała skuteczność?... Namęczyła ona mnie gwiazdą jasną i upiorem ciemnym, a nawet urodzenie mego syna niebyłoby mnie od niej wstrzymało — byłbym o lasce z nim razem wyszedł z mego siola — lecz czułem, że ludzkość jeszcze niedojrzała i nieprędko dojrzeje do ubóstwa Ewangelicznego, czego dowodem, że dotąd trzęsieniem tej idei przekoszława się okazem komunizmu — i prywaty!... Przykład z resztą, że tego rodzaju postanowienie w wioskach obywatela Staszycy było niewczesnym w skutkach, był mi także wskazówką — a przeto myśli tę, wypieszczone dziecko duszy mojej, ostatni jej ideał, poświęciłem w sobie — odsunąłem do dalszych katastrof wędrującej naprzód ludzkości — i rzekłem sobie: nie ją ją ujrzę!...

Wiele pracowałem nad żniwiarką — i gdybym pożył dłużej, możeby mi się było powiodło wynaleźć to tyle ważne pod względem ekonomicznym dzieło — z pomocą którego tyle głów schylających się w krwawym trudzie podniósłoby by oczy w niebo inną pracą — a tylu robotników na niwie ducha przybyłoby ludzkości!... niemogąc jednak podolać temu, nieprzesądzałem, o ile mam słuszną — gdyż kto wie, coby się stało z temi, co dziś poczciwie schylają się na łanie, w pocie czoła pracując na ludzkość myślącą — przyszłość w rękę Boga!...

Gdybym się był niemodlił i nie kochał, nicbym nie działał i w nic bym nie wierzył. —

Wolność osobista człowieka — i nieskończone prawa jego indywidualności — zdala mi się jedną z rzeczy najświętszych na ziemi — z najgodniejszych badania i rozwinięcia — tak — że co do mnie — nierozumiem i niepojmuję tego słowa: «obowiązek» jako fatum obowiązuje i krępujące człowieka wolnego bezwzględnie, to jest — duchem dojrzałego — rozumieć tylko miłość — i robiąc i tworząc wszystko jedynie z miłości i zapachu świętego — i dla miłości, doszedłem tam — gdzie niedopełzło wielu z tych, co jak Faryzeusze krzyżeli na mnie, że nie przez obowiązek ślepy działał!... ludzie, którzy wszystko i wszystkich krytykują, rzadko obrachowują się z rezultatami własnego życia — obowiązek bez miłości podniesiony, stygnie wraz z człowiekiem i traci połowę siły. — Gdyby Chrystus Pan tylko obowiązkiem, nie miłością, nie umarłby za ludzkość na krzyżu — na wysokościach kędy marzenie i niedochodzi obowiązek, poczyna działać miłość — może jednak ta zasada, co do obowiązku nie do wszystkich stosować się da — dla mnie jest rodzajem dogmatu społecznego — i czuję, że ona kiedyś będzie jednym z ostatnich słów ludzkości, kiedy prawda od świątyni swej, którą świat się stanie — odezle na wiekiusty urlop «obowiązek» ten niemy sztydłwach, który strzegł

jej przybytków i pilnował grobów Chrystusa miłością zmartwychwstałego — i z miłością młokom poddającego się katom za nich samych!... człowiek — sam za siebie odpowiada i pokutuje — jego czyny go sądzą — ale on sam — jest wolnym jak ptak!... słowem, które może poprzedzać dla wielu miłość taką jak śty. Jan, Chrystusa słowem godzącem to dwie ostateczności możeby była: powinność. — —

Synowi memu jako katolik demokrata — jako Polak przekazuję, że jako człowiek «wolny» winien ziemi tej, którą mu zostawiam, być stróżem jako kawalka Polski i nie uważać się za jej właściciela lecz dzierżyciela i dłużnika narodu. — Miłość i czuwanie nad ludem — i szkółką, dla której na zawsze fundusz zapewniam, przekazuję mu sacro saneto i pod błogosławieństwem — niech pomni, że przekłdy ten dziedzic w skutkach swego życia, który nieczyny dobrego wyboru między proboszczami, który oficyalistami złej woli obsadza majątek — wtedy złe rodzące się wśród ludu, spada na jego głowy, jakby on sam je krzewił — gdyby syn mój skrzywdził lub zgorzązł które z małuczki — niebyby synem moim!

Dobry dziedzic — dobry pleban — i nauczyciel wiejski mogą więc uczynić przededniem królestwa bożego na ziemi.

Chcę być pochowany wśród ludu, z którym żyłem — na więksim emętarszu — bez nadgrobu. —

Obywatela, który szkółek niezakłada — i wszystkiego, co może wedle swej sily i wyobrażeń dla ludu, «za przez ład dla kraju» nieczyny, w obecnych okolicznościach, uważam tylko za handlarza zbożem — i liweranta wódki!...

Kto z ręką na sercu pracuje i idzie naprzód, winien mieć głozy szyderatw ludzkich za łicie, co mu szeleszczą pod nogami na drodze postępu — pierwszy wiatr, co powieje, poniesie je chmurą za nim i lecieć za nim będą, choć się nieobejrzy za nimi!... dla swego przekonania bowiem, winno się zostać «samemu» i choćby «ostatnim» na świecie!... dotąd, dokąd nas kto o lepszej od naszej zasadzie nie przekona — wtedy trwać w swoim dla tego, że swoje — czując, że gorsze od tamtego, widzi mi się rzeczą małą i arcygrzeszną — jeźliby jednak prąd poszedł w twojem przekonania grzesznie i w fałszywym kierunku, protestuj gardłem, choćby Cię kamienowano — a pierwszy kamień rzucony tobie, stanie się węglem świętyni sprawiedliwości, która zwycięży!...

Tyle myślałem nad elektro-magnetyzmem — i zagłębiałem się w przepaści tej nauki — mam przeświadczenie, że on — będzie powodem odkryć, które ludzkość od dzisiejszej chwili posuną tak — jak nas od wieków średnich — sądzą, że one będą wielkim kluczem do reszty nauk przyrodzonych i rozwijają niejedną trudność metafizyczną. —

Koszlawość ma dar skoszlawienia nawet największych rzeczy, o ile te dadzą się zmiernić do ich mierności — i tak skarykaturowano pojęcie wyrazu eksaltacya. — Mianują nią dziś zwykle bezpłodne mrzonki magazjów lub kobiet zdenerwowanych, kiedy ten wyraz (ex-alto) oznacza najwyższe — i namaszczone podniesienie się ducha w pewnym szlachetnym kierunku, nad poziom materji i błoto prywaty — bez tego uczucia nikt nie wielkiego nie szdział — ono jest począciem nieśmiertelnego czynu — bez niego niebyłoby jednej rewolucyj w świecie, jednej bitwy wygranej, jednego dzieła sztuki, jednej cichej ofiary, jednego męczeństwa! bez tego uczucia poczyna się zwierzę w człowieka. — Najmądrzejszy i najpotężniejszy istic jest człowiek, młody — kiedy zapalem twórczym swego ducha, jak król wszechmoony, działa, burzy, czy tworzy — i przerzaca światami myśli — jak Kyyklop ducha. — W miarę jak

się starzeją słabiej, cofa i osłabia, zdaje mu się, że mędrzej — zapiera się młodości swej chwil najświętszych jak Piotr Chrystusa — wyciąga drżące ręce, chciałby niemi strumień światła innym zasłonić — i cofa się ciągle z tak wyciągniętymi rękoma, ale zostało mu coś z młodości, cofa się «z zapalem», a więc niepatrzy pod nogi — i w tem cofaniu trafia na grób swój wykopany, wpada weń, przysypując go — przechodzą — a śmigłe dziewczyny w brylantach rosy porannej szumią nad nim: Sie transit gloria mundi!..

Pożalowania godziń, kto rozum dla serca, lub serce dla rozumu poniża — oboje są najszlachetniejszymi władzami człowieka, które Bóg związał, jak mężczyznę z kobietą, jak ciało z duchem — człowiek winien je zestroić — akkordem obojga jest czyn szlachetny i trwały — wynikiem prawdziwe. —

Kto upadł — tem śpieszniej podać mu rękę, by powstał — a kto go potrąca niżej jeszcze, daje mu kopnięcie osła — i dowodzi, że sam niżej jest od upadłego, któremu wyrzeka nieumiętność katechizmu «obowiązków swoich.» — Miłości orłopióra, wiedz ludzi naprzód, choćby przez piekła boleści do twego raję obiecanego! miłości!... miłości nieskończona!...

Tylko ten, kto kocha myśl jakąś bezwzględnie — dla niej i tylko dla niej, tak że nią ludzkość ukocha, może z niej coś nowego stworzyć dla przyszłości — tak jak się kocha prawdę dla prawdy — cnotę dla cnoty — piękno dla piękna a to wszystko na tle bezbrzeżnej miłości Boga i Ojczyzny, która jest nam figurą całej ludzkości. —

Politowania godny — kto cierpił prawdziwie a niema dumy swego cierpienia, albo ten, co niem w słabości, bez granic kokietuje, deklamuje i żebrze współczucia jak żebrak, który wystawia skaleczoną część ciała i nią się śpiesznie legitymuje by dostać jałmużnę! taki człowiek sam siebie szanować nie

umie — jakże go inni szanować mają? Jest on — jak syn ludu, który, krwawą siłą własnej zasługi wzrósłszy wysoko w społeczeństwie, wstydył by się swego pochodzenia — i nie czuł w sobie godności syna ludu — zapominając, że lud jest wszystkim — takiego — z pogardą można nazwać parweniusem — kiedy nie czuje w sobie dumy potomka stu pokoleń męczeńskich przysądu i ciemnoty — żywieli rycerstwa — spadkobierców — przyszłości! —

Chociaż czulem się zawsze o cale niebo od ideału, jaki sobie o człowieku i Polaku — o synu XIX wieku utworzyłem — nie mniej pręto mógłm go innym, szczęśliwszym i lepszym życzyć całem sercem i pragnę go dla innych, którzy jeźli te ścieżki ku celom «naszym» napotkają; może dalej niemi zajdą — a może choć jedna dusza — z załamaniem rękoma chwiejąca się już w swej drodze ku dobru — i idealowi, szarpająca się własną i drugich boleścią, wzmocni się na to wspomnienie w swej drodze — i poda jeszcze, choć znużoną dłoń następcom swoim — pomnąc przy tem, że każdy duch samodzielny, z swego rozwoju, walk i posiewów, winien zdać sprawę swemu wiekowi!...

Szczęśliwym być? o! to tak łatwo — ludzie mogli by mieć i tworzyć w kolo siebie tyle — tyle! szczęścia — a depczą go — i sami wplatają się w fatalne kolo... szczęśliwym — można być jedynie przez szczęście drugich — kochając wszystkich wielkimi — otwartem sercem — ale jakże być prywatnie szczęśliwym, kiedy się czuje, że tyłu jest jeszcze nieszczęśliwych — i ciemnych, którym losu zmienić niezdolamy?... a jednak kto do tej myśli doszedł — zaasekurował — jeżeli nie szczęście — to przynajmniej szczęśliwość duszy — jej błękitność i rozkosze nie ziemskie — mimo wiecznej tęsknoty — która jak sęp Prometeja — szarpie każdego ducha i żre jego serce — ale ona mu przypomina ciągly pochod postępowy ducha ludzkości — i jego nieśmiertelność!...

Człowiek bierze wszystko od społeczeństwa — a jakkolwiek wolnym bez granic jest duchem, sama szlachetność szepcze mu nieustannie: wszystko wziął od społeczeństwa — wszystko mu winien dać — i niespotrzebnie, póki intencja i uczynkiem nie spłacisz jego dzieciom wszystkich długów twoich — dokąd zmarażysz nie ogrzejesz na twojem sercu — płaczących nie uweselisz, choć sam w sobie smutny — a nie dasz laknącym, co dać możesz — ale pamiętaj, że nie dar, lecz sposób darzenia jest wszystkim — dać trzeba serce — a przy sercu dar! intencja i uczynek nieożenione są są bezplodne (w świecie) jak suche drzewa...

Człowiek, który za cokolwiek żąda wdzięczności, nędzarnik jest — ale człowiek, który wdzięczności uczuć nie jest zdolny — nie wart być człowiekiem — jest bydłkiem, którego się zawstydzą bydła! i dla tego musi boleć każda niewdzięczność. —

Człowiek, który żył miłością — a na wszystkim się rozczarował tracąc o samolubstwo — staje wtedy nad najstraszniejszą pochylnością wiodącą i jego samego — bez jego wiedzy — w otchłań egoizmu — to jest nad przeświadczeniem — że wszystko, cokolwiek się robi — robi się jedynie w interesie swego Ja! i ujęcia życia!... I upadłszy wtedy w objęcie zwątpienia — nic nas już z niego niewyrwie — nawet cud — bo abdykowałyśmy z człowieczeństwa, oddaliśmy i wiarę w cud! O jasna duszo! jeżeli taką jesteś i masz miłość nieśmiertelną, strzeż się jak grechu tego przeświadczenia... bo upadłszy w jego objęcie, z śmiechem umarłym rozpaczysz — kiedy nie kochać nie czuć już niemożemy — uważamy się za wolnych od wszystkiego szlachetnego — od każdego zaparcia się siebie, jakie nas obowiązywało — i upadamy samolubami z rozpaczą — którzy przez resztę życia pieczęją się z boleścią swoją — i kirem obrzucają drugich. — Najwyższe dusze tego krytycznego momentu życia najbaczniej lękają się winny — dla nich on ge-

niałnie przez całe piekło wymyślony — bo w takiej chwili wielkie energie — przechodzą w wielkie apatie a nawet — w zmysłowość — nad temi chwilami płacze anioł a chybcież Szatan — bo od gwiazd spada się zwykle pod lawę szynkową! a z im większego szczytu się kto strącił, tem więcej drugich za sobą magnetycznie pociąga... Zaisze, kto bardzo ukochał ludzi — zerwie z nimi prędzej lub później — ale przeto nieprzestanie kochać człowieka! kochajmy człowieka w ludzkości — a wkrótce ujrzemy, że złe matery jest mrzonką doczesną — a tryumf nieśmiertelnego jutra idealowi dobra i piękna, należy, co duch nasz tylko dobrą lub złą wolą przyspiesza lub opóźnia. — Bo wszystko od poświęcenia ducha zależy — reguła ta bardzo trudna! na tej drodze pękło wiele serc wielkich — i wiele ich się jeszcze potrząsa na ziarnu jutra — i wiele serc mniejszych (bo wielkie tego nieumieją) — skamieniało na niej. — Ale człowiek, co za rozczarowania osobiste mści się na ludzkości, jest obrzydliwy — a serce jego jak ta stara spruchniała wierzba, nad modre głębie z urwisteo brzegu schyłona — czło jej wprawdzie co wiosną kilką zielonych listków się mai, ale listek po listku opada z tego ideału w smutności okropnej — a łono jej spruchniało oddawna toczą robacy wewnętrzni — gnieżdżą się w niem niedoperze, a lud widząc nocą jej pruchna blyszczące, nie bez kozery szepcze — że diabeł w niej straszy...

Binda temu, kto cywilizacją wziął za cel w życiu — a nie za środek wiodący do celu postępowego — naród Polski kiedyś z tego błędu wywieździe ludzkość całą. —

Celem naszym jest miłość i prawda — cywilizacja środkiem doczesnym tylko i bardzo dwuznacznym. Postąpiły dziś zaisze wynalazki i potrzeby — ale cnoty?... czy postąpiły z nimi — i przez nie??? przebóg! gdzie miłość? gdzie Chrystus?... kto sobie cywilizacją materyalną za cel w życiu wytknął — wiedzie

ludzkość pod maską postępu watecz — tam z kąd wybrnęła tyłą męczeństwami! z Chrześcijaństwa — w pogaństwo i kumpiectwo uniwersalne — z kościoła w giełdę — z nieskończoności w skończoność ciasną własnego Ja! — w egoizm użycia i zgrzybiałości serca!... tym prądem kłębi się dzisiaj świat zachodni — i gdyby Chrystus dziś jako człowiek wśród nich stanął — powtórnie ukrzyżowaliby go! — lecz ty o Polsko męcennico jama! wstrząsniesz świat w posiadach jego — i oczyszczon — przez Ciebie na nowo ujrzy promienie światła i prawdy ewanigelicznej!...

Co za przepaść leży między obowiązkiem a miłością, wie tylko ten, kto wszystko robi przez miłość — gdyby Sokrates był tylko obowiązkiem, niespełniłby toasty trucizny do przyszłych pokoleń Chrześcijańskich! — Gdyby zbawiciel nasz — był tylko obowiązek — a nie miłość (która tam isó zaczyna, gdzie on marznie, bo niema dość ciepła!) przekazał światu — niebyłby za nas umarł na krzyżu!

Nie ohydniejszego jak tyranja złotego cielca, który niewidzialnie dusi społeczeństwo — jemu na paszę koszą Rodzice najodniejsze kwiaty z dzieci swoich — kwiaty świeco ku niebu rozkwitłe — krzywią, dla własnej prótności, dumy chciwości czy przesady! używając miłości czy grozy — podstępny czy wolnego wpływu — ukazując portrety przeklinających, prababek — czy świetne przybytki — i też dzieci — tak samo swemi dziećmi kupczą w kościele życia — od ich dziecięcianiem je materyalizując — horror! oto drabina Jakóbowa — po której szatani schodzą i wchodzą z piekła na ziemię i wicewersa ... a złoty cielec ryczy z tryumfem: że hajką rodzina!

Świat jest tylko zbiorowym człowiekiem — człowiek w sobie zbiorowym światem, który ma wszystkie prawa i wolności. —

A ztąd wzajemnemi tylko koncessjami poświęceń i miłości społeczeństwa dla człowieka i człowieka dla społeczeństwa staó może harmonia życia. Wszelkie inne ostateczności od Likurga do Robespiera to murzonki smętne a zbrodnicze! A ztąd jeden za wszystkich — wszyscy za jednego! ale biada — gdy jeden za wszystkich ginąc pomyśli: że wszyscy za jednego! wtedy runąłby cały gmach jego poświęceń i miłości! — pod tym względem wzór niesmiertelny mamy, patrząc na krzyż Boga człowieka! i tu już słowo staje się ciałem a poczyna się czyn — i wiceroś — niestety tylko dziś nadto ludzie nadużywają imienia Boskiego — a kończą na słowach — patrzmy na Zachód, któryśmy tyle już malpowali — przebóg! tyle! tyle min nieporuszonych mamy wśród siebie — dziś niemamy potrzeby sobie za ideał brać ich, co nas wyprzedzili (skrupowanych) na drodze materyalnej — od nich już nie mamy do brania — bo oni niedaleko nędyz — Indyferentyzm religijny i polityczny, materyalizm — i ludzka świetność, oto, co oni dziś mają — umiejny być paszczolą — i wiedzmy, co brać od nich — a co wyrabiać z siebie — dla nich, gdy załaskną!

Są ludzie mający wyraźne postanowienie do przeprowadzenia w narodach — tacy powinni całe życie wspominać o siedmim pełnych i pustych kłosach — to jest kształcić naród tak, by się mógł sam rządzić gdy ich niestanie — bo naród, co tylko siłą wodza a niewłaśną (niewyrobiszny jej) stoi, z wodzem — okropnie upada — patrzmy na naród Żydowski — na własne nasze nieszczęścia! Tam zaś, gdzie wódz i naród w harmonii a nie wyłączną wolą działają — z własnym uwzględnianiem, czuwaniem nad sobą, sprawiedliwym wyrozumieniem i posłuszeństwem, niemoże niezakwitnąć społeczność — patrzmy na naród Grecki w epocę jego siły, na początek Ameryki — i pierwsze lata karyery Napoleona. — Kiedy ten człowiek, który najwięcej z ludzi żyjących miał sposobności uszczęśliwienia rodziny narodów, utopił wszystko w krwawym oceanie swojej pychy — runął — i wszystko, co się stało w dziejach, stało przez niego pośrednio tylko o ile był narzędziem bożem. ale nic —

nic! jego bezpośrednią zasługą i chęcią służenia społeczeństwu które za swój talów uważał. — Widać, że i geniusz w swoim zenicie bez miłości jest nieością w skutkach swoich bezpodną. — A w zakresie swoim, każdy człowiek wpływu, w stosunku do swego koła jest takim Napoleonem za swoje trzy grosze — i skutki te lub inne od niego zależą! Człowiek wpływu gdy nie myśli o społeczeństwie po za obrębem swego życia, który sobie powie: après moi le déluge — jest podłością podłości!...

Gorzko temu, kto się raz stał policyantem opinii publicznej — lepiej być skazanym jak skazującym. — Tego rodzaju urządy wzięty na barki szlachetnego człowieka — byłby krzyżem kolosalnych rozmiarów — ale gdzie i kiedy dźwięgnął go kto z przykładem? Jeden niemy przykład wymowniejszy nad sto rad garbatych doświadczeniem mądrości!... Jedni biorą ten urządy z mieszaną prywatą — inni ślepi na próżność swą — dla próżności. — A jednak w kraju, co nie wywalczył swej niepodległości, przychodzą chwile, gdzie mniej więcej każdy nim być powinien: ale najprzód względem siebie, a potem względem innych...

Cywilizacja choruje na to, że zrównała ludzi — co za bezcelne, co za gorzkie błazństwo! ona popsuła przez materyą, co Chrześcijaństwo przez ducha działo na tej drodze. — Niemówimy już o pauperyzmie, w obec klubów cywilizowanych, ale o Parisach zależności i upokorzenia nieskończonego o pracy i trudach bez granic ubożego, kiedy bogaty niezawisły — i dumny bo zniżać się niepotrzebuje, idzie — i wika się sam, w pęta nieszczęść, które tu same czekają na ubożego — on też wszystko ma U—Boga, gdy złoży spracowaną głowę. — Bo ludzie i cywilizacja nie mu niedadzą gdy straci religię, miłość i uczciwość — a patrzmy na jakiej stopie w przecięciu stanęło wychowanie religijne ludu w Europie!...

Burmy klasztor! przerabiamy je na giełdy i dworce kolei — niech tam złoty cielec tronej bo upadła zaprawdę ludzkość, kiedy oślepla na ogrom instytucji, która zgromadza koło ludzi, w imię miłości, których jedynym zadaniem przez resztę życia — modlić się za ludzkość — całą — nicze jej, w jej drodze krzyżowej, z jej boleściami i upadkami po modlitwie tych ludzi, jałmużną żyjących krzepiących słowem bożem. — Modą jest uznawać jedynie „użyteczne” klasztor, co rannych pielęgnują, przyjmują inwalidów życia, lub zajmują się wychowaniem młodzieży — tak! bo modlitwa to rzecz nieużyteczna, kiedy człowiek niegodzien już pojąć jej znaczenia i potęgi, aż z potrzeby, w rozpaczy za nią kiedyś ręce wyciągnie, ale nie z miłości, ni tęsknoty, tylko przez bestyjalny interes instynktu konserwatywnego, w godzinach zwątpień i rozpaczy. — Modlitwa za ludzkość jest największą stroną klasztorów — wychowania niebyłbym nawet skłonny im powierzać, bo kto niemiał dzieci — i nie zna życia w jego cieniach i światłach, przepaściach i szczytach, wiecie i zwątpieniu, ten rzadko może wszechstronnie wychować młode pokolenie. — Ale dziś handel — samolubną modlitwą spekulacyjnej Europy — kto się nieumiał z bogacić — głupi mimo wszystkich cnót i przymiotów — i tłum ten z politowaniem szczęśliwych zwierząt — na takiego człowieka patrzeć będzie, że nie zna rozkoszy i hańby indyferentyzmu sybaryty!...

Dziwnie przewala się w muzgu świata — śmiech i try — krew i wesele — szysterstwo i modlitwa — rozpacz i miłość — praca i szaleństwo — bydle wlecze za sobą ofiarę, ziewający zbytek prowadzi pod rękę kłapiącą zębami nędzę szkieletowatą — w chaosie myśli i dziejów ścierają się i giną i znów się rodzą — jak w kropki wody żyjątek miliony — a tłumu pyta, czemu chce być? co jest treścianem waszych dusz i myśli na ziemi? Demokracja odrzekań Ci. — A kto był pierwszym demokratą na świecie?... chwilę milczą tłumy: Iście Chrystus Pan! — a kto ostatnim? milczą jeszcze. — Iście Chrystus Pan! odrzekań sumień swoich sumią. — Boć demokracja jest miłością a miłość nią —

ona jest tem, czem była arystokracja w Greckiem znaczeniu tego wyrazu — to jest wszystkim najlepszem. — Ona niech zastąpi, by w tym chaosie zawołała: «Jestem!» ona niech skończy pożary ducha, jak łą anioła piorem zagazonny — ona łą tęsknot niech osuszy — światłem — miłością — cnotą bezwzględna — i niech się taką zjawi światu wśród umęczonego narodu naszego!...

Kto więc ma sumienie, niech się przeżegna — i dalej do dzieła!... Mimo ludzi nieszlachetnych, który nieraz czcigodne miano szlachecia noszą, a grzeszą w błocie przysądu lub złej woli — i który wydrwiwać go będą, mimo rządu, który przeszkadzać mu będzie i dolki pod nim kopać będzie — mimo całego piekła!... mimo samego ludu nakoniec, który w barbarzyństwo ślepy i głuchy, niestety! okiem ducha nieprędko przejrzy — mimo jego grubostwa i niewiar, mimo pijaństwa i złodziejstwa — i wszelkiego złego! (o ileż gorzej klasy oświecone bez podstawy?) bo pomyśl, mój szlachcicu, gdybyś wśród tej tradycji, w jakiej wrócił twój nędzny poddany, czybyś lepiej niepił, niekrał, nie denuncyował? nie podejrzewał twego Pana — i czyby uczucie wdzięczności odrazu wstało w tobie? — Ależ na świętość Ojczyzny naszej przysięgam Ci, że jeśli rzucisz choć jeden promień oświaty w ciemność ich zakutej głowy — jeśli łą mu otzresz, i z nim zapłakać i weselić się potrafisz — jeśli on w tobie ujrzy nie obojętnego dla siebie ekspans, co wczoraj jeszcze batóg nad nim trzymał... lecz Pana, co jak brat przyjdzie wspomódz, a co główna, pocieszy go w jego biedzie, lub pójdzie za jego trumną na czele gromady, lub ulży jego skonanin, na myśl, że ma dobrego Pana, co jego wdowę i robacki nieopacił, gdy w tobie dopatry brata, co mu chleb podaje, a nie wroga — o czem od wieków szepczą mu Ojcowie jego — i rząd królowa macoch — gdy ujrzy w tobie nie strasne ekonomiczne zwierzę z harapem przez plecy tratujące jego zagony, lub, nie lalkę chudą, białą, wedle jego pojęcia nie ludzką, w stroiku cudzym i kusym, jak widział Pana diabła na komedjach, lub malowanych cyrulików w miasteczku — nie lecącego powozikiem jak piórko — i nieumiejącego nie nad powożenie zewnętrzma folblutami Angielskimi — i pozującego samego na folblu-

tostwo moralne (przynajmniej) Angielskie lub Francuzkie nie bałagut, niesięgającego po za konia i strzelbę, modlącego się złotą szkapie, który za kilieściorak gorzałki i parę groszy, każe mu cały dzień jak gończy psem uganiać w śniegu za zwierzyną, naprzeciw jego strzałów. — Ale Pana w stroju ówów proważnym, sprawiedliwego i pobożnego, który go skarci surowo gdy zasłużył, wyrozumie, gdy cierpi, nagrodi za wszystko dobro, dokąd nieopocznie bez nagrody do dobrze czynić, o! zaprawdę — wtedy lud ten zacny i ludzki krew swą, że nieopowiem duszę swą oddałby za was — a ci, co z łona jego wyjdą, by wspomódz i świeżić wesprzęd siłą, być korzeniem i waszego drzewa społecznego — i myślą podać dłoń świeżą waszej znudzonej inteligencji — Ci uderzą czołem przed rycerską przestrością Polski, co była począłok Chrześcijaństwa Europejskiego, walcząc nie pod Jerozolimą, lecz Cecorą i Wiedniem, a wam wyluzyczną głońną wdzięczność — jeśli choć trochę podniesiecie ten kamień ciemnoty i materyalizmu, co ich przywalił, by go do reszty sami zwalli, jeśli, że tak powiem pomoście odważyć okiennice ich duszy, te powieki jak konchy zacięnięte są promień słońca je otworzy — przez których szparzy domyślają się, że jest światło — a coż dziwnego, że błędą w ciemności?... Odwalmy wieko ich trumny moralnej, a zmartwychwstańmy pełni zdolności i nowej siły życia Ci, których jedni oplakaliśmy za umarłych, a inni, za takowych pocytałymy powtarzając szelmaki sziamoty w ilizwan ych tyranów Angielskich: «uczyc Murzyna a uczyc wolu to jedno!» i tem słowem tak jak z liczby żyjących wymazali!... Zaiste — idźcie ku temu — mimo całego świata idźcie ku temu, że myśl ludu skrzydła poczuwać zaczyna, nieobciznijaciez Włosów Samsonowi, byście się pod własnymi gruzami nie zagrzebali — są może wśród was tacy, co by to woleli nawet jak przyznać, że ostatnią misją szlachcica jest lud wykształcić na podobnych sobie synów Ojczyzny. —

Niejeden z was rzeknie, ależ głupi poeta? jeśli wszystkich porobisz Sapientami, któż pracować rękoma kto za plugiem chodził będzie?... Kto zegnje się nad sierpem i kosą?... o mój szlachcicu — broń mnie Boże, bym z chłopca chciał takiego jak ty Sapienta wyrobić... ja chcę mu tyle tylko dać oświe-

cenia, by poczuł prawo własności i na szepnięcie wroga nie rzucił się na Ciebie całego, by wiedział czym była ziemia Polaka którą plugiem swym orze, czym jest dzisiaj — i czym w przyszłości być ma — i musi — by tobie pomógł zwalić z karku jarzmo wroga, a we dwóch gdy staniecie będziecie opoką Piastową, której nieprzechwyciągą Carskie wrota! — O! uspokójcie się, wy co się zawsze lekacie, czy został ktoś coby na was pracował rękoma, mniej od was mające — niefałdujcie Jowiszowego czoła... wieś wasza niezamieszana się w sapientów, nierzuci świętej ziemi i pluga ojców dla przeklętej i martwej litery — nie! nigdy! — ale załóż szkołkę, niemyśl o tem, że się nauczą pozwy pisać na Ciebie, nauczą się czuły świętego, co jeżeli już chcesz i tobie wyjdzie na pożytek — załóż szkołkę, powtarzam milion razy! poświęć ją uroczysto, wybierz w twej wiosce lub wioskach, ile ich masz zacnego proboszcza — i nauczyciela z powołania, którego echem nauczanie by mu było — i działaj z nimi wspólnie, ciągle, nie efektem, nie kruchym zapalem i fantazją karmazynową, lecz wytrwania miłością niezłomną — oświł rosnące pacholeta z twoją osobą, niech Cię tylko pokochają, niech zatęsknią za tobą, gdy wyjedziesz, a zobaczysz, jakie słonce zjeździe ci w duszy gdy radośnie ciemuś uradowani z twego powrotu — że staniesz się dla nich słońcem, które oświeca i ogrzewa... niech umieją i czują tylko zasady wiary — czytanie, pismo, dzieje Ojczyście z rzutem oka na obecność — naukę obyczajów i obok rachunków nieco poprawnego rolnictwa — szczerzenia drzew, pszczelnictwa — oto cała filozofia — przekonaj go, że lepiej nowym niż starym plugiem wyorze — że lepiej wyjdzie na płodozmiennie niż dawnemu gospodarstwie, to kiedy Ci powie «tak tatko robił, taj dobre było» przekonaj go, że gdyby zawsze syn był głupszy od ojca, to pokoleniami idąc, zeszlaby ludzkość do bydła — pachole takie, co z twej szkołki wyjdzie, już jest przyjacielem twoim mimowolnym, ono już jest innego o kilka wieków pokolenia — ono już niepójdzie lada czego do karczmy dla miłości karczmy — inaczej zacnie chodzić koło roli swojej — i koło roli duszy swojej — ale niech się przywiąże do Ciebie, niech wie, żeś ty ich Rodziców na zawsze zwolnił od placenia nauczyciela, a więc

samemu tobie winien naukę — niech się oswoi ze szkołą a pokocha ją, dzieci swoje z tęsknotą za nią, gnąc kiedyś do niej będzie i na grobie twoim Ciebie bogiem osławi — wszkółce jaw się czasem przyjaźnie i poważnie, pytaj sam, rób uwagi — a po rocznym popisie daj jaką czapczkę lub kożuszek tam, co innych współzawodników prześcignął — daj mu więcej jeżeli możesz — głównie daj przy innych dobre słowo i dobrą łaskę, bo emulacja będzie krzesła iskry ambicji, z których tryśka światło oświecenia — wśród dzieci, których myśl czysta jak ich pacierze — niech szkołka twoja będzie owarznią białych jagułat — a ty pasterzem, który kiedyś odda je Ojczyźnie!... Nim zasmarkują w pracy i uznają jej konieczność zachęcaj ich do niej materalnie — a jeżeli w tłumie tych główek zamierzysz jakieś szersze czoło — oko nad inne myślące i rozpatrujące się w przedmiotach — jeżeli dostrzeżesz jaką tęsknotę na ustach, głos rzewniejszy przy modlitwie w szkółce, a nad to cęch do pracy i garnienie się — wtedy bierz to pachole, zachęć lepiej, wypróbuj zdolności — ułasknij — oświł z nauką, okaż jej błyszczące strony, przemów jak Cię stać najlepiej, daj mu lepszy obrok duchowny — poslij do szkół — a któś Ci zaręczy, że z twej szkołki nie błyśnie kiedyś człowiek z talentem — z geniuszem może — i niejedną fową prawdę zdobędzie ludzkości — i podniesie moralnie opinię twego narodu. — O! lud ludem zostanie, tylko plewę wad swoich odrzuci za twą pomocą — i pokolenie twej szkołki tak samo pracować będzie, tylko sumieniem, za poprawniejszym pójdzie plugiem, umiętniej zasieje ziarno — i w lepszej odzieży — i lepszej chacie, goręcej ukocha ziemię, którą orze! i przyjacielem twoim będzie jak jeden człowiek — przeczuje, co czem jest i czym stoi — a tych kilku ludzi, jeżeliby choć jednego podniósł moralnie, staną ci za zasługę zasług — i odkryjesz nieznaną Ci rozkosza w życiu!... Nie poniżaj się tą małą myślą: będę usiłował, będę głaskał, smarował miodem, karmił chebem — a żmję przutęło do łona — i ani jeden niewyjdzie z siernięgi?... ale pomyśl — choćby nawet!... to uzbrowię się w zasadę — którą spełnię — a poczują choć charakter Piastowej siernięgi, która królewskiem jest odzieniem!... nie myśl o wdzięczności, o laurach, pamiętaj, że ziemia — którą dzierżysz, nie twoja lecz narodu depozytem —

tyś jej stróżem tylko — i odpowiesz za nią w obec Boga i narodu!... pomyśl, że choćby nawet praca marną była — zrobiłeś, co Ci sumienie i uczucie Polaka zrobić kazalo — dorzuciłeś cegiełkę do przyszłej budowy — a jeśli nie dziś, to jutro będzie ona ważną w fundamentach wgielnych gmachu tego — gdybyś tylko jedną podniósł duszę, zdziałales dzieło na podobieństwo Boże!... co możesz, rób darem, bo lud biedny — ale więcej rób dobrem słowem — o bo zaiste nie tak dar chwytą za serce, jak sposób darzenia!... — niech lewa ręka nie wie o czynności prawej — pomnij, że kto biedny, nie dość, że traci niezawisłość własną, musi na siebie pracować, ale i wyciągać rękę — i długi wdzięczności dąwaga — coś więc, gdy dasz mu z gorączką, to, co ci nie jest niezbędnem — pomyśl o stanie duszy jego! — Nie jeden z was powie — nie mam tyle światła, bym lud oświecał — bom się zawczasu oddał praktycznym zajęciom, nie jeden tajemnie poczuje głos: Straciłeś twą młodość na próżniactwie — i skaziles się przemarnieniem kapitału twego czasu i uzdolnienia — o! zaiste — na to nie trzeba być Salomonem — trzeba tylko kochać lud ten czysty jak lilia polna — rzuc mu iskrę — on płomień w sobie rozdmucha — ty masz w ręku pochodnię płonąca — on taką samą — tylko niezapaloną — dajże mu ją od swojej zapaló!... uczyni iskrę jego pierai płomieniem!... Jeśliś zmarnił młodość — tu właśnie zużyteczną ją możesz i powinieś, jeśli chcesz siebie szanować. — A żona twoja cicha i zająca Polka — niech będzie aniolom opiekuniczym tych dzieciak — niech jej otula gdy marzną, karmi gdy łakną — pociesz, gdy cierpią — niech ze swemi dziełkami kocha i sieroty swego siola — które — niemają matki!... niech niezawszje jedździ koczem i brumem, niech czasem piechotą przejdzie z dziećmi swemi po siole, niech znużona przechodząc, spocznie na podwórku jakiej chaty — i przyjmie gościny chleb lub mleko, które jej całem sercem poda ubożuchny kmiołek — niech z nim pomówi, niech go ośmieli — zbuduje — pogłaszcze ich dzieciątka, popyta o nich i dobre słowo niech im rzecze — a ży same mu się zakręga w oku wdzięcznem — ona niech pomyśli, by sute ile możności obrzynki miał lud ten, gdy całe lato ratował dziedzica w pocie czoła — niech ona głosem aniola będzie — i niech jak dzwonek Loretański łagodzi męża, gdy

ten obuczony za jaki szorstki postępek wieśniaków, sroma się i dąsa — ona niech koi burze domowe, niech sprawi (a ileż mogą kobiety!) by mąż był wyrozumiałym, wspaniałomyślnym i ludzkim w sporach wszelakich — by obstal przy sprawiedliwości, gdy ona po jego stronie, ale by uświślać cudze — by przebaczał, boć i on kmieciem Boga, który mu tyle dał — i tyle przebacza!... o! nieodpychajcie takich myśli, jeśli wam je anioł wasz nasunie — idźcie tylko tą drogą — pomyślicie, kim jesteście — co was trzyma? — Jakas jest pożycia szlachica dzisiejsza? — Żyd — chłop — i urzędnik (niemówię o kaście oficyalistów) to trzy figury, które zbiorowo biją na szlachica. — On oddał Pańszczyznę, na którą ślepo rachował — jeśli ma siłę cierpieć — a ma ją, to wytrwa w ucisku — a dziś? — szlachica dawny reprezentant i król kraju — czem on dziś jest? pytam was?... odsunięty, bo i sam się ostatecznie usunął, (bo niemógł się nieusunąć, chcąc protestować życiem) — od władzy krajowej, ba — i sielskiej, gminnej, stał się z czasem istotą bierną, która żyje — używa — i zużywa tak często!... jako rolnik — żywi kraj i posuwa przypuszczalnie rozwój gospodarstwa — ale żywotnego wpływu, z bezpośrednim trudem, poświęceniem nie wywiera na naród — boć jako rolnik, żywiąc zbiorowo kraj za zboże, które sprzedaje, żywi przedewszystkiem siebie — poświęcenia więc wtem zaprawdę nie ma — stojąc tedy biernie wskutek nieszczęść, że dotąd ojczyzna nieodrzadzana — i wpływu na kraj mied — niemoże. — Jak się jąć rzeczy?... on jest istotą, którą za jej bierność wyszydzą klasy niższe — i rząd i postronni — istotą, która Bóg świadkiem niewinna, że się zrodziła sierotą po Ojczyźnie, a dotąd jej wskrzesić niezdolała — istotą, na którą ludzie złej woli i niezdy wolają z radością zawiesić i żydoszczynny: Patrz!... tam idzie procesyasa ryerczy — duchownych — królów — hetmanów i wojewodów — obrońców świata — a ty potomek skarłaty, umięjący jeść, spać i polować, siedziś w twej wiosie — odziedziczyłeś imię i mienie — bez cnót i znaczenia — i z trwogą poglądasz na ich chrobro twarze, co ze ściany zdają się urgać tobie — ty przez urodzenie Pan — szlachciec, herbowy, a nie przez zasługi własne — ty coś mógł wczoraj chłopa poniżać... ty którego oszukają i okpiwają służdy, żydzi, oficyaliści, blaźnie

biedny zamożnych blaznów twoich ... czemże — Ty — dziś jesteś?... za chwilę stracisz ziemię z pod nóg — to czem stoi tradycja Ojczyzny, a czem ty znaczący wszystko, dokąd masz ją pod nogami — i wyjdiesz z twej wioski, którą posiłdą ludzie przemysłu i bogactwa — i z szatańską radością tchórzów tryumfujących, kopną herb twój z odzwoi stracony, lękając się jeszcze, by do nich nie wystrzelił... Te i tym podobne głosy chórem wtórują rządowi, który zaimprowizował sielanki roku czterdziestego zstęgo!... Cóż więc tobie sieroto wieków, rycerza ciszy, dąwigający tradycje ogromne, wielkie czyny nie swoje, a niemogący mimo chęci takich dopełnić z natury oko-liczności — co tobie dziś pozostało — by wyjść z tego zaczerp-wanego koła, w którym sam — przez miłość ojczyzny z taką niedyskrecją dla swego Ja — darowując pańszczyznę na czas jakiś postawić się musiałeś?... Cóż Ci pozostało?... naślado-wać dziękujących spekulantów bez czci i wiary?... tych ludzi, w których cielsku dusza zatyła, ujemnych reprezentantów cywilizacji, co miana psów niewarci?... opuścić świętą grzędę ojców i groby ich święte stokroć, oddać jeszcze Niemcom lub Moskałom twą wioskę za dobre pieniądze — i pojąć samemu na miejskiego spekulanta — samoluba — jak Ci Messyasze ekono-miści, co tobie urągają?... o nie! przegniły nie!... obywatel Polaki czuje, co go trzyma i grzeje!... On wie, że się zrodził w kajdanach, lecz do chwały — wie, że to kajdany nosi, dla tego, że kraść i wyzykiwać nieumiał jak podłe sąsiady, co ojcóm jego zwolna, cichaczem jak uśpionemu Samsonowi uczinali po kędzierze włosów... On czuje duchem i krwią swoją, że palma męczeństwa ma w sobie łaskę ducha świętego — łaskę jutra — i czuje, że jemu wszystkim ziemia — ziemia — i ziemia — na której mu żyć i skonać przekazać pod błogosławieństwem straży pokoleń, zanim jej nieodzyskają — że o tyle jest Polakiem — o ile ma ziemię pod nogami!... a wielkiego ducha w piersi. — On niepójdzie do Ameryki z butami na kiju szukając złota — bo on jego kopalnię znajdzie w piersi własnej — i w ziemi własnej — niepójdzie spekulować ani frymarczyć jak Żyd lub Anglik towarami ciał ludzkich, lub kłaniać się wrogom po urzędach ... nie! przez Boga i matkę jego!... Jego tylko bój święty o narodu niepodległość, o cudzą choćby nawet niepodległość,

wywoła jedynie z rodzinnej wioski — i tam poleci walczyć i ginąć, marząc, że walczy za swoją Ojczyznę!... a jeśli nie to — nie go niewywabi i niewyprze, jeśli gniewiony i nękaný nie-potrafi się zdobyć na drugi rok 1831? ¹ to skona przy własnym płocie — i kości zmiesza z ojców kośćmi a sam idąc przed sędzię świata, przekaże dzieciom odartym i ubogim, ale czystym jak ła, swój sygnet herbowy jako tradycję, by nim błysnęły w oczy wrogom ziemi — a na sędzie ostatecznym by mógł tym sygnetem błysnąć przed sędzią, jako go pojmował i dochował wierny podaniu swemu — ale dla przyszłości — dla rozspę-cia pracy o niepodległość — i własnego wyzwolenia przez to — co mu pozostało?... co?... czy wiesz ty co? odarty, skrzy-wdżony krzywdą Polski ubogi ale bogaty złotem sercem szlachciem?... wiesz, co ci jedynie pozostało — dla Ojczyzny i dla Ciebie na ostatni ratunek?... i niezawodny?... toś patrzyłeś w niebo — a niebo miłczy — świat dał Ci pocałunek Judasza — boś sam! wiesz więc, ty zbladła, milcząca, dumna opo-życio świata — co tobie pozostało?... oto masz w sobie ten ra-tunek — lud! lud! lud!... któryś tak długo przesłępiął i ten przesłępianiem go ślepnął tak, żeś niewiedziły którydy najłat-wiej odwalił grób Polski!... Patrz! na ten lud równie biedny, biedniejszy jak ty — bo ciemny całkiem — podejrzujący Cię, oszukiwany — gorszony — okłanywany — istna tra-gedia świata, nad którą Bogu serce pękć musi, że jej swym cudem rozwiązać nie może — bo ludzkość tylko ludzkimi środkami cuda osiąga — ten lud w ciemności przez wroga na Ciebie podjudzany — patrz na to błędne stado — rzuc w te umyły iskry oświaty — przytul, opowiedz jego dzieciom, jaka była przeszłość i chwala ziemi którą orze, jaka dziś niewola i nędza — a sama piąć im się zacięcie z czasem i spyta a gdzie Ci co ją ukrzyżowali?... wypłacz boleści twoje bratnio na jego piersi — a on niech swe na twojej wypłacz... uczyni płomienie iskry piersi jego — a dłoń w dłoni — świat przedzicie i nikt wam drogi niezajdzie! — dłoń w dłoni powołacie przed sąd Boga morderce, gorszyciele, szatany wasze — i szatany całego świata!... i piorun nowej Ery błysnie na świat z tyla-

¹ Piasek r. 1839.

nicznej — podwójnej pierśi waszej — gdy Herakles naprzód pójdzie z uwolnionym Prometeuszem — tryśnie im w oczy, że upadną pod nogi wasze, pod zemstą waszą, by litość otrzymali!...

To sen Kościuszki, o którym śni on dotąd w swej mogile — to krew Dębowski i Łukasieński, co oto woła!... a sama pierś króla Jana przeczuła to — swego czasu, co na cześć jej dzisiaj chłopca do broni za ojczyznę powołać żądała!... O szlachto Polską! oświeć lud — a masz Polskę!... oświecając go zbawiasz ją — zaniedbując, zabijasz, zdradzasz, zbudzenie przedłużasz. — O szlachto Polską! zbliż lud do siebie i wspólnie idźcie przez życie — nie bądźcie szlachtą — i ludem — ale narodem — tytanów podwójnych — uzupełniających się potęgą wzajemną!... Nie lękaj się, gdy spotkasz ludzi, którzy nieraz pod płaszczykiem demokracji, jak świętoszek pod płaszczyk świętobliwości, prywatę własną drapują, nieraz są zli kapłani — ale patrzmy religii nie kapłanów — co jest skorpionem — własnem żądłem zginie!... Ty byłeś ludem pierwszym, ciałem rycerskim niegdyś — dziś duchem stań się pierwszym z narodów a i ciało twoje ożyje!... lud ciałem twem będzie, bez niego duch twój bezwładny — w tem koniec niewoli!... Czujmy przeszłość — odrzućmy z skrzydeł czarne jej pióra jakie są, rzućmy z dobrą wolą płaszczyk Jafeta na słabości Noego — a pomnijmy, czem był Noe! — i pomnijmy na własne słabizny! przeszłość jest matką błogosławiającą przyszłość, jak syna idącego do boju!... biada podtemu śmiechowi Chama, który niebawem w skowytanie napiętnowanym będzie!...

Obywatelu Polską!... staraj się z sił twych kształcić — i przez siebie lud kształcić — staraj się rozwijać, nie bądź dumny — bo przeszłość nie twą zasługą — kochaj lud więcej jak siebie — bo Polskę w nim kochasz!... przebaczej światu, ćwicz dłoń do korda Ojców, gdy go wzięcie przyjdzie — a pomnij, że tylko w miarę tego, jak ty lud twój podniesiesz. — Bóg Ciebie i przez Ciebie Polskę podniesie — Polsko święta!...

Polsko mesyjańsko ukrzyżowana wśród Chwastów Golgoty — Polsko przybita!... obudź się radością!... oto dwaj młodzieńcy

niosą ciało twoje święte na barkach swoich — jednym z nich szlachta Polska — drugim lud Polski — obaj twoje dzieci równe — jak bliźnięta twoje i bracia ślubni — bo kiedy jeden walczył za kraj i rządził krajem — drugi niemo cierpiał męczennikiem przesądu i ucisku czasów, żywiąc kraj rycerzy!... obaj bracia miłośni — ty ich matką a Bóg ich Ojcem — patrz!... Polsko! Polsko!... Oni Cię niosą!...

W Przyszłość!...

A na głos ich wspólny i nieme łzy, co z oczu ich padają na twoje ciało jak perły najdroższe których słońce ci pozazdrości, zbudź się!... dusza twoja, co odleciała do Pana do czasu wraca z radością by na nowo ożywić siebie i świat cały wstrząsnąć w posadach jego piornym miłości i odrodzenia — dniem wolności i łaską ducha Świętego!

† Amen!...

O! mów mi jeszcze — jak w twoim szalasio
 To dziecię święte umierało ... słowa
 Twoje na serca piekło, jak majowa
 Rosa mi spadną...

JUCHAS.

O błyskawic czasie

Leżała niema — bo straciła mowę,
 Tylko kazała się wynieść na trawę
 Wskazała gwinzdy i ... rość majową
 Pila ustami ... na was oko łzawe
 Wziosta, a potem na błyszczące gwinzdy
 Jak ptak, co patrzy za swych ojców gniazdy ...
 Niosłem ją płacząc ... dusza wspominała
 Jak ona zawsze do wody zbiegała —
 Jak ze skał ptaszkiem zlatala, aż w cieniu
 Stawała cicho na wielkim kamieniu,
 Kędy Dunajec huczy dziką falą ...
 A za nią hurmem strzyżyski¹ jak za swoją,
 A ona idąc ciskała im kwiaty
 W ślad po za sobą ...

LIRNIK.

O!... wy ciszy świasty,
 Prędzej się utniecie do mnie z śmierci zbroją...

JUCHAS.

Kiedy na górze po nad Kościeliakiem
 Błysnęła tęcza, Ona u skał szczytu
 Wśród stada strzyżek wyszła jak z błękitu
 I w tęczy stała ... tam, kędy drzew ściśkiem
 Skał wieńiec szumiał — i poczęła schodzić
 Ku halom z stadem, a na rękę miała
 Drobne jagniątko, co niemogło chodzić
 Bo było słabe ... i smutno się śmiała —
 A gdy schodziła w koło strzyżek, dzwonki
 Zbyrczali² głośno ... przed nią dwa skowronki

¹ Owce.

² Dzwonity.

EPILOG.

Z gór gdzie dźwiękali strasznych krzyków brzęmię,
 Wdziałeli szala obiecany ziemie...

BRZEMINNY.

Kurz ist der Schmerz und ewig ist die Freude ...

F. SCHILLER.

Boleści! witam ciebie stępnąca z nieba!
 Matko czyndów surowa dla ludzi niestrzyżni,
 Posłanko boża! dzień twa z powodziłego chłeba
 Pokarm duszy wypieka, chleb niebojski czyści! ...
 Sercom wielkim tyś matką — młaka twego trzeba,
 By wyrwał niem pojony wielki maź iród gniaz
 Wieszcza do chwaly — bohater do wieńców wawrzyn...

KSIAŻEKOWSKI. HYMN DO BOLAĆCI.

Tatry — dołina pięciu stawów — poranek letni — bursa górąka przechodzi
 — po skałach jeszcze rzyce echa piorunów — po turniach mgły się wloką
 — bokiem wśród mchów i paproci spada Sikkawa — na jednej z skał wyżej
 Bostki nad Pępielstawami Juchas prowadzi cieremno Lirnika — grzmoty
 długo jeszcze kosają ...

LIRNIK.

Tu szczyt — już odejść — dzięki Ci pachole,
 Daj mi twe czoło, bym Ci błogosławił —
 Bym życia mego rozpacze i bole
 Wiankiem na czole twojem pozostawił ...
 O tak! dziś jestem u boleści szczytu —
 Już niedaleka dusza ... od błękitu...

Leciały w błękit — a piosenka dziewczyny
 Jak zdroj płynęła cicho przez doliny —
 Zem kląkł i myślał że jeden z aniołów
 Duszycki pędzi z nad ziemi padolów ...
 Kiedy ją niosłem ... z szalasu już samą,
 Włosy jej białe wlekiły się po trawie
 I białe jagnie za nią szło — i łzawie
 Bezczoło — gwiazda świeciła nademną
 I pies mój biały u nóg jej się złożył
 I patrzył cicho ... jam się o was trwożył
 I ręce cicho spotła otulone
 I tak konając jak święta milczała.

LIRNIK (śpiewa).

• Rączki na pierś złożone,
 • W niemy uśmiech się śmiała....

JUCHAS.

Potem ... zasnęła — na zawsze — i cienie
 Nocy opadły — biały pies wyl przy niej —
 Jam płakał — niebios gwieździły przestrzenie
 I z turni हुआł strumień po dolinie — —
 W ciemnościach pójrzę ... i kląkłem! —
 Nad czołem

Wianek ognisty miała wśród ciemności...
 To — świętojańskie robaczki — co kołem
 Nad skroni jej drżały — jak gwiazdki miłości...
 I w oddaleniu kędyś słowik nucił,
 Kwitły paprocie ... nad zdrojem spienionym,

LIRNIK (szwedząc).

• A za nią ktoś się smucił
 • Na wzgórk — na zielonym?...

JUCHAS.

Dajcie mi lirę — bo wam cieży starcze!...

LIRNIK.

O nie — nie dziecię! siłami wystarcz! —
 Jak krzyż pod górę doniosę do szczytu

Lirę tę wdowię, aż tony w błękitu
 Tonie wypuszczę jak sokołów stada
 A z niemi dusza wyplynie...

O! biada —

Pieśniom żywota, co jutrzni przedświtem!
 Czy to Siklawa grzmi — tam w oddaleniu!...
 Jakby szatany stracone, skowitem
 Wściekłości niemej w pychy potępieniu?
 Podaj mi rękę — siadę —

JUCHAS.

To się grzmoty

Toczą po górach — z gór lecą na góry
 I rozsypują się wśród mgieł ciemoty
 Wyją jak dziań! wśród turni król ponury
 Którego księżyc zaczął złoty —
 Bo jego młoda królowa — dziś łania
 Zaczarowana — skalami ugania
 Przez wodospady sady! ... aż dogoni
 Ją kula dzika z Juchasowej broni —
 Przeskakując wodospad — i spada
 Strzelona — w przepaść ... nad nią orzeł dziki
 Szumiał — od drugiej kuli padł — skrzydłami
 Zwinął jak gwiazda lecąca światami
 I za nią przepadł!...

LIRNIK.

Skąd szum ryczy biada!...
 Odejdź już chłopcze ... więc mnie nikt — hen w siolo
 Już niepamięta?... hen! Pawła z Krzeptówki?...

JUCHAS.

Nie — nikt was nie zna —

LIRNIK.

O! wy jasne główki
 Ja błogosławie was — na waszem czole

* Niedziwici.

Niechaj swoboda gwieździ — na wiek wieka — —
Zostaw mnie —

JUCHAS.

Tutaj?... sami? bez człowieka?...

Wy ślepi, starczy — wróć do was — wróć
Tam hen już chmury pognały — a gromoty
W Rybiem¹ przepadły ... i tęcza poranna
Blynęła w górze ... cni² mi się ... ot wróć
I cubę³ dam wam, bo chłód — słońce za chmur wroty
Zaszło — niech wzrok wam wróci Marya Panna...
Idę już, strzyski wygnąć, dla was kwiatów
Uzbierać!...

(Zbiega po skałach i znika u wodospadu.)
(Woląją od Roszki.)

Piosnkę wam zanęć!...

LIRNIK.

I ja ci piosnkę tęskną z moich świątów
Wieniec jaskółek nad głową rozrzucę...
(bierze liść i śpiewa, wreszcie piosni gromoty osuwają się w oddaleniu.)

O słońce! dobranoc tobie!
Już nieabłyńiesz mi w górach,
Bo tęskny w ducha żalobie
Uleć na czasu piórach...
Uleć w ducha żalobie
O! słońce — dobranoc tobie!...

Z gór schodzą strzyski zbierające
W dali fujarka pasterza
W hymn wiecznego pacierza
Płacze błąd rosy po łące
Woła w tęsknoty żalobie
O słońce! dobranoc tobie!...

¹ W Morskiem oka.

² Tęskno mł. —

³ Cubę, burkę.

Lasy szumiące po górach,
Z skał grzmiące w otchłai strumienie
I orzeł wiszące w chmurach,
I pielgrzym, tęskne westchnienie
Spłetił akkordem w żalobie
O słońce! dobranoc tobie!...

Żegnajcie wód górskich piany
Wśród nocy z szczytów skał grzmiące
Jakby strącone stany
W zbrodni swych otchłai lejące...
Drę płaszcz pielgrzymi w żalobie,
Natura! dobranoc tobie!...

Żegnaj ludu z nad urwiska
Gnieźdzący ducha z wysoka,
Żegnaj ciszo Kościelska
I burzo Morskiego oka,
Twe lica przyśnią się w grobie —
O burzo! dobranoc tobie!...

Rzucam głębie, skał krawędzie
Co mi w brylach stwórcę wórzą —
Tylko Ciebie jedną wszędzie —
Ciebie spotkam ducha burzo...
Tam na żywych zmarłych grobie
O burzo!... dzień dobry tobie!...

(Przestaje śpiewać — gromoty konają po górach, wreszcie ustają zupełnie.)

W kołonnie wszystkie potęgi przyrodzenia rzuciłeś o Panie
— gromy twoje ryczą jak trąby aniołów, a odgłosy ich po
szczelinach skał wstają z przepaści jak chmury duchów na sąd
— a ja niewidzę tego obrazu, co czuję w mej duszy — o!
pomnę, widziałem przed laty dolinę tę, jasnymi oczyma sieroty
— młodość cudna moja, jest jak słońce, co zaszło — ale
zejdzie w ludzie i z piersi jego tryną strugi na świat jasną
pięknością — i nią ozłocę świat — ale w życiu szłaś ku mnie
świątliwości jak marna mara — ha! słyszę cię piorunie i czuję

burzę, choć liców jej niewidzę — jestem sam nad przepaścią — starość stargala mi siły — których nie niestargalo ... ha ... dreszcz śmierci przechodzi mnie ... zimny pot czuje — cisnąłbym się z tej skłny, gdyby nie przeszłość moja!... ale ty o! damyśli leka ty niezgasłaś wo mnie jeszcze — — choć wściekłość zwątpienia rozdziera mnie w walkach samotnika!... Co za szum — to orle przelataje ... leć leć, orle i nie ustań aż w przyszłości!... patrz na mnie stwórco — na mnie syna twego — samotnego — dzikin starganego bolem — który z burz życia przynoszą Ci korne w obec ciebie dumne w obec ludzi serce niepoknięte, choć tylekroć pękało — na mnie samotnego — odartego z miłości moich, który niemam nic prócz boleści i truczyn żywota, których syt jestem ... glos gromu i krzyk orla tylko są druchami tego ducha, który targa się, szamocze z piekłami nieśmiertelnością swoją rozumny!...

GŁOS NIEMAJOMEHO.

Jeszcze inny towarzysysz wchodzi w sprawy twoje — biedny człowiecze — tak zimno dokola — może Cię płaszczem moim otulić — do usług twych — jestem turysta — ale tyś ślepy starcze — a ślepi turyści na szczytach przypominają mi posąg ironii — jaki wicher zawiął Cię tu listku suchy, z grobu na którym drzemałeś?...

LIRNIK.

O! znam Cię szatanie — nieraz słyszałem Cię w sercu mojem! ha! i ty jeszcze! — szanuj boleść człowieka i w smółki roztop się przed nią!...

GŁOS.

Ha! ha! ha!... orle mój — niebyłbym szatanem, gdybym ja szanował — dość długo pilnowałem szpar i rysów, któremi pruchniało młode serce twoje — dziś — czujesz, że ja tu panem — a niemóżesz mnie stąd wyrzucić — za słaby jesteś — boś w Sybirze starości — i wspomnieniem młodości mi zło-czecząc, musisz ze mną pakta zawrzeć!... Jestem rzeźbiarzem — dyktantem — niegdyś ukulem posąg żony Lota oglądającej się — teraz Ciebie studuję — per bacco piękny jesteś!...

LIRNIK.

Prez odemnie! bo obecność twoja piekłem napelnia mi piersi ... lirę potrząskam na głowie twojej!... prez!...

GŁOS.

Dziwna jesteś naturo!... żeby ten błędny człowiek ... wiesz człowiecze — że nawet mnie Szatanowi Panu, żal mi Ciebie! — tyś taki stary, taki samotny — sam rozumem twoim i życiem przeżyłeś ideały duszy twojej — każdemu zamkniętś sam oczy — kaźden niemo powiedział ci «umarle» — i wonią grobów przeraził — tak że szysterstwo z Ciebie doszło na samo dno piekła — bo niegdyś bywała tam litość, kiedy chrapały Eumenidy na dnie jego wrzucone losempieknoci, ale dziś piekło składa się z sanych dyplomatów — a ich prezesem Meffisto w swojej osobie — głowa niewidoma widomej władzy — tak jak u was głowa niewidoma głową talowa ... cha! cha! cha!...

LIRNIK.

I niewodź nas na pokuszenie!... Ojcz! stary i siwy przeszedłem przez życie — jestem jak drzewo, którem nad przepaścią targają wichry i wściekle burze — a ja stoję — ale spuśd raczej grom twój!... czyż duch mój tak silny jest — by to wszystko zwyciężył. Wszak jam człowiek tylko...

GŁOS.

Spójrzyj, że za siebie mój biedny robaku! prawda — jesteś szlachetny — aleś cnota — to stare wykopalisko, stara spleśniała moneta Rzymska — którą zaledwo jaki numizmata oryginal z gryspanu oczyszcza — bo już bez gryspanu niema cnoty — ona służy za płaszcz do przekradania uczuć przez komorę litery prawnej. — Racz tylko spojrzied w przeszłość twoją człowiecze — przynaj, żem gentelman, choć przy mnie zwycięztwo ... widzisz tam za sobą, jak w poranku twego życia wschodzi słońce sławy nad tobą — ty z zapalem wulkanu w piersi, z dumą młodzieńczą — ciągniesz, walczysz — zwyciężasz na skrzydłach pracy — młodości — i wiesz, że będziesz wielkim — tyś sobie to szeptał półbennie i naiwnie — ale jam Ci to ryknął wśród pokus nocnych — a tyś mną pogardził — i

kopnął z memi skarbami?... ha! dziś wracam — jam się nie-
zestarzał ... śnił Ci się geniusz z orlemi blaski, ci co go nie-
mają, umigają się do niego — tyś go miał i odepchnąłeś go —
pogardałeś sławą — tak! to była piękna chwila — prawda —
takie mają mało duchów — czasem zazdroścę! ... Bo duch,
co nie niema — a wszystko zdobywa wielki w obec tego,
co ma wszystko — ale poświęćcieś to dla mary trudnej,
odepchnąłeś bohaterem pokusy ducha i ciała czysty i surowy,
zrucieś pracę, nad którą oczy twe światło straciły — a po-
święciłeś się ludowi narodu twego — i przechodziłeś życie
w stępaku jak osioł lub wół powszedni?... pięknie! cudnie!...
było was trzech — i cóż po was zostało?... tyle, co po tej
dziewczyni, co posiwała młodo i umarła z nędzy w szalacie
Juchasa!... Tamci dwaj zginęli marnie — ty trzeci czolgasz
się w zwątpieniu, czasem podlecisz resztką skrzydeł, ale życie
przekonało Cię o nicości swojej — że lotu już nierozwinięsz...
i drzysz od zwątpienia, co jak wąż coraz wyżej od nóg do
piersi Cię obwija — i ścisła aż trzeszczą kości szkieletu duszy
twojej!... ten lud któremu poświęciłeś lata, zdolności — siłę
poświęcenia się. —

LIRNIK.

Milcz! poświęcenia niemaż kędy jest miłość, jesteś
nadtó nędzny, byś to pojął — i tu początek szatańskiej głupoty
twojej ...

GŁOS.

Cha! cha! lud ten sam porwał na poszept wrogów kosa na
głowy wasze i błysnął nad niemi moją iskrą najpiękniejszą —
a dziś wasz następcą zmarnił okrucy swego mienia i jak
pies skończył ... ha! a lud ten wasz bohater, dziś w rękach
cudzych przerabia się cały — że pół wieku jeszcze — a mowy
swej zapomnie dla miłości cywilizacji ... Także wam Bóg ten
błogosławił ... ha! ha! odepchnięty wracam i przypominam się
jego pamięci — ale dziś niema koncesji. —

LIRNIK.

Potworze!... nie dla widoków świata zrucielem żądze moje

— ale przez miłość dla miłości ... i dusza moja tem słoneczniód
się będzie na sądzie ostatnim...

GŁOS.

Ha! ha!... nieśmiertelność — tylko wielkie duchy czują
nieśmiertelność — ten wasz Bóg — i ja! walka to straszna
i daleka — ale on się chyli i rysuje — wy sami drżycie
w tych gmachach waszej tradycyi, by wam na lby nie-
runęły. —

LIRNIK.

Gentlemen się roznamiętnia. —

GŁOS.

Bo wyście zdegenerowali krwią i duchem — stare dzieci,
piosenkę wam na sen!... ta wiara przejdzie — i was w grobach
swych zagrzebie — i was i Polskę — i Waszego Boga — a
w tedy moje Panowanie na tronie pólennego materializmu
z koncesjami dla ducha sybaryty...

LIRNIK.

Haniebna potworo! ta Polska, którą za miliony strącono
do grobu doczesnego, gdyby miała śmiercią wieczną umrzeć,
byłbym dumniejszy runęć ird jej gruzów — jak stać u szczytu
waszych potęg fałszu!... który może królować bestyalnie pod
płaszczem świętym wolności nawet wiek — i dwa wieki — ale
zginąć musi jak kaido materya — negacyo samego siebie —
gardzę tobą!...

GŁOS.

Przepysznie — już krzyż zasłużyłeś w Państwie mojem —
ale wiedz, że kto na serce bez rozumu, jest kloaką w której
każdy zrobi swój interes — i pójdzcie — tak tobie ludzie zro-
bili — o! bo ludzie już o nieskończoność odbiegli od typów
Chrystusowych. —

LIRNIK.

Tem właśnie wiara wielka — że do końca świata tryum-

fuje mimo małych narzędzi — męką ducha dowróci ludzi królestwa Bożego!..

(W dolinie słychać pieśń Juchasa.)

ŚPIEW.

Idą strzyżki idą
Krychowiecką pyrcią,
Tylko dzwonki zbyszczą!...

A Juchas za niemi
Z nad lasów strumieni
Na doliny ziemi!...

Tak Chrystus ze łzami
Duszeczki skalami
Gna w niebo cierniami!...

A gdy która zginie
W skalistej dolinie
Jezus szuka ninie!...

Płacze za nią, płacze
Za pisklęciem kracze —
Strumień łez wypłacze!...

A gdy ją odszuka
To swą łagą¹ stuką
W niebo — aż świat hukną!...

Świat gromów trzęsieniem —
I niebios sklepieniem
Trzęsie jak podsieniem!...

LIRNIK.

Przez usta maluczkich ratuje mnie Pan — to jeden z tych,
którym objawił że: spokój na ziemi ludziom dobrej woli!...

¹ Łaską.

GLEOS (po pauzie).

Ale idźmy dalej — kiedy Cię wypędzono z przytulka pracy
i poświęcenia, ślepy wziąłeś lirę jeszcze, by na ten lud działać;
podziwiam cię! ale właśnie ten lud, nad którym pracowałeś,
zmdrzał — i śmieje się z lirzenek — a ty jak smętny blazen,
co mogłeś siebie i przez siebie drugich wznieść — odrzuciłeś
to — błądasz się podle a przed tobą — nicosić — oto ekspiacyna
chwili szalu — zwanego poświęceniem!...

LIRNIK.

Nie efektem świat stoi — efektem gardzi mistrz prawdziwy
— przez!.. odepchnę ciebie malej lirzenki czystym płaczem,
co jako rosa na kwiatach drząc, cierpieniami ludu modli
się Bogu — cierpieniem nieśmiertelności, która nieprzejdzie
choć wieki przejdą. —

(Zaczyna grać na lirze.)

GLEOS.

Brawo! brawo! co za wirtuozi!... a ja do tego akompaniamentu
zaśpiewam ci piosnkę gminną pełną poezyi romantycznej...

(Śpiewa trawostojąc.)

Tam! na wzgórkę tam! na zielonym
Żegnał Jaś matkę, siostry, braci...
Szedł w świat za orłem swym wymiowanym
Młody, z wiarą — pięknej postaci...
I zawołał — strzecho ma rodzinna!
Żegnaj! o! wróć — do was wrócę —
Wielki sen przędzie ma myśl dziecinna
Wstanę — i nędrę waszą skrócę!...

Po latach wyją przy przed chatą
I wdycha matka, bracia, siostry

Pod płotem szkielet z czarną szatą
 Stoi — a wiatr nią targa ostry...
 Stoi — śmieje się trupia szczątko
 O! czy już Jasia niepoznacie?...
 Łańcuchem szkielet swym pobrzęka
 Stoi — przeraża ich postacie —
 O z chlebem, sółą w dobrej woli
 Witacie! przychyłając nieba
 Lecz moich sytym — niechęc soli,
 I sytym jest gorczyco chleba!
 I wola — nicość na dnie świata —
 Miłość — enota — głupstwem jest! marą!
 Człowiek robakiem, który wzlata
 By upadł w bagno — z myślą starą!...

Ha! ha! ha!... czemuż urwał Orfeusz?... Widzisz od twojej
 muzyki sam szatan odejście lepszy — drzewa i skały — i zwierzęta
 się zasluchaly — tylko nie ludzie!...

LIRNIK.

O! echo twoje słyszę — i chył się za tobą. — Panie!
 Panie! za coś mnie opuścił. — On wie, co czyni ten, co mnie
 dręczy w skonaniam... zasady chce mojej — a przeto niemogę
 jako za niewiedzącym się modlić — o ludu!... kto iskry pierś
 twoją uczyni płomieniem?...

GŁOS DZIEWICZY Z GORY.

Liry twą wznieś i nią strąć szatana!...

GŁOS PONURY.

W istocie — iskry te złoży się na piękny płomień — pię-
 kniejszy od piekielnego — mój — człowiecze — wiesz ty, co
 to człowiek? —

LIRNIK.

(Podnosi obręczę liłę, czyni nią krzyk w powietrzu i ciska nią w szatana.)

Preca! w imię Ojca światłości —
 W imię męczenników Świętej!...

(Duch zwłópnienia z rykiem stacza się za akal liłę ugodzony.)

LIRNIK.

Sędzio świata! tyś mnie osierocił — aleś mi dał skrzydeł
 dwoje na drodze postęgu — wierzę do końca! choćby stońca
 z niebios padały gąsienic w przeszczeniach nicości — dzięki za
 koronę Cierni twoją!... idę! idę!... czuję, że przyjdzie świat
 lepszy — tam wstaje w tryumfie boleść przebolana — i wazech
 piękność to moje anioły — one wołają mnie ku tobie!... Boże!...
 oto stoję w obec Ciebie!...

GŁOS DZIEWICZY.

Patrz tam! zrzuc oczu ciemność — mów czy widzisz?...

LIRNIK (wzruszając ramionami).

Z oczu mych ciemność opada — ja widzę!...
 Ha! chwala! chwala! Hozanna! o duszo
 Wzleć już wesola i spocznij przed Ojcem!...
 Tam gdzie daleko — nad otchłami tonem
 Na moście z tęczą łez — ach! i męczęstwa
 Idą tam! wielkie słoneczne postacie
 To naród mój!... ha! hetmany i króle
 A tu najbliżej największe te śnieżne
 Posągi — co kraj zbawiły z niewoli!...
 Patrzcie Kościuszków! Barskich! i Legionów!...
 Ach! i rycerze łony Listopada... i męczennicy
 Krwawi — o lasów dzikich te rycerze!...
 O! zgń z radości dumna duszo!... naród!...
 To naród mój!... największy wśród narodów —
 To Polska święta na ludzkości czele!...
 Ha! naród mój!... a niema szlachty Polskiej
 Niema już ludu Polskiego — lecz jedno
 Wielkie i święte braterstwo jednoci
 Co niesie zdjęte z narodów łańcuchy —

Za nimi kroczy ziemia wyzwolona —
 Nie ma już Polski w więzach ... o! bo ludność
 Cała zbawiona czynem dobrej woli
 Polską się zowie! jako sprawiedliwa —
 A Polska święta zowie się ludzkością —
 O! patrz!... duch święty gołąb nowej Ery
 Przed nimi płynie jaśniejszy nad słońca —
 On ich pieśniami nad ziemskich harmonii
 Wiedzie przed ojca światłości — tam! w wieczność!...
 Idą przed Pana! ... o jakie miłośni!...
 Te wielkie dziejów i świata Heruby!...
 Że piramidy przed nimi padają —
 Góry schylają się przed nimi w otchłań —
 Za skal już wolni ducha Prometeje
 I biją czołem przed nimi!... i piekła
 I wszystkie światy na sąd ostateczny
 Lecą oglądać piękną córkę Boga
 Oblubienicę Chrystusa po krzyżu
 Widzę!... o Boże!... tęcza łez milionów
 Powstaje jasna — niebo się rozwarło...
 Idę — o! idę — ja tu!... niktą w śpiewie
 Alleluja! na grobach męczenników!
 Alleluja! na grobach narodowych!...
 Co się już stały znakiem zmartwychwstania!...
 Tam duch twój Święty!... gołąb nowej Ery
 Przed memi wzlata — gwiazdą Betleemu!...
 Szatany w pieklach wyją jak zbawione
 To Alleluja od niebios ośnione...
 Tam nad otchłanie ... idą w niebios wieczność —
 Na ziemi cnoty króluje słoneczność!...
 Witaj mi Polsko!... ja Cię widzę wolną!...
 Ja czulem czem ty jesteś! ach! i czołem
 W skały uderzam i konam z radości,
 Że i jam cierpiał w twe imię!...

Hozanna!...

(mówi)

Ojczyzn nasz!...

(i konna — w dali odzywa się dźwiękiem poranny i chór aniołów).

LIERNIK.

... któryś jest w niebie święć się imię twoje! ...

CHÓR

(męczenników).

Ojczyzn wszech światów! ty iskro żywiołów!
 Nad burz łunami, w ciszy majestacie
 O! czuwający nad sen apostołów
 I w prawdy śnieżnej nad śnieg biały szacie!
 Na dziejów wielkich tajemnie pieczęci
 Miłości źródło i morze!
 Oto się Imię twoje święci
 Przelane w wszelkie wszechbytu przestworze!

LIERNIK.

Przyjdź królestwo Twoje!

CHÓR

(aniołów).

Przez tęsknot puszczę i przez walki morza
 Wzburzone w wiekach dziejowym rozkwitem,
 Do Ciebie płynie jak wstająca zorza
 Z nocy objęcia ludzkość — ofiar szczerem!...
 Przyjdź twe królestwo!... to głosy wszech światów
 Arf naszych skargą wołają miliony,
 Idą przez lany pobożowisk kwiatów
 Ze splecionymi harmonii ramiony!...

LIERNIK.

Bądź wola Twoja — jako w niebie — tak i na ziemi!...

CHÓR

(archaniołów).

O płyną w przyszłość!... lecz w drodze otchłanie!
 Biada Ci jeszcze o stopo pielgrzymia,

Ludzkości! . . tylko, co się stać ma — stanie!
 Lecz niech się własną pracą duch zolbrzymia!
 Bo siłą Twoją tylko własna siła
 A cudem twoim cud, co z siebie sama
 Wywołasz — wołą coby z Bogiem była
 Którego piekiel niezwykłoty brama!...

LIERNIK.

Chleba naszego powszedniego — daj nam dzisiaj!

CHÓR

(Serafów.)

Ach! tyle ust się otwarło spragnionych!
 I tyle ciemnych, oczu — za światłością!
 Chleb im żywota niosą skądś danionych
 Dłonie zranione! i łamią z miłością!...
 O męko ducha! w twojem arcydziele
 Trudu wszech trudów — niedalekaś brzegu,
 Chleb wasz na dzisiaj!... lecz ducha wesołe
 Chlebem żywota stanie w planet biegu!...

LIERNIK.

I odpuść nam nasze winy,
 Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

CHÓR

(Cherubów.)

Patrz na te rzesze! o ojcie miłości!...
 Ach! One mają tylu — białych ludzi!
 Co zesłał z krzyżów pełni tej światłości
 Co przebaczeniem — ducha wrogów budzi!...
 I jako dziecię wiedzie go w koronie
 Po stopniach wieków ku prawdzie wolności,
 Rodzice Adama! aż sam się w przyszłości
 Zbawisz — skroń złóżysz u Ojca za tonie!...

LIERNIK.

I niewódf nas na pokuszenie!...

GŁOSY JANA I SALWATORA.

Ach! ale jeszcze! tyle piekła! tyle
 Walk i przekleństwa ma zrumienić w gromy,
 Nim obiecaną na Golgocie chwilę
 Zdobędzie ziemia, wzięta w pokus szpony!...
 Targa się!... schyla głowę zasmuconą
 Jak lilia mrąca pod stopy słoneczne,
 Aż «Pocieszyciel» w pierś osamotnioną
 Spłynął!... matery szaty — zmienia w wieczno...

LIERNIK.

Ale zbaw nas odezłego!...

GŁOS NIEWIEŚCI.

Przez czyste zasług i zwątpień gorycze
 Duch Polski płynie — ku tobie! ku tobie
 Przez sieci gromów, cudów tajemnic,
 I wąpli razy sto — w swojej żalobie!...
 A wrzeczono nawet — zwątpienia cofnięciem
 On postępuje w burzach ku przyszłości,
 Ach! bo on ojezo! synu! twem dziecięciem
 Najmilszem — własnej messiaszem wolności!...

CHÓR WSZYSTKICH CHÓRÓW.

Bo on złe swoje — w dobre cierpiąc zmienił
 Przeto się zbawił — i wieczność ożenił
 Z duchem, na wieczne
 Bóstwo bez końca,
 Co jest słoneczne
 Choć gasną słońca
 U jego stóp!...
 A on świetlany
 W gromy odziany
 Stąpa jak ogni słup!...

Wolny! ramiona rozwarł krzyżowe
 I wziął w objęcie ludzkości głowę!...
 I tak ją wiedzie przed stopy Pana
 Z nią się rozściela z krzykiem: Hozanna! . .

CHÓR Z DOLU I Z GÓRY.

Słyszysz te głosy rozanieleno?
 Ach! to śpiewają piekła zbawiono!...

DUCH LIPIŃNIKA.

Amen! Amen! Amen!...

RÓŻNE WIERSZE.

Ach! du lieber! was wird dann schmerzlicher und länger gesucht, als ein Herz? Wenn der Mensch vor dem Meere und auf Gebirgen steht und sich erhebt, so streckt er die Arme nach der grossen Freundschaft aus! — Und wenn ihn die Tonkunst und der Mond und der Frühling und die Freundschaften sanft bewegen, so zerbricht sein Herz und er will Liebel Und wer beide nie suchte, ist tausendmal ärmer, als wer beide verlor!...

JEAN PAUL. TITAN.

Z tą młodociałą Raula była monologiem
Jednym — pomiędzy naturą a Bogiem. — —

.....

Są skrzydła w dachu, byle je rozwinąć,
Są gwiazdy jasne, byle patrzeć na nie,
Wierd sfer słonecznych można orłem płynąć,
I na obłoku złotym mieć postanie —
Na tpezy łuku spocząć po strudzeniu
Byle rość w nicostw ziemskich zapoznieniu —
I śmiało można z anioły się bratać
A czarą byća brad wojsa z bosaj ręki,
Po nad otchłanie strug światła wiatrac
I wopierd ludzi stanąć kiedem męki,
Byle podmiędzy czolo do Jehowy
Drać wzgardę w obec płytkiej zmysłów mowy —
I modną śpiym dać barwy w żronięc
Choremym pielęgniom byd siłą w zniekanu
Zwątpionym rzucić przyszłości kotwicę
A w grobie ległych wiedę ku smartwychwatanis
Byle miłością ziać się z kryzja panem
I przebaczeniem byd podłych tyranem...

A. Z.

Dien parle il faut qu'on lui reponde,
Le seul bien qui me reste au monde,
Est d'avoir quelquefois pleuré...

AL. DE MUSSET.

S E N.

POEMA.

Arfo tyż odział chcesz tężami życia
 Co sen w znikome odział mgieł powicia?...
 Chcesz pieśń wydzwonić, co się z piersi ciśnie
 Ha! więc niech jeden jeszcze promień tryśnie!
 O! na me gwiazdy siostrzyce — w błękicie,
 Wolę sen wielki — jak nicości życie!...

I.

Widziałem duszy mojej oczyma ...
 W objęciach błuszczy ruiny,
 Nad gruzem gruz się kolumną spina
 I dąży w chmurne krainy ...
 Na gruzach baszty skąd powiewała
 Niedgdy chorągiew wolności
 Gniazdo tam ściele orlica biała
 Z włosów skrwawionej białości ...
 Wśród zwałisk życia niedgdy potęgi
 Pruchno wśród głazów świeciło,
 Dziś na nich szumią drzew, zemsat przysięgi
 Jęk nad ofiarnych mogiłą ...
 Gdzie dwa filary ku nieba dążą
 Śród zwałisk reszty, głęboko ...
 Jako dwie wielkie myśli, co krążą
 W obszarach jasných ... wysoko ...

Tam dwaj młodzieńcy w milczeniu stoją
 Każdy o filar oparty,
 Każdego szaty żałobne stroją
 Bo każdy matce wydarty!
 Nad ich głowami dachem namiotu
 Co się ruchomie kołysze
 Gwiazdolitę toń kołowrotu
 W wieczności odziana cisze
 Ich serca biją jednakiem drgnięciem
 Duszami jedna myśl włada
 W kraję ciemną zbiegli marzeniem
 Ich cel — tyranów zagłada —
 I nagle obaj w wspólne objęcie
 Padli niewyrzekłszy słowa,
 Dusze w przyjaźni śnią wniebowzięcie
 Spowiedzią — westchnięciem rozmowa — —
 W tem piorun z niebios po między nich strzelił
 Lecz w ich objęciu piersi nierozdzielił —
 U stóp ich skonał we wstydzie —
 Ku wspólnej braci obydwie...
 I obaj jak dwie chmury rozwiane — zniknęli
 Piorun ich nierozwał — i któż ich rozdzieli?...

II.

Widziałem duszy mojej oczyma
 Postać — jak siostrę aniola,
 Oczom jej blaaku równego niema
 Lilia uchyla jej czoła —
 Wśród dziewic ziemi równej niebyło
 I już niebędzie do końca;
 Znikła lecz duszy mojej oczyma
 Widzę ją ... pigkną nad słońca —
 Po świeżej błoni
 Kwiatów i wopi
 Stąpa w tęcz swoich toni...
 Wkoło paprocie, Fiołki, stokrocie
 I kwałie w rosy słońca...
 Za nią młodzieniec

Idąc, na wieniec
 Zrywa ... kwiaty — potępieniec!...
 Na jego skroni
 Skarłat się płoni
 Pęk kwiatów drzy w jego dłoni —
 U nóg dziewicy
 Kładł je w tęsknicy
 Tonąc śrenicą w śrenicy...
 I z zwoja kwiatków
 Lili i bratków
 Fiołków róż i bławatków,
 W oko szaleńca,
 Patrząc, młodzieńca
 Wieńczy — swego potępienia!...

Splotła paproć, po paproci
 Wplata kłos ze złotych łanów,
 Po nim stokroć, po stokroci
 Kwałie kwiatek młodzianów,
 Dalej kwiat dziewic fiołek,
 I narcyz kwiatek pasterzy,
 I kwiat aniołów lilij
 Co nad główkami się ziołek
 Czystością z aniołem wzbije...
 I laur kwiat dumy rycerzy
 I narcyz kwiatek pasterzy
 I cierni kwiat zamków i chaty!...
 I niezabudkę, Malutkę
 Poranków, Spłakaną
 Kochanków, Kochaną...
 Tak splotła wraz wszystkie kwiaty
 I na młodzieńca je skronie
 Składa — a młoda skroni płonie —
 Już na wichry potępieniec
 Pędzi — w swe odległe świąty
 Zniknął młody zapalenić
 Tylko za nim wichrów szaty
 Dzikim śmiechem zaryczyły. — —

III.

Widziałem duszy mojej oczyma
 To samo dziewczę aniola
 Też same kwiaty — ta błoń dokoła
 Tylko z oczyma sokola
 Pierwszego młodzieńca niema!
 Lecz u nóg smętnej dziewicy
 Klęczy już drugi młodzieniec,
 Żrenicą tonąc w żrenicy...
 I on ma oczy sokole
 Lecz z ich głębi — błyszczą bole —
 W kółko paprocie
 Fijolki stokrocie
 I tymanki w rosy złociste!
 Za nią młodzieniec
 Krocząc, na wieniec
 Rwie kwiaty — rwie potępieniec!
 Na jego skroni, szkarłat się ploni
 Pęk kwiatów drzy w jego dłoni —
 U nóg dziewicy, Kładł je w tęsknicy
 Tonąc żrenicą w żrenicy!...
 I z snopa kwiatków
 Paproci, bratków
 Fijolków, róż i bławatków
 Wijąc zwój zwieńcza
 Ona młodzieńca,
 Wienieży miłości szaleńca!...

A on wstał uwieczony
 I wieniec rzucił ze skroni
 I zdeptał myślą wzniesiony —
 I dumnie poszedł po błoń —
 Twarz swą od pięknej odwrócił
 Kwiaty jej pod nogi rzucił —
 Tylko wichrów nieme szaly
 Słowami jego konaty!...

IV.

Widziałem duszy mojej oczyma
 W objęciach bluszczu ruiny,
 Sokielet zamczyska — niegdyś olbrzymia
 W prochu dziś kolumn olbrzymi...
 Tam dwaj młodzieńcy — ci sami! stoją
 Lecz jakże inni, zmienieni,
 Dziś nagie miecze ramię ich zbroją
 Zbiegli się z świata przestrzemi...
 Upiór przysięgi święta przysięga —
 Jak widmo lęgła w oczy —
 Ale ich ustom przekleństw potęga
 Ulata i miecze broczy...
 Czyż król piekielny w serca się wcielił?
 Miecze ich z sobą się zwarły,
 Pomigdy miecze ich piorun strzelił
 Lecz mieczów ich nierodził
 Takim się bojem zażarli!...
 Sypią się iskry piekielne,
 Drżą krzyki nocy śmiertelne,
 Jak posągi zemsty stali
 I znów na się nacierali...
 Księżyc wysuwa twarz bladą
 Zawiał nad skały kaskadą,
 I ciągnie burza zdaleka
 Niebo się w straszny wdzięk stroi,
 Wśród nich dziewica już stoi
 Geniuszem lśni jej powieka
 Łączy ich ręce napróżno! —
 Piorun się zaśmiał: Zapóźno! —
 Starszego młodzieńca głowa
 Jak kamyk z góry strącony,
 Leci w otchłań z skały stromej...
 Wieniec jej kwiatów skrwawiony —
 W tem na jednym z zwalisk głazów
 W biegu wstrzymana stanęła,
 Ślady twardej stali razów

Gwieżdżą jako pomsty dzieła ...

A z ust jak z źródła wiecznego

Krew bucha, strumieniem toczy,

Już szuka koryta swego

I dolin kobierce broczy ...

W tem pośród burzy odgłosów

Zleciał orzeł — porwał głowę

W szpony chwycił chmurę włosów,

I roztoczył skrzydła płowe,

Aż znikł z nią wśród burz niebiosów!...

I w strasznych sieciach piorunów,

Uniósł ją z ziemi piorunów ...

V.

Widziałem duszy mojej oczyma

Rozległych stepów obszary,

Po nich z upiorem cierpień olbrzymia

Z młodzieńcem pędzi koń kary —

Krwią od ostrogów spienione boki,

Lice na wicher rzucone —

Pędzi jak wicher on chmurnooki —

Przed nim mkną sowy apłoszone

Bez łzy, o! tylko z płomieniem w oku

Z rozpaczą w sercu zbudzonym

Odarty z wiancy swojej uroku

Czołem z wieńca obnażonym ...

Naprzeciw burzy i wichrom szalony

Gnał klnąc swej doli, paścił konia wodze,

Z oczu cudowne spadały zastony

I kłął swą gwiazdę w młodocianej drodze

Przeklął swój wieniec i jasną dziwieg —

Tę błyskawicę,

Co go nad otechłań zawlokła harda —

Dziś w sercu jego — pogarda!...

W tem koń padł — skonał! On kłak jak dziecię

Co krzykiem duszy sieroctwo przeczuwa,

Stanął — duch jego w pół śni — i pół czuwa

Zadumał — w ciszy o ludziach o świecie

Stanął oparty na jakiejś mogile

W głębi cmentarza — długie — długie chwile ...

Cmentarz świerkami zarośnięty szumiał,

Przez powalone krzyże i kamienie

Po mchu zdroj leśny jak życia wspomnienie

Szemał — on padł na grobach — płakał umiał!...

Różnejd rosy był jego na kwiatach

Odróżniał księżyc na paproci szatach

Raz jeszcze pojrzał w niebiosy gwieździaste

Lecz w oku jego gasło światło czyste —

Zwątpienie duszy żrenice zaćmiło —

On krzyknął! — bo ną całej — ziemi ciemno było...

Gwiazda za gwiazdą gasła, spadała,

Lecz ranek wstawał z obłoków

A karawana gwiazd już konała

Śmiercią słonecznych proroków ...

A im gwiazd więcej na niebie znikalo,

Tem więcej krzyżów na mogiłach stało ...

Kiedy ostatnia konała gwiazda

Orzeł ku niemu z chmur czarnych gniazda

Zleciał ... z tą głową niegdyś ... przyjaciele!...

A twarz ta żywa — i pełna wesela ...

Cicha — wymowna potęgą wspomnienia

Pełna miłości — pełna przeboleń!

Orzeł się schylił — głowę, co unosił

Przytulił do ust jego, ustami,

I usta zwały się płomieniami

A duch się czasu z boleścią prosił —

I między usta ich piorun strzelił

Lecz pocałunku dusz nierozdzalił

Usta we wspomnieniu żalobie

Z anielstwem drżały przy sobie!

Lecz orzeł wionął skrzydły wichrowemi,

Na powrót głowę uniósł w niebios strony

A w tejsze chwili z ramiony drzącemi

Drugi młodzieńiec padł w sen niezbudzony ...

I arf anielskich od gwiazd drżały hasła

Gdy orzeł trzącał chmury skrzydły swemi,

Ostatnia gwiazda bladła ... w jutrzni lóny
Spadła ... i z gasła!...

I konające z rosą spadły tony —
Gdy w niebo leciał duch rozkajdaniomy,
Kędy pioruny w przepaściach wieczności
Śpiją jak psy wiernie, przy stopach miłości
Zdeptane siłą jej nieśmiertelności ...
I za tym orłem, co nioła w szponach głowę,
Co jeszcze drżała pocałunkiem bratnim
Leciła pieśń ma w krainy tężowe
Jasna łzą pierwszą — uśmiechem ostatnim.
A ty przyjaźni, droga, ubóztwiona
Witaj mi — młodsze dziecię Laokoona!...
O niebłuzi duszo! miałaś sen uroczy,
Jakiego inne niewidziały oczy ...

1857. Kraków.

P R O M E T E U S Z .
(RAPSODYA MITYCZNA.)

(PROMETEUZA SAM ROZKRETYŁO WANT U SZKALY NADMORSKIEJ.)

Przekleństwo wam bogi!...
Karły przemocą okrutne!...
Ale na dzisiaj tylko!
O! boleści ciężka stopa
Co przeszła po niej twarzy
Wydeptała ślady dróg
Co wloką tam w chaos!...
Oko moje!... takie małe ...
A jednak leż tu nieznało ...
Małe — jednak ogromy
Tu i tam ... widzi!...

Zuchwałą

Piersią o! próżno was targam
Lafiechy moje!... kłnę was
Eumenid żer — po którym
Zdechłaby piekiel moc krwawa!...
O! wody wody!... kropli wody!...
Za iskrę waszą kropkę wody
Syny śmiertelne!...
Im silniej targa się ramię
Tem głębiej w ramię się wżyna
Żelaznych ogniu wąż!...
A pierś ma — o! pała
W skry wieczne i niezgaszone
Całą nieb', piekiel potęgą
Skrami, co w płomień pożaru
Oplotą niebo i ziemię!...
O! szamocz się pierśi ma!
Skalo bądź twardą nad serca
Braci mych — o nie! o nie!
Twardszą być niemożesz

Nie — o!...

Jęcz wilczye stu krwawym porodem
Bo nikt nie słyszy prócz skal!
O! wyj wścieklej skargi bołem
Piersi skuta ... skały tylko
W koło Ciebie rozumieją
I echem jęklivem w płacz
Wtórzą twych losów skargom!...
Skalem żał się i lasom
I morzu i ciszy gwiazd
Tylko nie ludziom!...
Jam ci dał wszystkie rozkosze ziemi
Ty mi twe wszystkie dalaś boleści!...
Serce! bądź krzemieniem
A skrzysz iskrę przyszłości!...
Pękni pierśi ma — pusto w okolo —
Pałą mnie trzewia zgłodniałe
Co orla rostargał żądliwy
Dziób!

CHÓR MRÓWEK POD SKALĄ.

Tam! tam! tam!
 Praykuty ... trap to już ...
 W górę! ol w górę
 Olbrzym zdobyczą nam.
 Karłikoma malutkim!...
 Tam! tam! tam!

(Podąż w górę.)

Tak — okryjmy, co ciało wraz
 Olbrzyma, maleńkich ciał
 Miriadę! tak! żądłami kołęc,
 Roztoczmy tę wielką pierś!
 Soków brudnych czernią
 Błazgając — mordujmy — a żrąc
 Olbrzyma — może w olbrzymów
 Wzrośnięm ...

Tak! tak! tak!
 Próżno się targa!
 Łańcuch żelazny
 Wskałę się wplótl namiętnie
 Boleść! — boleść ma!...
 On nasze mrowiska od wieków
 Po kretach odziedziczone
 Jednym nogi krokiem
 Zgniółł — zgniółł na miazgę!...
 Zemsta!... Tak! tak! tak!...

PROMETEUSZ.

O! czarno — czarno do koła —
 Tyle już razy wschodzisz
 I zachodzisz słońce —
 Witaj, mi cudne! ty to ja!...
 Orle mój! gdzieś ty jest,
 Choć szarpać trzewia
 Bo się nudzę — ha!...
 Choć ty mnie ranisz
 Skrwawionym rogiem,

Że iskry przelatują przed oczy me —
 Orle! stęskniłem się za szumem
 Skrzydeł twych złotych
 Białkiem słońca!... za orlą żrenicą twoją!..
 Boć i ja orzeł!...
 Lecę bezskrzydlaty, skrzydlatemu
 Zdobyczą bo mnie się lęka
 Bóg —!...
 Choć niemam skrzydeł ja,
 A on w pięść ścisnął grom!...
 Orle! orle! gdzieś ty, mój, jest?
 Mniejsza o was o karły!...
 Żywcie się mną póki czas!...
 Orle mój orle! gdzieś — ty jest?...

ORZEŁ

(nadlatując).

Lecę, lecę, głodny żeru —
 Wylatałem się po szczytach gór —
 Po chmurach i gwiazdach —
 Napieściłem słońce żrenicą —
 I nagardziłem się drobnym światem —
 Lecę ty tu —

Ty zgraj o suchwała?

Mnie orłu ten żer —
 Toć wielka ofiara —
 Bogów trwoga!... precz z tąd
 Na zatracenie precz —
 To Bożków Bóg!...
 Skrzydła musnięciem
 Strącam Was z piersi olbrzyma —
 Tam w głębi tońcic fal —
 Tam w morzu tam,
 Co bije ciągle o skalę
 A kona u jego stóp —
 Tam gińcie tam
 Bo mnie ta wielka pierś!...
 Przyszłości pierś!

CHÓR MRÓWEK TONAĆ W MORZU.

O! o! biada!
Trwoga nam!
Koniec nam!

PROMETEUSZ.

O! o! o!

ORZEL.

Głodnym — i wściekły gniew
Głodnego orla znak!...
Szpony moje wyostrzone na skałach
Rozkosznie zapuszczam w trzewiów
Twych mięsz!... o występną kroplista
Krwil!

Spragnionym!... pijąc Cię mile
Z przelknięciem mem patrzę w niebo
Co upiję!... o! nad niebo

Lepsza twa krew!...

Dziobem moim targam i krwawo
Żrę ... to serce ... twoje —
Co zawsze zakrwawię —
I zszarpię — a zawsze
Nowe odrasta ci
I bije jak źródło czystą krwią
Choć słońce je pali!...

PROMETEUSZ.

O! o! o!

Piekłem czuję w głębiach piersi
Jak grzęzną szpony twoje —
Jak dziób' twój targa i żądli
To serce wielkie!... o! ale
Orle ty! ja lubię Cię!...
Żyw się tem sercem
Największem z serc! —
A choć drzę z męczarni przecznę
Co dzień
Gdy usłyszę o!... skrzydeł twoich szum ...

O! o! o!

Radości też trwogą ja drzę
Gdy usłyszę twoich skrzydeł szum
Co dzień!...

Targaj! targaj!...

Wyję z boleści jak pies
Kurczę się jak rozcięty ja, wąż —
Lecz patrzę z rozkoszą w oczy twe!...
Orle! ach! orle mój!... ja cię Kocham!...
Ja klnę tą miłością ciebie!...
Orle mój! — o!... cierpię!...
Lecz szal mój! szal dziki o!

Miłość!

Orle! o ach! o ach! a!

ORZEL.

I ja choć targam Cię —
Szczęśliwiejszym tu na tej skale
I niezajrząc brata memu
Co tam siedł przy Zeusa boku —
Boś ty większy jak Zeus!...
Bo Zeusa serce raz zżarte
Odemnie — niewróciłoby —
Zeus byłby bez serca! —
A twoje wiecznie odrasta —
I wiecznie serdeczny ołbrzym ty!
A tam — nie ma co wyjadać!

CHÓR MORSKICH PTKÓW.

O ha! o ha! o ha!
Burza rozplata warkoczce
Okeanid wesłem
Kołują wieńce fal!...
I stoi na wichrów wozie
Wleczona chmurami lun!...
Żrenicami
Błyska!...
Piorunami

Wichry smaga
 Pianami Ciska,
 W płomieniach swych naga,
 Rozwija skrzydła!...
 Hej! morskie straszyla!...
 A dla nas ten! a dla nas ten
 O ha! o ha! o ha!...

ORZEL.

Dla was! wy kruki o podłe
 Co burzy wróżyście los...
 Jeszcze nie ścierwem ten skutu tu!...

(Wzbija się.)

PROMETEUSZ.

Rozpłynął się w czerni chmur!
 Krzyk — wrask — chmurą w morze
 Jak warkocz opada
 Ptastwa czerni.
 Okeanidy wstają z fal,
 Wieniecami kolują wśród pian —
 Usypia mnie ich pieśń —
 I ramię moje drży
 Do śnieżnych miękkich ciał...
 Pietrzy się, głębi krew!...
 Przekląty Zeusie!...

OKEANIDA

(Ulatujące ku stopom jego z fal.)

Kocham Ciebie!... szaleję
 Za tobą namigtna!...
 Daj stopy swe
 Ustom mym całować!...
 Ja niewolnica twa
 I pieśń ma tobie!...
 Ale mnie kochaj!... kochaj
 Albo zgin!...

PROMETEUSZ.

Zmień się w zemstę
 A będę cię miłował,
 Dokąd nieobojęm, kochanki mej
 Przyszłości. —

CHÓR OKEANID.

Biada! Biada! Biada!...

(Nikt.)

ORZEL

(wzruszając).

Już piana rzuca piórami
 Ścierwokruków!...

BURZA

(miałując morzem).

Orle! orle! precz!...
 I ja chcę dziecię moje
 Kolyśać i ja poić się
 Z Nim!...

Wszakże on dziecię burz!...
 Kochanku mój!... pamiętasz
 Kiedyś mnie mamką zwał
 I targał warkocze me

I z chmur mych ssał! —
 A węzłem w żyłaste okuwszy ramię
 Spienione kąsał mi wargi ... ha!...

ORZEL.

O nie! o nie! o nie!...
 Zeus mi go dał!...
 Szponami się uchwyć
 I skrzydły memi zabiję jego — i ciebie
 I siebie —
 A nieoddam go!...

CHÓR FAL.

I my! śpiewione, zdąsane
 Bałwany w głębi jęczące
 I my bałwochwalim go!...

I my się rozpędzim zdala
 By rozdarła o skałę
 Spinają się w śmierci płas
 Oblizad krew jego nóg!...
 My każdą kroplę krwi,
 Co z niego spada w nas
 W konchy najdroższe kryjem
 I na Hekaty je czolo
 Niesiem miłością my!...
 Precz orle precz! on nasz!...
 On dziedzie głębi i szczytów —
 Nie jest u szczytu — więc głębi

On król!...

Za nim posiadzie szczyt!...
 I my go żądne, pokolysad
 Popieścić na toniach naszych
 Zanucić mu w syren piastunek
 Namiętny, słowiczy chór!
 Boć i On dziecię nasze
 Dziecię głębi On!
 I w nim jest głębiej niż w nas!...
 O! w konchy bogini my
 Utlim go, utulim
 Bo ot bezsenny — już może
 Zapomniał słodkiego smu lica,
 Co pocatunkiem lubo, rozkoszenie
 W kolebce konchy, my
 Oderwanego ztąd ukolyszem
 Uśpić dającinę dumną
 Co wołać wstydzi się
 Choć pali piekielny go ból!...
 Precz! orle precz!...
 Uchwycił się szponami
 Trzewiów jego ... i zerwać się
 Niedal!...
 Próżno go tłuczem pianą —
 On skrzydłem gromi nas!...
 O! o!

On milczy! Promethe! Prome!...

O zacięta mu zęby wściekle
 Wzgardy dłoń,
 Piorun by ich nie odważył —
 On rozdarł usta w dziki
 Od ucha — do ucha

Śmiech!...

Chychocze, zgrzyta w śmiech dziki
 O! nie radości to chychotanie
 O w orla patrzy — o!...
 Wigę wichry — bracia wy
 Sworą strąćcie go nam!...
 My żmiję skrzydlatą
 Udamis — zalejem wnet!...
 Szalone, zdąsane
 O skały pękajmy
 U jego stóp
 Miłośnie konajmy
 Ho!.....

Z PÓLNOCY. PIERWSZY CHÓR WICHRÓW.

STROFE

Precz, precz skrzydłata żmijo —
 Nie tobie serce to,
 Nie tobie co wisiaz pod szczytem
 Skrzydłami!

Z ZACHODU. WTÓRY CHÓR WICHRÓW.

ANISTROFE.

Precz, precz żarłoczny latawece —
 Nie tobie serce to,
 Nie tobie, co spadasz w głębinę
 Skrzydłami!

ORZEE.

EPODON.

Szarpcie mnie!... targajcie mnie!
 Ha! ha! żaden niezwygiży!...

Silniejsze skrzydło me!
 Dumny ja wietrzny król, ha!
 Im silniej dmiecie,
 Tem silniej, głębiej szpony me
 Trzymają się trzewiów tego
 Co oswobödził chacieci!...
 Dumnym ja! ha!
 Ja ptaków — ja zwierząt
 Prometeuszem!

CHÓR WICHRÓW AKKORDEM.

Precz! precz! precz!
 Ha! ha! ha!...

CHÓR WICHRÓW Z POŁUDNIA

STROFE.

O, odczep te szpony zuchwało
 Od bladej ofiary
 Patrz jak krwią zacięte
 Nabiegły mu usta!... ho!...

CHÓR WICHRÓW WSCHODU.

ANTISTROFE.

Orle ha!... ty królu, my wiemy
 Żeś silny — lecz sam już
 Wbij lot twój nad góry
 Lot wielki okaż nam!...

CHÓR WICHRÓW AKKORDEM.

STROFE.

Precz!... precz! precz! w pian
 Otehlanie!... precz! na fali
 Spłyni i jak łabędź
 Łabędzie pieśni nasz!...
 Z fal zerwij się królu!...
 I wleć na stropy błękitów
 Rozszwad pioruny jak Zeus!...

ORZEL

(spadając w głąbie).

Słabną ... przekłete pióra
 Skrzydeł ... moich ... i szpon
 Przekłety mój! ho!... kołują
 Ziemia i niebo w krag!...
 O! wściekłość! piorunu Zeusie!...
 Spiorunuj i niedaj tak zdychać! o!
 Ofiara moja! ach!...

PROMETEUSZ.

Orle moji! orle gdzieś ty —
 Ciemność dokoła — tylko wichry
 Słyszę — tylko noc widzę —
 Orle, kędyś ty —?...

(Gromot i wichry.)

CHÓR FAL.

Tu, tu, tu!
 Orle! wielki ty! —
 Ptaków ty fal Prometeju!...
 Pójdziem w taniec w tan szalony
 Z nami, z nami w wir śpiemiony —
 Oplaczem z krwi szpony — dziób!...
 Tu w nasze głąbie toń,
 W nich grób!

CHÓR WICHRÓW.

Grób! grób! grób!

PROMETEUSZ.

Gdzieś ty orle mój — gdzie?...

ORZEL TONAĆ.

Wytęgam skrzydła — i dziób otwieram —
 Krzyk tę ostatni
 Prometeju mój!
 Promete ... Promete ...

(tonie).

PIORUN.

Skalo ty! zajrzałem z Zeusa
 Pięści tobie!...
 I ja chcę uwięzić go —
 W ogniste ciernie iskier mych —
 Przez skal, fal, wichrów chór!
 Ja Pan!...

(Uderza w Prometeusza, który milczy.)

Zgruchotałem Cię skalo
 A jegom nie zgruchotał —
 Więc czoło uwięczę mu —
 I wolę jego być dłoni
 Niewolnikiem
 Jak pięściedłem Zeusa ręk!
 Tam!
 W dół ... pójdziesz Prometeju
 Niezwyciężony
 W górę strącony
 Ty zaw!

CHAOS.

Ty Pan! Ty Pan! Ty Pan!

PROMETEUZ.

Ha — —
 Pali mnie ogień dziki
 Pali me czoło wieniec —
 Ale duma pyszni się moja!
 Orle! orle czy twój ... to głos!...
 O nie! milcz skargo!...
 Ja za wielkim jest!...
 Tam ludzki głos ...
 Niech człowiek ni Bóg
 Niebłuzni mej ciszy —
 Niesłyszysz skarg ... milcz!...

(Chmura okrywa go.)

GŁOS HERAKLESA.

Ty Prometeju! tyż bracie mój!...
 O do mnie siło!...

Dzieł mych korono...
 Na skalę wdrap się —
 W Pantery dziki skok!...
 Do mnie siło!... niech ginę,
 Jeżeli nie stargam tych pęt
 Jak pająka nić!...
 Rozkute ramię twe!...

PROMETEUZ.

Nie! nie! Heraku stój —
 Wolny ten tylko jest
 Kto się uwolni sam!...
 Rozkute ramię jedno
 Tem jednym o! naturo
 Patrz!... z skały, co mnie więzi,
 Żelazem moich pęt
 Krzesząc w nią, bijąc —
 Iskrę dobywam Ci!...
 I tchem dam jej potęgę,
 Co wstrząśnie skalę tak
 Ze ot — wypadnie z niej
 Narzędzie niewoli!... własną
 Siłą w wolność zmienione!...

HERAKLES.

Stargane pęta two —
 Biję Ci czołem w głaz!...
 Wolniśmy! idźmy dłoń w dłoń
 Jak z ręką silny młot
 W Kyklopa wzniesion miot!...
 Nierwyciężony
 W górę strącony
 Ty zaw!

CHAOS.

Haw! zaw! zaw!...

PROMETEUZ.

Ty na ziemi bądź —
 Ja w Tartaru cień

Zapadam!... Aż iskra ma
Co świecąc graje — a grając świeci
Będzie płomieniem ludzkości!...

(Zapada w Tartarus.)

(1856. Kraków.)

PIosenka.

Kiedy z siołków zerwanych po rosie
Upadnie parę kropel w szat twych zwoje,
O pomyśl wtedy, przy słowiczym głosie
 Że to łzy moje!
Kiedy woń róży, co talisz u łona
Z oddechem twoim połączona, skona,
O! pomyśl wtedy nad urwiakiem zdroja,
 Że to miłość moja!
A jeśli róża, której świeże zwoje
Kładziesz we włosy, śmiejące się jak dziecię,
Cierniowym wieńcem zrani czoło twoje,
 Pomyśl, że to moje życie!
Gdy myrt, co ręką wypięściła twoja,
W swym marmarowym usechnie wonianie,
Pomyśl jak brzoza pochyliwszy skronie,
 Że to śmierć moja!
Wtedy cyprysu rzuć gałąź w płomień
A gdy błękitny jak żrenica Twoja
Uleci płomyk — pomyśl przez wspomnienie,
 Że to dusza moja!
I wstanie księżyc po nad leśne zdroje,
Z siołka łza spadnie o słowiczym głosie,
Duch mój pomyśli wiejący po rosie
 Że to łzy twoje!
I będę szczęsny — i o szczęściu mojem
Powiem wszem listkom dreszczami północy,
Potem się zwięję z anielskim snem twoim
 W błyskawic nocy!

RÓŻA I PĄCZEK.

(SZKIC Z ALBUMU.)

Widziałem na urwisku skał — nad wodospadem
Krzak róży — na nim jedna rozkwitnięta cała
Kielich wonny i ciężki ku ziemi schylała
A na niej perła rosy — jak łzy drżała śladem ...
Obok niej wśród listeczków się pączek różowy
Rozkwitał — lecz nieskłem jeszcze rozwinięty
Jak wyraz ust młodzieńca, co w półuśmiechnięty
Chwyta łzę z oka lubej, w poranek Majowy ...
I cudne były obie — tylko ta, co miała
Perłę na dnie kielicha, zbladła mi się zdała
Jakby już opadanie śniła ... za słowicze
Hymny, swej niemej woni, oddając słodycze —
A pączek się uśmiechał zalotem motyli,
Kiedy mu wietrzyk listki na pół rozwinięte
Rozwiewał — jak z uśmiechem usta zaplonięte,
Co pierwszy pocałunek rozwarł w rajskiej chwili ...
Lecz widziałem dwie siostry u tej życia drogi,
Obie wraz przekraczały ciemne losu progi,
Obie w swoim objęciu, w miłości tak rzewnej
Jak dwa drzewa szumiące wraz, wśród ciszy śpiewnej
Majowej nocy, razem wzrosłe, z nad urwiaka,
Gdy jedno na pasie — a nów nad ich szumem błyska —
Tylko jednej schyłona cudna głowa była,
Błękitne oczy smętnie przyszłe życie śniły
W złotym warkoczu, modra niezabudka lśniła
Cichą łzą — choć się usta uśmiechnąć siłyły —
I miała tęskność Polki na anioła twarzy,
Którą, z cierpień ojczyzny części, biorą dziewicę,
Czuwając nad żniczem domowych ołtarzy,
Gdy płaczą tym uśmiechem marmurowe lice ...
Druga — pełna uroku — i ognia w żrenicach,
Czoło swe czarnobrewne wznosiła radośnie,
Uśmiech, jak słońce wечно jaśniał na jej licach,
I nigdy niezachodził: — była krewną wością!

Śpiewała jak rusalka — jak skowronek dzwoni,
 I rosła jak konwalia — co niezna swej woni —
 Dowcip strzelał z jej oczu, a wesołość wiodła
 Tylko na widok smutku, by otarłszy z czoła
 Zmarazczki bliźniego, znowu podwójnie wesoła
 Z swych myśli kołowrotka, złote nitki przędła ...
 I poszły, w strumień czasu, co z pod stóp ucieka,
 Na drugim brzegu we mgłę znikły ich postacie,
 I niewiem kędy zaszyły — —

Lecz w wiosennej szacie

Dotąd kwitną dwie róże — jedna łzawa, z białem
 Czołem — a druga krasny pełen wonny pączek,
 Godzien wianka miłości — i kochanki rączek
 Obie schylone w otchłań — po nad wodospadem ...

Burzo!

Choć ty żywiołów potęgą owładniesz,
 Różo!
 Ty w pieśni mojej — — nieopadniesz!!

S A D Z A W K A.

(USTĘP Z NIESKONCZONEGO POEMATU.)

O cichy stawku, błękitny w poranki
 Jak oko nieme, wymownej kochanki
 Kiedy się księżyc w twych falach kołysze,
 Ja na nich wiosem me wspomnienia piszę!
 Tyle ich tutaj — że jak gwiazd ... nieliczę!
 Lecz jedna gorzyc mąci ich słodczyce:
 Dzieckiem tu ptaszka z gniazda przynosiłem,
 I chcąc go uczyć pływać — utopiłem!
 Wydął skrzydełka — i dzióbek otworzył
 I płynął — płynął — po cichej głębinie,
 Aż zniknął — wtedy chłopczyna się strwożył,
 Bo myślał, że on, naprawdę tak płynię ...
 I w fali ujrzał, splakaną, dzieciną
 Twarz, pierwszym w życiu wyrzutem już winną. —

Po latach — z świata, wędrowny młodzieniec
 Wraca w ten ogród — serce pierś rozsadza,
 Widzi swe chwile — jak przeszłości wieniec —
 Ze światem wspomnień wśród drzew się przechadza —
 O! zna je wszystkie — wita — i poznaje —
 To wzrosło — tamto wyrzuciła burza
 I mąk rozkosznych w tej nocy doznaje,
 We mgłę się cichą rzesza gwiazd zamurza
 A tylko bąka dalekie łukanie
 Słychać po łąkach — i psów ujadanie
 A gdzieś w oddali — ciche fletu granie ...
 I spłynął księżyc nad świerków konary
 I rozrzewniły się lipy szumiące,
 I cicho szemrał miłościw dąb stary,
 Brzozy nad wodą, warkocze kąpiące ...
 I stanął pielgrzym aż przy starej gruszy,
 Wspomnił jak rano wtedy było w duszy,
 I nad tym stawkiem zatrzymał się łzawie —
 Stal — stal — aż upadł na wonnej murawie,
 I wspomnił ptaszka, co utonął marnie,
 Gdy piskłę zadał pisklęciu męczarnie —
 I jeszcze wyrzut czuł — jak dzieckiem prawie!
 W tem pojrzy — iskrą ... coś płonie na fali
 Błyska — i błyska — przepada w oddali ...
 To świętojski topi się robaczek —
 Ginie już — ginie — coraz dalej krzaczek —
 On jak był w sukniach — choć błądy chorobą,
 W fale się nagle, zwinną rybą cisnął,
 Porwał robaczka, uniósł na brzeg z sobą,
 I rzucił w nocny błękit ... a on błysnął! ...
 Błysnął — poleciał — jak chwila wspomniona —
 Błękitną iskrą zawisł mu nad głową.
 A pielgrzym w falach ujrzał w noc Majową
 Młodzieńczą twarz — jak syna Laokoona,
 Ale z uśmiechem zadołuczynienia
 Co wabił z fali łabędzie wspomnienia,
 I jak bluszcz zakrył ruiny zwątpienia —

O gdyby można za swe wszystkie winy
 Zadość uczynić tak, wśród tej godziny ...
 O leć w błękity robaczku iskrzący,
 Gdy wszystko ciemne, tyś jest jaśniejący,
 Tak wspomnień moich perły, lśnią żalobą,
 Gdybym błękitny był — — licialbym z tobą!...

Z POEMATU RAUL.

(ZE WSTĘPU.)

Był czas, gdzie żądza wielkości i sławy
 Jak szarpała pierś moją młodzieńczą,
 Był czas, gdzie strumień oczu moich ławy,
 Gasił pioruny ducha, które wieńczą,
 Młodość Tytanów buntu majestatem —
 I tak zwieńczoną — unoszą nad światem!
 Wtedy nad Alpów i Piramid szczyty
 Nosilem głowę — i piersi mej tony
 Gnałem jak fale wzburzone — w błękity!
 By tam o Boga pierś — i Boga trony
 Bijąc, pękały — i duszy pragnieniem
 Mojem — niebiosów zatrząsły sklepieniem!
 I wargą moja namiętnością drżała
 Jak całe piekło — a snem była: chwala!
 Ja chcę być wielki! — krzyknąłem wśród nocny
 Na wielkiej skale, o burzy godzinie,
 I serce z piersi cisną nakształt procy
 Na wrogów nędcę — niech ich nędcza ginie!
 I duch mój zdumniał! a tym jednym krzykiem
 Wziąłem na duszę czarną chmurę, którą
 Aż z ciałem zrzuć — kiedy w noc ponurą
 Pójdę precz — z orłów moich kluczem dziłkim —
 O! lecz te wszystkie wulkany ogniste,
 Te gwiazdy duszy jak miłość preczyste,
 Te tajemnice nocom spowiadane,
 Wspomnienia — tylko mojej piersi znane,

Zakończył uśmiech zwątpienia zdziwiony,
 Wiecznie płaczący, bólem zszataniały
 Jakby zawiąszy ducha mu — spełkały!...
 Lecz chwałę jego, że niemoim bólem,
 Bo on ludzkości bólów — stał się — królem!...

ROJENIA ZAKOCHANEJ.

O gdyby mnie był Pan Bóg chłopcem stworzył,
 Byłabym — może! jego przyjacielem,
 On by mi serce swe smutne otworzył,
 I moich tęsknot był powierzytcielem ...
 I razem szlibyśmy — zawsze! dłoń w dłoni
 Błądzić daleko, po lasach, po błoni,
 Patrząc w swe oczy smętnie i milcząco,
 Całowalibyśmy się — godzinami!
 On by dłoń moją w swojej ściakał drzącą.
 A ja bym z jego igrała włosami ...
 Wieczorem — razem, tam na mchów pościeli
 Na wiejski smętarz, szlibyśmy o! sami,
 Wieczorne gwiazdy witać — i techniami
 Piersi swych niemych czuć, co strun tonami
 Arf drgnienia czują, kiedy je anieli
 Na tęczach kłóćcać poruszają ustami ...
 I tam nad mogił zielonych darniami
 Nieraz z modlitwą ku gwiazdom, dłoń w dłoni,
 Usnelibyśmy, oicho, skroń przy skroni
 Noc przemarzywszy — o Boga, aniolach,
 Tułać do siebie rosą chłodne lica,
 Z pocałunkami przy świetle księżycy ...
 Znow wstając z słońcem, szlibyśmy daleko
 Przez mgliste lasy, spoczywać w rozdołach
 Przy szumie kaskad, gdy nas mrok otoczy,
 Znow niemą wieczność patrzeć sobie w oczy!...
 Lub razem w bitwie paść na wonnych ziołach
 I razem w jednej odpocząć mogile,

Pod jednym krzyżem!... ale gdzie mnie wleką
 Myśli, w szalony powikłane motek —
 Jedna za drugą biedne serce tłoczy
 A w kącie stoi próżny kołowrotek
 A mnie się marzy tak smutno! tak mile!
 Raz pierwszy w ławie zadumałam chwile
 I niezaplotłam dotąd — mych warkoczy ...

PIOLUNOWY HYMN.

O! wśród pustyni czarnych świątów,
 Wśród szkieleatów podłych tłuszczy,
 W tej zdziczałej, głuchej puszczy
 Jeszcze kwiatów! jeszcze kwiatów!
 O! do tego, dni mych wieńca
 Do korony piolunowej
 Jednej róży purpurowej!
 Ach! jednego choć rumieńca!
 O! wśród bladych, smutnych twarzy
 Przepalonych, węgli świątów,
 W których nie się już niezarzy,
 Jeszcze kwiatów! jeszcze kwiatów!
 Podła pilko ty szatana,
 Ziemi! pijmy z czaszek katów,
 W gorzkiej czarze szumi piana
 Na tę czarę: jeszcze kwiatów!...

RYS Z POWIASTKI: DZIEWCZĘ

Z SANDOMIERZA.

Było to dziewczę o długich kosach
 Z piosnką na ustach, z kwiatkiem we włosach,
 Wiotka jak trzcina, jak lilia biała,
 Od wiosny uśmiech swój pożywała ...

O! co za serce było tam w łonie,
 I snem dziewczym jaka tam dusza
 Się kołysała!... w oku gdy płonie
 Wraz się, jak gwiazdka, odzwierciadla
 W jeziorze ... którem wiatr nieporusza.
 Jak gdy nad zdrojem cichym, gajowym
 Mruga promykem drzącym majowym —
 I była pusta o! latawica,
 Była szczebiotka,

Wiotka,
 I zwinna ...

I niechodziła ale latała,
 Jakby skrzydela u nóżek miała
 Jakby po piórku jaskółek brała ...
 I była jeszcze bardzo dziecinna —
 Czasem w zwierciadło wody patrzyła
 W kaliny warkocz czarny stroiła,
 Śmiała się pusto, klaszcząc w rączką,
 Nad wodą czasem się zanężyła,
 I kiedy słońce wieczór ptaszęta
 Przyśpiewywały ... ona rączką
 Sobie na pierś też białą złożyła,
 Ot — i nuciła ... nuciła ... nuciła ...
 Gdy jej wieczorny wiatr rozwiał włoski,
 Zrywała się — i biegła do wioski,
 Wracała nieraz mrokiem śród boru
 Do ustronnego cisy klasztoru,
 Po drodze błędne światła gonila,
 I czasem z cieniem swym się droczyła —
 Lecz choć szczebiotka — i tak dziecinna
 W oczętach miała taką tęsknotę
 Sokolą jakąś ... przez rzęsy złote ...
 Nazwał ją trudno ... bo za niewinna,
 Takiej za szaty słowa niestają —
 Dziewice Polskie taką miewają —
 I dzisiaj dzięcić — ptak — wiotka trzcina —
 Jutro — niewiasta z siłą ołbrzyma

Co duchem dźwignie, sercem przeczuje
 Więcej niż wiosna cicha rokuje ...
 Taką tęsknotę jak zapłakana
 O wschodzie słońca konwalia biała
 Jak u madonny mistrza Rafała,
 Kiedy z niebiosów błynię świetlana
 Zdała się nito przed grzechem Ewa,
 Której świat rajem — każdy liść śpiewa —
 Lecz miała siłę w blasku oblicza,
 I wielkie oczy, co w świat patrzyły,
 Głębiej niż wietrzne słowa zdradzały
 Choć się dziecinna nieli dziewicza
 Raczej zdawała — choć pustelnicza —
 Taką urosła w ciszy zakonnej
 W grozie i chłodzie celi ustronnej —
 Rano najpierwsza, wstaje, do chóru
 Zdała się ptaszki z zakonnicy
 Budzić — i pierwsza gwiazdę wieczoru,
 Wita piosenek kołysankami ...
 Sierotą była,

Którą przełożona
 Klasztoru, Pani z swych cnót sławiona
 Do siebie od dni pierwszych tuliła
 Co króla Leszka była siostrzycą
 Lecz z tronu zesza być pustelnicą
 W klasztornej ciszy by chować sieroty
 Strzedz chorych, ciemnych oświecać ciemnoty —
 Ale tę z sierot najrzewniej lubiła,
 I dla niej habit po sobie marzyła —
 W jasyr rodziców Tatarzy jej wzięli,
 Ona ostatnia była po kądzieli,
 I miała tę sieroctwa aureolę,
 Jakiej niemają tego świata króle,
 Zdała się lotną od chmur gołębicą
 Aniołem wiosny — ptakiem! nie kobietą
 Była jak gwiazdy te, co czasem świecą
 Z warkoczem wśród gwiazd ...

Dziewczęciem kometa!..

Jak jasny cichy aniołek mały
 Apokalipsy — co tajemniczo
 Natchnień tu szeptał dzikie tęsknicze
 Apostołowi ... jak lilii białej
 Woń w pierś oddechem niemo wciągnięta,
 Pieśń natchnień wieszczą — w sercu poczęta
 A nad słońcami skończona! — święta!...

Samotna — często w bory chodziła
 Zbierała kwiaty, brała maliny,
 I wszędzie zaszła, niezabłądziła,
 Choć w skal najdziksze zbiegła szczeliny —
 Nieraz wśród lasu, skal wodospady,
 Grzmiały wezbrane po burzach wiosny,
 Ona w najgłębsze, po skłach sosny
 Jak koza pięła się ... księżyc błądy
 Przyświecał nad nią — a z koszulinki
 Faldami, wietrzyk igrał powolnie,
 Ona nad dzikim źródłem swawolnie
 Z głazów na głazy skacze — do brzegu,
 I zbiera święte niezapominki
 I niesie Bogarodnicy w biegu —
 Tam pod skalistą a wspaniałą górą,
 Na której klasztor wieków dzwoniłami
 Grał po nad Wisły cichej nurtami,
 Ku świętokrzyżkiej górze hymnami ...
 Niegdyś się czelusi rozwarła ponuro
 Wśród skal — ciemniemi korytarzami,
 Ale się ludzie przed nią śgnali,
 I wszyscy w lesie jej unikali,
 Glazami była już zawałona
 I nikt od wieków niebył tam nogą,
 Mówiono tylko, że smok z jej łona
 Wychodzi czasem, z przechodniów trwogą
 Potomek smoka Wawelowego,
 Co zdechł z barana Krakusowego —

Dziewczę się z tego jak dziecko śmiało
I do tej skały zawsze wracało ...
I zadumane — niewiedząc czemu,
Chciało zajść w środek —

O! wejść koniecznie!

Widzieć ten świat, co w ciemnościach wiecznie
Pogrzeban ... temu zdał się tęsknemu —
I nie niemówię, co dnia po głazie
Strącała na dół od skał otworu
Tak — że za miesiąc, jak we drzwi chóru
Wejść można było do grot zaćmionych
Od wieków dzikich i opuszczonych —
Weszła ... tak nocno — ponuro było,
Coś ją za serce tak pochwyciło,
Jak dłoń żelazna — że martwa stała —
Jak posąg wryty — wśród skał — jak skała ...
W dali zdroj cichy szeleścił tylko,
Niedoperz zerwał się napłoszony
I krople wody za każdą chwilką
Spadały — z głazu, w głąz wyślubiony...
Jak gdyby głązy niemo płakały
Za światłem życia, co postradały;
Cała się otchłun zdała spleciona
Z smoków i strachów, co uciśnione
Głazów się zdały dźwigać sklepienie
A w dali ciemne były przestrzenie ...
Wilgotne pruchna migaly lśniąco,
Promień dnia kosał jak struną drżąca —
Stąpiła dalej — patrzy a w ciemności
Stał przed nią starzec wielki i straszliwy
Biały — i brodę miał wielkiej długości,
Stał w głębi, rękę wznosił jak pan gniewliwy,
A z pod stóp jego źródelko płakało,
Co się w jaskini szłochem ludzkim zdało —
Krzyknęło dziewczę — do ziemi przypało —
(A był to stary Bóg grzmotów Pogański) —
Takie ją straszne uczucie owładło
Że wstać niemogła — patrzy — lśni coś wdali,

Patrzy — to rdzawy ryngraf Chrześcijański
Przed wieki tutaj stracony i — w fali
O wyszczerbiony miecz ręką potrąca,
I rozrzucone — kości się bielily
Chwyciła ryngraf z mieczem — i co siły
Leciła nazad po głosach skacząca,
Płosząca sowy — w duszy się modliła —
Aż na świat wyszła, zadyszana była
I ryngraf złoty — na pierś zawiesiła
Jak na obrazie — aniel Michał była ...
A miecz podniosła do nieba — śmiejąca,
I złoty promień zachodniego słońca
Drżał jej nad czołem — włoski wiatr rozwiewał,
A nad nią zawiał orzeł wśród błękitu
Jak gdyby szumem swych skrzydeł ją wzywał,
I wołał — za mną! do szczytu! do szczytu!...

WIERSZE PÓŹNIEJSZE.

STROFY PISANE W HUCKNELL U GROBU LORDA BYRONA.

Po cóż u grobu twego schylam czoło
I liść zerwany rozszęknę tęsknoty,
O! raczej w promień słońca spojrzę złoty
Co tryska szybą gotycką weselo ...
Twojego grobu niema! bo on wszędzie!...
Bo nieśmiertelność cię z niego porwała —
Dokąd szlachetne jedno serce będzie,
Na niem jak sztandar na wieży twa chwala
Wśród wieków będzie, dumnie powiewała!...
I od Morwenu szczytów śnieżnych szczytu
Kędy słuchałeś szumu wód dziecicciem,
Aż do cichego Hellady błękitu,
Co Partenonu kolumny złamane
Otacza cichem, złotem w niebowięciem
Gdy chyłą czoła bluszczami owiane —

Imię twe z całą złączoną ludzkością,
 Imię twe jedną wielką szlachetnością,
 Jedną łzą gorzką dziejowej sieroty
 I jednym krzykiem orła w gromów chmurach —
 I krzykiem jednym ludu, co o piórach
 Ducha swojego płynie w odmęt burzy!...
 Przed każdej piersi szlachetnemi wroty
 Geniusz swą chwałę krzykiem orłów wtórz — —
 Już nie za pieśni olbrzymie odlamy,
 Co jak Olimpu sieroty stęsknione
 Dla smutnych sere tu zostały, jak tamy
 Smutku, co przeciw smutkowi stawione,
 Nie za Charolda smętności czarowne
 Nie za Cylonu więzy Gorgonowe,
 Nie za Manfreda konanie wymowne,
 I nie za krzyki Mazepy stepowe ...
 O! tyś jest jeszcze bratem każdej smętnej
 Duszy zbolelej — dzikiej i namiętnej —
 Boś się tu nigdy lepszym nie przedstawił,
 Niż byłeś w prawdy twej — w bogów nagości,
 Boś jad wysysał z ran całej ludzkości,
 Aż jad ten otrul ciebie — młodość strawił —
 Boś tu niesklamal czynem, ideału
 Bóztwom, co pieniem sławił wulkanu,
 To też jak lawa pieśni z serca szala
 Płynące w przyszłość, zastęły w posęgi,
 I jako bóztwa Grecyi, których ranu
 Niemasz wieczora, jak Olimpu bogi
 Te marmurowe a pełne tętu życia
 (Którym tyś wiary dochował do końca,)
 Pieśni twe żyją — orły od powicia
 I oko w oko patrzą w postęp — słonica
 Za którym tęskne, wątpiace śledziły
 Od swej kolebki, którą wykołysał
 Ocean, aż do mogiły, gdzie pisał
 Homer nadgrobbki, gdzie Achille żył!...
 Kościół ten mały, którym trząsie burza
 Gdzie tylko cichy ptak swą pieśń wynurza,

Pęka już wiekiem, gdzie między ojcami
 Popiół twój z Ady zmieszany popiołami
 A choć dla Ciebie w Westminster cieniach
 Nieznaleziono miejsca na kamieniach,
 Na sercach imię twoje ryte iskrami ...
 O! na wstyd kiedyś z chwały swojej tronu
 Imię twe w pieśni która niezna skonu
 Będzie wspomnieniem pysznego Albiona —
 Jak ptak zraniony u głów twych grobu
 Padłem — i wstaję głów silny, zbudzony
 I toczę okiem po przestworzach globa ...
 Tam dziko hucaj Ocean spigłtrany —
 Zanim mnie fale do Polski odniosą
 Jeszcze grób cichy twój, oblewam łzami,
 Tyś był kamieniem na który czas kosą
 Trafiał, więc wołałam Ci z morza wichrami
 Za ludzkich trucizn bóle, ssane łzawie,
 Za głos Kościuszków poświęcony sprawie:
 Cześć wielki wieszczę! wszystkim wiekom bratni,
 Pod Maratonem — tyś niebyle ostatni!...¹

NA CMĘTARZU W HARRÓW.

(POD LONDYNEM.)

Toczę okiem po licach pełnej ozaru ziemi,
 Co przedemną zielono, bujnie rozłożona,
 Te same drzewa szumią konary wiecznemi,
 W kolumnie groby — w dali — cisza zbłękitniona ...
 O cześć mniejscom gdzie natchnień twoich orle gniazdo
 Dachy twórczy! wolności ludów wieszczę gwiazdo!...
 Tam płynie wiród błękitów toni orzeł! z sobą
 Zabrał myśli me, chmurną ciężko już załobą,
 I głowę w tej szumiącej położyłem trawie
 Co śpiewa nieśmiertelność, nad grobami łzawie...

¹ Niebyle ostatni pod Maratonem — napis położony niedługo na grobie Atechyla — mógłby być powtórzonym na grobie Byrona!

Arfę moją umyłem w brylantach jej rosy
I za orłem posłałem snów resztkę — w niebiosy!...

S T R O F A

NA WIDOK NEW-STEEED ABBEY.

New-steed wspomnień raiuno! w bluszczech upowita
Szumiąca drzew żalobą i fal głuchym szumem,
Jakimże wrażeń pierś ma dziś rozsadażasz tłumem!
Twe wieże jak znajome ma żrenica wita!...
Lecz dziś tu inni ludzie — dawne — tylko drzewa
Pamięć świetności twojej czasów zachowały,
W mgłach stoją stare wieże — piersi ich czerniały
A wicher gdzieś od morza ich wspomnienia śpiewa...
Głos burzy dziko woła, gna śniegów tumany,
I akkord wielkich głosów szumi nad mą głową
Myslałem, że to orzeł arfę Manfredową
Szarpnął szponami lecąc w nieśmiertelność gnany!...
Dziś — jak tu strasznie!... szkielet ruin wśród powoi,
A tylko psa wiernego nadgrobek tu stoi,
Niedoperze nad bramą kościelną się gniedzą
Której zmarszczki, koronę bluszcze utuliły
Jak pamy młodej wieków!... i wszystko zmieniły
Ręce ludzkie — tu tylko dawne gwiazdy gwieździą!
I tylko ten wodospad imię jedno wtórzy
I jeden starzec — jak liść ostatni po burzy ...

NA WIEŚĆ O ŚMIERCI

KS. ADAMA CZARTORYSKIEGO.

O cześć siwiznie nieście pokolenia
Co na tułactwie jako śnieg Sybiru
Zbielała, wpośród boleści milczenia
I godna Polski, nieszczęśliwej miru!...

On jak drogożkaz z ręką niezemdloną
Wskazując Polskę stał wśród Europy,
I był pochodnią w Zniezu zapaloną
A niezagała, aż w grób Jego stopy
Zeszły, a ży ją tułactwa zgasiły!...
Rycerzy ciszy — szanujmy mogły —
Kiedy drogożkaz zbyt wielkie zawieje
Zasypią — nie knie dla oczu pielgrzymu,
Lecz kiedy z wiosną śnieg we żyz stopnieje
Wyjdzie drogożkaz, co pokryła zima!...
Włos Jego zbieiał z zawodu gorzkiego
Biało — jak pióra te, orla białego!...
Bo słonecznikiem był ojczystej sprawy
Więc pomnik jego kiedyś naród ławy
Postawi z lewą do przyjaciół ręką
Podaną, drżącą, nad narodu męką,
Bo prawą u gościnnych wrót swych progów
Miał wyciągniętą zawsze do swych wrogów!...
Toż na mogile tej, z żalem jednakim
Przykleknie każdy — ktokolwiek Polakiem!...

S P O R N O Ś C I.

BALLADA WĘDRÓWNA.

Przywykłem czoło nosić jak góra,
Patrzeć w gwieździste sklepienie,
Bo mistrzem moim było cierpienie
A mą mistrzynią — natura!
Lecz kiedy spotkan daleczną niewinne
Z umiechem białej Madonny,
Jej szat bym rąbek całował wonny
Wspominał strony rodzinne ...
Ją dalej idąc, w wspomnieniu mojem,
Pieścę jak kwiat lilii białej,
Aż znulon padłszy nad górskim zdrojem
W fale ją rzucam ze skały ...

I za nękającą mojemu oku
 Szły me westchnienie wędrowne,
 Ciche, jak wiosna pełne uroku
 Miłozieniem swoim wymowne!...
 A kiedy noc mnie w lasach zaskoczy
 Nad górskim, grzmiącym strumieniem,
 Zda mi się znowu, że z zachwyceciem
 W jej dziecięce patrzę oczy ...
 O mój strumieniu z gór rozpadzonym
 Jednak w przyszłość nam droga,
 Coraz to nowe frenica strony
 Wita — krok z serca — do Boga!...
 W tem pójrzę — postać z drugiego brzegu
 Po głazach skacze przez wodę,
 Oczy jak węgle iskrzą się w biegu
 To dziewczę — dzikie i młode!
 Wicher z rozwianą jej włosów chmurą
 Szamocze — jak sarna biegła,
 Księżyc zajaśniał przez noc ponurą
 Krzyknęła — gdy mnie spostrzegła —
 Ale po chwili klasnęła w dłonie,
 Płaszcz mój porwała na siebie,
 I dłoń podniosła ku jasnej lónie
 Co ją wstawać na niebie ...
 «Tak straszno w skałach przy zdroju szumie
 «Chodź chłopcze, podaj mi rękę,
 «Ja Cię wywiodę stąd smutny kumie,
 «Na polany trawy miękkie —
 «Tam przy ognisku siedzą cygany
 «I ja wędrowna cyganka,
 «Skradliśny dzisiaj aż dwa barany
 «I ruszmy dalej z poranka ...
 «Przy blasku ognia tobie wywróżę
 «Los pewny z zranicnej ręki,
 «Pod starą sosną mchu Ci ułożę,
 «Zapieję dzikie piosenki ...

(1859 pod Łomnicą.)

DO EDM... MICH...

Za twoich folków te święte wiązanki
 Pełne powabu jak skromność kochanki,
 I pełne woni jak przyjaźni technie
 Co ci dam? niemam nic!... na gwiazd sklepienie!..
 Wipe chyba rymów wiązankę odemnie,
 Weś jak ją wiąże — mile i wzajemnie,
 Choć folków krasy niemają, ni woni,
 Chciałbym by jak uczucia, co je przędy,
 Miały choć przymiot którego niemają
 Kwiaty ogródów całej ziemi bloni,
 Co wszystkie czary prócz jednego znają —
 Chciałbym: by niezwydły!...

(Lipiec.)

MYTH BURZY.

(Z LESNAU).

Jezioro nieme i zwarne w Sobie
 Roziało szafir swój w sennej żalobie
 Zielonym brzegom nie szle pozdrowienia ...
 Tętna fal jego w głębinach przepadły
 Świsła iskiereki drżą, jak na pobladłej
 Twarzy umarłej — reszki ducha lśnienia ...
 I listek żaden zdrzeć się nieważę,
 Drzewa zakłete czuwają na straży,
 Czy wietrzyk albo fala nie okyże?...
 Słońce zastąpiło w ciche pian otchłanie
 A nad śmiertelne jeziora drzemanie
 Noc kwef swój mglisty rozrzuci i wije ...
 W tem z horyzontu wynurzone wstają
 Chmury, co techniemem ciężkiem zapelniają
 Naturę — groźne i burzą brzemienne —
 Chyżo się wznoszą — płyną — przyptynęły —
 I wraz w trwałowej obawie stanęły
 Nad niemęj toni cisze trupio sennie ...

POKRYE STUDENTA. IV.

W dół się schylają i grzmotów skargami
 Pytają: o! czy żyjesz jeszcze z nami?...
 W płacz się nawalny rozplakali ich ból —
 I drząc miotają łóń swych błyskawice
 Na starej matki jeziora łoznicę
 Czy zmarłaś matko!... pyta burzy król?...
 Nie! żyje! żyje!... córeczko ją załoscił,
 Już przebudziły — gromem — z jej senności,
 Że się na łożu zerwała do góry!...
 Matka i dzieci w objęciu wzburzonym
 Ginę — szal tanem ich rozkajdanionym
 Pieśń burzy ryknął zdzierzaleniem chóry!...

WĘGLEM NA MURZE.

Kto mistrzów tylko radzi się, nie swego ducha
 Tego zrobią miernością, mierności okrucza.
 Smutno rzec, lecz w pochodzie ludzi czy ludzkości,
 Przez własne gupstwo droga do własnej mądrości,
 Oni są by ją skrócić lecz ufną w naukę —
 Nieraz słońcu by chcieli masażić perukę...

Z STRUN DUSZY.

(KARTKA Z ALBUMU.)

Kieżyć się sunie jak cicha łza Boga;
 Nad Polską ziemią, tęsknie szumią drzewa,
 Przedemną dąka i nie pewna droga,
 I jakaś żalność w duszy mojej śpiewa,
 Przy szumie drzew tych, co u tego proga
 Słuchałem tyle razy!... więc jak Mewa,
 Co w krzyk tęsknoty żegna swoje skały,
 Dom ten dziś pieśnią żegnam — żegnam cały!

Wspomnienie jasnych moich chwil dzieciennych,
 Całą mi wonią orwało się w duszy,
 Muzyką jakąś znaną z stron rodzinnych,
 Co wieje w serce, gdzie jej grom nie zgłuszy,
 Jak rój pszczoł, wdowi, pielegrzyzmo lecający
 Arfą w błękitach dróg swych, pytający...
 Perłami tonów dziewczyczych, niewinnych,
 Których głos w grobie jeszcze serce wzruszy...
 Tych wspomnień myrzą duch człowieka plonie
 Jak nocna lampa przy białej Madonnie!...
 Gdziekolwiek pójdę, jakiegokolwiek losy,
 Stwórca w tajemnej Księdze mi zapisał
 Dom ten wspomnienia rzewnem odgłosy,
 W zwierciadle duszy będzie się kołysał.
 Jak gwiazdolite w falach mórz Niebiosy,
 Gdy z matki ziemi nów boleść wysysał...
 Niech Was stróż anioł skrzydłami ocienia,
 I szczęściem dzieci życie opróżnia!...

SEN NA JAWIE.

(POŚWIĘCONE NIEZNAJOMEJ.)

Stałem nad morzem z arfą słoneczną
 I śpiewam: « Co mi przyniesiesz fala? »
 « Jam nieskończoność ukochał wieczną,
 « W której się iskry wulkanów pałą,
 « W której się Syren piękności żałą!
 « Jam je ukochał żądzą konieczną!... »
 I wsparłem czoło gorejące, dumne,
 O marmurowej ruiny kolumnę —
 I szumi fala do moich stóp
 Rozbija się jak pian srebrny słup
 O granit skał —
 Wytęłam ramię — chwytam w dziki szal
 Co mi przyniosły fale rozbrzyżnięte?...

Serce — pęknięte!
 O jam je znał! Dobrzem je znał,
 Nie jedną dolę z niem razem miał,
 Ono jak koncha pusta szumiało,
 Wspomnienia — w ucho moje szeptało,
 I zawolałem w rozpaczey mej szale
 Przekleństwo życia! przekleństwo wam fale!
 A serce orlem zranionym jęko
 O! czemu z tobą razem niepękło!...

LIST Z SMOLNICY. DO ***.

Czy pamiętasz ten strumyk, co się szklanną falą
 Błękitnie toczy, rwiącą po głazach muzyką,
 Nad nim się stare dęby i jawory żalą
 Szumiąc ku Fulsstynowi dumą wieków dziką,
 Aż chmurą od zamczyska cichy orzeł spłynię,
 Krzyknie z nad gór — i znou w błękitie zagnie!...
 A strumień podawaniając — i płynie — i płynie!...
 Tam, nieraz gdy na poczie przeprzęgano konie,
 Biegliśmy nad brzeg, w wodę kamyki ciskali
 W jasnych chwilach dzieciństwa — i jak kamyk w tonie
 Chwile te ciche, czyste — znikły w czasie fali ...
 Oberwały się brzegi — posunęły fale,
 Lecz obraz ich pozostał w wspomnieniu na wieki,
 Jak głos dzwona znanego, blizki choć daleki,
 W duszy zawsze na nowo, budzi dawne żale ...
 Lecz patrzmy — czem ten strumyk u źródła swojego,
 A czem jako Dniestr — w ujściu, u morza Czarnego!...
 On płynie łzami kraju, długich lat niewoli
 Kiedyś, niechaj z radości łez, wzbierze z nad roli
 I obmyje kurhanów ziemię, co krwią bojna
 Coraz świętsza — i droższa... Ojczyzna potrójna!...

RYS WSTĘPNY Z POEMATU

ANGIOLINA.

Dzisiaj wam śpiewam, o błękitne fale!...
 Patrząc na głębi wasz obszar bez końca,
 Wam — i zachodniej, krwawej tarocy słońca,
 W którą piorunu mieczem w burzy szale
 Dzwonią, wichrami furzy rozkielzane ...
 Ale wam cichym nucę, kiedy drżęca,
 Z nad mostu westchnień, pływa twarz miesięca
 A z głębi, wieczność szumi — na pół śpiąca ...
 Bo w pocałunku, którym brzeg muskacie
 Tyle tajemnych słów, rytmów miłości,
 Że każda gwiazda którą odbijacie
 Wam kołysanek, z niebios pozazdrości!...
 Wy mi wtórujcie, nad odludnem morzem,
 Ile kroć plusnie wasz calus od brzegu
 Uderzam w lutnię, nad głębin przestworzem
 Jak skrzydło mewy — po szych fal szeregu —
 Bo morze pieśnią jest — a pieśń jest morzem!...
 Więc wam dziś śpiewam dzieje pacholęcia,
 Któremu było tak dobrze na świecie,
 Że gdy się usta dotknął ust dziewczęcia,
 Że był świat jakiś — zapomniał jak dziecię ...
 Jak w morze tonął w oczy swej kochanki,
 W jedwabny warkocz jej wplatał swe wianki —
 Nie tak pogodnie było w Greku duszy!
 Nie tak bezchmurno, spokojnie i miło,
 Życie to jasną lampą się paliło ...
 Taką pogodą śmiało się błękitną
 Jak toń falista gdy ją wietrzyk ruszy,
 Jak kiedy różę na mogiłach kwitną,
 Których do placu słowik nieporuszy!...
 Wzrósł w wichrów szalach — i pierś miał wesołą,
 I serce wielkie, czyste, dumne czoło ...
 I przekolysał swe życie w gondoli
 Patrząc na morze, niebo, bez granic szumiące —
 I na marmurów pałace, z fal drżące,

Jako wspomnienie, co czasem zaboli,
 I zniknie — ale znówu błysnie w fali
 I już się z duszy — nigdy nie oddali! ...
 Czasem zasępił mu się wzrok sokoli,
 Wśród nich, bo kochał — bezbrzeżne błękity,
 Są duchy orły, co tylko na szczyty
 Gnieździć się lecą, choć proste i rzewne
 Jak drzewa ruin, w nośnych burzy śpiewne ...
 Bo duszno było piersi młodej, dumnej,
 Bo marmurowe gniotły go kolumny,
 I tylko na noc do nich gondolinę,
 Wiązał — i modlił się na mandolinie
 Nim usnął — potem o swojej dziewczynie
 Snił swej gondoli śpiące — i swą dziewczynę
 Widział, gdy fala czolno, czolno falę
 Całują — w złotym, promiennym kryształe ...
 Przeto wam śpiewam i dzieje dziewczęcia,
 Któremu było mniej dobrze na świecie,
 Lecz gdy spotkała oczy pacholęcia,
 To się stawała nito Psychy dziecię
 I pierś jej drżała gazą osłoniętą
 Jak fala mewy połotem musnęła ...
 O Angielino! snów twych spowiednikiem
 Długo był gołąb ... a pieśń ich współnikiem ...
 Gołąb uleciał — a pieśń jak fontanna,
 W drodze do szczytu na pół przełamana
 Do nóg ci spadła ... w perły lez rozsiąta! ...

(Witceya. 1861.)

BRACIA NIEŚLUBNI.

(POEMA.)

Były dwie dusze ...

Obie nie z tego tu świata,
 Choć pragnące świat służyć całą siłą,
 Dokąd się wieniec życia węzłem z kwiatów splata
 Nim zawiśnie nad krzyżą cichego mogiła ...

Dokąd jak liść niesiony nie przeleciał lata,
 Wiek nie stanie posągiem, co wrzał kruszczem płynnym,
 Lawa miłości w posąg zastygła dla święta,
 Choć i dusza posągu poszła światem innym! ...
 Jedna tęska i niema — w półzamknięta w sobie,
 Tak spokojna, jak cicha toń Morskiego oka,
 I jednakim uśmiechem strojna w swej żalobie
 Jako błękit bezchmurny — rzewna — i głęboka ...
 Nieraz grom tam przeleciał, groźnie, w ducha głębi
 Zakłąbiła krew w sercu, jak lawa w kraterze,
 Lecz znów o sile miękkiej i ciszy gołębnej
 Szedł w życie — dłoń podając, miłośnie i szczerze —
 I niktby nie był wyrzekł, że to serce boli
 Z tak jednakim uśmiechem, którym usta płaczą
 Że iż cichą zachodził czasem wzrok sokoli,
 A serce się przecuciem spotkało z rozpaczą —
 On był jak fiołek w cieniu, kropłą rosy zgięty,
 Którego woń zrozumie anioł lub dziewczica,
 Bo był czysty i jasny! ach! był prawie święty,
 Choć lwia śmiałość — duch jego był jak gołębia ...
 Druga chmurna — jak czolo niewoli narodu,
 I zacięta, jak koncha, z perłami w swem łonie
 Przyuczona pioruny brać w siebie od młoda
 I młodzić, choć w boleściach boleści zatonie —
 Dzika jak chaos chmurny, choć była sierotą
 Do sieroctwa się nigdy ludziom nieprzyznała:
 Raczej piekła — pomiędzy, abrodnią ach! i enotą
 Szła krwawo płacząc, jednak, w dziki śmiech się śmiała —
 Śmierć kolebkę mu w gniazdo węzy przemieniła,
 Miłość, przyjaźń, braterstwo okryła mogiłą
 I tym bolem mu młode loty norzyła
 By siebie przeklinając, drugich wspierał siłą ...
 Wąż boleści mu wcześniej okajdał łono
 Lecz anioł wiary gwiazdę na czole zapalił,
 I dusza ta boleścią stała się natchnioną,
 Cierpieniem ją Bóg przeciw szczęściu tu ocalił —
 Nad zawiesz rozpiął skrzydła namiętnymi loty,
 Nieraz wleciał nad ludzkłość swej młodości szaleł,

I swawola rozpaczy w węże wzięta sploty
 Młode serce, zawczesnym trawione zapalem!...
 Ducha, któremu Bóg był jednym ideałem,
 Gdy łądza sławy biła woń Wulkanów młotem!...
 Ach! rwał on swego serca kawały namiętnie,
 I z śmiechem ciskał, między spwów dzikie zgraje,
 A potem zakrył w dłonie lica wiecznie smętne,
 Zgasił gwiazdę na czole, którą miłość daje —
 Nieraz na zachód słońca na wyniosłej górze
 Patrzę, szarpał pierś własną — i przeklinał siebie,
 Błogosławiąc miłością ludziom i naturze
 W śmiech straszliwy zawodząc, w swego Ja pogrzebie —
 Ludzi wesele — jego niebyło weselem —
 Im jego łądze — smutki — i szaly niezmane,
 Życie było mu środkiem, a wszoch miłość celem
 Pandemonium aniołów — w chaos ducha zwiane!
 Bóg zabrał mu, co kochał — czem gardził zostawił,
 Ludzie zdarli niewinność, chcieli wydrzeć wiarę,
 I był jak słońce w grobie — lecz w sobie niezdałwil
 Nieśmiertelności — choć wziął w toast śmierci czarę —
 Spotkali się — i ręce podali ku sobie,
 Jak gdyby się tu braćmi od wieków już znali,
 I wraz czola na pierśiach w swęj cichej żalobie
 Złożywszy, czuli, że się sobie spowiadali...
 Jak bluszcz, co się po grobach namiętnie oplata
 I róża, co woń młodą wyzionęła z wiosną,
 Wspólne tem tylko, że wraz na grobach wyrosną:
 Oni szalem nie tego kochali się świata —
 I Bóg usłyszał akkord, dusz tych złąny razem
 Zabrzmiął i pękl — rozeszli się z krwawemi łonę
 Jeden cizy i siły wytrwania obrazem,
 Drugi waryat anielstwa — losem zszataniony —
 Jeden jako jaskółka, co żer małym niostą
 Gdy zbyt gwałtownym lotem ku gniazdu leciała,
 O mur głową uderza — i skrzydeł swych wiosła
 Składa mrąc — tak się jedna z nich w życiu miotala —
 Druga jak kóło do burzy i gromów zrodzona

Ssała z chmur swe boleści, rozkosze, natchnienia,
 Straciła wszystko — ale patrząc w gwiazd sklepienia
 W każdej gwieździe tam siostrę witała natchniona —
 I czuła się bez granic czarna — lecz i wielka!...
 Orlim lotem z nad wspomnień wlatujące smętarza
 Przeklinała się łąz i gromów rodzicielka
 Zwątpieniem męczennika i śmiechem zbrodniarza...
 Runął w otebrań zwątpienia kądź niema powrotu,
 Jak gdyby grom młodzieńcze potrząsał mu akrzydła,
 Jeszcze się szarpał dziko do słońca, do lotu,
 Lecz się jego anioły zmieniły w strasydła...
 Stwórcu! rzuc grom — i ostoi te łony zasłona
 A potem rozrzuć tęczę po cichym błękiecie,
 Jak wieniec cierni — kwiatów przeplecion koroną
 Niechaj gramota konanie dośpiewa to życie — —
 O! dziś jeszcze wędrują te samotne dusze
 A czasem tylko która zajęczy hożanna!...
 I płacz anioła zagra w wichrów zawierzusze,
 Lub w cizy modlitewnej ryknie śmiech szatana...
 Idą — płyną — znużone — jedna z półśmiechem
 Drugiej uśmiech bluźnierstwem, a wesołość grzechem —
 I wędrują aż z iskrą, co życiem zdobędą
 Wśród ciemności, na trwogę czarnej nocy siędą,
 Wiedząc, że są — i czując, na wieki będą. — — —

ODA DO BURZY,

W CZTERECH RAPSODYACH.

(PIANA POD WRAŻENIEM BURZY CALAMA.)

I.

Gdzie ty jesteś kochanko pierwsza mojej duszy,
 Z błyskawicami żreńic, z chmurą twych warkoczy,

Któręj grom, wśród przestworzów globa, piekła głuszy
 A tęcza wiąże światy w ton zwycięstw uroczy — —
 Widziałem Cię raz pierwszy w twoim majestacie
 W morskiem oku — i duszy mej namiętęj szale
 Dzikim, orlim, samotnym, wraz Cię ukochałem
 Wzór twoich błyskawicznych postępowej szacie ...
 Wstały fale jeziora — jak armia szatanów,
 Co chce skały zdobywać, wałem swych taranów,
 Grzmot ryknął — roztaczając się pomiędzy skały,
 Szczyty go szczytom — lasy lasom potwarzały ...
 Jak wielkie imię męga, co z wieka do wieku
 Echem idąc, przepada — i w wieczności kona,
 Aż go wieczność przytuli do bezgranic łona
 Jak w ludzkości człowieka — a ludzkość w człowieku! ..
 I z płomienia błyskawic, co blaskiem skonała
 Piorun padł — i skały mu uchyliły czoła! ...
 Takim rykiem natura zatrzęsła się cała,
 Jakby przepaści wnętrzem szarpnęła anioła
 Trąba, co rozdzierająca groby — na sąd! woła! ...
 Lwem odryknął piorun drugi
 Po nad borów smugi,
 Jakby mieczem domu
 W tarczę słońca
 Zagrzmiął Bóg! ...
 A z błyskawic gromu
 Powstał szatan wróg

Na ostatni bój wszechświatów wszechkońca! ...
 I niemym dreszczem głuche zaszumiły bory
 Zburzone grzywy sosen zjęczyły się fale
 Jak duchy pomst idące na kłęski i mory ...
 A w dali już się buki po skał biodrach wały
 Fala wstaje nad falą — przepada pod falą ...
 A wichry wodospadów wspaniałymi pianami
 Szamoczą i miotają jak z tygrysa paszczy,
 I trzasnął piorun w skałę po nad skał szczytami,
 Drgnął świat — jakby strząsnęto jego posadami,
 A runęła królowa — toczy się w rozłamach,

W otchłań sadzi — zatacza — się — rwie — skracca — płaszczy —
 Pęks w kawaly — grzmotom podrzędnia się hardo
 Coraz chyżej — gruchoce, tany skal, po tamach,
 Aż z nad stromej krawędzi, podskokiem szatana
 Padła w głębie — plunąwszy w chmury pian pogardą
 Jak burzy Prometeusz — rozpacz rozkiełzana! ...
 Pierścienie fal spiętrzoną rozskooczyły wałem
 Biją gromy — targają się jak furje chmury,
 Drżą skały — zwierzę się tuli, umilkł duch natury
 I słucha burzy z piekła ożenionej szale! ...
 Ale ryk się przesila — słabnie — chmury w dalę
 Mkną — sznurj perel deszczu ustają — a wdali
 Grzmot z grzmotu zmartwychstaje — dęwiga się — i wali
 W nicotę otchłani ... jakby Babelu wieżycy
 Walila się nad światem ... jak Romy Wilczyca
 Ryczą — kiedy jej Romul wymię krwawe skąsał,
 Lecz szal fal nieustaje — w pianach się rozdał,
 Taranj w skał granity — i w głębiach przepada
 Coraz nowa do szturmu bierzy fal gromada ...
 Wichry milkną — i pierścicha już chmur trzoda cała,
 Ostatnia błyskawica dziko się zasmiała
 Migła — i łzami w chmurach rycząc się zalała,
 Jako wielka idea zawczesnie zrodzona
 Co pchnie świat naprzód — ale, sama w mękach skona —
 Czasem jeszcze grzmot owzie się w skalach daleki ...
 I kona mrując złote błyskawic powieki! ...
 I cichnie ryk straszliwy, czoła skał z Kapturów
 Chmur wychodzą — jak cienie pokutnych komturów —
 Błękit trysnął od słońca — a na jasnej chmurze
 Stała się tęcza! ... cicha — dziewczica w naturze —
 Piorunem wymodlona — zrodzona przez burzę! ...
 A jednak — ja cię wołę, burzo rozkiełzana,
 Nad tę tęczę dziewczęcą — łez modlitwę — córę
 Twą — co tak miłościwie w akkord barw naturę
 Stroił, jak gdyby ciszą sfer — grała Hozanna! ...
 Niech jej nucą skowronki psalmami rzewności,
 Duch mój pognał za tobą wśród nieskończoności ...

Ze wzgardą każde deptałem wędzido,
 Jak węde gniazda na drodze piekielnej,
 Geniuszu burzy! podaj mi twe skrzydło,
 Daj pocałunek śmierci nieśmiertelnej
 Daj zapomnienie wieczne w tym piorunie
 I chwilę wielką — potem noc — w twój łóń!...
 Dalej! ścigam za tobą niebios chmurnym szlakiem,
 Bo wołam chwilę estarmu nad tryunfów lata —
 Jam ptakiem!...

Jeden piorun nad anielstwa ciszy
 Wolę! — przeto za tobą tęsknię w ciszach świata
 Kędy ucho piór własnych szum w błękitach słyszy!...
 I dościsłem cię dziką w natury przestworzu,
 Już się lin okrętowych chwyciłem na morzu,
 Jak lupiną orzecha ciskasz statkiem białym,
 Co jak labędzę powiewa, skrzydłem masztu śmiałem,
 Pędzą fale! i w śnieżne śpionione delfiny
 Przypadły pod okręt, dziko przycażone,
 Rzucili nim w chmur czarnych gromowe dziedziny,
 I zepchnęły w otchłanie noy zszatanione!...
 Nad masztem mu plunęła — fala — helmu pióro!...
 Lecz ta sama, co w otchłau spycha go bezdenną
 Na własnym grzbiecie wznosi go po nad naturą
 I ryczy pod nim wściekła — jak deptając hyenną!...
 Tam! z oddali się sunie — noc ... czy duchów chmura?
 Nie! to że śmiercią w paszczy leci balwan góra!...
 Co kołysze szkielety ... Zatrząśl grzywą burzą —
 Przypędził — palnął w biodra okrętu pijane,
 Wznosił go — przechylał — wszystko zdało się zalane,
 I pociemniał horyzont falą zasłonięty,
 Skrzyplły maszty — krzyk ludzi wleciał w niebowzięty,
 Okręt w dół już poleciał — przepada w otchłani
 Lecz w chwili, nowa fala, jak błyskawic łani
 Na śnieżnym grzbiecie niesie go, miota w radości
 Wichry szaleją — Fauny burzy w wesołości!...
 Holdują wznieśnionemu, na fal wysokości!...
 Związałem się ramieniem z okrętową liną
 Światy migają oku, nim się z falą spłyną,

Wylatują z chaosu, w chaos zagrzebane,
 Fala depcze po fali — piętrzą się pijane
 Pochłaniają się — biją — szamoczą i giną!...
 Nad głową przeskoczyłaś mi odmętu falo,
 I biłaś mnie pianami wścieklemi po twarzy,
 Jam w burzę niemo patrzył, jako u ołtarzy
 Skończoności, co się już w nieskończoności wała!
 A z siebie, tylko w ustach, trocib słonej wody,
 Jak gorzkie słów, co niewomówię, tu na ziemi
 Zostało — i półśmiech wspomnień, dumny, młody,
 I krzyk mew, co wieńcami w półrozplecionemi
 Wieńczyły mnie pod chmurą, gdy majtków krzyk dziki
 Wtórował Oceanu ryczące okrzyki!...
 I fale się już nurzą — wichry okiełzane
 Pobiegly liżąc skały, z grzyw strząsające pianę,
 Na płaszczu tylko perły słonych łez po burzy
 Lnily mi po ich złości!... już się burza nurzy —
 Ołbrzymy fal karleją — miotają się jeszcze,
 Jak orły których skrzydło złamane, już pelza,
 Zrywając się ku słońcu — rozpacz lot im kielza!
 Z wzgórków niktą w płaszczyny zwolną rozścielone —
 I giną — — Trysnął promień, a z nim światło wieszczę,
 Z błękitnionym szmaragdem grają glebie, tonę
 W nie okiem pijanem, znużonem,
 Lecz za burzą niktą, już znowu stęsknionem ...
 Ląd! ląd!... woła załoga, burza nas do lądu
 Zaniosiła, żeglujących wśród odmętów prądu!
 A jam śnił o dniu kiedy, śpiący Chrystus w łodzi,
 Zbudził się wśród zbudzonych furi Oceanu,
 I dłoń nad nie wyciągnął, a przybiegły Panu
 Do stóp — i cisza — błękit — nowy świat z powodzi
 Wstaje, z gruzów dawnego w ludzkości się redzi!...
 I cisza wraca ...

Mrowiem zawrzał pokład cały,
 Oczy ludzi po burzy blizki ląd witaly,
 Jam wspominał, jak burzy druch niemiej żrenicy
 Kolumbus!... ląd swój wital wparty na kotwicy,

Kiedy mu zgraja podła brzeg szaty lizala
 A fala m6rz mu stopy krwawe obmywała,
 I patrzyłem w ł6d nowy — boski! i daleki...
 Dalszy od Ameryki!... a starszy nad wieki,
 Na ł6d prawdy i dobra, do którego plynie
 Żegl6r6z6 czlowiek — i ludzkość!... a choć plyn6c ginie
 Pokolenie nie jedno, lecz ludzkość — — doplynie!...
 Na ł6d prawdy i dobra!... co w jutrzni zarania
 Blask, wstrz6sie posadami swiata, i ciemnościami
 W6gn6rnościami
 Zatar6a, jak lutni str6nami!
 Na ł6d Polski jam przyszlej patrzył zmartwychwstania
 Wytęczyłem ramiona w bezbrzeżnej tęsknościami,
 Gdzie nieć będzien, wygn6nc6w, męczennik6w kości,
 I krwawa ł6a mi spadała, w morskie głębokosci!...
 I szalon6 tęsknot6 tej ziemi pielgrzym6a,
 Co tęskni6a z kochank6, gdy jest, gdzie jej niema,
 Duch poleciał z tob6 nanowo — o burzo!...
 Odszukał cię w Piramid pustyni! gdzie dziej6w ż6ł6c
 Urragan6w ch6rami echa dziej6w drż6c,
 I koluj6 Simamu słupy gor6j6c
 Jak ramiona o pomstę! w niebo w6luj6c!...
 Po bezbrzeżnem, piaszczystem, wr6cych piaszk6w morzu,
 Powstał Simum! jak Szatan na nicości ł6d!...
 Ur6ad6 się z Memn6na — i mumii cichości —
 Przer6ad6 lw6 pustyni, miot66 ludzkie kości...
 St6pa — krokiem olbrzym6a, z wielkościami chwije,
 Zatacza się — klębam piaszk6w juź szaleje,
 Kręci się w cz6l samotny — i wietrzy ofiary
 Dojrzał!... tam karawans6 ci6gnie...
 Pędzi za ni6!...
 Dogania — mkn6 wielbł6dy, lotn6, ptasz6 ł6nia,
 Z wrzaskiem ucieka garstka, jako trw6gi m6ry,
 Chmury piaszcz6w się śnieżnych, jak skrzydła migoc6,
 Matki kryj6 swo dzieci, wielbł6dy się tłoc6,
 Padaj6 — lec6 — trwoźni, ślepo — i ramiona
 Pręż6 w niebo — dzieci się u matk6 ł6na

Tuł6 jak gwiazdy w s6l6cu — — chwila — juź dogoni,
 Padn6 w śmiertelnych fałsz6, pastw6 tej pogoni,
 Podwaj6 pęd — dogania — juź jednym ramieniem
 Chwyta ich — parzy, dzikiem, Kyklopa scisnieniem,
 W tem pysznem czołem w czoło piramidy ciche,
 Tr6cony — rykn6ł — wzrasta — olbrzymieje w pych6,
 Balwanem piasku w biodra mamutowe plun6ł —
 Zachwiał się — zaszamotał — zatoczył — i run6ł!...
 U st6p jej się rozesał jak geniusz piekielny,
 Co powstał przeciw prawdzie — cichej, nieśmiertelnej...
 A pielgrzymi w oazie padaj6c znużeni
 W6luj6 imię Boga! od gor6cej ziemi —
 Szkielety palu i orł6w — wielbł6d6w i ludzi
 W piaszkach stercz6 — to trw6gi niedopierza budzi!...
 I duch m6j na sierocie dziej6w — Piramidzie
 Klęcz6c — patrzył dr6g kędy B6g w sw66 ludzkość idzie!...
 I zdaleka zn6w ujrzał jedn66 ziemię bujn6
 Miłsz6 niź im oazy — kł6skami potr6jn6 —!...
 I noc nad puszcz6 gwiazdy sije po lazurze
 To jeden twej istoty rapso6, co na chmurze
 Pisez grom — po nad ziemi6 — to burza — w naturze!

II.

Jeszcze dzieckiem przekraczasz kraniec twej kolysi i
 I z kolan matki schodzisz na swiat ludzki ducha,
 Juź walki życia ostrz6 ż6ł6d swych poicki
 I czekaj6 Cię młody rycerz!... w posłuchu
 Jak sinkisy, co twe stopy będ6 liz66 wętem;
 Jeźli w6zel rozmotasz, lub myśli6 orzełem
 Blyskawicznem go przetnisz — jeźli nie, to Ciebie
 Opasz6 i sp6tuj6 — i jad ich w twym chlebie
 Znajdziesz z ł6z przyprawiony, z trucizn6 w6tpienia,
 Że przeklniesz swiatło swiata, którego str6mienia
 Respac Ci nieda dojrzeć, a z głębi6 namiętnościami
 Że spadniesz na piekielne bagno: obojętność!...

I ujrzyś twych nadziei wieńce, marzeń kwiaty
 Oddane na barwienie nierządniczej szaty,
 Miłość twą jak złamaną lilię — przyjaźń zwiędłą,
 Sztandar myśli w prywaty pochwycony dłoni,
 Czyn spodlony zawisła obłudą wyprzedzą
 Struty gryspanem cnoty, co od cnoty stroni,
 A społeczność, co wieku ideał swój goni
 Spoliczkowaną, nagą, w lachmanach purpury
 Upadłą w błoto — własnej ofiarą tortury ...
 Wtedy krzykniesz jak orzeł, w locie swym przebity,
 I duch twój się zatoczy — i przeklinie swe szczyty —
 Pękają duszy twojej słoneczne sklepienia,

To jest chwila — zwałpienia!...

O wtedy! w jeden tylko filar poświęcenia
 Wespzyj kopułę drżącą — a będzie słoneczna,
 Serce wzrosnie w olbrzymia — ujrzyś, że odwieczna
 Droga tego strumienia, co w dziejowym łożu
 Przewala się i pędzi naprzód! wieków torem
 Aż przepadnie w wieczności idealnem morzu
 Wiecznym, z prawdą piękności, złąny rozhoworem!...
 I oto chwila, kiedy ideał twój własny
 Rzucasz o szczyt Golgoty — a całej ludzkości
 Ideał czynisz swoim — i już w ciszy jasnej
 Idzieś rycerzem w wieku twym, do potomości
 I siejesz twoje ziarna — czyny — co za tobą
 Modlą się, lub cię przeklną, pokoleń żalobą ...
 I z palmą twą już stoisz u stolecia końca
 Cichy — jako bohater, co zwyciężył z życiem
 A mówiąc «wypełniłem!» — patrzyś w zachód słońca
 I przechodzisz w świat lepszy — z twej myśli powiciem,
 By inni tu twe dzieła kończyli po tobie!...
 A ty jak senny orzeł, co w wieczornej dobie
 Ciągnie na gniazdo, płyniesz — i w smętnej żalobie
 Czujesz, że to spełniłeś coś kochał marzeniem
 I bożtwo któreś ściagnął — ogarniasz ramieniem ...
 A tak źle któreś spotkał potęgą dobrego
 Zmieniasz w dobre — otruleś noc iskrą światłości,
 Wywalczoną w zapasach piekielnej smętności!...

I widzisz bujny owoc cierpienia twojego,
 Jak z lichwą wzmacniasz innych w wszechmocnej miłości!...
 Już milczą gromy — tęcza wstaje u burz ścieku —
 Duch poogłował w wielki przestwór swego wieku
 Oto jest burza — w człowieku!...

III.

Dziką, olbrzymią, witam Cię burzo w naturze,
 Kiedy szarpniesz obróżą wichrów w jasnej chmurze,
 Większą jesteś, gdy bolem niemym Laokoona,
 Rozadrasz pierś człowieka, jak skibę pod ziarno,
 Lecz mi twój obraz wstaje jak syn wieków łona
 Kiedy całym narodem ryka twoja wstrząśnie
 I owoce się z drzewa posypią niemiarno
 Deszczem ofiar żyjących, co świadczy o wiosnie!...
 Patrzcie na potok dziejów od końca, do końca,
 Jak plemiona ludzkości stąpają tęskniące,
 Źródła prawdy w pochodzie swoim pytające,
 Wytęgające ramiona, do światłości słońca!...
 Lecz lud wolny, w przemocy łańcuch skrupowany,
 Pierwszy raz w łeb tyrana gruchocze kajdany,
 Bitwa wrzaskiem wściekłości zapelnia doliny
 Zadrżała ziemia, morza krwawią się głębiny,
 Sto wieków się szamocze zle z dobrem w ludzkości,
 I ciemno w bałwochwaltwie, bez iskry miłości —
 Zrazu hordy oślepię na swe własne dzieje,
 I materya poganiństwa, idą w lat koleje,
 Jedni powstają z drugich, jako fale morza,
 I płyną krwawo, mętnie, przepaściami łoża,
 W końcu Roma pochłania świat — i nim się truje
 Rozpada się i pęka — duch ludzki wędruje,
 Aż miłość nieskończona zbawia ludzką całość,
 I przez męczeństw modlitwę, słowo, weszło w ciało ...
 Lecz szatańska moc własnej miłości i pychy,
 Dzieła ofiar wszechmocnych, do czasu niweczy,
 Zrywa się na sąd, każdy dobry duch człowieczy,

A tyran znówu patrzy w skon ofiary cichej!...
 I na myśli ludzkości kładzie dłoń dławiącą
 (Jak na lampę — swe źródło w wulkanie mającą!)
 Ludzkość cierpi — i walczy, lecz walki męczeństwem
 Zerwała się — i leci, zbrojna człowieczeństwem
 I wezbrana klęskami, wali w proch tyrana
 A na chwilę się umrzeć zdał obraz szatana,
 Gdy iskra kajdan w czoła jego głaz skrzęsana
 Wzniciła pożar — piekło!... nad którem anioły
 Unosiły się zgrozą, światła apostoły
 Złamały miecz — a tyran — wrócił na popioły!...
 I znów na hańbę świata w zbrodniach tonącemu,
 Rozkrzyżowano naród, co go odkupieniem
 Zbawia znów poraż drugi męki swej sumieniem
 I z krzyża tryska w oczy świata ślepnącemu
 Strugą światła miłości — i prawdy promieniem,
 O patrzcie, za jej sprawą — ludy odkupione,
 I wolne — idą — z męki — życia nauczone!...
 Odtąd cnota się zowie jej boskim imieniem,
 A miłość jej mądrością — szatan zanieleniem!...
 Tam! ludzkość pobożowiak błonią w swym pochodzie
 Do szczytów ideału stąpa uwieczniona,
 Przed nią leci jej boleśń już przecielona — —
 O! witaj smutne plemię! w drodze ku swobodzie ...
 Oto jest burza — w narodzie!...

IV.

Wypełniły się czasy — wieki przedrzymały,
 Grzmot trąby rozdarł groby tysięcy, tysięcy,
 Chmury duchów już błękit skrzydłami owiały,
 Ludzkość jak fala morza, wstała — by już więcej
 Niepaść w sen, bo jej ducha dzień już wypełnił!...
 Gwiazdy spadają! duchów kołują miliony,
 W gromach toną niebiosy — a otchłanie dymią —
 To ostatnie — z niewoli śmierci, zmartwychwstanie!

To sąd ostatni!... tam! o! w szwach miłości miłości
 Bóg, wszystkich Bogów wstaje on ojciec światłości
 Na tęczy! ręce kładzie na nieskończoności,
 Za chwilę będzie sądził — podnosi ramiona!...
 Ziemia drży w swych posadach — czas oślepy kona,
 Tarca słońca zagasa — i spada strącona ...
 Za chwilę. — Wszczęświat będzie początkiem wieczności,
 Której już niema końca!...

To burza — w ludzkości. — —